

Wańkowicz Melchior

OD STOLPCÓW PO KAIR

Tom 1

OD KSIĘCIA DO SZEPTUNA

i rzed nami wypiętrza się z nagła zwał murów. Zamek mirski. Prototyp zamku Horeszków z Pana Tadeusza. Istotnie — między dwoma jeziorami, w których przekrzykiwały się żabie chóry. Pamiętacie ten zamek?

Na podwórku zamkowym wita nas smukły bratanek księ. da Mirskiego, Książę Mirski to rosyjski „barin” z tych, co to mają jakieś swoiste poczucie przynależności do ziem Wielkiego Księstwa Litewskiego. Na długo przed wojną przyjął katolicyzm I pono rąbnął zgorszonym schizma* tykom, że jako pan nie zamierza pozostawać w chamskim wyznaniu. Bratanek księcia jest jednym z licznej plejady bratanków \ opasujących kulą ziemską, lądy i wody emigracyjną falą. G^raz to morze emigracyjne wyrzuca taką muszelkę pod zamek w Mirze i stary książę ma kram.

Kolejny bratanek „smiriłsia” pono w Jugosławii I przyjechał do Miru w „nasię posłusznika” (w habicie braciszka). Tu go rozdiali z tych szat i paraduje w mundurze strzeleckim Giemzowe cholewki wysokich butów, „gimnast lorka” ściągnięta w pasie gibkim jak u panny i czapka załamana „zalichwatglri” (zuchowato) nadają temu „strzelcowi” i eks-mnichowi wygląd porucznika gwardii

Idziemy pod olbrzymimi sklepieniami zamku. Książę postanowił poświęcić żyde jego odbudowie. Z wolna dźwiga salą po sali, komnatę po komnacie, basztę po baszcie. Sam projektuje wykonywane na miejscu, pod jego nadzorem, ciężkie gotyckie meble z epoki najwcześniejszego, najprymitywniejszego gotyku. Sam pilnuje odlewania glinianych postumentów do lamp, sam dobiera grubość, miąższ i smak dębowych desek.

Starego pana zastajemy w którejś z komnat, pochylonego nad jakowymi folialem. Czerwony kaftan na nim, na czerwieni pięknie gra plama srebrzystej brody.

Po przypomnieniu sobie naszych spotkań mińskich poczyna opowiadać o trudnościach, o kosztach, jakie ponosi w związku z restauracją zamku. Wziął sobie za dewizę: „ftruo dum tńvo, dum vivo — struo.” Ale cóż, kiedy ten jego zamek należy do kategorii przedmiotów, które Anglicy zowią „the black elephant”. Tak nazywali wspaniałe, ale niepraktyczny i kosztowny w utrzymaniu pałac w Londynie, którego nikt nie chciał ani kupić, ani wynająć, z wyjątkiem emira afgańskiego, co go wynajął w czasie koronacji królowej Wiktorii na trzy tygodnie.

Wychodzimy na taras, na którym wielmoża obrazowo przedstawia panu staroście Wierzbickiemu swoje gospodarcze kłopoty. Książę, pan na Mirze, I przedstawiciel jako t*~

ii i

ko demokratycznej Rzplitej, z fajeczką w zębach, stanowi dwa bajecznie kontrastowe profile; między tymi profilami widnieje podwórzec zanikowy, na którym wraz, zda ukażą się traband Ale podwórcem leniwie przeciągają tytko olbrzymie bernardyny zamkowe.

Kiedy wracamy do komnaty, wzrok mój pada na foliał, który studiuje książę-samotnlk. Jest to nowiutki atlas, rozłożony na mapie Hiszpanii

— Od wyniku tego, co się tam dzieje, zależy, czy nas spotka reforma rolna — mówi książę. Czuję się zaszczycony i podniesiony na duchu tym: „nas”.

I kiedy tak, spowici w przyszłość i uraczeni spekulacją na temat terażniejszości, zstępujemy schodami zamkowymi, na pysznym asymetrycznym załomku schodów zastępuje mi drogę świecznik narządzony na lampką elektryczną, wymalowany pięknie w krzykliwe wielkoruskle barwy a la Palecha przez którąś z bratanic.

Hospodu Bogu pomolimsia...

A bas la canoiUe rougeL.

— Pame starosto, przecież to jest nieracjonalne gospodarczo, pan sam rozumie...

A potem w Mirze mufti oprowadza nas po niebieskim minareciku. A potem Żydzi nas witają w szkole rabuńczej. W szkole, która sto dwadzieścia lat już istnieje, w której zastajemy trzystu uczniów, w czym. osiemdziesięciu studentów zagranicznych z Ameryki, Austrii, Niemiec, Francji. Kiedyśmy weszli do sali szkolnej, gdzie w mastodoodocb ławach dębowych, nadgryzionych przez czerw, rżnięcia noża, próchno, czas i kwasy atramentów — kiwało się parę tuzinów dżentelmenów w kapeluszach, o typie „prikaczka” z wileńskiego przedmieścia, zawodząc monotonnie i bez najmniejszego zwracania na nas uwagi — zapytałem doktora sztrasburskiego uniwersytetu, jak się czuje między tymi wyjcami. Odpowiedział, że wymienicie i że takie współzycie uelastycznia umysł i stwarza lepszą atmosferę pracy niż w europejskich bibliotekach. „A przecież nie sprostałibyśmy tym olbrzymim dawkom wiedzy — dodał sentencjonalnie — gdybyśmy się nie dopingowali.

Uczniowie tu siedzą i po dziesięć, i więcej lat i mogliby siedzieć całe życie, bo wiedza jest nieskończona." To samo mi mówiono

*T

w drugiej znakomitej szkole rabinicznej w Iladunju w lidz- kim powiecie. Obydwie szkoły nie mają wcale określonego terminu nauki, wykłady odbywają «lę raz na tydzień, na resztę dni tygodnia uczniowie pozostawieni są wspólnemu wyciu i skakaniu sobie do oczu w zawiłych dysputach.

Z zamku, z Jczybotu, z chederu, z meczetu wypadamy znów w Hwlut rozkiałych pól. Z zamku, z jeszybotu, z chederu, z meczetu i z dworu wypadamy znów w rozkisył lwiat splechotków chłopskich. Deszcz mży. Auto przecina rz/:'zulkl, leniwie myszkujące po komyszach tej nadnie- meńskiej niziny. Ogarnia mnie dziwne uczucie, jak kiedy zwiedzałem żeremia bobrowe. Wszędzie tu znać ślady chłopca, ale chłopca nie widzę, z chłopcem nie mówię. Cierpliwy robak przeobraża wygląd tej ziemi, po której inni stawiają zamki, dwory, Jeszyboty. Narasta niecierpliwość — ujrzeć to zwierzę przemyślne i tajemnicze. Niedostępne, choć widzialne.

Zbiera na siap. Krajobraz nasycza się watą. Ginie blask, echo, przeulrzenność. Niebo Jest Jak filcowy tłumik. I pod tym tłumikiem dolatują nas z ulicy wsiowej matowe dźwięki jakiegoś instrumentu.

Buda płocienna. Ślepiec z lirą, zwaną na Białorusi cymbałami, śpiewa jakąś nabożną pleśń. Mula dzlewczynlna, zakutana w wielką churkę, gorliwie akompaniuje. Rzadki, niespotykany widok.

Proszę, aby coś zaśpiewali. Ślepiec nakręca lirę, dziecko z lekka zachrypniętym głosem zaczyna:

Biedna ja sirota blez mamki zastała,

Ja paszła po świętu, po świętu szukała,..

Wokół zbiera się audytorium. Litościwa jakaś słuchaczka daje honorarium — jajko. Pochylam się do ślepca: jak stracił wzrok? Jaglica,

Straszna choroba, wyniszczająca ludność. Na terenie dwu województw działają dwie kolumny do walki z jaglicą. Bytom w takiej kolumnie w Zabrzeziu w wołożyńsklm powiecie. La* hołobli znamionuje ten punkt jagliczy. Chorzy zjeżdżają się po kilkadziesiąt kilometrów.

Długi wąż wygięty w uliczkę czeka na opatrunki. Obrzmiałe powieki, rzęsy powywracane i rosnące w głąb, spojówki zmartwiały. Dzieci małe dotknięte tą plagą nędzy, W wozach cierpliwych, rozprzężonych, które podniosły hołobU niby zmęczony człowiek ręce — siedzą babiny, cierpiętnice Aiepe, dziadkowie mchem zaroiili. Dają im wodę w butelce 1 czarny chleb, Żują z nabożeństwem strawę podrózną nie byle jaką (pod wiosnę chleba nie uświadczy wiele).

Od piętnastego czerwca do piętnastego września — dnia, w którym punkt operacyjny zwiedzałem — kolumna jagli- cza załatwiła 3570 przyjęć, miała 4130 pacjentów, zrobiła 284 operacje, zdjęła 100 katarakt.

Idą ludzie ze zdjętą kataraktą w blask słoneczny, wypuszczeni ze szpitalika (kolumna ma 18 łózek). Macają kijem drogę, zdumieni, niepewni. Pokazują dziadydze swój krawat jaskrawo czerwony:

— Baczyż, dziadźka?

— Dyk jakżeż, panoczku — odpowiada skwapliwie i radośnie — hetkij finieńkij.

— Po operacji wszystko widzą na niebiesko — odpowiada lekarka.

Wyciągnięci w wygodnych fotelach panowie lubią opowiadać dobrotliwe i ociekające życzliwością dla ludu face- cje o jego ciemnocie, o znachorach i zamawianlach. A tymczasem, kiedy pokaże się lekarz, rady dać sobie nie może z pacjentami — byle nie brał pieniędzy — jak punkt jagll- czy. Pomoc lekarska, jaką daje paAstwo, Jest przemądrzona. Za rosyjskich czasów byli felczerzy, obecnie skazani na wymarcie. Z wielkich wymagań przy zielonych biurkach rodzi się tylko znachor-szeptun.

My, inteligenci, możemy wybierać sobie spowiedników wedle zaufania. My, inteligenci, uważamy za swoją zdobycz psychoanalizę. Ale chłop, któremu odebrano felczera, mówiącego jego językiem, mieszkającego w chałupie, wyrosłego z ludu, ma się czuć dobrze, kiedy niecierpliwy lekarz inteligent stosuje doń metody weterynaryjne?

W starostwie nadgranicznym dziewczyny emigrujące na roboty do Łotwy (dwudziatomorgowy gospodarz idzie szukać zarobku do płęciomorgowego Łotysza mieszkającego przez granicę na takleje ziemi, w spadku po teje Rosji

i po tejże wojnie) muszą mieć świadectwo zdrowia. Lekarz powiatowy mówi, że zbadał ginekologicznie tysiąc czterysta dziewcząt. Dziewczeta z wiosek stoją długim szeregiem przed drzwiami gabinetu, z którego wychodzą z piętnem jeśli nie na ciele, to na duszy.

Ale gdzież pójść leczyć się, skoro nie wiadomo, co jest: w gardle schnie, poty biją, omdlałość chwytą, krzyż boli? Skoro w ciałach, które przebiega melodia harmonijnego ruchu — rytm gdzieś szwankować poczyną, nie wiadomo jak, nie zrozumiesz. Czyż to nie nadprzyrodzona rzecz, że w tym zdrowym ciele, które nie ma skazy moczanowej ani kamieni żółciowych, w którym serce bije jak dzwon, nagle poczyną się chrobot, skrzyp? Czyliż to ludzkie sprawy, a nie tajemnicze, niepojęte, Boże, z wyroków najwyższych albo ze złości ludzkiej?

Byłem w Kołdyczewie u Szalewiczów, w powiecie nowogródzkim. I kiedy mam wyjeżdżać, podchodzi do pani Sza- lewiczowej ekonom.

— A jakże krowa?

' — Dał szeptun ziółka, coby kadzić.

Pytam, co za szeptun. O dwadzieścia kilometrów. Za Ho- rodyszczem. We wsi Prudy. Święty człowiek, który już siedemnaście lat we śnie spoczywa. Zjeżdżają do niego ludzie z kilku powiatów. Ale co mówi — pojąć nie można. Szwagier tłumaczy.

— No i cóż było krowie?

— Tak po opisanu wychodzi w sam akurat, jakobyś żona furmana urok rzuciła i z tego czasu krowa sama siebie wydaja i nic jej zrobić nie można.

Już jestem w aucie. Drogami, na których kończy się chyba świat, dojeżdżam do tych Prudów.

Szeptun mieszka w końcu wsi. Szwagier wychodzi przed chatę i mówi o nim, że w ostatnim roku osłabł i stracił siłę wróżenia. Rzadko co można z niego wydobyć, ludzie przestali przyjeżdżać, bieda im zagląda do chałupy, bo mają półtora hektara.

— A jakże to się zaczęło?

Siedemnaście lat temu zapadł w głęboki sen, w którym trwał jedenaście tygodni. Lekarze zjeżdżali się i dziwowali. Mówili, że to „bielny tif na mózgu”.

Masz babo kaftan! To coś jak ta macica, co do gardła wskoczyła naszemu pastuchowi w Nowotrzebach.

Wchodzimy do chałupy. Na łóżku leży trzydziestokilko- letni chory. Unoszą się senne powieki, ukazując żarzące się szaleństwem oczy. Usta są wzdęte i mają jakiś obleśny wyraz. Szwagier, niby kapłan delficki, siada u wezglowia; ma tłumaczyć nieartykułowane dźwięki wróżbity. Każą mi podnieść rękę dłonią do chorego i rozczapierzyć palce. Wzrok szaleńca obmacuje mnie całego chwytnymi, stajo- nymi błyskami, wreszcie wpiera się w dłoń; chory wydaje jęk.

— Pan ma odpowiadać tylko „tak”, a jeśli nie zgadnie, wtedy mówić „nie” i obracać dłoń w inną stronę.

Ponowny jęk.

— On mówi, co u was w domu bieda „striastaś”.

Ponowny jęk.

— Mówi, że od strony żony bieda.

Nic się memu wróżbicie nie udaje. Znudzony, wydobywam magiczny krążek — dwuzłotówkę, i każe wynieść go na dwór, aby sfotografować. Niosą go jak piórko, ale w pewnej chwili stawiają i stoi. Ma więc władzę w członkach.

Nad jeziorem Miadzioł pojechałem do zaścianka tatarskiego, w którym w pewnej rodzinie dynastycznie przechowywała się wiedza zaklinania.

Młody Tatarzynek wziął nieco masła do szklaneczki, za- szeptał je, z książki zapisanej orientalnym pismem wypisał na wąskich paskach papieru trzydzieści wersetów, kazał je trzymać w zaszepczanym maśle i co dzień przez miesiąc jeden pasek papieru połykać. *

Czy zaklinacze zatrącają kiedy o czarną magię? Nie natknąłem się na nic podobnego. Zdawało mi się, że na lekki ślad takich trafiłem w powiecie nowogródzkim.

Uprowadzono mnie, że do szeptunii Mariochy nie można przyjeżdżać bez wódki. Zaopatrzyłem się w litrową flaszkę i pojechałem.

Szeptunia Mariocha, kobieta starsza, o oczach palących jak węgiel i ustach zmysłowych, wyszła przed chałupę, w której raczyła się od samego rana, lekkim, półtanecznym krokiem. Oznajmiła mi, że już wypila pół litra, ale że jej norma dzienna wynosi dwa litry. W sadzie za chałupą postawiono stolik, na nim chleb, sól i butelkę wódki.

— Ci na dzluczynu, ci na chwiarobu? — spytała Mariocha.

Chyba państwo nie wątpią, że zamówiłem sobie zaklęcie na dziewczynę. Od choroby leczą miejscy doktorzy. Mariocha poczyna szybkim mruzcando: „I ty, Żaczek, nieuczony i na rozum niespełniony — powiedz nam, Żaczek, szto to jeść adzin? Adzin syn u Maryi, w niebiesnej jon karonie... I ty, Żaczek, nieuczony i na rozum niespełniony, powiedz nam, Żaczek, szto takoje jeść dwa?”

Pwie tablicy Mojżeszowie. Adzin syn u Maryi, w niebiesnej jon karonie."

W ten sposób kolejno pytany Żaczek daje odpowiedzi aż do dwunastu, recytując stale od początku. Okazuje się więc wreszcie, że jest:

„Dwanadcać apostołów, adinadcać niewad Boskich, dzie- siać Boskich prikazaniów, dziewiać chór anielskich, osiem kryżów kryżowanych, siem Boskich sakramentów, sześć królów leliji przy najświętszej Maryi, piac ran ciarpieju Chrystus za nas griesznych, czetyre listy ewangelisty, tri pa tri monarchowie, dwie tablicy Mojżeszowie, adzin syn u Maryi, w niebiesnej jon karonie."

Otoczenie chłopskie patrzy z nabożeństwem na te praktyki. Zauważyłem, że kiedy lekka postać Mdriochy przewija się między nimi, usuwają się z drogi z zabobonnym strachem. Nie dziwota. Ot, tej kobiecie Mariocha przez psie figle rzuciła czar na zięcia, który począł łązić za inną.

Na tydzień przed moim przyjazdem odczyniła urok i obecnie widzimy, jak ze swoją byłą ofiarą przyjaźnie gawędzi przy opłotku.

Asystuję przy przyjęciu kobieciny, która przywędrowała czterdzieści kilometrów radzić się na niewierność męża. Przede wszystkim wyciąga butelkę wódki. Wiedźma już jest porządnie pijana.

— Czekaj, duszo — wykrzykuje — już na weselu kłócili się o weksle?

— Kłócili się.

— A twój mąż na nogę przychromuje?

— Przychromuje — potwierdza kobiecina i jest zupełnie psychicznie zmiażdżona. Muszę przyznać, że i mnie przechodzi dreszczyk.

^v — Widzisz — wali w stół z tryumfem całkiem już pijana

Mariocha. — Czekaj, my tu tę ścierwę kochanlcę urządzimy.

Pochyla się do ucha kobiety, która nagle zacha się w stronę i blednie.

— Masz jego koszulę?

— Mam... — z drzeniem odpowiada kobieta. Kocha zapewne tego niewiernego męża i rada by się wyrwać z piekielnego kręgu, ale nie ma sił.

— Chodź do komory, to cię nauczę.

Kiedy wracają, na twarzy młódki wypisane jest silne wzruszenie.

Ale są i sprawiedliwe szeptuny, jak na przykład Sokolewicz pod Nowogródkiem, „kostopraw” — wynalazca maści na zrastanie się kości. Umarł, ale sekret zostawił synom i synowie bogacieją nie z dnia na dzień, ale z godziny na godzinę.

Leczy, kto w Boga wierzy — nawet dosłownie. Ojciec bonifratr w Wilnie leczy na wszystkie choroby bezpłatnie, biorąc tylko złotówkę za ziółka. Trzeba zamawiać kolejkę na cztery tygodnie naprzód. Ojczulek nie bada. Wystarczy na karteczce krótko opisać objawy.

Nawet na jagliczym punkcie spotkałem szeptuna. Ponieśli i wilka... Jaglica je oczy. Szeptun jest bywały, Amerykanin. Zaparci w kącie wyznajemy sobie swoje życiorysy. Szeptun leczy głównie modlitwą i z lekarzami konkurować nie zamyśla.

Pod punkt jagliczy podciągają różni chorzy. Mam szczęście do wynajdywania rzadkich okazów. Oto kobieta ubrana z waszecia, w cienkiej wełnianej chustce, spiętrzona na głowie jak tiara. To znany na Polesiu kołtun, którego nie ma w tych stronach. Świadomy zabieg leczniczy, nakazujący zaprzestać myć i czesać włosy, aż się skręcą w kołtun. Włosy obumierają i z czasem odpadają. Ale ściąć kołtun — to znaczy narazić się na straszną chorobę.

Arcybiskup Jałbrzykowski opowiadał mi, że ojciec jego, szlachcic zagrodowy, rozzłościwszy się o coś, schwycił swego „skierdzia” za łeb i kołtun pastucha został mu w rękach. Zrobiło to takie piekielne wrażenie na chorym, że padł zemdlony. Ale w parę dni potem przyszedł dziękować.

Pani Osklorczynn z Huchllcz w Niośwlesklem opowiadała* ml, że kiedy było małą dziewczynką, niańce jej odpadł wreszcie kołtun: zawiązała go w serwetę, włożyła do koszyka, na to położyła kawałek chleba I soli i puściła z wodą,

Putrze na zdjęcia, które przywiozłem z reporterskiego objazdu Kresów, Iluż na nich dziadów! Dziad na Kresach zajmuje poczesne miejsce, tworzy hierarchię I uświęcony fach, Jarmarki, gdy się mają odbyć, z daleka to poznasz po wyglądzie drogi. Perlistymi rankami ciągną ku ośrodkom jarmarcznym tłumy Judzi, a na dzień przedtem odbywa się ciąg dziadów.

Czyż ten dziad, sfotografowany w Postawach, nio stwarza iluzji Jakiego* Maroka?

Czyż ta grupa dziadów nie tworzy jakiejś sceny z Ooyl? Poza polem widzenia obiektywu znajduje się ręka dająca Jałmużnę, Jakże chciwie wyciąga «ię ku niej całe dzi&de* stwo.

Ten ślepiec na palącym słońcu lipcowym w Budflawiu od świtu do późnego wieczora wyje straszliwe zakłęcia,

Ten wyffftawiający kikut ma mniej uciążliwy sposób akwizycji,

Ten zespół żebraczych dzieci spotkałem na dwóch jarmarkach, odległych od siebie o kilkadziesiąt kilometrów. A przecież tyle mówimy o dzieciach „bezprizornych” w Hosji,

Tego dziada spytał żartem pracujący w okolicy geometra, czy on jost „dzled cl pridziodok” (coś w rodzaju: sędzio czy podaędek). Ku zdziwieniu pytającego dziad odpowiedział, że on Jest „prldzledok”, a polną gębą dziad „u sa)ora sl- dzló”.

A czemuż ty śledzisz dziś, w dzień powszedni, I kiedy deszcz pada?

Nie można nie siedzieć, bo Żyd Jeździ i patrzy. Co debble obchodzi '/yd7 Ja na trotlak raboluju, JYacuJo na trzeciak, co w rolnictwie znaczy, że oddaje się dwa snopy właścicielowi ziemi, a co trzeci bierze slq sobie. Okazuje się, że Zyd stworzył całą organizację, Dziady mu sio opłacają, & on baczy, żeby nie mieli nieprzyjemności /, władzami'

Najstraszliwsza rzecz to sprawa zdrowia ludności. Przez dwadzieścia Jat nlewlelaśmy postąpili naprzód, a nawet cofnęliśmy się w tych powiatach, gdzie były za Rosjan momdy,

Mała Naścia śpiewa pozostawiona na uliczce wsiowej, a Ja uciekam we wspomnionia: ale IJeż ich trzeba nałożyć Jedno nu drugie, Jak malarz farbą, aby podejść jak nałożyć do ślepca grającego na wskrzeszonej lirze I zapadłego w wieczną ciemność, od której wszak mógł być ustrzeżony,

Nauczony na punkcie Jagllczym, pochylam ałę nad małą I widzę, że ma czerwone, obrzmiące powieki, Przechylam małą głównę pokrytą chustą (patrzy na rnnle jak młodu wronka, w której się tłucze serce) I widzę zmętniała białko, typową skazą Jagiicową, Ilo masz lat?

Hzósty poszedł odpowiada rzeczowym głosem dziewczynka,

Z twarzyczki bije świeżość dziecinna, Przez cienką różowiejącą skórę czuć ten najcudowniejszy, niepojęty llkwor młodej krwi, która biegnie wartko. W środku twarzyczki rozjarzonej najdelikatniejszą różowością, jak rozjarzone są płatki kwiatu, siadła Jak robak — skaza Jagiicza. I wiem: powieki się wwlună, rzęsy poczną rosnać do środka, i koniec,*,

Noce spędzone przy moich córeczkach. Bezsilne usteczka, które łowią powietrze,, Telefony,, auta,, tleny,, doktorzy,, wyjazdy.. Wszystkol...

Mlotnęło się we mnie uczucie żalosalne. Obiegło, tropiąc sprawą płócienną budą, Lirnik nakręcał lirą i dawał znaki Naści, Cierpki dziecinny głos starannie wykrzykiwać począł słowa nabożnej pieśni,

Punkt jogliczy,, Państwo,, Czegoś brak,, Wojsko... Wszak postęp,,,

Potop tych niekoniecznie mądrych myśli, które potraçały się i, jak tłum gapiów, parły na zewnątrz oglądać małą Naścię, spłynął rytualnie obrzędowym, wsz^chobejmującyrn pytaniem:

ile macie ziemi?

Mii pół hektara. I kiepska ziemia. W Terebejnach koło Nallbok,

8kok do auta, Noga na pedał. Mofce to teraz znajdę ślad do chłopca?

Czytelniku, jtdl xe mną. Cxytolnlku, Judż. ze toiiujl Czytelniku, jtdś ze mną zobuczyć, Ja U to Jest, śo małe dzieci mu- wędrować w świat l ślopnąó w I,oj Polsco, która ma Kawy Chorych, gmachy reprezentacyjne, muzea, samonądy. wójtów, sołtysów, punkty Jaglicze, duśo, bardzo duto Indy, kfch, gorących serc, szkolnictwo powszechno, jak są to staje, śe małej Naści nlo przygarnie wieś, choclaś na wsi nie ma huta! nlelitościwych,

W Nalibokach, onglń Radziwiłłów l Klrtów, w Nalibokach, które pod groxą konfiskaty młodilutka Hadxlwłłówna uratowała wychodząc za maż za Moskala Witgonsxte]nn, -npadły się pałace Klasków i tylko Jeziorko-staw marno po nich zostało, o które się zresztą plebania z gminą wadzi, W Nalibokach, śpiących w głębokich puszczech, kędy brunatno, Zolazlste oka leśna ściągnęły hutników i na tej ziemi, dalkioj od rud górnłosych, stworzyły swoisty przemysł metalurgiczny - teraz Jest cicho. W Nalibokach, w których s/ulaly siekiery rąbiąc Falosztejnową puszczy — nlo mu xarobków. Świątek z drzewa rzezany stoi nad popułowcow>i wodą i patrzy w nlobo nlsklo l wełnisto. A tam gdxio to niobo na runy ziemi w paski pociętej się kłodzie niby wntu l opatrunek, tam, na skraju lasu, lośa Terobejny — Nastko- wa ojcowixnu. l Tarasowo, l Nowosiółki.

Wieś Torobejny tna 240 rodzin, 003 dusxo, 304 ha. Wleil Tarasowo ma 24 rodziny, Ofł duxx, 21 ha. Wied Nowosiółki ina 43 rodziny, 109 duif i 77 ha.

Oodno to włości.

Huty xamar iy. Las przestał *ywlć. Ziemia zła. A choćby by In Jak sło to — to i coś? 402 ha na 307 rodxlh, na 1240 duBK?

Lud jost dobry, rozwinięty, postawny. Cośmy x niego xro* bili?

Posłuchajcie.

Nu gminie Naliboki ciąjy 3000 tytułów wykonawczych (dlu innych gmin przeciętna norma około 1R0 tytułów wykonawczych rocznie). Są to kury zu wypasy lub kradzlei drzewa.

Ho to wsio mają serwituty. Serwituty w lasach puństwor wych. Knklawy to l azkodzą gospodarce leśnej, l saolągaju

pijtlą na izyl ludności. Alo komasować wsi nie dają, serwitutów nlo znoszą.

Aby te wsio upełnorolnlć, wystarczy 080 hektarów. Już pól toj sleml znuluxtoby się w owych serwlutach. Nlech- ieby rzz) d zabrał to chłopskie enklawy l zalesił, a należność przypadającą xa to chłopom niechby wypłacił lcsllfclu Mir- skiemu l z jogo nudwyiki, wynotzizceJ l(100 hektarów, upoi* norolnlł l skomasowul gospodarstwa chłopskie.

Dalibóg, nlo czolucjmy na Hiszpanię. Niech nie hejdzle tak strasznie, io w małej wiosce Tarasowo ślepnąoa Naścln ma lśc z lirą w świat, podczas gdy jej ziemio marnieje w nlouśytecznej enklawie leśnej, To niepruwdo, aby ta ludność unikała lekarzy. Spotykam młoda kobiecina, co przyszlu z mtjżem sucho- tnłktom do sturosty Protossowlczo w Mołodecsnle prosić, nby sturostu pomógł wydobyć x jej ojca po«ag, który miłł być wypłacony, u którego ojciec wzdraga się wypłacić nu tak nieprodukcyjny cał jak leczenie. Kobiecina trzosie się z śfilu l z trwogi. Cóż może poradzić starosta?

I tu występuje na scenę znachor - - tańszy i bilety ludowi.

Dobrze, jeśli to Jest zielarz przechowujący tradycyjne metody, jak ton nu świętojańskim Jarmarku w Wilnie, trzymający w reku susxono żmiję, wloice pomocni) nu cierpienia żoładkowe, który ma prócz tego na clorplenia żoładkowe „truch ziele", „gąsian" — kiedy się kto „poderwał", skrzyp — nu nerki, „raguli" l tukle floletowieAkie — od wzdącla. Pokazu Jo mi on z nabożeństwem korzeń dąbowy, Wyrosły jakoby w kształt człowieka, wielce pomocny na każdą choroby Blulorusku mandragora.

Oto macie puństwo podłoże ciemnoty l zabobonu. Jak na nim kwitnie świadomość ludzku? Musimy sobie powiedzieć, Ze w tych głowach panuje nieopisany zumijt.

Pisałem w „Wiadomościach Literackich" o historii Krzyw- cu, Jego ucit>cxce do Uosji, Jego próbach dźwignięcia 81\$ kolejno prxex pracą z komunistami, z Białorusinami, z ziemiańskimi organizacjami, z osadnikami, przy cxym zawsze Mpaduł, ZUWMZO dostawał w leb.

Poeta białoruski Michaś Maszom, dwuhektarowy chłop, tuk jak i Krzywiewe odsiedział swoją porcje wlezeniu.

siedzieliśmy w cichy wieczór letni nud brzegiem Dxl- slenkl l Massa ru mówił ml o swoich wlersaah.

Chmaraczki, chmarynaczki Bielyja maje Waszaj by ściażynackaj Płyć na siniawie.

Maszara sam siebie nazywa „sielanskim paetom”. Ten liryk wioskowy żyje w nad wyraz ciężkich warunkach.

Jak jest z ruchem białoruskim? Grzegorz Haurylczuk w powiecie dziśnieńskim. Odsiedział cztery lata za chodzenie nielegalne przez granicę, a może i jeszcze za co. Uczy synka „katechizmu Białorusa”. Mały bobas powtarza:

Biėlarusam ja radziłsia, Biėlarusam budu żyć, Biėlaruskuju ziamełku Budu szczyra ja lubić.

Dusza tego ludu, wychodząc z nizin, traktowanych tylko jako materiał etnograficzny, z nędzy dziadostwa, ze szponów znachorskich, miota się po ścieżkach nieznanach, po zamglonych drogach. Jest wdzięczna i nieufna, gotowa do pozytywnej pracy i w każdej chwili chroniąca się za filuterny sarkazm, tak właściwy białoruskiemu chłopu.

Mądrała nad brzegiem Naroczy, kiedy już przyjechał osobiście premier Składkowski i spacyfikował nastroje chłopów wzburzonych, że im się odbiera podstawę ich bytu od niepamiętnych czasów — rybołówstwo, ten mądrała powiada: -

— Kabyż szto jakoje, panoczku, ałaż my nikoli niczoho, tak może ono i łapieć budzie, ale chtoż jaho wiedaje?

Ciągnąłem z nimi sieć o godzinie trzeciej nad ranem. W poświacie świtu srebrzyły się sielawy. Kiedy rozświecił się dzień, ujrzałem na fali domek bridżowy hrabiego Przeż- dzieckiego, największego obszarnika na Kresach. Domek wyciągają motorówki, zakotwiczą go i odjeżdżają. W domku — łóżka, radio i kuchenka.

Wielkie są bieguny materialne i moralne, między którymi cyrkuluje życie ludności kresowej.

NIE BYŁO NAS, BYŁ LAS.

Lasy kochane, zielone chłodniki.

Drzewa, przyjemny szum dające z siebie,

Trawy, pagórki, biegące strumyki,

Przy was niech mieszkam choć o suchym chlebie.

(Elżbieta Drużbacka: Zbiór rytmów, 17S2)

Sprawy leśne to zawsze były sprawy wielkiej wagi. Kraj nimi oddychał. Nie pamiętam, żeby mi dzieciństwo upływało w kulcie roli. Była to nudna sprawa, na której zawsze wysuszyło lub wygnoiło w tym roku, jak najstarsi ludzie nie pamiętają.

Co innego las. Jego tajemnicze i skomplikowane sprawy przepajały nasz żywot. Nie mówię o myślistwie, o grzybobraniu, o pasiekach, purpurowiejących poziomkach, o czarnej zieloności leszczyn, z której wygarniało się miąższ orzechów na wyścigi z wiewiórkami. Mówię o tle leśnym, na którym dopełniały się sprawy dnia codziennego, o działach, sprzedażach, serwitutach, porębach, spławach.

Wszystkie te skomplikowane zjawiska poprzedzało pojawienie się pachciarza Srula — przy okazji kupna „owczyn- ki” po padłej owcy albo kiedy się zgłaszał po listę sprawunków w Kownie, albo przy nieskończonych pogaduszkach na temat arendowania sadu, pogaduszkach, które rozpoczynały się już wczesną wiosną.

W pewnej chwili Srul, stojący we drzwiach tak zwanego pierwszego pokoju, mówił od niechcienia, że ten bogaty kupiec, co kupił u grafa Tyszkiewicza las, będzie „na dniach” w Czerwonym Dworze, to on mógłby popytać się. Srul nigdy by nie wystąpił z taką propozycją w niewłaściwym czasie.

Babka, tasując karty do pasjansa, okazywała skrajny brak chęci mówienia z kupcem.

Pierwsze ziarna były jednak rzucone. Teraz rozpoczynała się kampania obfitująca we wzajemne chytryści i podchody.

Pewnego razu Iferszek z Bobl, dostarczający mięsa, wyznawał, że on zna takiego kupca, Jakiego jeszcze „pani wielmożna” nie widziała. Oczy mu zachodziły mgłą rozkoszy na samą myśl o tym kupcu. I Iferszek był surowo osadzony z miejsca, Ale wewnątrz twierdzy rozpoczynał się gorączkowy ruch. Do Kowna ataktem był wysyłany rządcą: — Popytaj się, jaka cena na las,,. Już na statku przysiadł się do niego Jakiś starozakonny, pełen najlepszych informacji, W mieście' zwykle adwokat mówił „pośpieszajcie, bo spadnie”, doktor zaś, że „czysta fikcja teraz sprzedawać”.

Szlachciuro wracał stateczkiem równo mądry, Jak wyjechał. Popijał dla kurażu z kapitanem, który, zdarzało się „nadukawszy się «tri*z diewinis* („trzy razy po dziewięć” «— niezrównana wódka litewska, nastąpiła na dwudziestu siedmiu ziołach, mam ją i teraz, kto łaskaw, niech zachodzi), wjeżdżał w ślepią łachę i wpadał jak bomba do kajuty dla lepszych pasażerów, z hiobową wieścią: „Niewia- za skończywszy się.,/”

Wie mogę zrozumieć, jak takie transakcje po kilkadziesiąt tysięcy rubli, a więc na obecne pieniądze po kilkaset tysięcy złotych mogły się odbywać „na wytrzymanie”, cierpliwą metodą chłopskiego targu,

Żo nie była to wyłączna właściwość Nowotrzeb, lecz zwyczaj powszechny, świadczy wiele pamiętników, UhiUw, utworów literackich. Wszak to u Wil końskiego przed rozwścieczonym szlachcicem kupiec schował się pod łóżko, skąd dziedzic pogrzebaczom starał się go wykurzyć. Na zdumione pytanie: „Co tu woćpan wyprawiasz/7”, odparł zasapano: „Las sprzedają.”

Nieboszczka babunia Zygrmuntowa Wańkowiczowa ze fte- plariki opowiadała mi, że Jej syn, nieboszczyk stryj Piotr, zwykł był umieszczać po jednym kupcu w każdym z czterech pokoi sąsiadujących z jadalnym, Hem, dzierżąc klucz pozycji strategicznej w Jadalnym i nie pozwalając przeciwnikowi na stosowanie taktyki Moltkego („inzeln martchł' rm, gmtAlmmn, uchluen.J’), chodził od drzwi do drzwi, wsuwał fjonę i pytał: „A ty ile dajesz?” Po kilku godzinach tej zbożnej pruty przynoszono mu do

¹ W pffWo)tftnyvh zfoTytiH mtUony IM, w.).

jadalnego obiad; Iltosierna babunia, jesz/ze kiedy nie zdążyła przeznaczyć tych praktyk, spytała pewnego razu: - Piotrze, może Im choć herbaty posła/;? Htryj Piotr aż zachłysnął się zupą: — Broń Bo żel — odchwycą się,,.

Jakie to musiały być niesłychane transakcje, nigdy nikt się Już nie dowie,'Można tylko sądzić z wtórnych objawów, Opowiadał mi ksiądz proboszcz Hielewicz z Wornlan o pewnym zamożnym ziemianinie, a swoim ongi parafianinie, który otrzymawszy w spadku leśny majątek, sprzedał z niego lasu za pięćdziesiąt tysięcy rubli, przy czym nad- leśny, mając przyznane sobie jakieś klejnowe od pnia, otrzymał z tego tytułu sto osiemdziesiąt iyn\<v. y rubli. Las w następstwie szedł przez osiemnaście rąk, z których k»łda cięła odprzedając resztę, I ostatni z tych osiemnastu kupców, wycławszy las „do imentu”, miał pobrać sto tysięcy rubli, Se non 6 uero...

Zdarzało się jednak, że w tych machorkach lanych ziemio ni n wykiwał Żyda, Tak na przykład obywatel z Grodzieńskiego sprzedał określoną powierzchnię lasu, ale z warunkiem, aby żyd wyciął prawidłowy trójkąt, „Szafarz” (taksa tor) wyceniający las nie zorientował się i zameldował kupcowi przeciętną wartość obszaru. Tymczasem okazało się, że środek był przeredzony, a tylko po brzegach dobry las.

Inny ziemianin w kontrakcie zawarował, że na danym obszarze ma pozostawić nfe wycięte drzewa, zabukstelaml zwano, drobne, faszolc, pypla, akseftkl, bc^zkówiy, denków- ki, wreszcie nie obrobione potężne kłody o obwodzie trzydziestu pięciu palm, czyli dwustu sześćdziesięciu centymc- trów, na koniec suchojel, Inny w rejentaJneJ zadatkowanej umowie zastrzegł, że dla siebie zatrzymuje cały las „za Iskluczeniem odnogo tolko duba” (z wyjątkiem jednego tylko dębu), I gdy kupiec przysłał brakarza, poprosił uprzejmie, aby teri sobfe wybrał ów Jeden dąb, który mu się podoba,

W Nowotrzebacz od tych wstępnych kroków cały dom żył pod znakiem leśnej rozgrywki. Pod pretekstami

zjawiali się najróżniejsi pośrednicy! czasem Żyd kramarz,

n

RS

z na lubo JętnleJazą miną odcina \i> < y pl^ metrów Uiiitnkl — ni z lego, ni z owc((o poczynał mówić o l**i«
Hiirz*rdat lasu — to były niby kmy jaklfikiOś olbrzymiego łtrontozaura. każdy się przy tym
przedpotopowym cielsku muiiil pokywU:. My, małe rnlkruay, żyliśmy w tńągłym podnieceniu, ?.< ;}h/. litsii
— to najprzód U>rt i wino od kupca, Dla- c /ego ten kiipi«ckl tort ł to kupieckie wino miało być t-.zytrA
nadzwyczajnym, io jut tajemnica dzledńatwa.

Nastanie przez całą zimą odbywał się obrzęd „kJejmo* v/anl«". Nauczyciel na*z, onże administrator
naczelný, Nit' mieć, pan Blesc, ponlechlwał deklinacji niemieckich, w cza- sie których, zapatrzony w siđła
ustawione przed ok norm, Zaklinowałem sennym głosem: Der Rabę — woron Pet worons Dam woron

Dzięki sprzedaży lasu ponlechiwellśmy wzajemnych irytacji, bo były ważniejsze sprawy. Pan Biesa
wdziawał na siebie zachwycające futro tchórzowe, ugarnirowane szeregiem ogonków, przeciągał się wąskim
paskiem, którym w dnie katastrof naukowych obiecywał przeciągnąć mrris, brał w rękę „klejmo" z kraskami, od
praszczura jeezcze pewno, z czasów kiedy litery znali tylko mnisi, tusz, Icśsika z siekierką do zaciosywania pni
i brnęli fony śródleśnymi *%aspemi „kiejmując".

Potem było cięcie drzew, Zgadywało się, w którą strony pień padnie, a kiedy padł, błądziło tłę dziecinnymi
chcł- wymi rękami po strzelistej koronie, po podniebnych dzt^> piach, tak niedostępnych, podobłocznych przed
chwilą,

Potem sgeregi (ja/:hteH" (sągów) stawały na trzaśnisksch, a leśnymi duktami mrrftfy w tęgim mrozie płozy
niby dziecinnych saneczek, na których leżały strzały przepyznyeb pni

A wiosną wiązało „trapy", ciosało się ogromne wio- sła'bierwiona na przednią i tylną /frygałkę", biegło słę
po nie spojonych jeszcze balach, tonących pod dotknięciem stopy, balansując nad czarną i głęboką wodą,
Oczekiwało się z nabożeliatwem splewającego płyty Jasiuka, który przywoził z Kłajr**dy kapci och z czarnym
tytoniem, właziło sie w budy ustawione Ilia flisaków, jadło się z nsugun- nych saganów aw4r^% kartofle,
frfttriiAii ' -ŁfriŚM

■W Kałużycach Jaszczla la piej było Mi elfów/ tam A-tiu uJy ny na Vazy, Nieszczęśni kupcy, Jak pr/ed
y/Utkani, omieh uplatał-, łwg/iwn, ja/z/we, mostowe, gtołMi^, Kjyrśly/l i lichu wie Jakie, I/szą płynął/ tuzem
wyrohlorte \ >/ tzoaly Z tych budowało się na ptrzekanlu pałac* I wW/M KTÓRĄ nas ■/. reguły mocno przy tłuł
iwtły,

^Proceder leśny, wylabudany z przedwiecznego tAryczayt. trwał do samej wojny

Począł się już od szesnastego stolaćia, kUtdy odkrycie Ameryki rozwinęło budownictwo okrętów, s głodna
sta- kiara, ogołociwszy z masztów lasy zachodniej fAWtpy, t/Aa "/raz bardziej w górę rzek, w głąh naszych
/Mm ferwi- wycłt

lirarut maazły główne, koronnymi zwane, których obwód na wysokości sześciu metrów od ziemi dotiho&M
dwustu trzydziesto centy metrów, wyMkobb — do trzydziestu metrów, Pół wieży Mariackiej! Bram azpiry,
rmaazy na tył okrętu, bukazpreje, maszty pochylona na przadzle,

Pływały watu.zuay, obcioaane z trzech boków, waatlki — bftllfcl łupane i nieobrobione, klepka »nglel*ka,
fr»ncuaka I holtndertka, a każda Innego iMmu, azeenaMt/rmetrrrw* bruay, obclosane w kwadrat bez obzy, to
jest do ostrego kantu, czamry, to znaczy dyle służące do cembrowenła, cienkie dwudziestometrowe szczoehły,
żerdzie /nilowe, pOfustz jodłowy, lekki, nośny, służący za podstawę do włą* zsnia tratow, utrzymujących na
wodzie cięższa i cenniejsza gatunki drewna,

Wielkie, obszerne było to bogactwo leśne? Wie masz po- sługi, której by z niego człek nie miał. Już
rzućmy polewanie I wozalkle Inne leśna przemysły W tata, drewno wszedłszy, Ilez p*//.ylkówl % drewna
stawiano przepłoty, puofe, ozleutdy, maaztamle, oeieeAe, kwlrny, ayrmr*- łaźnie, Wołownie — ten cały pean
drzewny otiądztałych belek, kłód czarnych, bl^rwi/m przez wieki smolących. W Ledessynle Cza/nofckW, w
Maśwlesktem potężne /X*rry /irewnian* kolumny ganku wspięły się ponad dach dw/>chsa<J<rt>Jago domu,
fx»n domu mnie ostrzegł przed Zywuą, Wiru wydzle- łaja,

— Pitwdeż to dwieide lat teJhu sta w boy d//m I ^H żyłem, #

_____ One od dwustu lat wciąż smolą — z nie tajonym zadowoleniem mruknął zawsze milczący Stefan Czarnocki.

Z lasu darto dranice. Po wielu dworach i po dziś uświadczysz prymitywną maszynę, manęz do darcia dranicy. Kiedy oglądałem taką w Ciecierówce w powiecie wołkowyskim u Niemcewicza, zdało mi się, że jestem przeniesiony parę .wieków wstecz; wokół wszystkie dachy budynków były kryte grubą, kilkakrotnie nałożoną warstwą drewna. Nagły gwizd przeszył powietrze: — To pociąg Calais—Władywostok — objaśnił pan Niem-

O wiele większe spustoszenie niż darcie dranic ■— pisze Hedeman — czyniło puszczoł darcie łyka i łubia, to jest kory lipowej i łożowej. Do obowiązków poddaństwa często wliczało się dostawianie do dworu łubia, łyka, moczulni- ków, to jest lipowej kory, sieci łyczanych do łapania zwierza, kory do niewodów, krobia do wożenia zboża. Nierzadkie też są skargi i wizje generalskie, że poddani obdzierają z kory całe lasy — „łubia, łyka, moczulnika po kilkaset wozów na targach sprzedają”. Znajdujemy też wzmianki o obowiązku poddanych darcia łuczyna, czyli łuczyny, której wówczas używano powszechnie zamiast nafty. Z drzewa wyrabiano beczki potażowe, czółna, ule, korzenniki, żłoby, wypalano węgle kowalskie, robiono komiegi, strugi, baty, berliny, krypty, dumbasy, bitugi, uczany, szkuny, łajby. Z drzewa warzono główny, obok wosku, produkt eksportowy Wielkiego Księstwa Litewskiego — smołę, której jedna komora włońska przepuszczała rocznie do czterdziestu tysięcy pudów. Na barcie wypalano najgrubsze, atu- kilkudziesięcioletnie sosny i dęby, na szmelzugę, to znaczy na palenie popiołów, szły całe połacie klonów, wiązów, jesionów, że liściasty drzewostan zanikł albo zmalał całkiem.

Po cóż szukać dalekich czasów, kiedy za mego dzieciństwa co wiosna kilkadziesiąt drzew musiało dawać sok na tak zwany brzożownik, który potem w setkach butelek fermentował w lodowni.

Sieczono, darto, palono, rąbano las, trzebiono polany, „na których mniemałbyś — jak pisze Strykowski — że tu się urodziła Cerera... żyto wyrasta tak gęste i zbite, że koń zaledwo przedrzeć się może, a z jednego ziarna trzydzieści niekiedy kłosów wyrasta do takiej wysokości, że jeżdżąc na koniu nie zejrzysz z««iego”.

Ale i las posiadał niepożytą siłę. Po wojnach i bitwach, kiedy wyludniały się wsie, wkraczał na opuszczone pola niezwyrodniony, odradzający się wiecznie, szumiał w puszczy od nowa, rozptaszał się, rozewierzał, ponownie otulał strugi wód podeschłych.

Wszystko się w historii powtarza. Toteż kiedy objeżdżałem teraz te ziemie, raz po raz wyskakiwały przed moimi oczami w nieoczekiwanych miejscach lasonki. Zeszedłszy z wozu, tropiąc tę sprawę w oćmie brzoż, znajdowało się dołem, ziemią idący węzeł zarosłych okopów, niby bliźnię supłowatą.

...-sam ja to widziałem, Kiedy do nalibockich zaciągnęli lasów Tadeusz Rejtan poseł i książe Denassow. (Adam Mickiewicz)

W lesie, pod lasem, w środku lasu od wieków wiecznych, od królów i od wielkich książąt litewskich, od Kunigasów i od Kriwe Kriwejtów, przez tatarskie zagony do Dadźbo- gowych czasów, w oćmę lat, w niepamięć od kieda, jak bóbr, jak borsuk, jak zwierz — żył chłop.

Jest takie miasteczko na skraju Polesia, na południu nie- świeskiego powiatu. Zowie się Zaostrowiecze. W 1926 roku na wydmuchu stał rzadki lasonek. Teraz wznosi się tu ruchliwe miasteczko. Na rynku, jak znak zwycięstwa, jak szyszak pokonanego wroga, zostawiono jedną sosnę.

Do Zaostrowieoza przyjechał sąd. Do remizy strażackiej, w której urzędował, ściągnął podleśny lud. Wokanda głosiła same sprawy o łapcie. Przywykli nosić łapcie z dziada pradziada — wiadomo, skóra kosztuje, a łyko... Bóg dał.

Ale innego zdania jest książe Radziwiłł, właściciel wszystkich lasów dokoła. Zresztą w ogóle łyka lipowego nie sprzedaje. To 1 trzeba ukraść. A jak przyłapią, to i żądają po trzydzieści groszy za gałązkę. Właśnie gajowy książećy Ćwi- lewicz oskarża, że widział, jak oskarżony Zujkiewicz niósł pęk gałęzi lipowych nad rzeką Łanią, wprowadzie na swojej łące, ależ tam lipa nie rośnie, lipa bywa tylko książeća. Toteż Inni oskarżeni przyszli boso. Butów nie mają, a gdyby włożyli łapcie, to ich mogą zahaczyć, skąd pochodzi łyko.

Las jest dla chłopu tym, czym wielbłąd dla Beduina, czym renifer dla Lapończyka; żywi go na wszelkie sposoby. Toteż

chłop białoruski powtarza z całym przekonaniem: „Chto u lesie nie wor, toj nie gospodar!”

Kiedy jechałem z jednym ze starostów, począł on „żuryć” którąś ze wsi. Sprawa miała się tak, że sąsiedniej wsi dano pracę przy drodze, za którą płacono żytem. Wieś, z którą rozmawialiśmy, właśnie pozazdrościła sąsiadom i spędziła ich z robót. Teraz pokornie tłumaczyli się staroście:

—Panoczku, dyk żeż jany bahatyje. Janyż pod lesom. A u nas i ukraści niehdzie!...

Chłop interpelowany przez sędziego, czy woli zapłacić grzywnę, czy też odsiedzieć, że to sprawa ma się w gorącym czasie żniwnym, odpowiada:

— Uż dobre, panoczku. Kali ukradu u Niezabitouškaho, tady zapłaczu.

Jadę przez głębokie lasy ze Stanisławem Brochockim z Wereskowa.

Las, na który patrzymy, ma stare wspomnienia. Te, kiedy to Aleksander Jagiellończyk „kazał na pięć wiorst objazdu nad rzeką Kiersną uwiązać dworzaniina naszego, Bohdana Bienieckiego, w ten kut puszczy od nas nadany”, kiedy Waśce Doroszewiczowi, który prosił o dwie wiorsty lasu, „tego lasu naszego w górę rzeki Łososny na cztery wiorsty, a w poprzek rzeki na dwie wiorsty daliśmy”, kiedy gospodarowano lasem z pełnego.

Ileż go zostało?

Mniej niż w sąsiednim ZSRR, Łotwie, Rumunii, Czechosłowacji. Tyleż samo co we Francji, z której śmiejemy się, że poluje na skowronki. Ostatnie lata niewoli Polski rozbrzmiały dla lasu polskiego symfonią zniszczenia.

W wołżyńskim powiecie zajeżdżam do miasteczka Wiszniewa. Bogatsze miasteczko, a puste. Jakaś tu fala prosperity przeszła. Zachodzę do masarza — pochodzi z Kieleckiego, ale włóczył się po całym globie. Jest taki gatunek ludzi sępów. Nie wiadomo skąd, jakimś szóstym zmysłem czują zarobek i aż z Argentyny pojawiają się w Wiszniewie.

Tu, pod Wiszniewem, w czasie wojny, powstały dwie stolice leśne. Niemcy nazwali jedną Moskwa, a drugą Petersburg. Od świtu do nocy słychać było świst pił i sapanie motorów. Na puszcze, którą w ciągu wieków gryźli i zgryźć

S

I

nie mogli potażniki, smolarz, bartnik, brakarze kupców ryskich i gdańskich — poszła ofensywa piły parowej, torów i podjazdówek w najgłębszy miąższ wżartych.

Ale dopiero gdy „nastąpiła” Polska, popuszczono pasa bez ceremonii. Lasy wiszniewskie należały do Chreptowicza. W dzieciństwie przywykłem podziwiać sztych obrazujący wjazd Chreptowicza do Witebska. Potem gdzieś wyczytałem dokładny opis współczesny, sumiennie wyliczający, ilu to trabantów było odzianych w szkarłat, ile towarzystwa w lamparcich skórkach poprzedzało orszak, ile było guzów brylantowych, idem trzęsień, idem pasów kunsztownych.

Więc teraz pojechałem do rezydencji Chreptowiczowskiej, do Szczorsów, które ongiś gościły Stanisława Augusta, potem były miejscem pobytu Lelewela, Mickiewicza, Syrokomli, do Szczorsów, w których kanclerz wielki litewski, Joachim Chreptowicz, pan z panów, od Wyszgierda na unii horodelskiej podpisanego ród swój wywodzący, założył za króla Stasia bibliotekę, liczącą samych dzieł polskich dziesięć tysięcy.

Ale nie zastałem już w Szczorsach prawdziwych Chreptowiczów. Nazwisko ich ukazem carskim 1893 roku przeszło na zrodzonego z Chreptowiczów hrabiego Butieniewa, Rosjanina.

Ostatni z Chreptowiczów, Michał, wnuk Joachima po Ireneuszu, podniósł gospodarstwo znakomicie. Miał (na owe czasy!) krów dojnych 450, owiec rasy Rambouillet 3000, młyn parowy, mielący 3000 beczek pszenicy, różne zakłady przetwórcze i własną flotyllę na Niemnie, ładującą 12 000 pudów, którą własne przerobione wytwory spławiał.

Obecnie park jest wycięty i pokopany rowami strzeleckimi, pałac — cacko wymuskane w stylu klasycystycznym przez architekta Sacco w latach 1770—1775 — zniszczony. Nad bramą wiodącą na zarośnięty ongiś podjazd pałacowy rdzewieje Odrowąż, herb Chreptowiczów, i jak na ironię hasło: „Paci et libertati.”

Zmurszał pałac, zmurszał duch, który tę ziemię kochał. Obecny właściciel wraz z rodziną przemieszkał te wszystkie lata dzielące nas od odzyskania niepodległości we Francji. Obecnie Jednak są na wilegiaturze. Na tarasie pięknej dependencji pałacowej siedzi kosmopolit warzystwo. Hrabia Butieniew, piękny mężczyzna o tjkaukaskim, proponuje:

— Może być arbuza izwolicie?

Wszędzie na dworach przyjmowano mnie jak dobrego znajomego. Tu ten arbuz był ofiarowany na wszelki wypadek, jak jakiejś istocie, która może być groźna, zjeżdżając autem z obcej i nieznannej Polski.

Nie wiedzieli Chreptowiczowie-Butieniewowie, czy ta obca i nieznanna Polska da im obywatelstwo. A puszcza ciężkimi milionami szumiała. Znalazł się Żyd — Cyryński, onże obywatel polski, który puszcę za marki od Chreptowiczów kupił.

Pomniki nasze! ileż co rok was pożera kupiecka lub rządowa moskiewska siekiera!

(Adam Mickiewicz)

Począł się zmagać z Cyryńskim nowo upieczony rząd. Stańło, że ma prawo rąbać aż do 1942 roku, właściwie jak chce, bo wszystkie sztuki od piętnastu centymetrów „gru- bini”.

Puszcza wiszniewska, puszcza baksztańska!

Olbrzymie kompleksy, których nawet w te kilkanaście lat wyeksploatować racjonalnie było niepodobna. „Nu, to on poszedł po sam smak”, jak mi wyjaśnia miejscowy eks-bra- karz. Wycinał samą „strzałę”, pozostawiając wierzchowiny i gałęzie jako wależnik. Kilka tysięcy furmanek z kilku powiatów stale wywoziło materiał. Szyny kolei szerokotorowej przeszły przez całą puszcę. Naczelnicy stacji kolejowych w krąg otrzymywali po dwieście dolarów miesięcznie odwiecznych „pokłonów”, które w swoim czasie rysocy kupcy leśni płacili superintendentowi komory celnej w Dynabur- gu, celem „niemitrżenia” płyt. W Baksztach zniszczonych, wzdłuż uliczek, potąd stoją cementowe schrony, mozolnie mijane przez jadące fury, w Iwieńcu, żyjącym z lepienia garnków, wegetującym z prawieków ciężką dolą garncarzy, w idących wieńcem wzdłuż puszczy Rudni Igo- mowiczach, Piesiewiczach, w samej tej wreszcie stolicy leśnej — w Wiszniewie, zapanowały kalifornijskie stosunki.

Gdy wokół Kresy przeżerała niezmierzona nędza powojennego zapuszczenia, a chłop, uciekający z tułaczki rosyjskiej, stawał z ciężkim sercem nad zrytym okopami, zarosłym brzeźniakiem polem — tu, w tym puszczańskim eldorado,

brzmiały harmonie, lał się potokami sznaps i wyrastały swoiste białoruskie „saloony” jak grzyby po deszczu.

Cyryński gospodarował w tym bogactwie drzewa jak pierwotny myśliwy na szlaku bizonów: kiedy wycina się jeźor lub smakowitą część garbu, a resztę zwierzęcia zostawia się, aby zgniła.

Brodzę teraz ostępami tej ongiś puszczy, którą przejść niełatwo, grodzą ją bowiem na wszystkie strony pnie ściętych i nie wywiezionych drzew. Pnie zbutwiały zupełnie, ogromne, tak że podziw bierze, dlaczego ich nie wywieziono.

Po prostu — niewygodnie padły, miały skazę albo były krzywe. Pnie rąbane jak najwygodniej, na wysokości piersi ludzkiej, pnie-wieżyczki, wierzchowiny odrąbane od strzały, tu i tam otok odrąbanych gałęzi, z których profilu, zda się, dojdiesz jeszcze, jak leżał król puszczy.

Jakież huragan, jaka klęska żywiołowa mogła również bezlitośnie przejść przez puszcę, jak przeszła po niej dłoń nowo narodzonej Polski?

Na jednej z polan błyska świeżym drzewem bliźna ściętego pnia. Młode drzewko, dopiero ścięte, jeszcze świeżymi listkami powłóczące w próchni butwy leśnej.

— Kradzież?

Towarzyszący mi poseł tej ziemi, Dębicki, kręci głową:

— Drzewo ma więcej niż piętnaście centymetrów w nasadzie. A przecież takie drzewo ma prawo wycinać przedsiębiorca (już nie Cyryński, bo po nim był gdański senator Jewelowski, po Jewelowskim jeszcze ktoś, a teraz grabież rozbiła się na kilka drobniejszych firm).

Wyciąga ołówek, liczy słoje. Zamordowane dziecko leśne liczy dwadzieścia osiem lat; ale padają mniejsze.

Przypominam sobie dzieje małej Naści, chorej na jaglicę, zmuszonej do włóczęgi z lirą; w rodzinnych Terebejnach pod puszczą nalibocką ziemia, która by ją wyżywić mogła, jest w enklawie leśnej, we władaniu państwa, które nie daje nędzarzy leśnych ani upełnorolnic, ani skomasować. Myślę, że może tej Naści jest krzyknę za źle, a Cyryńskim i Jewelowskim, i Chreptowiczom za dobrze. Wiem, że mała Naścia ma za cichy głos.

Bo przecie puszcę nalibocką spotkał podobny los. Właściciel jej, Falcfein — rosyjski Niemiec, milioner krymski, oddał puszcę do wytrzebienia na warunkach zaakceptowanych przez rząd: dwadzieścia centymetrów w szyi korzenio

wej, to znaczy na wysokości jednego metra, pniaki nie grubsze niż obwód cukierniczki. Przedsiębiorcy mają przed sobą jeszcze piętnaście lat cięcia. Z nalibockiej puszczy, liczącej trzydzieści sześć tysięcy hektarów, jeszcze mogą wziąć dwieście tysięcy sześciennych metrów. Jedyna rzecz, która pozostawałaby jeszcze do zrobienia, to albo zamknąć cięcie za zaległe podatki i uchybienia, albo też wykupić. Tych dwieście tysięcy warte jest jeszcze ponoć ze dwa miliony złotych.

Jeśli nie zrobimy tego — Bóg raczy wiedzieć, czy kiedykolwiek jeszcze będziemy mieli las tam, gdzie ongi polował „książę Dynasów” (de Nassau). Gdybyż choć zostawiono na hektar po pięćdziesiąt, sześćdziesiąt sztuk nasienników. Ale gdzie tam... A sztuczne zalesienie kosztuje sześćdziesiąt złotych za hektar, przy czym pięćdziesiąt procent nie przyjmuje się.

Sto dwadzieścia złotych za hektar przyszłej puszczy? Bardzo by to był karkołomny eksperyment. Zwłaszcza że poręby się zapędrczyły i zalesiać nie można.

Na miejscu więc puszczy nalibockiej powstają lotne piaski. Co z nich będzie? Czy choć pod uprawę pójdą? Ja ileż wam winienem, o domowe drzewa!
(Adam Mickiewicz)

Przed paru laty spływałem z żoną kajakiem ze Słonimia do Warszawy. Z pomostu drewnianego słonimskiej przystani odbiwszy, pod którą bestia bóbr (tuż przy ludnym miasteczku, między kąpiącymi się Esterkami) przez rok przemieszkował, nim gdzie indziej budować żeremia się przeniósł — płynęliśmy piękną i dziką rzeką Szczarą. Co zakręt wylaniał polany leśne dębowe, na których niezliczone rzesze bocianie miały swoje stolice. Pewnego dnia rozbiliśmy namiot na uroczysku, gdzie na każdym dębie po kilka gniazd wisiało. Jakoś Bóg litościwy — wyszliśmy z tych niebezpieczeństw bez szwanku.

Kiedy następnego dnia płynęliśmy na szerokie rozlewisko Niemna, tam gdzie Szczara w widłach swoich puszcę niemieńską obiega, ranek był przejrzysty i perłowy nad szeroką wodną roztoczą. Nigdzie na horyzoncie dymku, nigdzie śladu osiedla ludzkiego. Pojawiły się rybitwy — zwiastuny większych wód. O twarz uderzył pełny wilgotny wiatr, idący z bezmiarów wodnych.

Zdało się, że płyniemy przedwieczną puszcą. Ale niedługo tego było. Wyłoniła się osada Mosty, tor kolejowy, z jednej strony komin fabryczne, z drugiej miścina żydowska.

Chroniąc się przed kominami, udaliśmy się do miściny. Przyjął nas tam rybka nad wszystkie spodziewania smakowitą stary Moszek, przewoźnik.

Udektowani rybka pospieszyliśmy odbić od Mostów, bo wietrzyk poszedł po Wodzie i żagiel się wydał. Wpłynawszy w bagniste rejony Niemna, w jakieś korzenie, ni to man- growce, nie mogąc przez długie kilometry znaleźć noclegu, nocując wreszcie na komarzym mokradle, rozmyślaliśmy, co też to za komin fabryczne przed nami mignęły, jakież to rozkosze doczesne spotkać by nas mogły u nieznanego, nie wiedzieć co produkującego „barona przemysłu”.

Aż zdarzyło się, że z nagła natknąłem się ponownie na zlekceważoną w swoim czasie fabrykę.

Byłem u Bispingów w Strubnicy. Do Strubnicy (ponoć zbłąkana na polowaniu Bona orszak w tym miejscu ongiś „strubiła”) wyniósł się pradziad obecnego dziedzica, Adam Bisping, fundator 21 pp. Wielkiego Księstwa Litewskiego za czasów Napoleona, przeputawszy w eks-dywizjach klucz Jeziemicę. Proihrał ty Jeziernicu, Protrubisz i Strubnicu — wróżyli dzielnemu napoleonidzie sąsiedzi.

Po prawdzie to może i nie tak wiele od tamtych czasów się zmieniło. Tak samo, kiwając głowami, sąsiad na sąsiada patrzy, kiedy już przetrąbi ojcowiznę, tylko mniej przyjemnie, bo nie na żadne sztyftowanie pułków, tylko na urzędnicze pensje i podatki. Tak samo jak i wówczas wilki podchodzą pod dom. Kilka lat temu wilk całe stado baranów wyrzwał i w kółeczko ułożył. W zeszłym roku rozpaczliwie beczącego barana wilk ciągnął w jedną stronę, a w drugą pastuch.

No i właśnie od tych wilków poszło. Zdecydowaliśmy zobaczyć, jakże to ta sprawa leśna, ukazująca się nam bokiem grzybowym, wrzosowym i poziomkowym, od tego boku dolarowego i funtoszterlingowego wygląda.

Ło drodno do Moniów NDOtykftRiy Żydów AploNNaayuli K IIIII/IIIIII ON^liMinl HU Rupudująuy MKU)UH. iluU prRoU luty.

Ale nio Juli priad lały roipooiałl fabrykacją bruuia Kono- Lttdiyy, iiny.pory.ql InaoRoJ, a w tym InauRoJ głównym uudooin JtfNt l<li dykta nu Rlmmo klejono,

I kiady w nullbockloj, kłady w buUiRtuñNUloJ, kłody |w wlnKiiIewaklaJ pugROiy Nllokloru uprawia mioldllfly loAnoJ harodowo CRURIO, a Nturo ITROWU bulwłoją IMUU»uiyAlnta tu Jinó part Konopuukl tooiy Motilo naokoło nu ilyuh* I,m l'dc piał drRowny JubllorNką robotą, Wiol Ul nófc obiorą (<ioiiliilIU| nu ułumok mlillmotru dyktą R obrucującego nią pululu. Wiolkło pluohy mul celi diROWneJ nlomi nu plnaot- liuali do NTIMRUI nl. PoUjfcuo prusy Rhljują, Nklejują (nu felmno, proNkt) puóNtwu, na Rlinno) olonkto roRwlnłato rulony drRow- no ponownie w plAIROKyiny wlyliNRo — Jodnu pluchtu Nio- Jurni pionowo, drugu poRlomo, i RIIÓW pionowo. I oto Ju>. Imamy wyNNinorglnwano, Idoulnlo równo, wiolkło po w lorach- nie dykty * uroi Jo moitolo flttbyó l urobić Noble tunlo prRoplerRonlo.

Tanie?

Ofllroino. Nio Rttfądnjcit) URUNOIU nuJlopNRoJ dykty. Do lu ule tury Juk wy po nią prRyJefcdfeuJą.

Nlorfti tu wkrueRu lltywny l wymonoklowuny Men Obrtit, który pnyjctdfil nftbywaó dyktą dlu niemieckich fubryk Nuinolotów.

Iferr Obftit JONI RupruNRuny do NpocJulnoJ kabiny, w której niMrł nią Ntól prRoAwlotluny ud dulu lumpami. Dell* kutny NIÓJ nu tym hUiNltu eloktrye/nym ró&nwl NUJ Juk ulu- blltor, Drewnu R kniei, o któro Nią RROCTUOL odyniec, rogi Noblo uolorut łoi, drewnu R knlol mruku hurbur/yfiilwu I pierwotnego pruwu roftświolU Nit} priftd uuml cudom uuJdullkuliiiIeJiKoJ, nujRwlowrtlojNRo] tkunkl, milUrtum IKA* UnitWft twórczego, gonluNRU pi Rodwleomiogn, IUNKI ntopoją loJ Botoj.

I'uliRy Nurown OIIOCNI pruli monolit nu włolką (IONIU), 11- cirą ą motr kwudrutowy eny więcej, plonl MQ piRed nim pizolkwlotlniut płytką, ONIOIU dRloNlątyeh intltiuotru Uwy, JONRCRO Joat x truah wurNtw ikljtjono.

I'umłęfuele ubru/ SltmlrflduUligo, iui którym boflttty pa IrycJuNR oglądu nągą niewolnicę?

OB

I'un OborNI JONI Rudowolony. „Nul" • niloNru\t ■/. '.,odn<.. wolontorn.

Niejedno Rdu Nią tu cudeńkiem. Jofcll nU/c/y my Nurowltut leśny, chrońmy onoolfifc drRowno prROTwnry. Tyinc-Rutam CIROutiy, HRWuJourlo, AuNtrlu, Łotwa (wa^yulUo Uru||e centnwo do powlorRehnl RUNotmlejNRe w lun nlfc Po\NIU) chronią NWÓJ diRowuNtun i pądrą fabryki dykt nu polaklm dtROWlo, NlomtooUt piRomyNI lutnlcRy opleru atą wylncRiilo nu pnlnkloJ brRORte,

.luk piRod luty wynlNRCRut IIAOIURIO dr/owu potu^nlk (ho / Ną).ulu klonu dwunuAclo niRy tyło pnUAu ntr/ywywul co / Mieniu Awlarku), tuk tera-/, oiuta rtjce WNRyNtUtch IUNów polNltlech wybłorują mutorluł UMuNty. Nu \mhybol.

„S I L A C Z K A”

„Jnusia Szostakówna miała około szesnastu lat, gdy — a był to rok rewolucji, rok 1905 — poszła na swój chleb.

Ojciec, urzędnik kolejowy, relegowany w swoim czasie z uniwersytetu ZA politykę, żonaty z córką francuskiego inżyniera Lagnac, sprowadzonego do Rosji do budowy kolei, a wnuczką emigranta 1831 roku, Żongołłowicza — kiedy mu żona zmarła — wraca do rodzinnych Swiłek w powiecie święciańskim, z nawykami do szerokiego życia, bez umiejętności rolniczych.

Dziewczyna rośnie samotna w tym zakątku między Houduczkami a Milegianami, między fumami pańskimi a nie płaconymi lokajami, między dworem a wsią, „kumietinia-mi” (czworakami) i przepastnymi zakamarkami starego sadu.

Dziwny styl ustala się we dworze w Swiłkach: „narodni-czestwa” i pańskości, na których gęstym nalotem leży cijnownicze „naplewatielstwo”.

Kiedy staje się rzecz straszna — ojciec sprzedaje jeden z folwarków Moskalowi — ucieka z domu, postanawiając okupić hańbę.

W sąsiedztwie leży Karolinów, dwór Romerów, pełen tradycji mocniejszych niż najmocniejsze wino. Mieszka w nim młoda, energiczna, ognista panna Helena, późniejsza pisarka, autorka Tutejszych, książki pełnej sentymentu, książki mającej zapach starych sztambuchów przekładanych ziołami i zeschniętymi płatkami kwiecia.

To kwiecie podówczas kwitło w niskim dworku w Karolinowie — kwiecie patriotyzmu i ukochania „tutejszości”, ukochania ludu na sposób ekspacyjno-szladnecki.

Tam, w Karolinowie, było całkiem inne ciśnienie psychiczne. Bujna natura ćwierćkrwi Francuzki, wnuczki powstańca, córki konspiratora, „bariszni” wychowanej w dostatkach i szerokości duszy rosyjskiej, kopcuszcza czerpiącego siły witalne z włóczęg po chałupach — Ignęła do tych dwóch kobiet: dziedziczki, starej pani Homerowej, i jej córki, panny Heleny, takiej śmiałej, takiej rasowej, takiej butnej, prowadzącej rozległą robotę wbrew wszystkiemu i wszystkim.

Jedzie, zgadawszy się z polskimi organizacjami, do Janowa, z pensją dwudziestu pięciu rubli, bez utrzymania.

Janów jest na piaszczystym stoku położony. Chatki tam żydowskie patrzą płomykami okienek na czarną przeprawę przez Wilię.

W izbiej w której śpi — tam i uczy. Mało wiele poczekawszy nabrało się sześćdziesiąt katolickich „dzieciuków”. Zaparta na ławie za stołem, przegrodzona murem tepetyn i siorbiących nosów, w zgrzycie rysików mozolących się po łupkowych tabliczkach, uczyła godzinami wypisywania „osa hasa na nosie Asa”. A kiedy młody obywatel nie mógł w żaden sposób podołać tej piekielnej literze, co to ma jeden brzuch w tył, a drugi w przód, i z wysilenia puszczał wielki bąbel, który mu hasał niczym owa osa na nosie Asa — trzeba było wycierać nos, wynosić go przed izbę, załatwiać funkcje przedszkolanki.

Teraz to bractwo po przedszkolach pięknie się bawi w kotka i myszkę. Ale wówczas nikomu to w głowie nie było. Toczył się kamień nauki, tolerowanej do czasu przez władze, w srogiej udreće, i brali się do niej ci młodzi obywatele z minami dorosłymi, jak kiedy dziewczuszki kilkuletnie odstawiają gar z ognia albo małe chłopaki narządzają konia.

Snadź i tak czerstwa nauka była dla wielu marzeniem, skoro, kiedy wychodziła z izby, w której „można było zawiesić siekierę”, oblegały ją żydowskie kupcowe w przekrzywionych perukach i prosiły, aby i ich bachorki raczyć światłem wiedzy.

Aż kiedy coraz tłumniej poczęli zgłaszać się i patriarchowie janowscy, postawiła cenę „wpisowego”: trzydzieści kopiejek miesięcznie.

Proszę sobie wyobrazić — sypnęło się stu pięćdziesięciu Żydzików. A gdzież tu ich uczyć — szpilki nie wetkniesz.

Pod Janowem jest Lipnik —• majątek Kossakowskich, W samo miasteczko wdany — patrzył na błoto i rojowisko ludzkie wnętrzami ogromnych chlebnych stodół, w których hasały wróble. Tam ci oto urządzić Collegium Malui, w którym by grały dwa chóry sylabizujące • - polski i żydowski — Jako w dwóch stawach żaby o odmiennej tonacji.

Wybiera się prosić samą dziedziczkę — hrabinę Kossakowską, mieszkającą w Marclnlszkach, o trzy kilometry od stacji Żejmy.

Młoda dziewczyna przyjechała do Żejm na wieczór. Trzy kilometry odbyła w wichurze, w szarzącym dniu, drogi] błotną, obskakiwana przez nacierające psy.

Jakże tu wejść przed ten fronton, na te pokoje?

—Ja... do pani hrabiny.

Pani hrabina nieufnie ogląda dziwną petentkę; przychodzi pieszo, bez listów, bez rekomendacji i namawia Ją na danie lokalu pod szkołę, która wszak nie jest legalna, choć tolerowana.

Jakaś półobietnica, że porozumie się z rządcą. Właściwie nic.

—Do widzenia.

Gdy „znów znajduje się na dworze, wichur uderza z podwójną siłą. Zrobiła się czarna noc i jesienny ziąb przojął szesnastoletnie dziecko. Gdybyż choć herbaty dała pani dziedziczka.

Poczyna kołować. Drogi numnożyły się na tę noc i rozchodzą się po skisłych ugorach jak rozgwiazdy. Po oślizgłych zboczach zjeżdżają nogi w chlupoczące wyrwy. Nlo wiadomo, w którą stronę iść.

Czernieje chatka. Przez kolisko zachłystujących się psów dobija do drzwi zawartych, odciąga skobel drewniany, wchodzi w sień czarną, i na prawo — do izby.

Nieufnym spojrzeniem obrzuca gospodyni skulone, zabłocone stworzenie. Jest czas najwyższego napięcia rewolucji. Trzaskają bomby po miastach, a drogi pełne są nieznajomych, szukających nie wiedzieć czego.

—Tak, podróżną tak by przenocowała, czemuż? Alfi waszpani musi „staczezniczka"? (strajkująca).

Znowu noc. I kołowanie. W którejś godzinie — tor kole* jowy. Chwila ciszy od wiatru pod nasypem. Kiedy wy«»" kicm mięśni wydrapuje się na tor — wichur Ją zrzuca i w tejże chwili przelatuje* lokomotywa. Bóg widać rządzi nlo tylko słońcem, ale i czarnymi wichurmi, szalejącymi nocą.

Macając skarpe, dowleka się do stacji. Naczelnik kręci głową:

- Coś nieprawdopodobnego; toż z Marclnlszek dziś rządcąjechał, toby panią podwiózł. Pociąg niedawno odszedł.

Istotnie. Coś nieprawdopodobnego.

Gorzej niż błoto, które przenika, zda się, ją całą, dławi nieufność. Dziedziczka, gospodyni, naczelnik stacji... Morze nieufności. A Jak dadzą znać żandarmom...

W którejś godzinie nadchodzi jakiś ppcią. Nud ranem jest w Janowie, Dworzec znajduje się dwa kilometry od miasteczka, ale wichur nie ustaje; jest tak silny, że nawet „baługulszczycy" nie przyjechali.

Idzie pieszo, Dwóch żołdatów podąża za nią; kiedy nie odpowiada na zaczepki, jeden z nich kopie Ją podkutym butem tak, że puda. Kiedy podnosi się i idzie dalej, rozchełstana Żydówka, widać niezupełnie jeszcze wytrzeźwiona ze snu, wylewa na nią nocnik.

Kiedy opowiada o tym teraz, w tyle lut później, wzdryga się. Ludzko najczęściej pamiętają samotność.

Myje się i rozpoczyna lekcję. W jej trakcie zjawia się delegacja, formallter wyłoniona przez ludność żydowską. Oni dowiedzieli się (a czegoż małe miasteczko natychmiast nie wie), co punienkę dziś spotkało, i oni przyszedli powiedzieć, co to sturu kobieta jest i co ona tak co rano bez złej myśli, za przeproszeniem, wylewa i nigdy i ni w kogo nie popada i ot, taka zdarzenia zrobiła się, i otżeż na panienkę!

Spojrzała na cmokające z ubolewania poselstwo kondolencyjne i poweselała. To coś znaczy...

Czyż bo wiele „błażnicy" szesnastoletniej trzeba? Podziu- ble z łaskawej ręki byle czego, złapie byle uśmiech i znowu żyje pełna otuchy.

Jak nie dziedziczka, to rzd ca. Uchyliły się przestrzenności dworskich zabudowań za cenę, że pani nuuczycielka będzie uczyła sześciu rz/jdeowych dzieci osobno i bezpłatnie.

Ma więc toruz w Jednym komplecie sześćdziesiąt dzieci polskich, które uczy bezpłatnie (na to żoż jej dwadzieścia pięć rubli płacą), stu pięćdziesięciu Żydsiuków po trxydziof

Iści kopiejk 1 sześć sowiąt osobaego kompletu — panarsąd-
cowych dzieci.

I Czasem jej co prawda trzeszczy w głowie i rozpalone nłty z wolna stygną co wieczór, kiedy, późno skończywszy uczenie, biegnie nad Willą — ależ i pieniędzy ma teraz, pieniędzy/ Do głowy jej nie przychodzi, że te pieniądze mogą być Jej zarobkiem. Obraca Je na dożywianie dzieci, na dożywianie dzieci nędzarzy, co się pogniezdził wzdłuż kolejowego toru.

A w szkole wszedłszy któregoś dnia zobaczyła, jak mały Jojne, w chałaciku skrojonym do figury, Jojne — oczko w głowie bogatszej rodziny z miasteczka, sensat 1 urodzony kandydat na rabina — wywodził kredą na tablicy;

„Książę (a jakże, już wtedy i a, i a — to potem z takich wyrastają puryści, którzy połknęli całego Lindego, i mnie, i nie przymierzając Mickiewiczowi, wytykają niechlujstwo Językowe, a cóż my winni, że nam Język rośnie jak drzewo i że na tym drzewie narasta wiele garbów, grzybów, dziupli sparciałych i sęków — to Jak w lesie...) Józef Poniatowski zwyciężył Niemców pod Wiedniem." Ot, jak pisali/...

Gdybyś ty, chmielu, na tyczki nie laźł, nie robiłbyś ty z panienek niewiast.

Gdybyś ty, Wilio, tak nie szumiła pod oknami panny Maniusł, może by mały Jojne zdążył dowiedzieć się, gdzie i kiedy walczył Józef Poniatowski.

Przez tę Wilię, przez szumiącą, miejsce spacerów, budują, most (media nota); i budową kieruje młody inżynier (punc- tum). Młody inżynier jest (duopunctum): postawny i Polak Czyż można było się nie zakochać (signum interrogatłonts)? Ale okazał się żonaty (exclamationłt nota)l

Dobrze sobie nam i samejże onej opowiadającej teraz się uśmiechać, ule siedemnaście lat bierze wszystko bardzo poważnie. Inżynier chce się rozwodzić, ale ten sztuk nie był na tamte czasy i na tamte panny, „Smarkata” profi o następczynię, zostawia jej rozbudowaną półlegalną szkołę i chroni się do Wilna,

W Wilnie jest atmosfera gorąca. Pancierz carski poczuł pękać. I podczas gdy rewolucyjna gorączka spacyfikowała się na terenie imperium — na ziemi Wielkiego Księstwa Li

ft

tcwskiego pędy, które raz wdarły się w te pęknięcia, nic dały się włączać z powrotem. Powstają liczne organizacje kursy, koła. Praca — Już zorganizowana, a nie Jak dotąd oparta na rozproszonej inicjatywie poszczególnych ludzi — wychodzi za obręb miast, idzie na wieś.

Młoda Szostakówna rok przebywa w Wilnie na doksztalczeniu; w tym też czasie pracuje w ochronie, z niewielką pensją miesięczną szesnastu rubli.

Pod koniec roku zdarza się wielki ewenement: ojciec las sprzedał i dał córce sześćset rubli.

Sześćset rubli dla osoby, która zarabia szesnaście rubli miesięcznie, to taki Gauryzankar pieniędzy, za którym właściwie i milion, i dwa, i miliard to już raczej cyfra większa w teorii, ale nie w praktyce. Bo czegoż to nie można nakupić?

Nakupuje więc książek, kajetów, latarnię „magiczną”, przezrocza i rusza do swojej kolebki Ideowej — do Karoli^ nowa. Naradzić się nad światoburczym planem: jak to ona, Maniusła Szostakówna, założy sieć szkół w wielu powiatach i będzie tajnym ministrem Oświaty Narodowej czy przynajmniej kuratorom,

Po naradzie w Karolinowie, a jest to rok 1008, sąsiad, vir perllue, pan Bukowski, radzi udać się w rejon Jaszun, dookoła których gęsto są rozsiane zaścianki szlacheckie. Mówi, że jest to las dziewiczy, w którym nie stanęła jeszcze noga oświaty.

Trzeciego września 1906 roku zjeżdża ze swoim bagażem oświatowym Kołłataj, onże Staszic w spódnicy, do Jaszun.

Zostało umówione z proboszczem, księdzem Zaniewskim, że na drugi dzień rano, bo to właśnie wypadła niedziela, poinformuje ludzi z ambony o powstającej akcji powołańLu do życia szeregu szkół i za wezwie do dania pomocy „pani delegatce”.

Ale nabożeństwo, ale kazanie upłynęły zwyczajnie. Kuszy! tłum do wyjścia; jakże samotna musiała się czuć drobna postać dziewczęca, sparta między barami gospodarzy, pchano potokiem ludzkim do wyjścia l

Na cmentarzu leżało kupa kamieni przygotowanych na jakąś robotę. Nagle na tej przymie pojawia się postać dziewczęca i piskliwym głosem poczyna nawoływać.

Zatrzymali się gospodarze, którzy poczynali kapiuchy wyjmować; zwarł się mur świtek samodziiałowych: ta pa

nienka coś tam siuli, że będzie im po polsku dzieci uczyła i że wstyd dać zblaknąć starożytnym klejnotom szlacheckim przez ciemnotę i brak edukacji.

- A ci panna sama szlachcianka?
- A co to za taka łaska na nasze dzieci?
- Ci po rusku, ci po polsku — wszystko zarówno...
- Ati..

To słówko „at!” to tak w rozmowie, jak „amen!” w modlitwie. Po tym „at!” — choćbyś ze skóry lał, już rozmowa skończona.

Sytuację ratuje chłop z Podwarańców:

— Nu tak siadaj, paniczka, u nas we wiosce strąć ile dzieciuków badzia sie i żeb tylko szelmostwa jaka zrobić patrzajo; ot, same te korabiejniku jajki wynosić.

„Korabiejnik”, inaczej „riznik” albo „onuczkieg”, to do niedawna jedyny omal czynnik wymiany ze światem. Oficjalnie nazywa się, że skupuje gałgany (rizy, onucze). W istocie bierze wszystko, płacąc przeważnie towarem; dzieci chłopskie, wabione błyskotkami, wynoszą po kryjomu zboże ze świrna, lemiesz od pługa, kawał żelaza itd. W najbliższym miasteczku sortuje się cały ten towar, ściągnięty metodą kolonialną niby z jakiegoś czarnego ładu. Stąd wielka nienawiść chłopów do „korabiejników” (od „ko- robka” — skrzynka, przyrządzona z boku wozu, na kury albo na jaja).

Ruszył w przód szlachcic w burce, z batem w rękę; widać już na wozie siedział i zlął popatrzeć, „co za kumedia odprawui sie”.

— Kiedy panna szlachetna (szlachcianka) jestasz, tak i nie zadawaj sia z chamami! sześci dzieciuków u mnie, tak i chleba nie pożałuje.

W drodze okazało się, że się nazywa Ejsmont, ma cztery włóki (więcej niż osiemdziesiąt hektarów) piasków w zaścianku Montwiłłowszczyzna.

Chałupa tego czterowłókowego gospodarza urągała najprymitywniejszym pojęciom o kulturze. Nauczycielce posłano spać, nie dawszy jej jeść, na wyrku w komórce z kartoflami.

Skoro świt przyszły Kołłątaj w spódnicy i in spe dyrektorka „sieci szkół” wychodzi poznać teren. Gospodyni na podwórzu zadaje świniom. Jak spała? — Dobrze, tylko robactwo przeszkadza; trzeba by wrzątkiem wyparzyć.

Oczy kobieciny wyrażają zdumienie:

— Paniczka, daj spokój, a ktoż żywiołka bendzi tępił... toż i weselej z jo...

Za „okolicą” (zaściankiem) pastuszka gęsi pasie.

- Kto ty?
- Szlachcianka.
- Ale jak masz na imię?
- Hanna.
- A czy pacierz umiesz?
- Umiem.
- To powiedz.
- Ot, przy gęsiach pacierz benda mówić!
- A ilu jest Bogów?

— W Turgielach dwa, w Solecznikach jeden (najwidoczniej myśli o proboszczach).

Z tymi Bogami to i w Polsce niepodległej nie zawsze się wiedzie. Na wizytacji arcybiskupa Jałbrzykowskiego w Zabrzeżu sam na własne uszy słyszałem, jak mały Janek Basta, synek policjanta, wypalił, że Bogów jest siedmiu.

— Pijany ci co?! — wykrzyknął z przerażeniem asystujący arcypasterzowi miejscowy proboszcz; a to po prostu Janek pomieszał ilość Bogów z ilością sakramentów.

Biskup Bukraba opowiadał mi, że chłopak, zapytany, ile jest Osób Boskich, odparł bez zająknięcia:

—■ Cztery: Bóg Ojciec, Bóg Syn, Bóg Duch Święty i Bóg Raba (Bukraba).

Ale to, na co pobłażliwie mogą patrzeć dostojnicy kościelni, a co już denerwuje wiejskiego proboszcza, do rozpacy mogło doprowadzić osiemnastoletnią zapaloną dziewczynę, głodną, pokąsaną przez robactwo i pełną bardzo gó- nych zamiarów.

Wraca do chałupy z ciężkim sercem. Jakoś jej nie dają śniadania. Na czczo zabiera się do pierwszej lekcji. A kiedy nadchodzi obiad, nie proszą jej do miski; okazuje się, że imci Ejsmont uważa, że skoro ma uczyć nie tylko jego dzieci, to on i tak „na swoja doła za bardzo dużo wziąć przychodzi sia, kiedy kwatera dla panny dają i stancja na nauka”. Ale w tym sęk, że i inni „na swoja doła” wyżywienia nauczycielki nie biorą, choć dzieci posyłają do szkoły. A sprzedać jej nikt nie chce, bo „nie honor”. Więc wymawiają się, że nie ma ani mleka, ani jaj.

Tak minął tydzień, a ty o niehrzydkiej nauczycielce słuchy doszły do panicza z sąsiedniego dworu; przyjechał próbować szczęścia.

Rozmowa była krótka; wyczerpana niesłychanymi warunkami, wygłodzona, przedenerwowana dziewczyna wypaliła:

--- Pan przyjechał poinformować się o potrzebach szkoły? Są ogromno. Ławok trzeba, książek trzeba...

Młodzian, jak zmyty, pierchnął przed tą litanią. Ale szlachto, zaniepokojona, że ktoś chce skaptować nauczycielkę na inne młodsze, zbiegła się przed chałupą:

— Panna nie pojedziesz!

— Chlebem i Jabłkami, które znoszą dzieci, nie wyżyją...

Ejsmont zwrócił się do żony:

— Daj pannie Jeść.

Buchnął kapuśniaki

Zjadła. Zasnęła. Przez sen czuła, jak gromadzą się koło jej łóżka:

— Uelikatnieka!

W pierwszych dniach października przyjechał sąsiad Ku-rolinown, Bukowski, który, mówiąc stylem świata przestępczego, „nadał” tę robotę oświatową w Juszunuch.

Przyjechał i nos w nos zetknął się z „uradnikiem” (odpowiadający komendantowi posterunku), który już się dowiedział o nielegalnym nauczaniu w Montwiłłowszczyźnie.

Szczęście to, że to pierwsze spotkanie z policją odbyło się wobec doświadczonego człowieka, który uradnika wyprowadził za chałupę i dał mu „złoty” (trzy ruble); Ejsmont ze swej strony do wozu trzy pudy owsa włożył.

Spokój okupiony, a na przyszłość od uradnika bronić się będą „zielonienkami” i bronią niewolników ~ szantażem. Sam ksiądz Kretowicz w Wilnie tak doradził, że skoro w ciągu tygodnia, jak mu obowiązek, uradnik nie złożył raportu, to już przez to samo stał się współuczestnikiem przestępstwa; cało wieś w razie potrzeby zuśwładczy, że wiedział o tajnym nauczaniu.

Upewniona młoda nauczycielka sięga po nowe podboje. Mu teraz nie tylko komplet osiemnastu dzieci z Montwiłłowszczyzny, Dawłdowszczyzny i Sągajłowszczyzny — okolic szlacheckich, ale zapuszcza zagony do sąsiedniej wielkiej wsi chłopskiej, Podwarańców,

Są z tym trudności, bo szlachta postawiła voto bezwzględno*

— Patrzaj panna, tylko naszych nie ucz z chamskimi!

Biegnie więc co dzień do Podwarańców, odległych o kilka kilometrów. Niebawem ma tam sześćdziesięciu dzieci. Są o wiele zdolniejsze od szlacheckich, więc zasiadają do późna.

Pewnego zimowego wieczoru nutyknął się na wilka, który nie pomyślał się o Jój, a oblega, jakby się przymierzając; półżywa dobiega w kręgu tych wilczych okrażeń do Montwiłłowszczyzny i zupudu nerwowo; jakaś wysypka występuje jej na całym ciele.

Wtedy zabrano ją z jej komórki do izby. Leży na łóżku wysoko spiętrzonej; rudą naokoło litoslerne kumy.*

Cóż — życie kobiety wiejskiej nie jest lekkie. Od zapalenia ognia z patyków, które nazbierała z wieczora, od naciągania wody ze studni, nieraz z dalekiej „krynicy” przez żywienno inwentarza, gotowanie strawy, pracę w polu, wyszurpywanie się na targ po parę groszy, po to, by nieraz wrócić opętano kilometry z tym, z czym wyszło — wszystko to przedzielone okresami wiecznej ciężkiej, karciudnia, później — poronień i chorób kobiecych, wszystko rwane, by zdążyć do roboty nie tylko w ogrodzie, ale i w polu, gdzie niektórych najcięższych robót, jak żęcie sierpem, nie tknie mężczyzna w całym Wielkim Księstwie.

To i skąd miały się litować tej pannie, co w cieple siedzi przy czystej robocie i dziołakom coś tam roz tłumacza.

Dopiero kiedy przychodzi choroba, w wsi rozprostowują się, aby w ten moment, karki, podnosi się głowa, kobieta zwierzę pociągowe, wiecznie w pół zgięta — przy zadawaniu świom, macaniu kur, żęciu, wiązaniu snopów w stodole, że już, zda się, wróci do przedhistorycznego chodzenia na czworokuch • siada sobie na zydlu, ręce spracowane i pod fartuch podkłodu, ug wargę, spostrzega.

Ot i teraz patrzyły na siebie zdumione; przecież żyły pospołu — te kobiety i ta nauczycielka, w jednej wsi przez tyłu miesięcy, Trzeba było, by przyjechał panicz, aby upomniała się, żeby ją nakarmić; trzeba było, by wilk jej za groził, by zachorowało, że by zobaczyły jej nędzne wyrko

M

w nie opalanej klitce, jej codzienne samotne brnięcia przez zasy pyłowe drożyną do Podwarańców.

A ona — zobaczyła, że od tego mówienia o Polsce, które jej się marzyło, do tych istot spędzających dzień na czworakach jest nieskończenie dalej, niż się zdawało panience w Wilnie, budującej na swoich siłach, na swoich sześciuset rublach nieskończone miraży. ' / ':

Ale choroba — odwieczny interwał, wstrząsający bytowaniem ludzkim, wydech codziennego dnia, jak kościół, jak targ — choroba — rytm z prawieków przeznaczony całym ceremoniałem obyczaju ku zbliżeniu i wydobyciu dusz ludzkich — zrobiła swoje.

Z pogaduszek o obyczaju (że to wśród szlachty panny wierność chowają, a u mężatek często gęsto jej nie uświadczysz, u chamów zaś odwrotnie) kobiety, co są sobie jako cienie mijające się w dniu codziennym, nabrały krwi istot żywych i krwi nabrała ta tu blada dziewczyna, uhonorowana łóżem w świetlicy panaeismontowej.

A do tego zapadł werdykt babski:

— Cob szlachetna panna nocami nie chodziła.

Wyższa izba, senat rządzący męski, sparty tchłymi kozuchami w drugiej izbie, uchwałę zatwierdził pod warunkiem;

— Tak już ucz panna chamuków — niech oni skisno — w Montwiłłowszczyźnie, tylko patrzaj, cob ze szlachetnymi dziećmi za jeden stoł nie siadali.

A więc po uzyskaniu wikcie znowu nowy sukces. Coś jak w tej bajeczce Porazińskiej: „Wlaził na nową poduszyn-kę — i odpoczął odrobinę.”

To samo uczucie, które pchało Robinsona Cruzoe do coraz dalszych wypraw odkrywczych, rządzi i panną Maniusią. Skoro tu jakąś włożyła pracę, pcha ją dalej; wszak miała założyć sieć szkół. A tu „badzia sie” ot już ile miesięcy z tą nieszczęsną Sagajłowszczyzną. Wieczorami wychodzi za opłotki, kiedy „okolica” śpi, przycupnięta w błocie drogi wsiowej. W ciemności zbiegają się ku wsi obkiste pola, śpi Sagajłowszczyzna niby na dnie wielkiej michy, po której brzegach stoją lasy; tam w nich nastraszył ją kiedyś wilk. Za tymi lasami są Podwarańce i już dalej nie wiadomo nic; pewno takie same wsie cuchnące, w brudzie, w barbarii i w niewiedzy. Ogromne niebo jarzy się nad tym wszystkim gwiazdami, wspaniała droga mleczna idzie z krańca w krańce. I dziewiętnastoletnia Manusia, wyjeżdżająca przed rokiem jak bohater z Wilna z sześciuset rublami za pazuchy, czuje się strasznie nędzna i bezsilna.

Rusza na podboje parafii turglelskiej. Na razie z szopką. Szopka to nie zwyczajna — „betlejka” Heleny Romer, w której występują „tutejsi”. Któż bo może przeczyć, że dzieciątko w żłobie nie zaciągało „z wileńska”? Baby raczej mają inno wątpliwości.

— Jak oni ta dziecka położyli, że nia krzyczy?

Najświętsza Panienska siedzi poważnie, spocona; najgrzeczniejsza dziewczynka ze szkoły ma tę nagrody. Anioły z białymi skrzydłami stoją wśród zielonych roślin jak w powietrzu.

Pastuszek Bałtruk, widząc zbliżający się orszak Trzech Królów, recytuje:

Patrzaj, jaka ważna państwa, Ci nie zechco brać w poddaństwa, Sto jo jakieś nadente, Ci cywilne to, ci śwente? A złotne na nich odzienie, Aż w oczach robło zaćmienie.

Przybył osobiście na szopkę ksiądz proboszcz z parafii turglelskiej, łupnął verba veritat\o obojętnym i zgnuśnia-łym, sam pierwszy do nastawionego kapelusza rzucił pięć rubli, rzucali groszaki inni, zebrało się dwanaście rubli.

Ksiądz w tym swoim Turgielandzie ma kąty, z których parafian nie widzi, od początku jak siedzi na probostwie. Na przykład taka wieś Kowale: młodzież tam dochodzi do pełnoletności, nie będąc ani razu u spowiedzi. Proponuje nauczycielce zrobić wspólnie wyprawę misyjną — raźniej będzie we dwójkę,

Ale kiedy Manusia przybywa na plebanię w umówionym czasie, okazuje się, że ksiądz proboszcz pojechał do jakichś Rosjan na preferans. Co gorsza, że jak nie ma księdza, to nie ma i furmanki.

Idzie dziesięć kilometrów pieszo. Po drodze przysiadła się na furkę gospodarza z Kowal. Chłopina Jest życzliwy, dziewczyninie przybywa otuchy.

W jakiejś chałupie ma pierwsze zebranie. Złazą I ludzie z ciekawości, z większą przedrwiną H co też chce ta

jakaś komediantka? Najgorsze to te wyrostki. Urlopowany żołnierz, zadając szyku rosyjskim językiem, obejmuje ją i chce pocałować. Co robić, aby się nie ośmieszyć?

— Ot, patrzcie, co robi się przez te ruskie prawosławne wojsko z naszymi chłopcami? Nu, jak tobie nie wstyd, rozpustnik ty?

Wydobywa obrazki święte (coś jak paciorki w Somalilan- dzie) i katechizmy:

— Matki, czy chcecie, aby dzieci wasze na żulików wyrosły?

Poczyna mówić poprawną polszczyzną — to język liturgiczny. Baby, niewiele co rozumiejąc, poczynają wzdychać, siorbać nosami, płakać.

Jeśli rzecz można, że kolumny duchów stoją nam na ramionach i przeszłość nas przygniata lub uskrzydla, to w ten wieczór w dzikich Kowalach kolumna duchów, które gruntowały tu polskość, zdecydowanie pomogła nie mogącej poradzić sobie dziewczynie.

Aie kiedy zdawało się, że nastrój się przełamał, wpadł przez otwarte drzwi starzec ogromnej postury, z psem dzikim, rwącym się na łańcuchu i z kijem sękatym: '

— Paszła won, padła!...

Nikt z obecnych nie ujął się za przybyłą; patrzyli biernie, jak ucieka z chaty, a za nią gonią straszliwe sołdackie przekleństwa.

Dobiegła do końca wsi, oparła się, dysząc ciężko, o opłotki i w tłum, buzujący się daleko i szydliwy, rozgrzana, podniecona, rzuciła:

— Za tydzień tu przyjdę!

Niedaleko Kowal ksiądz ma folwarczynę Dewale. Tam prosi o nocleg. Gospodyni skądś wie o jej perypetiach w Kowalach. Karmi i usilnie proponuje kąpiel.

Zdziwiona nieco tym zbytkiem gościnności kąpie się w postawionej kadzi.

Po kąpeli gospodyni zmienia swój szorstko rozkazujący ton. Nauczycielka niewiele rozumie, idzie spać.

Kiedy następnego dnia, wracając do Turgiel, przemyka się przez Kowale, żołnierz, który ją wczoraj napastował, całuje ją w rękę i kobiety witają życzliwie. Okazuje się, podejrzewali, że jest przebranym chłopcem, przestępcą, i dlatego zainscenizowano kąpiel. Co też nie roi się w tych głowach! ■.●■" :!";; Ale z końca wsi ukazuje się wściekły starzec. Trzeba zmykać. „Za tydzień — będę!...”

A kiedy po tygodniu powraca, już zasiane ziarna zdążyły puścić pędy. Wściekły starzec zjawia się... z koszem jaj. Klęka na środku ulicy, całuje po rękach i tłumaczy się:

— Panienoczka! Jaż bał się. To nic, że zęby białe, ale co za nimi.

Klęcząc tak, puścił białą brodę na wiatr i wygląda jak dobrotliwy zbój Madej przy rozkwitniętej jabłonce.

Po lecie 1909 roku Manusia istotnie robi się kuratorem w spódnicy. Ma już dziewięć szkół: Czaucele, Nowosiady, Łukszany (to już w oszmiańskim powiecie), Małe Soleczniki, Montwiłłowszczyzna, dwie wsie w niemczenińskiej parafii, których nazw już nie pamięta. Kieruje pracą dziewięciu nauczycielek.

Sześćset rubli dawno już pękło. Trzeba pieniędzy. Postanawia urządzić na ten cel bal w Nowoświęcianach. Miejscowy „isprawnik” otrzymuje dwadzieścia pięć rubli za pozwolenie na bal pod firmą straży ogniowej.

— A na jakież to dochód naprawdę? — pyta.

— To na moje kształcenie się — spuszcza oczy Manusia, płonąć rumieńcem.

Bóg dał, że w Nowoświęcianach mieszkają zruszczeni Szwedzi, którzy chcą za wszelką cenę dostać się do towarzystwa polskiego. Pani inżynierowa Hansen deklaruje bezpłatnie cały szampan do bufetu.

Bal daje czterysta rubli czystego dochodu. Znowu rok pracy zapewniony.

Obecny na balu asesor coś węszy. Pyta ojca Maniasi:

— Nu ot, znaczy i powiozło panience; a pozwólcie spytać — jakie to studia będzie odbywać?

Stary pan Szostak ma już w czubie. Sam nie wie, czy ma się cieszyć, czy złościć na to krnąbrne kaczę, co popłynęło na wodę dziwacznym przygód.

r— Córka jedzie na wyższą teologię.

— ?

— Na wyższą teologię — mówi z naciskiem stary pan. — Cóż to, nie wie pan asesor, co to takiego?

— Nu, koniecznie, koniecznie — wycofuje się zdumiały asesor — wieśma pochwalno, wieśma... — bardzo się chwali.

Ale podejrzenia, raz zbudzone, wzmagają się. Pewnego dnia do Montwiłłowszczyzny przybywa strażnik z wezwaniem, aby udała się do „pristawa”.

Pristaw.— to to, co obecnie przodownik policji, nie ubliżając naszym przodownikom. U ojca czekał zwykle w przedpokoj, a tu ją wzywa przez strażnika.

— A czy pristaw wie, że ja „pomieszczica” — obywatelka ziemska?

Strażnik wycofuje się z ukłonami.

Ale represje narastają i wiecznie sztuczkami bronić się nie można. „Bystreńka” figurka Maniusi jest już dostatecznie znana we wszystkich „uczastkach” policyjnych okolicy. Nie może już więc sama nauczać i tylko potajemnie inspekcjonuje. Wreszcie, nie chcąc swoją osobą narażać nauczycielek, osiada w Wilnie. Prowadzi tam założoną przez księdza Kretowicza ochronę na Popławach. Pieniądzy nie ma; co przez tydzień nakwestuje, za to i karmi dzieci.

Kiedy pewnego razu nocą wraca z Popław do Wilna, zastępuje jej drogę dwóch opryszków.

— Trzy ruble mam za stanikiem, ale nie weźmiecie.

Starszy śmieje się ochryple:

— Jeszcze i jak... Czemu nie — z takiego miejsca grzech nie wziąć.

— Nie weźmiecie, bo to pieniądze ochronki na Popławach.

— To panna z popławskiej ochronki?

Konsternacja. Wreszcie starszy orzeka:

— Tak i być — puścim, panusia, ale te z Kominów to nie uszanuj, bo to nie ichnia ochrona, to my odprowadzimy.

Kiedy zbliżali się do miasta, poczęli zdradzać niepokój.

— A nie powiesz, panienska, policji?

Nie powiedziała i młodszy oprych zachodził potem do niej pożyczać książki.

Pewnego razu, było to w styczniu 1940 roku, przyjechał do ochrony Montwiłł — wybitny działacz

Wileńszczyzny, finansista, społecznik z krwi i kości, ugodowiec, realista i organicznik, przeciwnik wszelkiego tajnego nauczania; po 1905 roku znajdował legalne możliwości subsydiowania dążeń oświatowych.

Pan prezes Banku, członek Dumy i prezes Koła Poselskiego Litwy i Białej Rusi, finansista, zobaczył, jak właśnie rozdawano dzieciom dymiące miseczki. Odstawił parasol,

sapnął (nosił bokobrody, w jakich zwykliśmy widywać bankierów w cylindrach z epoki wiktoriańskiej) i pyta:

— A któż to gotuje na kuchni?

— Ja — odpowiada rezolutna Manusia.

lp A jakież budżet miesięczny ma pani ochrona?

— Sześćdziesiąt rubli.

— Więcej pani otrzyma co miesiąc w banku.

Kiedy poszła, wypłacono jej sto sześćdziesiąt rubli. Potem i po dwieście otrzymywała. Siedemdziesięcioro dzieci utrzymywała w ochronie bez troski o to, czym jutro za żywność zapłaci. Przemozna opieka Montwiłła usuwała wszelkie przeszkody. Kiedy pewnego razu zobaczył, że płacze rozdrażniona trudnościami, które robiły paniusie komitetowe w związku z posyłaniem dzieci do łaźni (jako że niemoralnie), powiedział po ojcowsku:

— Zachowaj pani te lzy... Będziesz miała ochronę, jakiej nie było, i łaźnię własną przy niej.

Umarł w 1911 roku, ale rodzina, szanując jego wolę, wystawiła ochronę dla dwustu dzieci.

Na uroczystości poświęcenia kamienia węgielnego, kiedy w krąg stanęły fiolety duchowieństwa, robrony, sobole, brylanty dam patronackich, stanęła też skromnie z boku Maniusia nauczycielka.

Kiedy ochrona zabezpieczona została finansowo, zalegalizowana — znów ją pociągnęło w dzikie pola nielegalnego nauczania. Jeździ po terenie, robiąc inspekcje szkół.

W Nowosadach właśnie wkrótce miał się rozpocząć egzamin kontrolny dzieci. Gościnnie gospodarz narządził jajecnicę. Wtem nastawił ucha:

— Ci tylko nie pristaw tu jeździ?

Wyjrzał z chałupy. A już i dzwonek słychać; tylko tu pristaw jeździ z wielkim wielkoruskim dzwonem pod „du-
hą%

— W sam akurat on!

— Panno Julio, gdzie sterta? — pyta miejscową nauczycielkę.

Wszyły się w siano w sam czas.

Pristaw coś zwęszył, bo zostawił strażników we wsi na trzy dni. Pilnowali dzień i noc. I nie wszyscy ludzie we wsi byli pewni.

Gospodarz od czasu do czasu przemykał się z jedzeniem.

— Panienska, czujesz?

— A co? Czy poszli? — szedł ze sterty zgrabiwały szept.

Technika się naładzała, ale pracować nie było lżej, represje władz zaostrzały się coraz bardziej i zwykłe „zie- loiiiienkie” nic już nie mogły pomóc. Przy tym leżały niezmierzone odłogi, przychodziło się do coraz nowych wsi i od początku należało łamać lody nieufności. A tam gdzie zostały przełamane, kobiety wprawdzie cieszyły się, że zbywają dzieciaków z głowy na parę godzin, że te uczą się pańskiej mowy, że nabierają „adukacji”, ale jeszcze do jakichś ogólniejszych zagadnień, do rozżarzenia jakiegoś poczucia buntu było sto mil.

W pewnej wsi, było to w 1.912 roku, kiedy organizacja szkoły szła jak po grudzie (zadeklarowano troje dzieci z opłatą miesięczną trzydziestu groszy, troje po piętnaście groszy i dwoje po dwadzieścia groszy — otóż i wszystko...), do chałupy wszedł może trzydziestokilkuletni chłop o otwartym i śmiałym spojrzeniu:

— Panienska, myż wiemy, że panienska od kogoś przyszedłszy — szepnął. — Tak powiadz, panienska, jakiego znaku czekać? I kiedy bendzi dadziony?

Maniusia rozplakała się. Gdybyż sama wiedziała, kiedy będzie „dadziony” ów znak, którego wyglądały pokolenia.

Znak tam znakiem (co by powiedział od roku leżący w grobie Montwiłł, słysząc takie gadania?), ale opor rósł, pędy, które strzeliły przez pokrywę popękaną w 1905 roku, nie dały się stłumić.

Jest taka miejscowość, Miedniki Królewskie nazywa się. Tu w 1320 roku Litwa walne odniosła zwycięstwo — zginął Marszałek Inflanckiego Zakonu, Henryk von Plotzke, z dwudziestoma dziewięcioma rycerzami, a Gerard Rode, wójt sambijski, dostawszy się do niewoli, w całym wojennym rynsztunku na ofiarę bogom spalony został. Tu w 1389 roku komtura Marquarda wciągniętego w zasadzkę, na wzgórzu, kędy potem stanęła katedra, żywcem spalono. W 1413 roku przybył Jagiełło, zabito święte węże. zburzono ołtarze, rozpoczęto budowę świątyni. Potem i te budowle

w gruzy poszły i kiedy o zachodzie słońca stałem u podnóża ruin i patrzyłem na skrety korzeni drapieżne jak wąz Laokoono, które odsłoniło usypisko, myślałem o ziemi okrutnej, o miejscach stygmatem znaczonych, nigdy ofiar nie sytych.

Wówczas nie znałem małej Maniusi — termita ryjącego ziemię, na której ongiś rozlegały się zbrojne tętenty.

A przecież to i ona tu omal nie poległa, nie została spalona na ofiarę w całym rynsztunku bojowym —■ z tymi tam piórnkami, książkami i latarnią magiczną.

Przybyła zimą 1910—11 do Miednik z odczytem. Zanim się zbiorą parobcy, ekonom częstuje podwieczorkiem.

Sanki zajeżdżają. „Hospes venit, Chństus venit!”

Ale nie zawsze. Jako to się mówi: „Hospes non intritativ, recedit saepe ingratus.”

No bo proszę... zjeżdża w goście sam uriadnik, i to nie bylfe jaki, zwierz, który w 1905 roku pielgrzymce zdążającej do Wilna własnoręcznie wyrwał i połamał krzyż.

Pan uriadnik zdumiał się mocno, natknąwszy się na ganku na wychodzącą Maniusię. W jego rewirze!...

Ale uriadnik bryczką po rowach nie może gonić; krzyczy „stój!”; strzela dwa razy, wrzeszczy o konia...

Wpadła przed dom całkiem sobie nie znanej Rosjanki, Porozowej; obowiązują prawa ziemi, na której się mieszka; Porozowa przenocowała i nakarmiła.

...a na drugi dzień ot tak i wygłosiła ten odczyt w Miednikach Królewskich, kędy komturów palono na stosach, a jej, małej musze oświatowej — nie dano rady...

W mołodeczkańskim powiecie, w Wielkim Siole, zachorowała nauczycielka i „pani inspektorka” podjęła osobiście zastępstwo. Były to już ciężkie czasy i Maniusia chodziła po chłopsku.

W czasie lekcji nagle wszedł miejscowy uriadnik, pies, specjalnie zawzięty na tajne szkolnictwo. Nauczycielka zdążyła porwać za kądziel.

Gospodyni mieszkania, nie tracąc zimnej krwi, zwróciła się do niej swarliwie:

— Ot, siela i prądzie... A cielonka ci napoiła?

— Dobrze, ciotka — pokornie odpowiedziała panna Ma«- niusia. I tyle ją widzieli. W Chorzowie Chelchowskich przebrała się w miejskie szaty i machnęła dworskimi końmi na dworzec.

Na dworcu — „tableau”! —■ tenże uriadnik:

— Kto pani jest?

— Pokażę dokumenty.

_____— Nie trzeba mi pani dokumentów; znamy my wasze do-
cumenty.’

I poszedł po żandarma, aby ją aresztować. Hyc!... przez tor, do lokomotywy towarowej: — Panie maszynisto, ratuj, uciekam od męża rozbójnika!’... Gwizdnęli i pojechali.

Przenocowawszy w Smorgoniach, u księdza Sarosieka, posłała na swoje miejsce i na zastępstwo chorej nauczy-
cielki do Wielkiego Siola pannę Gutowską.

Okazało się, że uriadnik dowiedział się pocztą pantoflową, jak został wystrychnięty na dudka, i zawział się:
każe dziewczętom buty zdejmować i zdekonspiruje inteligentkę.

_| Uprzedzona panna Gutowska przed lekcją chodziła bosymi
nogami po gnoju i nie myjąc ich wciągała buty.

Uriadnik znowu wpadł; rozzuwszy zastane w izbie dziewczęta — zaaresztował przypadkowo obecną siostrę
diaka, z czystymi nogami, która przyjechała z Rygi.

Takie kpinki z władz nie uszły jednak na sucho. Rozpoczął się szereg brutalnych represji. Rozwścieczony
uriadnik wyciągnął położnicę z łóżka w dwie godziny po porodzie, szukając w łóżku książek. Czternastu
gospodarzy osadzono w więzieniu. Puszczono ich dopiero na mobilizację. Bo już szła wielka wojna.

Gdyby nie wojna— i tak by już na pewno nie mogła pracować.

Po zajęciach w Wielkim Siole położenie staje się napięte do niemożliwości.

Staruszek Stanisław Montwiłł, brat zmarłego, oświad- I czyi:

— Dałem słowo Wieriowkinowi, że pani zaprzestanie swej działalności po powiatach.

Wieriowkin, gubernator wileński, przeznaczył tysiąc rubli nagrody za złapanie „latającego Holendra”.

— Pani, jaż powstaniec z przestrelonym obojczykiem — prosił staruszek Montwiłł — niechże mi pani
wierzy, że chcę tego samego co i pani. Ja panią bardzo proszę...

Dała żądane słowo i zbilansowała rezultaty swej pracy:

1909 — 1 szkoła

1910 — 9 szkół

1911 — 12 „

1914 — 15 „

1915 — 22 szkoły

Wybuchła wojna. „Słowo” już nie wiąże. Odezwa Wielkiego Księcia. Złote czasy! — nikt nie broni.

Niemcy przyszli — robiła szkoły. Niemcy wyszli — robiła szkoły dalej. Ale już to, ta robota i za Ober Ostu¹, i
za polskich czasów — nieważne dla tego tu tematu, bo legalne.

POD WIEŻĄ BABEL

J uż się zasnuwał zmierzch, kiedy znaleźliśmy się na szerokich ulicach Widz. Należało je przejechać pędząc na Bra- sław. Żadnych tu adresów nie miałem, żadnego interesu.

Zwalniałem coraz bardziej bieg motoru, aż Piętaszek — tak nazywałem mojego kierowcę — upomniał, żeby przejść na drugi bieg. Patrzyłem załośnie po parterowych domkach, krzywych sklepikach... Zaświeciło pierwsze okno. Czy znacie niebezpieczną siłę światła w ciemności? Kiedyś, jako kilkunastoletni chłopak, wyskoczyłem na mdłym przystanku z wagonu i poszedłem do bardzo daleko pęlgającego na jakichś krańcach zwilgłych pól światelka; pociąg poszedł, a ja ze dwie godziny taplałem się w błocie, nim dotarłem do nieciekawej chałupy z nieciekawymi ludźmi, u których spędziłem noc.

Tu okno świeciło tuż. Dom był okazały, wielki, drewniany, cofnięty w sad. Szarpnąłem dzwonek przy furcie.

— Czy pan jest w domu?

Owszem, pan doktor jest.

Gospodarz z bródką w szpic poprowadził mnie do gabinetu. Mówię, że nie jestem chory, że piszę książkę o tej ziemi.

I kiedy zakrzętał się, aby mi przynieść jakieś materiały (a nie wiedziałem, kto zacz ani jakiej narodowości), sięgnąłem ręką po miniaturę stojącą na stoliku. Miniatura zdała mi się bardzo piękna. Wyobrażała pana w wysokim kołnierzu jakiegoś galowego munduru.

A kiedy odwróciłem miniaturę, zobaczyłem napis rosyjski: „Wiencesaław Wiencesaławowicz Pielikan, rektor Wileń- skiego Uniwersytetu”.

Dziady były żagwią, która w duszach naszego pokolenia na Litwie wypaliła znaki na całe życie. Kiedy Nuna Mło- dziejowska-Szczurkiewiczowa przyjechała do Kowna ze swoją trupą, z teatrem polskim — pierwszym po latach czterdziestu — kiedy Konrad wygłaszał swoją Improwizację, sądziłbyś, że cała krew z widowni wycieka w tej śmiertelnej ciszy.

Potem, w domu, rzucaliśmy się na nielegalne wydanie Dziadów, by dopełnić, wchłonąć wszystkie zabronione ustępy. Widzieliśmy, tak jakby się przed nami to działo, jak gruby Nowosilcow miota się w jakimś obłądnym menuecie, jak tłoczą się do niego Pelikan i Doktor, prześcigając się w pochlebstwie, prześcigając się w podłości. Jak Pelikan podsuwa plan morderstwa Rollisona...

Do pokoju wszedł gospodarz:

— Tak, to mój pradziad, rektor wileńskiego uniwersytetu. Jestem doktor Pelikan. Tak jak i mój pradziadek. Wszak pan wie, że on był doktorem?

Spojrzał na mnie i zreflektował się.

— Zaraz coś panu przyniosę — burknął.

Siedzę w fotelu wielkiego mieszczańskiego salonu, którego kąty toną w cieniu. Tym jaśniej widnieje w świetlnym otoku lampy jak z miniatury „człowiek młody, pięknej twarzy, czarnych, w duże pierścienie wijących się włosów, czarnych oczu, kształtnej i lekkiej postaci, ust koralowych”. Tak go malował współczesny mu doktor Stanisław Morawski. Przez papiery dziada Karola, filomaty, ten świat Pelikana, świat nałożącego na Wielkie Księstwo Litewskie i gnijącego caratu, był dla mnie zaledwie wczorajszą legendą. Straszliwy doktor Bécu, którego piorun poprzez ruble uderzył; Botwinko, siepacz i prokurator torturujący młodzież (ojciec czterech synów, którzy, chcąc zmazać hańbę wraz z nazwiskiem, postanowili żyć w celibacie i ślubu do- trzymali), który kończy w więzieniu; przystaw Królikowski, przechrzta z obrzydliwą twarzą, ospowaty, łysy, zezowaty, długi jak minoga, przez powstańców w powstaniu listopadowym obwieszony; Szłykow, policmajster, który przez karty stoczył się na dno; Bajkow, kancerowaty ze szpetnej choroby Bajkow, kiedy od pięknej narzeczonej Chodkiewi- czówny jechał — pod łukiem Ostrej Bramy, którądy ongi kibitkami patriotów wysyłał, apopleksją rażony (a studenci, co go do sekcji wzięli, stygmaty po ciele znaleźli, pręgi

knutów obrazujące); sowiećnik Ławrynowicz, pokurcz polsko-moskiewski, za którego samotną trumną psa tylko przybranego w żałobę puszczone; Nowosilcow wreszcie, któremu, skoro na delirium w Petersburgu konał, ówże Pelikan, druh wierny, z obawy, aby pono zbyt wiele w malignie nie wypaplał — życie przykrócił...

A Pelikan? Morawski po latach go w Petersburgu widział „przedwcześnie osiwiałego, trądem obrzydliwym po całej osypanego twarzy, smrodem ust zarażającego na sążeń wkoło siebie powietrze, a jednak chodzącego jeszcze • pomiędzy ludźmi i pomimo swych rang, orderów i zasług i dawnego swego zdzierstwa szukającego praktyki jak student. Teraz, jak słyszę, przez nowe zabiegi znowu w górę poszedł”.

Gospodarz przynosi „Głos Minuwszego”, rocznik 1914. Ojciec jego, a wnuk rektora, w artykule *Died moj Pielikan* usiłuje zmazać straszliwy stygmat, wyciśnięty na tym nazwisku. Dowiadujemy się, że w dniu pięćdziesięciolecia służby (które wypadło na 1863 rok) otrzymuje cztery tysiące dziesięcin w samarskiej guberni oraz brylanty do orderu. Jest już wówczas „diejstwitielnym sztatским sowiećnikom”. Autor przyznaje, że dziad jego sprzeciwił się pozwoleniu na powrót do kraju Mickiewicza oraz skonfiskował Konrada Wallenroda. Usiłuje go wybielić, ale do tego stopnia nieprzekonująco, że daje temu wyraz sama redakcja w przypisku redakcyjnym.

Doktor Pelikan współczesny, za polskich rządów, przeszedł z prawosławia na protestantyzm. Już władza polskim, ale silnie z rosyjska.

Tak oto spelzający lodowiec pozostawia moreny.

Pierwszy więc obywatel w Widzach, do którego trafiłem, to był doktor Pelikan, potomek Mickiewiczowskiego Pelikana.

Pytam przypadkowego przechodnia, jacy tu jeszcze są doktorzy. Wymienia mi nazwisko żydowskie i nazwisko — Kowalski.

— Prowadź do doktora Kowalskiego.

W załomku bocznej uliczki, za parkanem, niby ostro- kół — zwisa balkon drewniany, do którego prowadzą kryte

zewewnętrzne schody. Ni to „kałancza” (dzwonnica), ni to strażnica stepowa.

Na balkonie, na moje dobijanie się, ukazują się dwa olbrzymie potwory — dogi, które w cieniu rzucanym od dołu przez uliczną latarnię wydają się nadnaturalnej wielkości.

Zgrzytęły skoble — w kwadracie świetlnym stanął człowiek o kruczej asyryjskiej brodzie, spadającej trefionymi pierścieniami. Trzymał za obrożę dwa ryczące potwory.

Doktor Kowalski okazuje się lekarzem weterynarii. Czytał moje książki. Proszę, by opowiedział o sobie.

Urodził się w 1893 roku w Galicji. Ojciec był dyrektorem banku. Jakiego? — No, banku... Gdzie? — W Tarnopolu.

Ożywiam się — ach, ta wspaniała bursa polska, zbudowana za cęty polskiego społeczeństwa; ta niezmordowana energia doktora Stanisława Srokowskiego!

Nie, nie znał Srokowskiego. Hm, tak, wie, że była bursa (bagatela! — największy wówczas gmach w Tarnopolu...). I w ogóle: skończył we Lwowie prawo, a potem jako oficer austriacki dostał się do niewoli i pracował w kooperatywie w Kijowie.

Kijów? — pytam, czy pamięta stołówkę na Rajtarskiej, Komitet Polski Pomocy Ofiarom Wojny na Puszczińskiej, redakcję „Dziennika Kijowskiego” na Kreszczatiku, gorączkę pracy w salach Centralnego Komitetu Obywatelskiego na Tereszczenkowskiej.

Nie, właściwie, to on był tak zajęty pracą w kooperatywie... A w jakiej? Pomija milczeniem.

Już rozumiem. Oczywiście — Ukrainiec.

Pytam upadłym głosem, gdzie mieszka ksiądz i Jak się nazywa (pachną mi coraz bardziej pierniczki z anyżem). Ale ksiądz Amonkowicz, proboszcz w Widzach, jest Litwinem.

Cóż zrobić, jadę do „numerów” Tempelmana. W czterech województwach wschodnich (z wyjątkiem białostockiego) znajdują się w hotelach trzydzieści cztery wanny. Skoro więc nie ma komfortu nawet w większych miastach, to już lepsze są te prowincjonalne karawanseraje, które nie brylują zatłuszczoną, pachnącą pluskwami portierą. Otrzymuje się w nich śniadanie w pokoju jadalnym właścicieli, w którym nocami sypią ich dzleci; zjada się chrupiące chały

pod portretem jakiegoś patriarchy w rytualnych szatach, patrząc na sentencje wyalhambrzone egzotycznym pismem; ciągnąc z zapasów kielbasę, prosi się lojalnie o trefny nóż.

Ale i w te karawanseraje, wywodzące się z gospód dawnej Polski, bil nieubłagany czas.

Madame Tempelman wtacza się z apetyczną chałą i herbatą słomkowego koloru. Piętaszek przynosi kielbasę, czekam, aż dadzą trefny nóż. A młodzi też nie jedzą kielbasy?

— Nu — młodzi...

I wtedy, w tę noc, co już jak czarna płachta owinęła rynek widzki, idę szukać tych młodych. Pełno tego w każdym miasteczku kresowym. Dziewczyny w jaskrawych „dżemprach”, chłopcy w sportowych „pumpach” krążą od jednej błotnistej uliczki do drugiej, krążą w ramach straszliwie nędznej mieściny i roją o wspaniałościach, które płyną do nich drutami anten, migają na ekranach kin, niesione są z ust do ust żarliwym szepem.

Z rana — marzyciele wieczorni, krewni wszystkich wujów i wszystkich ciotek po wszystkich kontynentach za wszystkimi morzami, kandydaci wieczni na gwiazdy, na milionerów, na bankierów, na operatorów filmowych, drożdże musujące świata — stają za kontuarami brudnych sklepików, uganiają się po rynku za chamami i tłumiąc w sercu rosnącą gorycz, rwą w piekielnym trudzie wyszarpywanych wnętrzości ten marny grosz, ten jeden grosz więcej z biedy chłopskiej dla biedy żydowskiej.

Gdzieś na kamieniach przy rowie przydrożnym za Widzami mam z nimi rozmowę; spalają się żądzą mówienia z gościem ze świata, o którym już obiegi wieści, że przyjechał własnym autem, z własnym szoferem, z własnym psem, że rozporządza kunsztownymi aparatami fotograficznymi, a nawet podróжным radiem; spalają się żądzą mówienia, która jest silniejsza niż trwoga, niż ostrożność, niż instykt samozachowawczy; kiedy patrzę, jak w blasku reflektorów (wóz postawiłem przy rowie) wyłaniają się coraz nowi, myślę o ómach, co równie niebaczne równie nieodparcie idą w fascynujący blask.

Ot, Hirsz Belman. Wszyscy go znają, tu się urodził w Widzach na rok przed wojną, tu wzrastał w domku pokracznym na ulicy Wileńskiej 21. Był szczęśliwszy niż inni — wyprysnął do Wilna do gimnazjum żydowskiego. Nie jest

to daleki świat, nie jest to nawet przedsiónek świata. A przecież przelatują przez to miasto pociągi, warczą motory, przyjeżdżają ludzie...

— O, Wilno — zachłystują się — to już inny świat.

Ale starczyło tylko na ukończenie pięciu klas. A co zresztą ma z tego widzki Żydek, chociażby i otrzymał maturę? Chociażby dyplom uniwersytecki nawet zdobył? Podniecają się. Ręce latają w gestykulacji jak lelki; w światło, w mrok, w światło, w mrok.

Musiał wrócić do Widz, był tu buchalterem. Chodził z nimi na spacer, ot, tą szosą, i dyskutował o sprawach dalekich od Widz, dalszych niż te gwiazdy, które świecą, bo niewidocznych.

Od tych dalekich spraw raz po raz przyjeżdża Rachel Zilbermanówna, krążąca między Widzami a Warszawą, światem.

Potem uderzyła go wieść: towarzyszka Rachela uwięziona w Warszawie. Na znak protestu wlaź pierwszego maja na słup telegraficzny i wywiesił czerwony sztandar. Siedzi.

Kiedy wracam po tym sympozjonie przydrożnym do Tempelmanowego karawanseraju i ustawiam w szopie wóz, wiatr szarpie naddartym dachem. Myślę, że tak samo szarpie dziejowy wiatr tym poszyciem różnorako nasklepionej kultury; i że tak samo skrzypią w wiązaniach byle jakich belki starowerskie, litewskie, rosyjskie, żydowskie, rene- gackie, ukraińskie, bolszewickie.

W numerze, który kosztuje złoty dwadzieścia pięć za dobę, wraz ze schludną pościelą, poczciwy Piętaszek rozłożył już rzeczy i położył książkę przy łóżku. Wsuwam się w piżamę i czytam do późna w noc kapitalną książkę Hedemana

0 powiecie brasławskim, dowiadując się, że w 1772 roku został zawarty między administracją widzkich dóbr biskupich a Michałem Burym, stolnikowiczem brasławskim. ośmioletni kontrakt. Oprócz tenuty (czynszu dzierżawnego) miał wykonać dzierżawca następujące prace, rozłożone na poszczególne lata (przypatrzmy tylko część): „Kanał od młyna do rzeki Dryświacicy przekopać, aby woda najregu- larniejsay spad miała... gościniec brasławski wyprostować

1 doskonale wy reperować... kramy w miasteczku wymurować i dachówką pokryć... linio rynkowe wygodnymi i pięknymi domami zabudować i o takich postarać się mieszkań

ców, żeby płacili... Nad kanałem cztery domy postawić i postarać się o garbarzów, którzy by tam żyli i płacili... Gościniec wyreperować, oczyścić z kamieni, miejsca wilgotne i niskie wysłać faszynami, wysypać piaskiem i okopać rowami... Znowu gościniec do Uhoru wyreperować... śpichrz nowy postawić... gumna nowe i odryny pobudować... w każdym roku część błot osuszyć i pięć chat chłopskich na gruntach, które przez osuszenie błot przybędą, zbudować... rowy oczyszczają, aby nie zapłynęły", itd.

Potem, już w XIX wieku, chlubą całego powiatu była szkoła powiatowa w Widzach. Założona przez księdza Śliwińskiego, przełożonego księży kanoników regularnych w Widzach, w 1803 roku zawierała kurs sześcioletni, w czasie którego uczono francuskiego, niemieckiego i rysunków, liczyła przeciętnie stu uczniów, była nadzorowana przez Uniwersytet Wileński, który przysyłał swych wizytatorów, sama zaś pełniła nadzór nad czternastoma szkołami swego rejonu. Wymagania były duże, skoro promocji nie uzyskiwało około czterdziestu procent, ale pomoce szkolne były postawione wzorowo: gabinet fizyczny był zaopatrzony nadzwyczaj bogato, przy szkole istniał ogródek botaniczny, szkoła prenumerowała warszawskie pisma periodyczne, zwłaszcza dotyczące literatury, fizyki i matematyki. Józef Korwin Kosakowski zapisem w 1806 roku wzbogacił szkołę zbiorem ksiąg w liczbie tysiąca woluminów w trosce o cel, „do którego się dąży... pomagając do powszechnego w tym kraju oświecenia”.

Szkoła widzka skasowana została przez władze carskie w roku 1834 na równi z innymi polskimi szkołami w Księstwie litewskim.

Raport nowoaleksandryjskiego (jeziorowskiego) wojskowego naczelnika w 1865 roku podaje „wykaz szkół ludowych w powiecie”: w m. Widzach nie ma ani nauczyciela, ani uczniów, w m. Rymśzanach nie ma ani nauczyciela, ani uczniów, w Brasławiu, stolicy powiatu — uczy się 41 uczniów, w Słobódce uczy się 34 uczniów.

Stanowiło to 75 uczniów na 125 000 ludności powiatu. Tam, gdzie szkoła widzka liczyła 100 uczniów i nadzorowała innych 14 szkół.

Teraz znów jest Rzeczpospolita Polska. Z kimże w niej siejemy? z tą całą ludzką wieżą Babel?

Rano mędrze od wieczoru, w którym obmyślaliśmy szczęśliwość świata. Rankiem idę ulicami Widz, słońce miasteczko zalewa, wczorajsi rewolucjoniści wsiąkli w sklepy i zapytują, czy czego nie kupię. Na rynku grupa strażaków w lśniących hełmach rozłasowała dużą składaną drabinę. Wykrygowany instruktor w eleganckim mundurze, bodaj z jakimiś akselbantami, uczy, jak należy obchodzić się z drabiną. Tutejsze strażaki z nabożeństwem słuchają, jak mają „oburącz” stawiać drabinę „w pion”, jak mają występować „lewonóz” czy jakoś podobnie i kłaść coś tam na prawy „bark”.

Pytam, kto jest ich prezesem. Ksiądz proboszcz...

Ksiądz proboszcz chętnie udziela informacji. Cóż robić, pożary to klęska, należy mieć straż pożarną. Instruktor jeździł na kursy specjalne.

Nad biurkiem księdza wiszą fotografie kościoła, tak jak go odziedziczył po wojnie. Wieża ledwo trzyma się na ażurze, który został po trafieniu przez ciężki pocisk. A ten nowy kościół, odbudowany staraniami proboszcza, mam już w aparacie. Znowu budujemy, znowu siejemy... prawda, księżo proboszczu?...

A potem idę ku mieszkaniu weterynarza Kowalskiego. Znajduję go na ulicy. Błask zalewa graniastą krowę, koło której coś majduje, i jego biały fartuch, na którym asyryjska broda wygląda mniej groźnie niż wczoraj.

Doktor Kowalski jest doskonałym fachowcem. Nie bacząc na wykształcenie prawne, weterynarę skończył już po wojnie. Za pieniądze, które otrzymał przy likwidowaniu spółdzielni lniarskiej (położyły ją przepisy dewizowe), odbył dokształcające praktyki w Berlinie i w Paryżu. Potem otrzymał miejsce weterynarza w Słonimie. Miał zatargi, które zmusiły go do przeniesienia się do Widz?

W Widzach do przychodni przyprowadzano rocznie około trzystu sztuk. Była to cyfra znikoma. Stan weterynaryjny powiatu był rozpaczliwy. Krowy masowo miały pocięte dój-ki drutamf, które sterczą powszechnie na tych polach będących w czasie wojny jednym wielkim pobojowiskiem; mleko tryskało bokiem przez wymiona, wytwarzały się zakażenia, skrzepy, zrosty, pomór lub zanik mleczności. Konie stały w stajniach nie zaopatrzonych od mrozu, dziurawych. O szczepieniu świń od różycy nawet nie słyszano.

Kiedy przybył do Widz, nie miał lokalu; całe urzędowanie odbywało się na podwórzu przed gminą.

Doktor Kowalski przejawia pozytywny temperament człowieka czynu, który ścierpieć nie może, gdy się czemu nie zaradza. Oglądam jego imponującą bibliotekę weterynaryjną w kilku językach, czasopisma specjalne, które prenumeruje. Ale to tak... dla siebie. Rzeczą pierwszą było — dać jakąkolwiek pomoc w prymitywnych a groźnych wypadkach, leczyć, iść, urządzać, ręka w rękę z samorządem, z gminą, z organizacjami rolniczymi, z falą wysiłku, która splywa na ten kraj, by go podnieść na wyższy stopień, by go podciągnąć.

— Już teraz mam. trzy tysiące zgłoszeń rocznie — mówi doktor Kowalski z zadowoleniem — już na przykład w zeszłym miesiącu zaszczepiłem od różycy trzysta osiemdziesiąt świń. Już przestali zabijać źrebięta, bo im się lepiej kalkulowało sprzedać źrebięcą skórę. Dochowujemy się coraz lepszych remontów¹.

Chłop za wizytę płaci złoty pięćdziesiąt, łącznie z lekarstwami, które, bywa, kosztują siedem—osiem złotych. Toteż doktor Kowalski prywatnie nie leczy, bo choćby chciał, to sam ze sobą jako apteką samorządową nie wytrzyma konkurencji; jego prywatne recepty musiano by płacić w aptece.

Przechodzimy na górę — do mieszkania doktora.

Myślę: czy może człowiek dzielny żyć w próżni ideowej? Czy też życie jest mocniejsze — wiąże z tym, co jest dokoła?

Pytam: cóż wieczorem w takich Widzach jest do roboty? Bridż?

Uśmiech opływa asyryjską brodę: gdzież tam, Kasa Stef- czyka zabiera mu cały czas.

Odkrywa się nam nowy trop. Galopujemy.

Od krowy jakoś to blisko do Kasy Stefczyka. Jakież to były początki? „Nie możecie podnieść waszych gospodarstw rolnych — mówił na zebraniu rolnikom czernichowskim instruktor rolny — jeżeli na całe lato wydzierżawiacie handlarzom wasze krowy.” A na to jeden z gospodarzy odpowiedział: „Musimy wydzierżawiać albo i sprzedawać krowy, aby żyć z rodzinami na przednówku, bo wtedy tylko za krowy handlarze dadzą pożyczkę.” Obecny przy tym Stef- czyk wówczas nauczyciel w czernichowskiej szkole rolniczej i członek kółka rolniczego, zwrócił się do księdza Królikowskiego: „A gdybyśmy tak założyli kasę, która by udzielała pożyczek, to wówczas krowy zostałyby im i żywiłyby ich i dzieci przez lato i jeszcze zarobiłyby na procent od pożyczki.”

Z tej rozmowy powstała sieć Kas Stefczyka.

Doktor Kowalski, chodząc koło jedyne go płynnego kapitału chłopskiego, jakim jest mleko, musiał rozumować podobnie. Przyjrzał się Kasie Stefczyka.

Był to ten okres w Wielkim Księstwie Litewskim, kiedy próbowano w każdym miasteczku każdej roboty kulturalnej albo gospodarczej. Kiedy sypały się bankructwa spółdzielni wszelakiego typu. Kiedy bez kapitału i bez umiejętności działacze-omnibusy, ludzie uniwersalni, zakładali po kolei wszystko, o czym słyszeli, że może być założone; początkujące społecznikostwo postępowało jak dziecko, które wkłada w buzię wszystko, co da się włożyć.

W widzkim powiecie na tworzono wówczas szesnaście Kas, a wśród nich widzka stała na przedostatnim miejscu. Pożyczek głównie udzielano członkom zarządu. Opancerzyli się oni przez cztertnastoletnią konwersję, a na ściąganie odsetek Kasa nie miała egzekutywy. Należało rozpocząć od usunięcia zadłużonych członków zarządu. Z wolna Kasa wysforowała się na pierwsze miejsce w powiecie.

Teraz Kasa Stefczyka w Widzach szykuje się do nowego skoku — wysłano już odpowiedniego chłopaka na kurs bra- karzy lnu. Rozwinięto też akcję finansowania zakupu nasion. Otrzymujący pożyczkę nie dostaje pieniędzy do ręki, tylko kwity na kupno określonej ilości ziarna od poszczególnych rolników.

Czas kończyć rozmowę, bo zajechał swoim nowiutkim opelkiem doktor Pelikan. Jest lekarzem rejonowym i jedzie inspekcjonować dwie półkolonie. Jedziemy razem z nim i z wójtem widzkim Karłowiczem, który mnie informuje, że w gminie mieszka dziesięć tysięcy katolików, dwa tysiące

staroobrzędowców i kilkuset prawosławnych. Wieś, do której przyjeżdżamy, zowie się Aszlaragi (co po litewsku oznacza „kozy rogi”). Jest to jeszcze jedna pozostałość po morzu litewskim, które odpłynęło: we wsi nie ma ani jednego Litwina.

Wnuk Wencesława Wencesławowicza pochyla się nad małymi zasmarkanymi dziećmi, które jak wilczki kupią się w rogu izby. Półkolonia dopiero się zaczęła i jeszcze dzieciaków nie odskrobano. Laseczka szklana umiejętnie wywraca powiekę, raz po raz odkrywa jagłę. Zresztą to tylko kontrola; zapisane dzieci mają się stawić w Widzach. Chyba połowa dzieci ma jaglicę.

W następnej wsi ordynujemy na świeżym powietrzu; po ukończeniu badania półkolonii doktor Pelikan przyjmuje całą wieś; długim szeregiem stają przed nim do badania dzieci; niektóre się boją, więc ich koledzy, którzy już się poddali badaniu, improwizują na poczekaniu policję sanitarną, która doprowadza siłą ryczących wniebogłosy i opierających się maleńców.

Ale choć i tu panuje przymus, rozlegają się krzyki i leją się łzy, wiem, że to łzy innego rodzaju niż te, które przed stu laty wyciskał inny Pelikan, zaciągnięty w carską służbę.

Będąc w Widzach, pojechałem do Puszek — odwiedzić pana Michała Pisaniego. Pisani... Ktokolwiek był w Wenecji, pamięta, jak odbiwszy gondolą z Piazzetty, zaraz za pierwszym kolanem Canale Grandę, wyłaniał mu się przed oczami ponury i lekki gotyk piętnastego stulecia. Pałac Pisanich. Paliki przed nim stoją zielone pleśnią i wyjścia wychodzące wprost na wodę wabią tajemnicą zdarzeń. No właśnie, to z tych Pisanich ród swój wiedzie dziedzic czterystahektarowych Puszek.

Toż jeszcze jego dziad nie mówił po polsku. Syn posła sabaudzkiego w Petersburgu, którego car Aleksander 1, ceniąc jego znajomość tureckiego i greckiego, przy dworze zatrzymał z nadaniem siedemnastu tysięcy dziesięcin i pięciuset dusz w gminie widzkiej, rymszańskiej i opskiej.

— Prababka moja Greczynka była — mówi pan Pijani — ot, jeszcze przed wojną portret ich był, pięciu siostr, na kanapie i w myckach tych tureckich.

Stoimy przed dworkiem w Puszkach; jest zielono, drzewiasto; przez konary widać wody ogromnego jeziora, które podchodzi pod dom; obłoki sklepiają się nad nim wspinałymi feretronami. To ciekawe, że obłoków pięknych nie ma nad obejściami ludzkimi, które nie mają duszy.

Tu — kął każdy tchnie staropolskim obyczajem szlacheckim. Szybko to poszło. Już obdarowany przez Aleksandra 1, Pisani ożenił się z panną Dyboską ze Święciańskiego. Widać jednak niedaleko odszedł jeszcze od służby u dworu, bo wszystkich jego siedmiu synów (miał prócz tego sześć córek) zostało oficerami.

Snadź jednak wielki był głos krwi matczynej, a jeszcze większy tej ziemi, która Ich wykarmiła, bo trzech Pisanich idzie do powstania. Pawłowi, adiutantowi Jelskiego, ferowano wyrok śmierci, który Murawiew zmienił na pozbawienie praw i dwanaście lat ciężkich robót w kopalniach syberyjskich. Czwarty syn, Piotr, towarzysz broni Jelskiego — jeszcze z kampanii węgierskiej — dowiedziawszy się o tragicznej jego śmierci w powstaniu, uniesiony żalem, a pamiętając o życzeniu nieboszczyka, który pragnął być pochowany w majątku Pisaniego, postanowił spełnić jego ostatnią wolę. Pojechał na miejsce, gdzie Jelski był pochowany (cytuje za Hedemanem), z oddanymi sobie ludźmi, wybłagał u księdza pozwolenie na ekshumację zwłok, które własnoręcznie obmył, przeodział, zawiązał w dywany i odwiózł do dworu; uprosił dwóch księży, by odprawili mszę żałobną, pochował ciało i upiększył mogiłę kwiatami. Dowiedziały się o tym władze, powstała olbrzymia sprawa. Wydelegowano przystawę, który dwudziestego czwartego sierpnia nie wiadomo po co i na co zarządził powtórny ekshumację i sekcję zwłok. Podane są mrozące krew w żyłach szczegóły oględzin i sekcji trupa w stanie kompletnego rozkładu; badano bez końca Pisaniego, księży i służbę i wszyscy musieli usprawiedliwiać się z tak strasznego kryminału. Sąd polowy pod prezydencją gen. majora Kowalewskiego wydał sentencję następującą: „Piotra i Mikołaja Pisanich oraz księży Rekucia i Raubego jako ludzi, którzy nie tylko wzięli udział w pogrzebie, lecz i wykazali szacunek dla prochów Jelskiego, a tym zaakcentowali, że droższe jest dla nich współczucie ku przestępcy niż przysięga wiernopoddańcza — wysłać wszystkich czterech z kraju. Ponadto ciało Jelskiego w zapobieżeniu manifestacji wykopać | mogiły

i skrycie pochować w ustronnym miejscu, a mogiłę w majątku zrównać z ziemią."

Pan Michał przynosi wspaniały akt nadania, pięknie iluminowany. Zdobí go kunsztowny podpis Aleksandra I (tak mogli się podpisywać tylko gęsim piórem) i wielka pieczęć w brązowym puzderku. Nie spostrzegam w tytulacji cara „korol polskij”. Za to św. Jerzy na piersiach orła dwugłowego paraduje w stosowanym kapeluszu ze strusim pluma- zem.

Pan Pisani musiał to być piękny mężczyzna, atletycznej budowy. Opowiada, jak w Wilnie na wystawie przy siło- mierzu w kształcie niedźwiedzia próbowali swoich sił mieszcuchy i wybijali po pięć pudów, a on jak trzasnął, tak „krugom” strzałka poszła — wybił dwadzieścia pięć pudów i może więcej by wybił, ale na tarczy więcej nie było.

Z tej krwistości, z nadmiaru zdrowia i dobrego huńioru układał się i nowoczesny żywot człowieka poczciwego. W opowiadaniach pana Pisaniego dużą rolę zajmują wspomnienia hulank z Rosjanami. Często gęsto przy tym upiekło się i patriotyczny interes. Książd Zoris ze Smółw ochrzcíł dziecko mieszanego małżeństwa — prezes sądu okręgowego, baron Frederiks, brat ministra dworu, przy kawiorze obiecuje panu Pisaniemu: „Nu, opravdajem”... (uniewinnimy). Gdy Mirosław Obieziński, narzeczony Żon- gołowiczówny, uciekł przed wojskiem do Wiednia i nie mógł wracać — wspólnie z gubernatorem Wieriowkinem nauczyli młodą pannę reweransów dworskich, dygnęła, gdy Mikołaj II przejeżdżał przez Kowno, i uzyskała amnestię. Ale i obecny przy tym Wieriowkin, kolega cara z pułku, zarobił: „A ty, Pietia, dużo masz długów?” — spytał dobrodusznie cesarz. A dowiedziawszy się, że ma trzydzieści tysięcy rubli, kazał całą sumę pokryć. Wieriowkin martwił się potem, że podał za małą sumę.

Patriotyzm patriotyzmem, ale rzecz główna to było — co tam, niech pan się nie gniewa, panie Michale — szerokie życie, w którym wedle wyrażenia rosyjskiego „morze — i to dochodziło tylko do kolan”.

Dlatego chyba i pan Michał cytuje z rozrzewnieniem, jak pewien młody ziemianin o bardzo znanym nazwisku w szantanie u Szumana w towarzystwie polsko-rosyjskim tańczył na stole kankana. „Ależ i majster z pana” — mówił rozochocony gubernator. „Wasze priewoschoditelstwo gif

/

odpowiedział rozpromieniony kankanista — ja bym nie to jeszcze pokazał, ale ojciec umarł niedawno."

Rzecz prosta, że na wsi tak ustosunkowani panice mogli żyć jak w małych księstwach feudalnych. Powstanie zostało zapomniane i znowu wróciły dawne dobre czasy zaufania władz rosyjskich do ziemian; przecież kiedy tu wybuchło powstanie i wierni rządowi starowierzy rzucili się na dwory, przystawowie i isprawnicy wyłapywali ich i sadzali do więzienia za bunty socjalne. Dopiero przemożne wdanie się Murawiewa zmieniło wszystko.

Pan Pisani opowiada, jak to pewnego razu lokaj Bała- chowicz (brat kucharza, ojca generała¹) zakomunikował, że kradzieży koni, trapiących okolicę, dokonuje starowier, łącznie z pięcioma synami jak dęby. Pan Pisani bierze brata Piotra, oficera kawalergardów, bawiącego na urlopie, jadą we dwóch przed północą i zastają całą szóstkę wybierającą się na łup. Prócz rodziny było jeszcze trzech innych. Pisa- niowie ustawili ich systematycznie pod ścianą i zaczęli „łupić”. Widać odbyli to dostatecznie gruntownie, bo w sprawę wdał się prokurator, tłumacząc, że coś musi począć, bo „oniż popuchłe przyszli, wszystkich dziewięciu”.

Od jeziora słyhać głosy. Przyjechało Antoprucie, majątek drugiego Pisaniego, skonfiskowany w 1863 roku, ale potem zwrócony. Z Puszek przez wodę jak ręką podać, a naokoło jeziora to cała wyprawa. Między przybyłymi jest pan Bujnicki, poeta i sekretarz Instytutu Badania Europy Wschodniej w Wilnie, którego poznałem w czasie moich w tym Instytucie prelekcji

Idziemy na podwieczorek.

Mater Dei! Co by też koroniarz powiedział na podwieczorek taki. Wędlin kilka gatunków, węgorz wędzony, ryba w galarecie, kwaszenina, serów kilka gatunków, ogórki z miodem, pół michy malin, ozór wędzony, pierniczki, ciasteczka... Z rozczuleniem przypominam podwieczorki mojej młodości w Kowieńszczyźnie. Niech Kowieńczuki darują, ale ja sam po matce Kowieńczuk — nigdzie tak w Wielkim Księstwie nie objadali się ludzie jak w Kowieńszczyźnie. A kto nie wierzy, niech czyta pamiętniki Kamertona, jak to we dworze na Kowieńszczyźnie jadano.

I HI

HHHHH

Zarządzenia są tu równie jak kuchnia urozmaicone. Istna abrakadabra administracyjna. Jak ma chłop ją rozumieć, kiedy inteligentny ziemianin często sobie nad zarządzeniami łamie głowę.

Jeden powiada:

— Lubię raki. O dziesięć kilometrów stąd, w rzeczce Myszance, są, a tu w tej rzeczce pod domem nie ma. Kazałem nałapać i przewieźć nieco raków, żeby się rozplodziły; okazuje się, nie można: należy wnieść podanie do starostwa, ale starostwo nie ma prawa rozstrzygać; posyła je według kompetencji do jakiegoś urzędu rybackiego w Brześciu. Ten urząd, jeśli w zasadzie pozwoli, to należy wnieść sto dwadzieścia złotych na koszt komisji, która przyjedzie zbadać skład chemiczny wody.

Szlachciura wybałusza na mnie oczy i sapie z oburzeniem:

— Bo i o co im chodzi? Jeżeli ja, dajmy na to, zamiast zjeść wszystkie raki, ćwierć ich sobie od ust odejmą i do wody wpuszczę (przedrzeźnia) „o nieodpowiednim składzie chemicznym”, to zdechną, nu, niech zdechną — i tak ja by ich zjadł!

Drugi opowiada:

— Mam gorzelnię. Przyjechał akcyznik kontrolować. Dałem mu obiad, a do obiadu piwa zrobionego z proszków, o których ogłoszenie czytałem w gazecie. Na wsi to bardzo wygodnie mieć takie proszki, bo jak gość się zjawia, można go poczęstować piwem. Ładny gość! — w dwa dni po swej wizycie nasłał mi lotną brygadę i spisali protokół za nielegalny wyrób trunków alkoholowych. Pokazuję więc im gazetę, gdzie te nielegalne rzeczy publicznie były ogłoszone. „To nic nie znaczy — mówią — proszek wyrabiać, sprzedawać i ogłaszać można, bo w nim nie ma alkoholu.” — I kupować można? „Można,” — To po cóż go kupować, jak nie można go pić? A przecież sam wasz akcyznik też pił i chwalił sobie (i dolewał, niech go kolka zeprze...)? „Pić można, tylko wyrabiać nie można.” I tak w kółko, aż sobie przypomniałem tych dwóch chłopów w sądzie:

My s taboj szli?

I szli;..

Każucb najszli?

Najszli jeho.

Ja clabie dau... Dau,.,

Ty jeho wzlau? Wziau. Gdzież jon? Chto? Każuch... Jakij każuch? My s taboj szli? ltd.

Trzeci opowiada:

— Ot, żona lubi ogródek, i tak jej Jakości wychodziło, że tytoń pięknie będzie na brzegach posadzić.

Czekaj pan, co za komedia wychodzi...

Grzebie w szufladzie „kancelarii” i wyciąga z triumfem papierek:

„Wileńska Izba Skarbowa pozwala celem przyozdobienia klombów na obsiewanie gatunkami nicotiana sanderiana i nicotiana afjini, ale z meldowaniem Inspektorowi Akcyzowemu pod grozą grzywny do trzystu złotych w myśl 32 artykułu ustawy karno-skarbowej.”

Jechałem z pewnym starostą. Rozmawialiśmy z chłopami. Starosta przystępny był, łaskawy, społeczny — choć do rany przyłoż.

Ośmieleni chłopci skarżą się, że policja nie pozwala im grodzić boków drogi drutem kolczastym, bo konie wojskowe w czasie manewrów mogą się pokaleczyć.

Starosta chce i wojsku dobrze zrobić, i chłopom oszczędzić kosztów:

— Wy możecie ten drut zostawić, ale poobwijajcie go czymkolwiek,.,

Inny starosta jest konkretniejszy. Skarży mu się wójt w gminie, że przepis budowlany zabraniający dawać pozwolenie na budowę bliżej niż sześć metrów od sąsiedniego budynku, jest nieraz, w ciasnym obejściu gospodarskim chłopu, który chce wystawić chlewik — niewykonalny.

— A jakim metrem pan wójt mierzy? Wójt nie rozumie pytania. — Proszę pokazać metr, Jest tu metr w gminie? Przynoszą metr.

—|— Panie wójcie — mówi z naciskiem starosta — to nieprawidłowy metr. Od razu widzę, że to za długi metr.

Przy następnej wizycie — nie ma kwestii, nie ma odmów.

— A czy odległość przepisowa?

— Tak jest, panie starosto, poprawiliśmy metr — mówi wójt.

I tak ludzie dobrej woli pchają życie, podczas gdy inni z równie dobrą wolą fabrykują nakazy i zakazy.

Jeden starosta nakazuje czynić wsie zbiorowo odpowiedzialnymi, jeśli pod auta będą sypane gwoździe (gdzie te auta, kto w ogóle je zobaczył, poza starościńskimi, i skądże te wojownicze przepisy o odpowiedzialności zbiorowej, stosowane w czasie wojny?), inny każe meldować niezwłocznie do władz przybycie każdego nowego przybysza. Zdaje się nawet, że to przepis obowiązujący we wszystkich powiatach, uciążliwy nad wyraz, jeśli się zważy, że wsie leżą częstokroć w bok od gminy, do której nie mają interesów, że odległe są po dwadzieścia i trzydzieści kilometrów kiepskiej drogi; a meldowanie półpiśmiennemu sołtysowi jest komedią bez znaczenia.

„Panujący system odznacza się bardzo energiczną produkcją niezadowolonych” — pisał Konstanty Srokowski, wysłany w swoim czasie z Prezydium Rady Ministrów na ziemie wschodnie, celem ich objazdu i postawienia wniosków.

Pan Michał Pisani, przyjaciel gubernatorów i „bon vi- veur”, pan Michał Pisani, potomek wodzów włoskich i polskich powstańców, obejrzał się zdumiony po tej biednej ziemi, na którą wrócił, po ziemi, na której siedzieli Polacy, Litwini, Żydzi, staroobrzędowcy, Tatarzy, Białorusini i Rosjanie.

...Jeden tu chłop na dniach opisane miał wszystko, ostatnia chwila, tak on krowę sprzedał, podatki zapłacił.

Wraca z gminy, aż tu nowy nakaz znajduje. Pierwszy nakaz na podatek gruntowy, złotych szesnaście groszy trzydzieści trzy. A drugi nakaz na szarwark melioracyjny na złotych osiemdziesiąt jeden groszy sześćdziesiąt pięć. Bo wyszło rozporządzenie, że na melioracje można łupić do pięciuset procent podatku gruntowego.

...Staruszka jedna, urodzona w tymże powiecie nowoale- ksandrowskim, mieszka tu przy córce. Czy to jej wina, że powiat przepołowili i że miejscowość, w której mieszkała,

odeszła do Litwy? A tu tymczasem każą jej dwanaście złotych co rok płacić jako obcopoddanej za kartę pobytu.

...Pewien chłop, na którego rozrytych przez okopy i pociski polach nic nie rosło, zebrał z nich naturalny plon wojny: drut, blachę, drzewo z okopów, pociski i zwiózł tego ze dwa wozy. Łupnięto mu karę pięćset złotych i trzy miesiące aresztu.

...Widzki starowerski „nastawnik” wytłumaczył starości, że parafia prawosławna w Undryszkach jest zbędna. Przyleciał „batuszka” po ratunek do Pisaniego. Pan Michał z nim pojechał, odratował. Odtąd wdzięczny batuszka co rok przynosił sto jaj na Wielkanoc. Cóż tu robić, brać nie wypada, nie przyjąć — niegrzecznie. „Tak ja myślę — mówi mi teraz pan Michał — niech idzie z duchownych rąk w duchowne. I kazałem proboszczowi naszemu «baumku- chen» (sękacz) z tych stu jaj zrobić. Tak ja jemu co rok te jajka na baumkuchen przerabiałem, aż tu «batuszkę» przenieśli, a mój proboszczuniu przyzwyczaił się i co rok muszę mu baumkuchen posyłać...”

TRWANIE I PRZEMIJANIE

A jako żeglarz, gdy już w porcie stanie, Mile mu przeszłych bied przypominanie, Miło mu pomnieć na wichry, na skały, Ody uszedł cały.

(Zbigniew Morsztyn — Votum)

Z Nieświeża jadę przez Kłeck. Patrzą na mnie drewniane sukiennice. Ile razy przejeżdżam przez takie historyczne miasteczko kresowe (a Kłeck coś znaczy od początków trzynastego wieku), mam uczucie ściszenia i pokory. Tak jakby ten Żyd, co człapie uliczką, wiedział i widział te wszystkie sprawy, które tu się zdarzyły, te obsesje tatarskie i boje z Moskalami, tego Rejtana ustępującego w bitwie pod Kłeckiem konia rannemu towarzyszeni i idącego w niewolę, tych dwadzieścia tysięcy Tatarów wepchniętych w rzeczką Ceprę i wymordowanych, ten rozbity na głowę korpus Cho- wańskiego i rajtarię Karola XII.

Wjeżdżam w serce Radziwiłłowszczyzny i kiedy patrzą po miasteczku, mam wrażenie, że nic się nie zmieniło, że tak samo tu ludzie jeżdżą po sąsiadach, piją, prawują się, gospodarują.

W Kłecku wydała mi się Polska taka, jak była. A w Le- cieszynie? W Lecieszynie gospodaruje Stefan Czarnocki,

Wprawdzie to dopiero Jan Mniszek Czarnocki przeniósł się w roku 1704 do Czarnot, gdzieś tam w ziemi drohickiej, w której już w 1545 roku Stanisław, syn krakowskiego pisarza grodzkiego, gospodarował. Przeniósł się i kupił wieś Lada w ziemi mińskiej. Smaczna nazwa! Lada — to był pierwotny dźwig z żerdzi do karczowania pniaków. Stąd poręby zwano ladami, Ziuta Czarnocka sama też pochodzi z majątku Zaladzie w Słuczczyźnie. „Swoją swoją pozna- sza,„ jak po cerkiewnosłowiańsku gągolili nam nasi unicycy parochowie. Wszyscy my z lasu. Ziuty matka Jest z domu Wańkowiczówna ze Sleplanki.

Ojciec Ziuty pieczętuje się „Lis“, tak jak i my Wańkowl- czowie. Ale ich „Lis“ jest zawołania Bzura i nie ma mitry. Dlatego bardzo dziwne jest twierdzenie Ziuty, że jej lis jest lepszy. Kiedyś z tego powodu przez dwa lata panowały między nami naprężone stosunki. Wtedy sobie, niegodny, pozwalałem na kąśliwe kuplety.

Z Lecleszyna księżna ta Najlepszego lisa ma I pod Kłeckiem wiedzie prym...

Odmian lisa jest dwieście, co nie dziwota, boć to było całe plemię. Sprawa z Ziutą zakłajstrowała się o tyle, że tacito conaenou uważamy tamte wszystkie sto i dziewięćdziesiąt i osiem lisów za gorsze.

Z Lecleszyna odbywamy najprzód wycieczki w najbliższym promieniu. Wiezie nas czwórka w lejc. Kiedy myślę o kulturalnym wnętrzu lecieszyńskiego dworu, godzę się ze zdaniem, że „Stefuś jest cudotwórca“, chociaż prowadzi zwykle gospodarstwo zbożowe, a całym jego plusem, że bał się długów jak ognia i nie inwestował.

Byliśmy u panny Rymszanki, siostry pana Rymszy z Goj- cieniszek, który siedzi w bastionach obronnego dworu z XVI stulecia. Panna Rymszanka liczy około sześćdziesięciu lat i wiele o tej ziemi pamięta.

Tuż koło jej siedziby stoi kapliczka z Chrystusem na krzyżu. Panna Rymszanka mówi:

— Nie wiem, kto go stawiał; gdy przychodziłam na świat — już był. Stał, o tam, pod brzeźniakiem, bo tamtędy dawniej szła droga z Lecleszyna. Stał i próchniał, Poprawiać go nie było wolno, bo władze nie pozwalały. Jadąc błotnistą drogą patrzyło się na krzyż, jak bezradnie wyciąga ramiona... coraz węższe.

Coraz węższy był też cały ten świat, z którego pochodził ów krzyż. Odkąd w 1830 roku Siemaszko jednym ukazem carskim przerzucił dwa miliony dusz unickich we wschodni świat, i tu w Hurynowszczyźnie kruszyć się począł duch ludzki, jak krzyż na rozstajach. Paroch w sąsiedniej wsi Cepry, Zdanowicz, już dawno przeszedł na prawosławie, zapuścił brodę, wdział popowską sutannę z powiewającymi rękawami. Ale pogrzeby dawnym obyczajem zatrzymywały się w drodze na cmentarz pod starym krzy

żem. Obracający się w proch Chrystus na krzyżu dawał ostatnie błogosławieństwo szczątkom, które w proch mają się obrócić. Z boku stała doczesność — pop w złotej rzybie, błyskający jak bożek w kłębach panikadiła.

Aż gdy pewnego razu przebita ręka Zbawiciela zwiśla na gwoździu, oderwawszy się od ciała, zadrzało serce unickie pod złotą ryzą w eks-parochu: „To wstyd — mówi — że dajecie marnieć krzyżowi, który wasi pradiadowie stawiali.”

Panna Maria pamięta: ojciec z nagłą ją za rączkę pociągnął i miotnął się w przód — on swoim kosztem wyremontuje, a wszystkich bierze na świadków, że ńa życzenie popa.

W pewnym miejscu, o parę kilometrów od Lecieszyna, znów stoi krzyż. Na gruncie Puzów, który przed czterystu laty spadkiem po ostatnim z Telszewskich przypadł Woyniłłowiczom. Wówczas to ów ostatni z Telszewskich wyprowadził żonę, którą podejrzewał o wiarołomstwo, za dwór, kazał jej w tym właśnie miejscu wleźć na drzewo, a gdy się skryła w zielonej koronie, krzyczeć „kuku”. Słyszac głos, strzelał w jego kierunku, pudłował i znów krzyczeć kazał, aż zabił.

Tak to krzyżami znaczone na tej ziemi i łaskę Bożą, i ciemne sprawy ludzkie.

Zamyśleni patrzemy spod krzyża w dal; ciągną się przed nami z lekka pofalowane wzgórza. Tam, za tą kępą drzew, już za granicą, leżą Sawicze Edwarda Woyniłłowicza. Dla każdego kresowca to szacowne nazwisko ma pełny dźwięk. Stary pan, zmarły w 1929 roku, był w ciągu pół wieku leaderem ziemiaństwa kresowego. Urodzony z Wańkowiczów-ny, w rodzie, który siedział w Sawiczach od czterystu lat, reprezentował, nie uświadomiony sobie zapewne, wspaniały typ odrębności kresowej, wiodący się z czasów, kiedy już Woyniłłowicze siedzieli w Sawiczach, a kiedy panowie litewscy, jak na przykład jeszcze nawet po Unii Lubelskiej, chcieli uderzyć na Koronę z krymskimi Tatarzy. Ale, miast tego, poszli pod Wielkie Łuki, bo Moskwin ginął.

Następnego dnia, kiedy objeżdżałem powiat, myślałem wciąż o panu Edwardzie Woyniłłowiczu, wielkim panu kresowym, który w Bydgoszczy na facjatce ze swoją żoną mieszkał, biedę klepał, nikogo o nic nie prosząc, odrzucając wszelką pomoc.

Migał mi przed oczyma nowy świat pracujących Kresów

i żał mi było dawnego świata, i myślałem równocześnie, że ten dawny świat nowego życia by nie stworzył. Ot! — choćby tego:

...brzęgiem nie zoranego pola szedł po drugiej stronie granicy traktor, równo odkrawając skibę po skibie. Dalej widać było traktor drugi.

Tego dnia jeździłem cały dzień do późna po nieświeskim powiecie z agronomem powiatowym. Sklepiki spożywcze z paru puszkami szprotów i garstką landrynek, mleczarnie pachnące skisłym mlekiem... Całe to współczesne ubożuchne życie na Kresach, przypominające poletka jęczmienia w podgórskich okolicach.

Przyjechałem do Lecieszyna późnym wieczorem głodny i zmachany. Przy stole siedziało już dużo osób z sąsiedztwa. Dzięki akcji ratowniczej mojej sąsiadki, pani Oskierczyny z Suhlicz, i starce — „przejrzałem na oczy”, jak to mówią w Kowieńskim.

Po kolacji towarzystwo zasiadło przy kominku. Jak ci ludzie dotąd śpiewają Bartelsa!

A w niedzielę po obiedzie Pan Dąbrowski z wojska jedzie,

Umtadry, umtadry. O, dzień dobry, matuś moja. Czy jest w domu Rózia twoja,

Umtadry, umtadry. O, jest w domu Rózla twoja, Ale ona zaręczona,

Umtadry, umtadry. Niechaj sobie zaręczona, Byleb tylko nie zwieńczona,

Umtadry, umtadry. Podaj, mamó, skrzypce moje, Pójdę zagrać Rózi twojej,

Umtadry, umtadry. Stanął Dąbrowski u progu, O, jest Rózia, chwała Bogu,

Umtadry, umtadry. Jak go Rózla zobaczyła, Przez dwa stoły przeskoczyła,

Umtadry, umtadry, A na trzecim zatrzymała, Dąbrowskiego całowała,
Umtadry, umtadry. Stań, Dąbrowski, z prawej strony, A, Bielecki, szukaj żony,
Umtadry, umtadry. Złóżcie, panny, po groszemu, Kupcie surdut Bieleckiemu,
Umtadry, umtadry. Złóżcie, panny, po trzy grosze, Kupcie palto i kalosze, Umtadry, umtadry. I złożyli, i kupili, I przez okno wyrzucili,
Umtadry, umtadry, umtadrydy, rym bom bom.

Salon tonie w półmroku. Cienie chodzą po starych meblach. Przypominam rodzinny dom, wielki pokój stołowy z kominkami po przeciwległych ścianach. To nad tymi kominkami i w krąg wisiały sztychy Bartelsa, malowane na drzewie, a w komodach stopy jego rękopisów. Rękopisów! Na wielu z nich notatki: „Mordce oddać trzy ruble”, „We środe posłać do młyna”, wiele improwizowanych wierszyków, pisanych na rachunkach, fakturach, rejestrach gospodarczych, pozbieranych widać troskliwą ręką otoczenia.

Ot, jak ta piosenka okolicznościowa o rywalizacji jakiegoś pana Dąbrowskiego z panem Bieleckim, którzy dawno leżą w grobie, gdy tymczasem piosenka o nich wciąż żyje. Tyle wypadków przeszło, a Kresy wciąż śpiewają o pannach apteckowych, o pisarzach prowentowych. Więcej! O pi?arze jeszcze tu i ówdzie żyją. W zaścianku szlacheckim pod Woroną w powiecie wileńsko-troekim znalazłem takiego pisarza prowentowego, Nazywa się KŁeżun; ma osiemdziesiąt dwa lata. Był pisarzem prowentowym u Kwinty, Siadał na szarym końcu, ale przy jednym stole z państwem. Kiedyś siorbnął tak głośno, że wszyscy popatrzyli; zdekon- * it urowany, jeszcze głośniej siorbnął, aż się zaśmiali. Gorzej było u grafa Platara, który zmyślił gimnastykę robić ze wszystkimi pannami i Kieżutiowi też kazał. Powiesili go na drążku;

IM

— Staralam się tak, aż piardłam i miałam wstydu — zwierza się stary.

Poza te wiekopomne fakty pamięcią nie sięga; tylko potwornie bzdurzy, że kiedy miał dwanaście lał, ojciec z Olechnowiczem w Wilnie był, dzieciuka w zajeździe zostawił, a sam pił i Kalwarii nie obszedł. Pewno jako kara boska za to, Żydzi zabrali się do dwunastoletniego syna i już krew zaczęli z niego podtaczać, mocno przewiązawszy sznurkiem

Kiedy opowiadam o Kieżunie, przychodzi moja córka z wieścią, że w/ kuchni jest wróżka. Na wróżki polowaliśmy zawzięcie. Stara Audula w wołożyńskim powiecie, wróciwszy z festu w cerkwi z poświęcanym zbożem, sygnęła nim w róg, po mruczała, a potem kazała strzec się brunetki, od której mam nie mieć „nijakoho chodu”,

Idę do tak zwanego kredensu, znajduję kobiecinę może czterdziestoletnią, ale z naczółkiem pod chustą, oznaczającym mężatkę i obecnie nie noszonym wcale. To mnie usposabia ufniej i biorę „gadałkę” do salonu. Przy pełnym skupieniu obecnych wróży z kart i ostrzega mnie przed jakimś młodzieńcem, który zbyt uwija się koło mojej żony. Swoją drogą nie wiem sam, co mam myśleć, bo dokładny opis się zupełnie zgadza z konterfektem mego przyjaciela, gospodarującego w sąsiedztwie majątku, w którym jest żona.

Wróża mnie uspokaja:

—Panoczku, dyk żeż ja nie każu, szto jana swołocz (to niby moja żona,,), aliz hetych proklatych chłopcew uspakaja lubić,,. A kali pan nie pilnuje, tak nie daj Boh, panoczku, uwsiakoje zdarzenia moża stać sia...

Daję wróżce napiwek i wolę odprawić. Po chwili y/chodzi,, pani Oskierczyna, Kładzie na stole pieniądze i mówi'

—Ja za wrózenie nie biorę nic,

Wszyacy sfę śmieją. Jestem skonfundowany.

Dis ziemiaństwa kresowego charakterystyczne jest to, że lubi język białoruski i chętnie nim rozmawia. Ot i teraz sypią się anegdota i opowiadanie białoruskie. Pan Meche- rzyński — talent nieprzeciętny — przebiera się zs babę białoruską f solo odtańcowufe lawonlchę, Potem zaczynają cMrem śpiewać:

Oj tam na liorie, oj tam na krutój, Oj tam sidziela para hałubok, Oj tam sidzieli — całowalisia Da swoimi kryliami obnimalisia. Oj tam da priszou achotnik mładoj, Hałubca ubiu, hałubku pojmau, Hałubka maja, czemuż ty taka, Wadziczki nie pjosz, pszenca nie klujosz...

Ta piosenka wydaje mi się z naleciałościami rosyjskimi. Ale za to melodia jest czysto białoruska. Koniec frazy łamie się, spada z tonacji i ciągnie się aż do wyczerpania tchu. To takie zawodzenie zalatuje ze wszystkich stron z pól białoruskich.

— A czy tańczą u was lawonichę? — pytam.

— Na obstalunek.

— A bez obstalunku?

— Tango. W zeszłym roku na dożynkach nawet jakiś pa- robczak prowadził tańce po francusku. Jedna para go nie posłuchała i kręciła się solo. „Nie* baczysz, padła, szto ciapier promenad?” — krzyknął zgorzony wodzirej do dziewoi,

Tak tu dobrodusznie wygląda świat przy kominku w gościnnym lecieszyńskim dworze. I chłopci w tych opowiadaniach są tacy pocziwi, nieco śmieszni, umiarkowani, poważający swoich sąsiadów-ziemian. Jeden z panów opowiada, jak mu się wywnętrzał pewien chłop:

— Sztoż hetta demokraty zrobilisia... Do wojny ot, pan Rdultouškij był pan... A ciapier każdy żulik pan... Dobrze i cicho jest w lecieszyńskim dworze. Stoi na pokoleniach, które tu zrosły się z ziemią i z Bogiem, i z ludem, że, zdało się, wszechświat cały, kolumny duchów do nieba idące, kosmos i światy zagrobowe dbają o dobre trawienie pana dziedzica.

Jest już późno. Goście „zbierają się” wychodzić. Gospodyni wyraża zdziwienie, że tak wcześnie wyjeżdżają, i ||f prasza:

— Posiedźcie jeszcze.

Przed ganek zajeżdżają konie i auta. Otulamy panie pledami. Ostatni odjeżdża jakiś powóz. Już nie ma reflektorów na gazonie i w ciemności czuję niecierpliwe chrapy końskie, które mi prychają w ucho mirażem nocnej drogi między roframi pachnącymi macierzanką.

Ruszyli. Domownicy i lampy wpływają do domu. Niepo- strzeżony idę w park. Księżyc wypływa i przez stare wspaniałe aleje lecieszyńskich lip tka się srebrne światło. Woda stawu też srebrzy się na jasnej przestrzeni, która biegnie daleko, aż pod jarzący się w księżycu biały portal domu „ukazan z gęstwy zmyślną Angielczyków sztuką”. Dalej woda jest czarna; kładzie się na nią cień potężnych drzew.

I kiedy wracam do domu, do uszu moich dobiega głuchy turkot; to traktor pracuje po sowieckiej stronie.

MOSKWA OCZAMI „BURŻUJÓW” WIDZIANA'

i iętnaście lat temu na dworzec Bałtycko-Białoruski, na który obecnie przyjechaliśmy, jechałem z dworca Petersburskiego... śmiesznym burżujskim landem; wiozło nas triumfalnie przez ulice, którymi przebiegały rozgorączkowane oddziały Czerwonej Gwardii, ciągnące na wciąż jeszcze broniący się Kreml. Jechaliśmy z Piotrógradu (właśnie opanowanego przez bolszewików po trzydniowych bojach)

i

w śnieżnej pościeli pustego sleepingu. Konwojent wagonu mówił nam „barin”, a nasze otwarte wspaniałe lando na jakichś niesłychanie odsądzonych resorach, lando, które żywcem jakby uciekło z uroczystego „cortóge” koronacyjnego, zatrzymywano raz po raz, pytając o broń. Tak mieszały się elementy rewolucji i starego reżimu. W landzie poza mną siedział w mundurze oficerskim profesor uniwersytetu, który ściał szlify i jechał bez czapki, trzęsąc się, aby mimo to nie domyślono się w nim oficera; jechał spekulant, zestrachany i ciekawy (dostał się potem do Polski, staczał się coraz niżej i podobno został ścięty w Niemczech); jechał wreszcie szlagon w mundurze Dowborczyka, z lampasami amarantowymi, z akselbantami, z orłem srebrnym na czapie — ten znów, dziedzic w cywilu, rozradowany był na całe spectaculum, uważał widać, że rewolucja to widowisko specjalnie zaaranżowane, aby rozweselić jaśnie pana, i ryczał wielkim i fałszywym basem niezupełnie a propos: „Antek Mańkę chwycił w pasie, a ta głupia u... śmiała się...”

Tu oto, za łukiem triumfalnym, wyproszono wreszcie jadącą burżuazję z powozu, bo dalej stały armaty. Teraz stoi tu pomnik Lenina. Jedziemy wygodnym autem „Inturista”. „Inturist” (Inostrannyj Turist) to jest taki rezerwat w ZSRR, w którym może hodować się silnowalutowa burżuazja. Chwilka tylko spotkania z tłumem na dworcu i już nas wcmoknął inturistowski elektrolux. W aucie jego czujemy się jak nurek w dzwonie. Za szybami po trotuarach [płyne szara ciecz ludzka. Wszyscy w „walonkach”. Kobiety też. Standardowe kłapouché czapki z królików. Moskwa przed wojną była olbrzymią wsią. Ten charakter osiło nawet śródmieście. Czymże innym jest architektura a wet samego Kremla, jeżeli nie architekturą drewnianego :asztelu „tieremu” przetransponowanego na cegłę. Teraz wśród tych szeroko i niefrasobliwie rozrzuconych osobniaków”, hojnie otoczonych ogrodami, wśród jedno- dwupiętrowych kamieniczek kupieckich w okropnym sty- jakichś fryzowanych ząbków w cegle, które jak kostrom- *i cieśla z chałupy drewnianej przyniósł, tak murarz od 'otra Wielkiego po Mikołaja II w cegle klecił — od czasu czasu dźwiga się jakiś corbusierowski wymysł, strasząc zi galeriami szklanych chodników. Taki budowlany Ma- itogorsk z konopi. Jakiś pomnik przybył z dziewicą lekko 'aną. Informuję mnie, że to statua swobody/Spoglądam

z pewną podejrzliwością na dziewicę przez wychuchaną dziurkę w szybie.

W innym miejscu wywieszono dwie tablice — czarną i czerwoną. Na czarnej wpisywane są zła dla ZSRR wiadomości, na czerwonej — dobre. Przypomina mi się wrzask przed tablicami na giełdzie paryskiej. I zaraz czuję, że wszystkie poprzednie złośliwości to nieważne. Bo tu, na tych tablicach, potężna polityczna giełda świata znaczący idący bieg godzin.

Auto „Inturista” zajeżdża przed wspaniałymi gmachami Muzeum Rewolucji, którego strzegą rzeźbione lwy... Tłum eleganckich panów wysypuje się z auta... Zręczny wszędobylski fotograf „Inturista” obskakuje nas z lejką.

Z boku ukazuje się grupa chłopów. Jakaś wycieczka zwiedza Moskwę... Najstarszy z nich, w czymś w rodzaju łapci na nogach, w kożuszyńce wytartej, gapi się na lwy, na portyk, na lejkę, na eleganckich panów.

„Nu, bratcy, razżyłaś, znaczący, riewolucja” (rewolucja porosła w pierze).

Wejźmy do wnętrza zobaczyć, jakże to było.

Ten ciąg sal, któreśmy przeszli — to niby wspaniałe eposy, rozwijający się według wszelkich reguł sztuki literackiej.

Introdukcja: dwa olbrzymie obrazy w hallu klatki schodowej ukazują kaźń Stienki Razina i kaźń Pugaczowa. Czerń i purpura, cienie i światło, bojarzy i lud, prawda i nieprawda. Jak gęśle, które rozpoczynają opowiadanie.

A potem epos. Długie tunele śnieżne w kopnych drogach. Chaty zgarbione, zmurszałe. Polowania pańskie. Nagonki. Oddawanie w żołdacy. Akty kupcze na ludzi. Ogłoszenia o sprzedaży powozu i młodej dziewczyny, której talenta gospodarskie są wymienione.

Przewodniczka nasza, towarzyska Nina, ładna Azjateczka o zadartym nosku, obawia się, że wymienione kwalifikacje uspokoją nas co do losu sprzedawanej.

— Może z niej nabywca zrobić służącą, ale może i kochankę — mówi z powagą, z jaką dzieci recytują ustęp w Czerwonym Kapturku, kiedy wilk mówi babci: „A teraz ciebie zjem!”

Stara się towarzyska Ninoczka, jak może, poruszyć czerstwe serca burżujów. Pokazuje harcapy, którymi tłuczono

pańszczyźnianych chłopów, obraz przedstawiający chłopkę pańszczyźnianą wykształconą na aktorkę, której pan kazał karmić szczenię własną piersią. Aktorka jest przykuta łańcuchem do ściany, karmi szczenię i spogląda na swe płaczące głodne dziecko, do którego sięgnąć nie może. Oglądam krwawą pracę robotników Uralu... Po ścianach Muzeum Rewolucji pokazywać się zaczynają świstki protokołów na partyjnych zjazdach. Oto model domku drewnianego w Mińsku, w którym nakryty został Pierwszy Zjazd. Oto świstki protokołów posiedzenia partii w Charkowie, pisane ołówkiem. „Za uchwałą pięć głosów, przeciw uchwale trzy...” I zawsze jacyś wstrzymujący się, i zawsze jakieś votum separatum.

— Skąd przyszło konspiratorom, teoretykom, marzycielom, doktrynerom i „gołosztannikom” — pytałem Radka — do traktora, do elektryfikacji, do Dnieprostrojów i Magai-togorsków?

— Prawda? — śmieje się Radek. — Kiedy mi zaproponowano po brzeskim traktacie przeprowadzenie dużych prac likwidacyjnych, zażądałem tak małych pieniędzy, że Lenin się roześmiał: „Radek nigdy w kupie nie widział stu rubli i nie może sobie wyobrazić, że mogą być większe pieniądze.”

...Ninoczka i towarzyszy dawno straciłem z oczu. Jeden z nich¹ nie miał większego kłopotu, jak pouczyć nas, że musimy słuchać nie dobrze obznajmionej z tematem przewodniczki, lecz kiepsko znającego Muzeum polskiego tłumacza... przez patriotyzm. Zresztą obolała wątroba nie pozwoliła mu iść za własną radą. Chodził jak ślepy i wyszukiwał śmieszności — sam będąc na tym tle śmiesznością największą.

Do sal wojen domowych wchodzi z hurmą chłopaków z Komsomołu. Muzeum zwiedza ogromna ilość wycieczek. Oprawdają ich robociarze tacy sami (brudni — syczy wątrobiarz), jak i oni. Chodzę w grupie jakiegoś Mongoła, który daje wyjaśnienia. Wyjaśnienia dzielne, gruntowne, nieblagierskie, mające głowę i nogi, perspektywę historyczną i zaczepienie o rzeczywistość praktyczną.

Przypominam sobie, jak feldfelbel w moim kołomieńskim pułku miał pogadanki z żołnierzami i pokazując Napoleona

ifin
W

nu Wyspie fiw. Heleny tłumaczył, że siedzi on smutny, bo car rosyjski rozgniewał się na niego i odwołał z tronu,

A przecież feldfel to był szczyt inteligencji, do którego wznosił się człowiek z ludu,.

•Inkaż to praca na nadludzką miarę dokonała się w ci^gu tych lat piętnastu! Jakże głęboko orać było trzeba, aby do- orać się do rdzenia duszy prostego człowieka w Ilosji. Tu grupy zwiedzającej Muzeum młodzieży to najsilniejsze wr/i Zenie w drugim dniu pobytu mego w Moskwie, Potem jesz czo niejednokrotnie będę się zatrzymywał, pełen zdumienia, przed najcenniejszą I niezaprzeczną zdobyczą ZfllJt, jaką jest ~ człowiek,

Dobrze trafiam do sal wojny domowej z mymi młodymi przyjaciółmi. Nu piersiach ich przypięte znaczki Ossoawia* chlmu i odznaki „Bądź gotów do pracy i obrony”. Młode pokolenie w Itosji świetnie się orientuje w zadaniach nowoczesnej broni i nowoczesnej wojny.

A tymczasem w sali tej widzimy ogromną ilość eksponatów naiwnych, pomysłów domorosłych, jakie tworzyły broń, której brakło w wojnie domowej. Widzimy armaty sklecone z rur przez wsiowych kowali, widły przerobiono na spisy, rewolwery sporządzone z uciętych karabinów, kołatki drewniane, które miały naśladować terkot karabinów maszynowych tam, gdzie ich nie było.

Przed oczyma naszymi stają przestrzenie niezmiernie itosji objętej wojną domową, stopy od Kaukazu po Kubań, gdzie po stanicach i po aulach, po futorach, po niemieckich koloniach i po kiszłakach tatarskich buszowały watahy różnego kalibru, Gdzie na tło podłości, zdzierstwa, graklny tym wspanialej wykwiłało samotne bohaterstwo ludzi prostych, nie mających za sobą dyscypliny ani nakazu: ludzi, którzy pochodzili z narodu nie mającego w tradycjach indywidualnego bohaterstwa jednostki,.,

Po domach naszych kredowych wiałały portrety przódków - orebimandrytów i ihumenów, grarnoty przez naszych królów polskich po białorusku pisano, herby nosze miały krzyże, krzyże-strzały, z unickimi czy zgoła prawosławnymi belkami poprzecznymi, wywodziliśmy się ud pro topłastów Wańków, Wołodzków, Ifrehorów, Fiedorów.

Mniej znaliśmy żniw niż bitów lub polowań i mniej

—
msjowych nabożeństw przed słodkim obrazem włosku* j Madonny niż trwogi przed groźnym JJogiem, jawiającym się w piorunach nad puszciami i w ogniu bitewnym.

Póki carat był, my młodzi walczyliśmy o polski* szkoły, kończyliśmy polskie uniwersytety, sie stryjee nasi robili politykę „krajową”, Jako że to niby są „tutejsi” o polskiej Jeno kulturze. Waliliśmy w to żubrostwo, ale... zaręczysz się, posłałem narzeczonej ikonkę KazańskaJ Hożej Mutier), aby ją zawiesiła nad łóżkiem, Ojciec na zesłaniu przez dziesięć lat na Sybirze przebył* aio gdy zmarł, wszystkie 'er kwło w okolicy żegnały go trlezwonem,

Piszę to wszystkim na wspak, / rodakom (jurnym szluch- clcorri z różnych Wólek, łykom / miast, brachycefłom z wsiowych opłotków), i bolszowlkom, którym śmierdzi wyraz „Itosjfl”, i emigrantom rosyjskim, którym śmierdzieć będzie moja książka. Piszę to cieniem przeszłości i przy* włości czarnej, nlo rozświetlonej, która Jednak gdi*ś tum w niewiadomych przedroświtowych przestrzeniach soksmi nabrzmiawa.

Od tego dziedzictwa/i nie mogłem wyzwolić się, patrząc na Sowiecką Kosją, I z bolszewikami gsdalern niełatwo. Dla nich to wszystko jest wzruszająco świece. Jakże to przy- jemnio, jak lekko być obywatelom kraju, który liczy sobie.., siedemnaście lat.

Przechodzimy do restauracji, w której orkiestra grs Po* szła Jadzlunla na rydze, Jest to staroreżimna I sprośrwi piosenka, którą podstusiali Podfilipscy lubili śpiewać u dobrej pamięci Sternpka x.

flhstrój robi się „gemUtlich”. Hestsurscja Jest dobrze zaopatrzona, a kawior tani, a papierosy za IJWM Kulka restauracyjna też nie żsdna kubistycznas, ale w stylu, który bytn nazwał Powrót taty, Odmalowana na olejno na ulubiony piernikowy kolor carskich dworców, / firanczkami, z kotarkaml, palmami pyłącymi się beznamiętnie w zielonych kubkach, z figurynkami, z bombonierkami przewiązu* nyrnl szykownymi wstęgami w zespole kolorów ó la „gie- nierulskjsja docz”, ze sztucznymi kwistami, sterczącymi z całym zaufaniem nad stertami kanapek, Muzyka gra Urnzn W Utnie f pitfšfi poltkUih. Wjeżdżającym

rekinom kapitalistycznym robi się rażno, jeden z nich zapomina się i omal nie woła na usługującego towarzysza per „czelowiek”. Zaczynamy żałować, że w tym kraju kawioru, koniaku, tanich papierosów i Wieńca pieśni polskich będziemy tak krótko. Jakaś pani oznajmia, że ma dwadzieścia pięć sutek, więc będzie mogła jechać na Syberię. Towarzysz tłumaczy jej, że raczej ma dwadzieścia pięć dób, bo tak należy tłumaczyć na polski termin rosyjskiej wizy.

W kiosku z gazetami wita nas ulewa pism, broszur, książek, magazynów specjalnych. Są one po wtykane w taśmę napiętą na dwa bębny i w ten sposób defilują przed każdym z kupujących wszystkie. Pytam o radę, co mam kupić. Sprzedająca, typ zwykłej robotnicy, w chusteczce zawiązanej w dwa długie końce pod brodą, objaśnia mnie gruntownie, rzeczowo i życzliwie. Wybiera nie tylko pisma, które charakteryzuje, ale wskazuje na ciekawy felieton Kolcowa, nadesłany do „Prawdy” z Paryża. Ponieważ redaktor paryskiego „Wozroźdienia” — rosyjskiego pisma emigranckiego — niesłychanie ostro atakował Herriota za jego pochlebne informacje o Rosji i powoływał się na pierwszorzędne informacje własne, Kolcow sfabrykował list o przeraźliwie głupiej treści, w którym jakaś rzekoma mieszkanka Jekaterynosławia pisze o haniebnym stosunkach aprowizacyjnych, buntach przeciw instytucjom, które zostały zlikwidowane w Sowietach już przed dziesięć laty, itd. Owo głupstwo zostało solennie wydrukowane jako „wstrząsający dokument”, po czym Kolcow w swojej korespondencji rozszyfrowuje, że wybrawszy co piątą literę, otrzymujemy zdanie: „Białobandycka hołota szkaluje Republikę Sdfeic-tów.”

Śmiejemy się razem ze sprzedawczynią z dobrego kawału. Rozmawiamy o Komsomole. Oczy jej patrzą śmiało i uczciwie. Tak patrzą oczy całego młodego pokolenia ZSRR.

Do wagonu niosę w jednym ręku dwa kilo duńskiego masła konserwowanego jednej pani, w drugim całego indora drugiej, a w głowie chaos myśli.

Uprzejmy kapelmistrz gra nam na pożegnanie Adieux a la Patrie Ogińskiego.

W wozie sypialnym ucinam pogawędkę z konwojentem (z tak zwanym „prowodnikiem”), który okazuje się Mińczukiem z naszych stron. Mówię mu moje nazwisko. Jest to nazwisko dostatecznie znane w Mińszczyźnie, aby wywołać

odpowiednią reakcję u Mińszczanina proletariusza. I konwojent je zna. Skręca jednak spokojnie papierosa, wyszczerza się do mnie życzliwie i stwierdza z zadowoleniem: „Zna- czit, ziemiak budietie?” (a więc jesteśmy krajanie?).

W Konarmii Babla jest scena, w której inteligent nie ma odwagi dostrzelić przy odwróceniu śmiertelnie rannego w brzuch kolegi, mimo jego próśb. Wyreca go prosty kozak, który rzuca pod adresem inteligenta obraźliwe przekleństwo. I kiedy ten wlecze się za nim skruszony w pyłe ukraińskiego skwaru, kozak wydobywa pomarszczone ciepłe jabłko zza pazuchy i mówi: „Na!...” — Przyjąłem to jabłko — mówi Babel — jako znak rozgrzeszenia i pojednania.

Piętnaście lat temu po kasetonach dworu rąbały oszalałe siekiery, a park pokrył śnieg podartych książek biblioteki — w książkach moi krajanie szukali pieniędzy.... A potem w ich chałupkach nasi ułani skradzionych przedmiotów.

Ale to było piętnaście lat temu. Wielki czas, jeszcze większa praca nad duszami ludzkimi, skoro ten człowiek tak daleko uszedł i od nienawiści, £ od pokory.

Przyjąłem od niego to dobre słowo. Chciałbym być „ziem- lakiem” każdego człowieka, którego spotkam na swojej drodze.

*IZZK Z KOŚCI
CZY *KRZr*KA BO

i

-----JJ^^WJJ^^ y^^HTT^si/w %99W7tK- fWM
- z* y/jzsz. irotairf, który ^ tej wfc*-
teófcfitetof ffcaařf* fw&jyr* yfffa&fe
I fom^m^f — flfe Ukfcfc
tkm, We mfc m* hm.iem yA mg&ytfp . . "/fjyrf, mi ys: zzare* 'p&iWKjyz. m ařitói teffate — a i tftmtary
— ty- ^iuezsjdL
— Mgr li^ i* xą * Zewyrz
fo r. ?/, V, fóc ZJCML r-fyr fyśm tmże !/>
r pr«a*k#
yzffřjz*, Mar&Ut, em oiH z Wk%h L**zymrs*ucll
MeM- krajfcr, w ezym tyto@ Uzjrjd&e ko frw Z ps&® m wek wy&tm je me z Pm trnz&m z &&&
i *Sere4řer, teraz tc/ pttMI"*** &ie z nfc . Z&z&A
tibttifSjsw uez *AvczřBf, vr zim
wśńśL
I f&e&śe i&estite&ef, Iśmz&aś&gy? •aaMteńmey
ieba kmitertMffrW'* yk^fze
pezgzerńe zóa&tflī idę uryfrMzć. z 'rs/zfr*
d wmjecj hřjśtóm ws.sMi ze etfař YM rzeń, rezp&ęz ztvjf*rtf*nyćr. litt&rśk, tmafcę ** jMr*> i
eK^ńtiyezztty t&zr+z t@& C
tf w yr 's?
fZamzmz? Ogfe&wtogřm - tfařb&t ti^
ynr/Jc&e - O , ir m&W&t
r/řrzóy ter*
JPop9%&&g& rj&z bmgtes — tfJr*ř — M w
Wřrwrřjz, w PtzAz*, gz&tótes@ <* &J*ry
Cip wtf&pwsM *
r/tjtřtw — kjóZA My, byl^my zsm&e 04 yo&tyk. dzters; WřřagB*
i efe&estie dkm&s&tó zfsotńdk iwA-u/ai-
r.jth. Kie Az gę yfr&Stite rry r/yło
w epee yń&A sftę. ust
Ale, uksMty, n. Mmf zx&*zjt zy&t
nyuń te&azafc *yućc. zg&esfc fs&oś/Mćt, tAm-
MMÓa A MgH, ZZkAřte
mfafafřto, uMcy ics tW7<i*kt
Mte
u*/t*my AřMi t+k p>Mqr&&x Oit zitř PitřaH
iynřńA. Sřó&efo trs*m ti&h&wc ate&a za me^atm jtsmm} rzbrzy w w/. * -wAryńśń.
ZsH&ńm- t/Fom m&c&M&B i n Mjkkieih twierdzęc, że f&leřř wnamwař Mki> kćórzzy z 4wm hiedřow H HH
wzeme& hfa zhft jEĚBm — H
m/rńk ten 4rm&
ez**řw Mtm&eńiBt* y&petmjoee tyie xrtm Tf M ■H||l im trzeczytuny z tegp tniefte» ntt hpśmy

zerwali z kameleonizmem chowającym się za wymówki ideowe. Zbrodnie muszą się nazywać zbrodniami, i to jest rola nasza, pisarzy."

Ta pierwsza sesja Inauguracyjna nosiła dźwięczny tytuł: Salut au monde. Przemawiała jeszcze Pearl Buck i Dorothy Thompson. Sesja odbyła się na terenie Wystawy Światowej Jutra. Jej pawilony dawały tło obradującej demokracji, jak bastiony średniowieczne obradującym synodom. Ta demokracja obradowała w centrum swojej materialnej siły.

Następny dzień był poświęcony sesji, na której wyładowało się właściwe napięcie zebranych. Sesja była na temat: Czy kultura może się rozwijać na wygnaniu?

Pani Nora Waln, utalentowana pisarka amerykańska (Reachng for The Stars itd.), szczebiocze sobie dosyć lekkomyślnie, ot... po amerykańsku. Mogłoby się здаwać, że pociesza pisarzy, że ona, Nora Waln, sama nie ma poczucia patriotyzmu (inwokacja do dziadka kwakra). Że owszem, lubi swoją Pensylwanię, ale że przede rozum, a nie uczucie powinno kierować pisarzem. Uważa, że jak ongi w Chinach rządziła arystokracja rekrutująca się ze wszystkich stanów, tak i literatura powinna stanowić ciało nadrzędne, bez różnicy pochodzenia, a ojczyzną pisarza jest przeciwie cały świat, więc co tu mówić o wygnaniu itd., ple, ple, ple sytej, zadomowionej w demokracji, bezpiecznej między dwoma oceanami Amerykanki,

Inaczej jednak mówili na ten temat przedstawiciele najstarszej (jeśli nie liczyć Rosjan) emigracji literackiej. Przecie przybyli najliczniej i najświetniej: Alfred Dóblin, Annette Kolb (córka pono Ludwika Bawarskiego i Loli Monfez), Thomas, Erika i Klaus Mannowie, E. M. Remarque, Ernst Toller, Arnold Zweig, Ferdinand Brückner...

Pocieszali się w swoich przemówieniach, jak Klaus Mann, że utraciwszy ojczyznę zostali obywatelami świata, jak Brückner, że przecie gdyby pozostali w Niemczech, czuliby się również duchowo na wygnaniu — ale istotny ból zadrgał w przemówieniu Tollera, Mówił, że kultura to nie tylko sztuka, literatura i wiedza, io również codzienne życie i stosunki międzyludzkie, które nas łączą. Od tego podglebia odciągają pisarzy dyktatorzy, którzy kultywują najniższe instynkty. Państwo ma odtąd stać na najwyższym,

a człowiek na najniższym stopniu rozwoju. Nazizm nie szanuje ani radości, ani cierpienia ludzkiego. Nie pozostaje nic innego jak ratować swą godność idąc na wygnanie,

Ale na wygnaniu otacza pisarza mowa, której najsubtelniejsze odcienie nie są mu znane. A przecie pisarz nie może żyć ani rozwijać się w uacum kulturalnym. Pisarze włoscy, niemieccy, hiszpańscy, czescy, którzy znaleźli się w nędzy moralnej i materialnej, powinni jednak pozostawać na obczyźnie wierni swojemu językowi.

Trzecia kolejna sesja była poświęcona zagadnieniu odpowiedzialności pisarza wobec kryzysu, jaki przeżywa świat. Chińczyk Lin Yu-Tang dowodził, że odpowiedzialności pisarskiej za świat jutra nie ponoszą pisarze państw totalnych, w których nie rozwija się literatura. Zezując oczkami Chińczyk opowiada nam, jak to w jego ojczyźnie cesarz Wei Tsung-Hien w XVI wieku zachłysnął się wreszcie niewolą poddanych 2 miał jedyne wyjście — samobójstwo. Pan Lin Yu-Tang ma serdeczną nadzieję, że ten sam los spotka Hitlera,

Van Loon ściąga dyskusję „bliżej tematu", wywodząc tezę, że przy wspaniałym rozwoju technicznym pozostajemy w gruncie rzeczy barbarzyńcami.

André Maurois bierze za punkt wyjścia swego przemówienia motto z Leibniza: „Słowa nie mają większego znaczenia niż rzeczy." Ale Maurois chodzi o co innego. Przemówienie wygląda w pewnych ustępach na spowiedź i oczyszczanie się z grzechów,

„Jak można mówi Maurois — wartościować ludy, skoro one tak się zmieniają? Pracuje się całe życie — okazuje się, że to była opinia chwili. Komunizm, faszyzm, liberalizm — to tylko dźwięki. Nie ułatwiamy sobie sądów, stwarzając z nich szablony. Turgieniew pisał: «Gdy nie mam przed sobą twarzy czytelnika, jestem zgubiony.» Literatura się zgubi, skoro pocznie iść tropem szablonów. Uczciwość i obiektywizm nie są rzeczą łatwą. Strachey rozpoczął pisać życiorys królowej Wiktorii w nastroju antywiktorian- •kim i w trakcie pisania umiał męsko zmienić zdanie, Nie kredytujcie więc swoim łatwym uniesieniom. Trzymajcie słowa zbyt gorąco pod kluczem. Pamiętajcie, że pisarza obowiązuje prawda i tylko prawda."

lit

Jednak nlo przemówienie Maurois było typowo dla nu - strojów kongresu, nlo przemówień lo całej rodziny Mannów: Tomaszu, Eriki i Klause, i sam tyłuł sosji ostatniej Wieża z kości słoniowej czy skrzynka do mydła?

Pusta skrzynka po mydle służy najczęściej przygodnym mówcom ulicznym, poruszającym palące sprawy. To ze skrzynek do mydła przemawiają kandydaci na reformatorów w londyńskim Hyde Parku, to na skrzynkach do mydła widziałem w Hiszpanii na miesiąc przed wybuchom wojny oratorów rzucających płomienne słowa, to tu, w Nowym Jorku, zaopatrzwszy się w amerykański sztandar, wyplatają, co ślina do ust przyniesie, przeróżni spryciarze na Union Square.

Pisarze demokratyczni świata, odsuwani i usuwani, przepędzani, tułający się po obczyźnie, odcięci nieraz od możliwości druku i od papieru, doznali nagle uczucia zazdrości na widok skrzynki po mydle, wobec której żywili nieopisaną pogardę, siedząc ongi w swoich wieżach z kości słoniowej.

Toteż grzmot oklasków wita słowa angielskiego pisarza, JIalfa Batesa, autora The Olive Field, kiedy dowodzi, że w chwili obecnej nikogo nie obchodzą studia psychologiczne nad duszą siedemnastolatki, że pisarz nlo pisze uczciwie, jeśli książki Jego nie odzwierciedlają życia społecznego danego okresu, że wszelkie stosunki pisarza z ludźmi wzbogacają jego talent, a dotyczy to przede wszystkim kontaktu pisarza z partiami politycznymi i grupami.

Myślę sobie, jakżeśmy to daleko zaszli od tych czasów, kiedy pisarz mający tendencję odzwierciedlania rzeczywistości społecznej był uważany za coś gorszego, i dlaczego to teraz skrzynka do mydła ma się stuć godną trybuną, kiedy mają z niej bronić pokrzywdzonych demokratów, o nie była nią wówczas, kiedy z nloj usiłowano szczepić patriotyzm i wiarę we własne siły narodu.

Bo przecież rolo się zmieniły. To właśnie „polltemigrant- ku", Erika Mann, wykrzykuje z goryczą, że za każdym razem, kiedy się kto brał do omawiania spraw społecznych, zrywał się wrzask, iż Jest propagandzistą i agitatorom.

Bo przecież to Jej ojciec, Thomas Mann, z tej trybuny Pen Ciubowej taką czyni spowiedź publiczną:

„Kultura nie może być cząstkowa. Zupominunle o JoJ stronie społecznej było dotkliwą luką. Niemcy kulturalno uni

kały tej strony, i to się zemściło. Młodość moja ubiegła pod znakiem apolityczności. Człowiek zaś prawdziwie kulturalny nie może być apolityczny. Owocom tej czysto ostetyzu- JocoJ kultury Jest barbarzyństwo. Teraz dopiero rozumiemy, co znaczą słowa: wolność, równość i sprawiedliwość."

Na zakończenie części konferencyjnej kongresu odbył się wlołki bankiet w „Hotel Plaża", największym hotelu Nowego Jorku. Romalns, zamykając przemówienie bankietowe, a tym samym i oficjalną część kongresu, podkroślił •/. humorom, że dyktatorzy postarali się, by kongres był licznie obesłany przoz luminarzy literatury, aczkolwiek nie zaopatrzyli ich w bilety. Prosi Amerykanów, aby się nie gorszyli, że Anglia i Francja nie podejmują ze zbytnim entuzjazmem inicjatywy pokojowej papieża, byłaby ona bowiem powtórzeniem Monachium, które okrośla jako „cnnni- bul parły". Czyżby teraz Anglia i Francja miały wysilać swoją dobrą wolę w stosunku do Polski, by Jej tłumaczyć, że kawałek Jej ma być zjedzony?

„Pozwólcie — kończy przewodniczący Pen Clubów — że w waszym imieniu wzniosę puchar na cześć milionów obywateli zmobilizowanych we Francji, w PolSCO, w Belgii, w Holandii, w Rumunii, którzy, oderwani od swojej pracy pokojowej, tkwią na pozycjach, aby bronić pokoju."

Po zakończeniu obrad kongres pojechał pokłonić się do Białego Domu.

Wdzięk i prostotę tego trudno opisać, ludnej warty, żadnego turabumdlu. Trawniki zielono, zo starymi drzewami, niski bluły dom, biały od tych czasów, kiedy — Juk nam objuśnlułu punl Itoosevolt —• po zniszczeniu przez Anglików nalożuło go pośpiesznie obielić, i Już lak zostało. W przestronnym hullu służba murzyńska odbiera okrycia. Szczegół charakterystyczny — bo w zumożnych domach i dobrych hotelach służba murzyńska nie Jest tolerowana. Pani Iioosovelt zaś wluśnło nieduwno wystąpiła z najbardziej „arystokratycznego" — Jeśli ten termin można stosować do stosunków amerykańskich — • Stowarzyszenia Cór Howolucj (które wywodzą się od uczestników wołki o niepodległość), ho to stowurzyszenle sprzeciwiło się koncertowi wielkiej śpiewaczki murzyńskiej, Marian Anderson (/.nu- nej i Warszawia).

Człowiek nieco tak się czuje w tym hallu, jakby przyjechał na wieś do sąsiada. Przypominamy sobie z którymś z Pen Clubistów audycję naszego kongresu w Budapeszcie u Horthyego — przez ilu to brnęliśmy hajduków z halabardami, honwedów w pelerynkach, marszałków dworu z łańcuchami na szyjach, jak to wreszcie wyszedł ku delegacjom rozstawionym w półkole szef narodu węgierskiego, stanął na podium i odbierał hołdownicze przemówienie Galsworthy'ego. Jak potem szedł wzdłuż naszego półkola i urządził zaiste królewskie „cercie” według najlepszych wzorów europejskiego ceremoniału, jak potrafił dla każdego znaleźć łaskawe słowo w świetnej francuszczyźnie, niem- czyźnie, angielszczyźnie, jak z wielkopańską umiejętnością odnajdywał natychmiast temat odpowiadający każdemu z kilkudziesięciu rozmówców. Wyszliśmy oczarowani.

Tu było zupełnie co innego. Kręciliśmy się sobie po tym hallu nieco bezpiecznie. Podobno przed kilku dniami była w Białym Domu zabawa dla zaproszonych dzieci członków korpusu dyplomatycznego. Jakieś przedsiębiorcze dzieciaki miejscowe wtrąziły się na te wspaniałości, objadły się i wy tańczyły za zdrowie prezydentostwa; opowiedziały to z triumfem wszędobylskiej prasie.

— A jakżeście weszli? — pytali dziennikarze.

— A ot, po prostu...

Spostrzegam wreszcie w kącie miłego pana w mundurze wojskowym, a ponieważ przez cały czas nie napotkałem ani jednego wojskowego munduru, więc rozumiem, że to adiutant. Jakoż wręczam mu wielkie pudło czekoladek Wedla dla pani Prezydentowej, z listem, że kazała mi to srogo zrobić moja córeczka, dzieci bowiem w Polsce są wdzięczne Prezydentowi za jego orędzie.

— To dla pani Roosevelt? O, dobrze, bardzo dobrze — ucieszył się oficer — a czy pan nie zechce sam ofiarować?

Pani Roosevelt wychodzi do nas w jakiejś prostej, przysięgłbym, że perkalowej sukience. Usprawiedliwia się, że potem przywita się indywidualnie, chciałaby bowiem przede wszystkim zaprowadzić nas do Prezydenta. Idziemy plamami słońca rozesłanymi po tych pięknych trawnikach. Jedyne objaw wystawniejsze — ta roztasowana na trawniku orkiestra w czerwonych mundurach.

Prezydent Franklin Roosevelt urzęduje w pokoju, którego półokrągła ściana wychodząca na ogród ma pięć okien.

Swego rodzaju kurza stopka. Prezydent siedzi na wygodnym skórzanym obracającym się fotelu, za biurkiem ustawionym pośrodku. Defilujemy przed nim. Z każdym wymienia uścisk dłoni. Patrzę w twarz człowieka, od tyłu lat chorego na paraliż dziecięcy, w twarz tryskającą zdrowiem, czerstwą, pełną radości życia.

— Delegat z Polski.

■— Oh! I see! — mówi z ożywieniem Prezydent i energicznie potrząsa mi rękę.

Patrzy uważnie i ciekawie na każdego z nas i jego szeroki uśmiech zdaje się zapewniać każdego, że uważa go za wyjątkowo ciekawego chłopca.

Kiedy już przedefilowaliśmy, oglądam się raz jeszcze. Prezydent robi półobrót od biurka, zdejmując uśmiech i bierze papiery, które mu podaje sekretarz.

Teraz, kiedy powracamy przez ogród, szekhendujemy się¹ na skrzyżowaniu ścieżek z panią Roosevelt, która robi honory domu w sposób inteligentny i ujmujący. Mówi, że niejednokrotnie pokazuje Biały Dom obywatelom, ale nie zawsze z dobrym skutkiem. Oto niedawno otrzymała od pewnej korespondentki z Arizony list zawierający srogię wymówki. Dama mianowicie zapuściła się aż do „basement” (suterenu) i powalała sobie sukienkę.

„Mogłaby pani — kończy list niezadowolona obywatelka — mniej się wdawać w politykę, a więcej pilnować gospodarstwa.”

Oto pokój sypialny Lincolna. W nim podpisał akt o wyzwoleniu Murzynów.

A oto pokój, w którym zawarto pokój z Hiszpanią.

Idziemy szerokim korytarzem, obwieszonym pamiątkami, zachodzimy do pokoi sypialnych, w których stoją opięte muślinem łóżka, i wciąż potęguje się wrażenie, że jesteśmy u dobrych i dawnych znajomych. Ten zupełny brak snobizmu to największy wdzięk Ameryki.

Romains długo ogląda szablę zamówioną przez ochotni

\

ków francuskich dla Washingtona, której przed jego zgonem nie zdołano mu dostarczyć i którą w 1933 roku Daladier przesłał przez gen. Chambrun, potomka Lafayette'a. Na ten skromny, piękny w swojej prostocie Biały Dom patrzą przez oceany Europejczycy. Amerykanie usiłują nie dać się uwieść. „Nie mamy co się wzruszać Europą — czytałem w tych dniach artykuł w jednym z pism — bo stan wojny jest dla niej stanem przyrodzonym.” Ale wściekłość ich ogarnia na myśl o Hitlerze.

W tym kierunku istnieje ogromny postęp. W drodze powrotnej rozmawiam z Karin Michaelis. I ta pomstuje na Hitlera. Przypominam jej, jak to na jakimś zjeździe porwała się na mnie, zakasując rękawy: „No, będziemy walczyli o Gdańsk i korytarz? ... Kiedy oddacie je Niemcom? Dlaczego nie oddajecie tego, co nie jest wasze?”

Rzecz działa się przy stole, dokoła którego cisnęły się z talerzami w rękę różne narody. Zbyliśmy wojowniczą amazonkę uśmiechem. Teraz się konfunduje:

— Tak, to prawda, proszę pana, byłam nastawiona ogromnie proniemiecko.

To nie nowina. Dorothy Thompson, przewodnicząca amerykańskiego Pen Clubu, pomstująca obecnie na Hitlera, również przed kilku laty wygłaszała odczyty żądające dla Niemiec Pomorza.

Nie można gniewać się na Karin Michaelis. Pomimo swego wieku, który dawno przestał być „wiekiem niebezpiecznym”, zachowuje niezmienną żywotność.

— Niech się pani przyzna — pytam — ile razy i z ilu szkół panią wyrzucano?

— A kto panu o tym powiedział?

— Trudno odgadnąć?

Aby więc już była sztama, zaprasza mnie na cocktail- -party do swej bratowej.

Poczęła się więc seria zebrani nieoficjalnych. Wyjeżdżam z członkiem kongresu, byłym ministrem spraw zagranicznych Peru, na weekend do bogatego przemysłowca, pana Hilla, który ma największy wywóz cennych drzew meblarskich z Ameryki Południowej do Stanów i do Europy. Trudno opisać urok tego domu letniskowego, stojącego w górach,

wśród starych drzew, nad dużym stawem, specjalnie założonym. Domu drewnianego, wywodzącego się częściowo z tradycji domów epoki wiktoriańskiej, z zielonymi okiennicami i wysoko postawionymi gankami, których tyle się widzi po prowincji angielskiej, częściowo z jakiegoś pionierskiego bungalowu.

Dobrze było nam na tym weekendzie. Pan eks-minister spraw zagranicznych władał jedynie hiszpańskim, wobec tego siedzieliśmy sobie na pieńkach nad wodą, poszturchiwaliśmy się w boki i wydawali tylko przyjazne pomruki pełne aprobaty.

Potem wziął nas gościnnie gospodarz do samochodu i powiózł na kilkudziesięciomilowy spacer.

Zwiedziliśmy najpierw bibliotekę imienia Marka Twaina. Stary, добродuszny, wąsaty pan, o postawie dobrego prowincjonalnego wujaszka, tu mieszkał, tu przyjmował gości. Czytamy jego księgę gości, oglądamy model statku po Missouri, którym jeździł, na którym zaczęły się zapewne pierwsze zarysy Przygód Hucka. Patrzymy na półki dokoła, pełne doborowych książek, na stoły uginające się pod ciężarem kilkuset pism i magazynów. Jakiś fundator stworzył tu bibliotekę Marka Twaina i zaopatrzył w fundusz żelazny.

Dalej — pan Hill wskazał ogromną połąć zielonego kraju, pełną uroczych domków, i stwierdził, że to wszystko zostanie zatopione za dwa lata. Miasto jakieś chciałoby mieć pewność, że kiedy się pocznie rozrastać, nie zbraknie mu wody, więc już teraz wykupiło tereny, zaleje je i tu urządzi swój zbiornik wodny.

Wreszcie, kiedy już słońce ma się ku zachodowi, stanęliśmy u wrót cmentarza. Przez potężną bramę wchodzimy na starannie utrzymane ścieżki. Cmentarz tonie w kwiatach; postacie kobiece tu i ówdzie pochylone w smutku nad grobami.

„Itie was bred in the purple and was a gentleman” („On był wychowany w purpurze i był gentlemanem”) — czytam na jednym nagrobku i będę się, nie mogąc odnaleźć imienia tego cesarzewicza czy księcia krwi. W głowie mi się rozjaśnia, kiedy na następnym nagrobku widzę dedykację: „To my Puppy”, i wyjaśnienie: „Przejechał sześćdziesiąt sześć tysięcy mil razem ze swym panem i panią.” A więc to psi cmentarz?...

Przed wyjazdem z kraju pisałem przedmowę do pamiętników lekarzy wiejskich, to były straszne dokumenty o bytowaniu człowieka w Polsce.

Teraz więc z dziwnym uczuciem idę nie kończącymi się ścieżkami tego ogromnego cmentarza, oglądam krzyże na psich grobach, oglądam utrefione, wymuskane fotografie „nieboszczyków” na emaliowanych medalionach, w płaskorzeźbach dłuta doskonałych rzeźbiarzy, czytam nieutulone w żalu inwokacje, jak ta na przykład: „Byłeś zbyt subtelny („too fine”) dla tego świata. Wierzę, że Bóg powołał Cię do świata lepszego.”

A nazajutrz rano, kiedyśmy rozłożeni na werandzie przyjmowali z rąk pani Hill gorące sandwicze z rusztu, przy którym majstrował lokaj Francuz, z wykształcenia inżynier, dziś managerujący intelektualnie swemu gospodarzowi, jak ongi molierowscy służący — przyjechał członek kongresu Ernst Toller.

Uderzył mnie w jego oczach wielki smutek. Usiadł nad wodą stawu, bezwładnie zwiesił ręce i pytał matowym głosem o Tuwima.

Powiedziałem mu, że nie wyobrażam sobie Tuwima na emigracji

Toller, Żyd urodzony w Poznańskim, Toller, pięcioletni więzień niemiecki, ożywił się nagle:

— Niech[^]mu pan powie, żeby nigdy tego nie robił. Pisarz musi czuć pod sobą grunt, z którego kulturalnie wyrósł. Inaczej...

Bezwładny ruch opadającej ręki dokończył zdania.

Dokończył go właściwie Toller w parę dni potem, odbierając sobie życie.

DOOKOŁA WRZEŚNIA

GRA W SZACHY*

Przez gęstwę winogronowych liści, przesłaniającą otwarte weneckie okno, sączył się blask słońca sierpniowej niedzieli.

Przy stoliku pod oknem ksiądz Wróbel, wikary zaleszczycki, grał w szachy z doktorem Lewinem Ostry. Blask słońca uparcie przebijał się na tę stronę, po której siedział ksiądz, i padał na jego z lekka puciołowatą twarz. Wikary, trzydziesto czteroletni mężczyzna, ze skłonnością do tycia, kręcił się unikając tego blasku. Mimo ostatnich dni sierpnia upał stał za oknami w nagrzaną kotłownicę, w której lęgną się Zaleszczycki, i ksiądz Wróbel raz po raz ścierał krople potu z niskiego czoła, pokrytego gęstymi i kręcącymi się włosami; pod nimi w pulchnej twarzy z siecią czerwonych żyłek, zdradzającej skłonność do konstypacji, tkwiły małe oczka, błyszczące, ciekawe i zapalczywe.

Starszy o siedem lat doktor Lewin siedział w wyrównanym, prześwietlonym cieniu: zabawnie sterczały odstające uszy ściągniętej, brzydkiej twarzy o wydatnych wargach, nad którymi zwisał haczykowaty nos, podpierający okulary w grubej rogowej oprawie. Nad tym czoło przechodzące w maskowaną łysinę wybrzuszało się w tak zwane guzy mądrości.

Doktor posunął figurę i kontynuował rozmowę:

— Co znaczy: „zawarli pakt”?

Pytając podniósł głowę i wtedy objawiły się oczy pochłaniające całą twarz: wielkie, piwne, nalane jakimś niewymownym smutkiem.

Wikary strzelił oczkiem i zdrętwiał: doktor znowu ruszył koniem. Ksiądz wiedział, że ile razy nie zdołał zapobiec w tej fazie gry ruchowi koniem, stawał się bezbronny, Skoro już dochodził do tej sytuacji, nie udało mu się dotąd odnaleźć obrony. .

Wnet więc poczuł narastające rozdrażnienie na ten żydowski sposób podpytywania i wystartował:

— To znaczy, że jeśli Anglia gwarantuje niepodległość Polski, więc będziemy razem się bili, nie rozumie tego doktor?

W tym „nie rozumie tego doktor” była cała zapalczywa zaczepność księdza Wróbla i doktor w lot pochwyił zaczepkę. Mówili o wiadomości, którą dziś przyniósł niedzielny „Kurier Ilustrowany”, o podpisaniu przez Anglię z Polską paktu gwarantującego wspólną walkę z agresją.

Spieranie się to był żywioł doktora Lewina, można powiedzieć — nieustająca uczta duchowa. Zmrużył, przygasił smutne oczy-lampy szosowe; w takich chwilach oczy-latarcki postojowe przez zmrużone szczelinki tryskały nieposkromioną przekorą:

— Ksiądz to mnie przypomina Katza...

W księdzu, po stokroć nauczonym, że lepiej nie zbliżać się do zasadzek Lewina, ciekawość i tym razem przemogła:

— Co znaczy: Katza? — spytał wpadając w styl rozmówcy. („Może parować królową?” — ruszył po szachownicy z desperacją i nieco po omacku.)

— To był taki „szatchen” u nas w Lidzie. To on swatał córkę Rabinowicza za księcia Walii i mówił, że ma na pięćdziesiąt procent interes załatwiony, bo Rabinowicz już się zgadza.

— Ale tu i Anglia się zgodziła.

— Podpisać pakt. Ale czy się zgodzi walczyć, to ja jeszcze idę wątpić. A jak idę wątpić, to nie wiem, czy Katz, kiedy w końcu wyswata tę córkę Rabinowicza, będzie mógł spokojnie modlić się w lidzkiej bożnicy. W tym miejscu — naturalnie — ścichapkę ruszył pionkiem i powiedział: „szach!”... Ksiądz wiedział, że w najbliższym posunięciu przyjdzie mat. Zwykle w takich chwilach chwytął się za zegarek i porywał się znad szachownicy z okrzykiem „orandum est”.

Ale Jego partner, niejednokrotnie wykiwany w ten sposób, przeznał duszpasterskie rozkłady. Była dopiero druga i doktor niewątpliwie wiedział, że do niesporów zostaje jeszcze kupa czasu. Ksiądz więc poczuł, że go tym większa pasja chwytą:

— Modlić się... Spokojne ŻydkL. A Pana Jezusa kto ukrzyżował?

To już było całkiem bez sensu i doktor wrzynał się w rozbite szyki przeciwnika z ukontentowaniem coraz większym:

— Jak w Wilnie antysemitniki robili gwałt, to jeden podleciał do spokojnego Żydka czekającego na tramwaj i dał mu w pysk. To ten Żydek pyta się: „Czego ty mnie bijesz?” To ten antysemitnik mówi, że Żydzi Chrystusa zamordowali. To ten Żydek mówi, że to było dwa tysiące lat temu. „Ale ja się o tym teraz dowiedziałem” — mówi ten łobuz. Czy ksiądz się o tym dowiedział teraz... jak z tym pionkiem trzeba coś zrobić^

— Są rzeczy, z których nie pozwolę kpić — zawołał purpurowy ksiądz Wróbel i demonstracyjnie wyleciał za drzwi.

Doktor Lewin nie dał się wytrącić z doskonałej pogody ducha i pochylił się nad szachownicą, delektując się rozważaniem zwycięstwa.

Po chwili drzwi otworzyły się impetycznie, ukazując śwler- kające oczka. Ksiądz Wróbel najwidoczniej poczuł, że musi swój exodus lepiej podmurować:

•— Jak się żyje na polskiej ziemi, to trzeba wierzyć w Polskę, a nie zbywać-wszystkiego dowcipami — ksiądz zrobił wyrazisty ruch, dmuchając w stulone palce, które zaraz rozczapierzył, co miało obrazować puszczenie baniek. — Graj sobie doktor lepiej z tym patałachem pigularzem.

„Trzeba wierzyć... Nie można wszystkiego zbywać dowcipami...” — doktor Lewin zagłębił się w fotel. „Trzeba wierzyć!”... oto co go ciągnie do tego nieznośnego klechy, z którym stale się kłóć. Doktor Lewin dawno potracił wszystkie żydowskie wiary, a w polskość nie wrósł. Gasił w sobie nieukojoną tęsknotę tułacza reakcjami tego zdrowego słowiańskiego byczka, orzącego dotykalmą ziemię katolickim pługiem.

li

Na powierzchnię nietoperzowej twarzy doktora wyszły lampiony oczu. Te szosowe... nalane smutkiem sześciu tysięcy lat. Za oknem stał obezwładniający żar, słońce chodziło po pokoju, jakiś ptaszek uparcie piukał tuż za oknem.

Doktor Lewin przypominał, jak za oknem chederu piukał taki sam ptasi głos i mały Szmulek okropnie chciał zobaczyć, co to tak piuka. Ale zaraz dostał boleśnie przez palce od „melameda”, reb Lejby, i wrócił do żarliwego wywrza- skiwania tekstów.

Ojciec jego, pobożny „misnagd”¹, szynkarz w zapadłej białoruskiej mieścinie Naliboki, odrywający się od subtelnych neologizmów, aby nalewać wódkę chłopom, kiedy już Szmulek miał trzy lata, owinał go w „tales” (rytualny szal nakładany przy modlitwie) i zaniósł reb Lejbowi do chederu. Odtąd dla chłopca nie istniały obłoki na niebie ani zieleń na drzewach. Spędzał czas od świtu do nocy pochylony nad księgami, jako siedmioletni chłopiec znał tak dobrze Torę, że kiedy przekłuwano szpilką jej kilkanaście kartek, potrafił powiedzieć, jaki werset przekłuwła szpilka i na której stronie. Mając osiem lat biegle tłumaczył komentarze Rasziego², umieszczone w przypisach po prawej stronie Talmudu, wyjaśniając, że kiedy Rebeka, żona Izaaka, będąc w ciąży, przechodziła koło bóżnicy, to z niej się wyrwał na świat Jakub, a kiedy przechodziła koło świątyni pogańskiej i czuła w sobie obracanie się płodu, to oznaczało, że na świat się wyrwał Ezaw. Mając dziewięć lat, już począł gryźć zawiłości umieszczone po lewej stronie Talmudu, „tossafoth”³, i tłumaczył przy cmokaniu otoczenia, kiedy można nie odmawiać „bracha” (błogosławieństwa) przed posiłkiem: czy wtedy, kiedy chleb leżący na stole nie przekracza wielkości daktyla, czy też jeśli nie jest większy od oliwki. Żyjący za czasów Chrystusa rabbi Hillel był zwolennikiem pierwszej teorii, a współczesny mu rabbi Szammaj drugiej, i przez dwa tysiące lat nagromadziły się komentarze do komentarzy obu szkół.

Z wolna dusza chłopca została tak zoperowana, że śpiew ptaków przestał go obchodzić. Nieubłagany reb Lejb powtarzał „Im lam adta lo szanita; im szanita — Io szilasza”, co znaczy: Jeśliś się uczył, toś się nie uczył dwa razy; jeśliś się uczył dwa razy, toś się nie uczył trzy razy; jeśliś się uczył trzy razy, toś się zgłębił.

Stopniowo zamiast otaczającego świata wyrastał dookoła chłopca inny, kolorowy świat, zawieszony jak w próżni w otaczającej rzeczywistości. Dla żydowskiej ludności miasteczka położonego w puszczy śnieg był początkiem zarobków: rozpoczynał się zwóz drzewa nad Niemen. Rozmowy były tylko o tym, kiedy wreszcie ten śnieg spadnie. Potem... szli do synagogi i modlili się do Jedyne go, aby zesłał swe błogosławieństwo na kraj i „zwilżył go rosą i deszczem”. Równocześnie w sercach trwało błaganie niewypowiedziane: prosili Boga o śnieg i mróz. Dwie modlitwy równorzędne i równie żarliwe. Jedna z walki o chleb codzienny, druga zrodzona przed tysiącami w krainie palącego słońca.

Kiedy w szabasowy wieczór zapalały się świece siedmio-ramiennej menory, aniołowie sabbathu spływali do ubogiego domku w błotnistej uliczce i odmawiający modlitwę ojciec nie był już ubogim szynkarzem, schlebającym pijącemu chamstwu, tylko potomkiem szczepu Lewi, obsługującego świątynie, członkiem narodu wybranego przez Boga, narodu, który będzie panował światu. Młody talmudysta począł pograżać się w kabalistyczną pasję wyliczania terminu nadejścia Mesjasza i na wszystkie boki obracał przepowiednię proroka Daniela:

„Po zamierzonym czasie i po zamierzonych czasach i po połowie czasu... A od tego czasu, któremu odjęta będzie ofiara ustawiczna, a pozostawiona będzie obrzydliwość spustoszenia, będą dni tysiąc i dwieście i dziewięćdziesiąt. Błogosławiony, kto doczeka, a dojdzie do tysiąca i dziewięćdziesiąt. Błogosławiony, kto doczeka, a dojdzie do tysiąca dni od trzechset trzydziestu i pięci.”

Mając lat siedemnaście, młody Szmulek był mądrzejszy od reb Lejba i rwał się do dalszej wiedzy. W pobliskim Mirze stał wielki zamek, cytowany przez wszystkie prze-

wodniki. Ale nikt z turystów nie zwracał uwagi na cudo świata, przykleśle wśród zbutwiałych domków u podnóża zamku, na słynny na cały świat bethamidrasz (Bet-Ha-Mi- drasz — Dom Nauki), wyższą szkołą studiów rabinicznych, do której ściągali uczniowie z obu półkul.

Tam miał szczęście trafić młody talmudysta z Naliboków.

Kiedy bladego chłopca w jarmułce, z kręcącymi się pejsami, wprowadził ojciec do bethamidraszu, gdzie wśród półek zawalonych książkami, nad kilkusetletnimi topornymi pulpitemi z wielocalowej dębiny, panował nieopisany wrzask studiujących, rektor uczelni, przepytawszy go o trzydzieści dziewięć zakazów sabbathowych, z których każdy ma trzydzieści dziewięć „córek”, to znaczy podpunktów, zapytał go, jakich zwierząt nie można zarżynać jednocześnie.

Pytanie było dziecinnie łatwe, odpowiedziały na nie każdy uczeń chederu reb Lejba. „Choć krowa, choć owca nie będą zarżnięte jednego dnia wraz z matką” — egzaminowany powołał bez namysłu przepis Leviticus XXII, 28.

— Dobrze — zapytał rektor — ale jeśli kto zarżnął jednego dnia nie tylko cielę, ale i matkę, i babkę jego? Ile wówczas popełnił przestępstw?

Lewin odpowiedział na to, że należałoby zbadać kolejność, w jakiej zwierzęta zostały zarżnięte. Jeżeli najprzód zarżnął babkę, potem wnuczkę, a na końcu matkę — popełnił jedną tylko czynność przeciw Zakonowi i zasługuje tylko na jedną przepisana chłostę; bo babkę zarżnąć przecie wolno, wnuczkę — wolno, bo to nie płód, tylko płód płodu. Dopiero trzeci czyn — zarżnięcie matki, jest przestępstwem.

Lewin senior zacmoktał się z zachwytu. Stary „gaon” (mędrzec) z Miru z zadowoleniem pogładził brodę, ale uważał, że należy ukorzyć tego „am-haareca” (prostaka — dosłownie: syna ziemi), tedy upomniał:

— Rabbi Jozua mawiał: „Gdyby wszystkie oceany były wypełnione atramentem, wszystkie trzciny były piórami, ziemia i niebo pergaminem, a wszyscy ludzie by pisali, te jeszcze tego wszystkiego by nie starczyło na opisanie tego, czego się uczyłem. A mimo to nie więcej wyłowilem ze źródła wiedzy niż pędzelek zanurzony w wodzie oceanu.”

To była jesień 1915, wojna toczyła się od roku, ale betha- midrasz był jak dzwon zatopiony w głębi oceanu — co ||

działo na świecie, nie było rzeczywistością. Rzeczywistość trwała w księgach, żyła zdarzeniami, które odbywały się przed trzema tysiącami lat w Jeruzalaim, w Hebron, w Sa- tadzie, w Beit-Szan.

Niebezpieczeństwo jednak taίło się tuż — w książkach, w kolegach. Na trzystu studentów osiemdziesięciu było >3s zagranicą, z Europy Zachodniej, z Ameryki, z Afryki Południowej. Młody talmudysta pożyczał od jednego z nich, absolwenta filozofii z Heidelbergu, dzieła żydowskich myślicieli i poetów, którymi bethamidrasz zajmował się mało lub wcale. Za Majmonidesem przyszedł Halevl, za Hale- vim — Spinoza. Ze zgrozą czytał, jak na żydowskiego filozofa z Amsterdamu rzucano „heirem” (kłątwe), ale lektura działała niczym narkotyk, od którego trudno się było oderwać.

Wojna ogarnęła Mir, armaty huczały. Niemcy wyparli Rosjan. Po trzech latach Niemcy się cofnęli, strzały armatnie przestały wstrząsać pozieleniałym dachem bethamidraszu, do Miru wlała się rewolucja, przed pomętniałymi szybkami uczelni poczęły defilować czerwone sztandary, a oni w dalszym ciągu studiowali babilońskich gaonów, Szulchan Aruch, rozważali „presbuie” — wywody mające na celu drogą zawiłych wybiegów wyminąć przepisy zbyt surowe dla realnego życia, pozwalające wykreśćić się w roku jubileuszowym od nadania wolności swym niewolnikom.

Spinoza pisał: „Gdyby kamień, rzucony w przestrzeń, mógł myśleć, toby sądził, że leci z własnej woli.” Lewin począł zastanawiać się, czy żydostwo nie jest takim kamieniem rzuconym w dzieje. Proces myślenia nie był łatwy, bo odkąd, mając cztery lata, dostał po łapach od reb Lejba za interesowanie się śpiewem ptaka, został odcięty od życia i spraw jego.

Pomógł mu traf. Z rewolucją przyszedł głód i bethamidrasz się rozproszył. Ojciec umarł, matka przeżywała się posługami, starszy brat wyemigrował do Palestyny przed laty i słuch o nim zaginął. Szmulek został chłopcem do wszystkiego u Segala, fotografa w Wilnie.

Saul Segal, syn Nuchima, pochodził z Naliboków, był uczniem reb Lejba na piętnaście lat przed Lewinem. Zachował wspomnienie, jak reb Lejb za karę kazał mu odpiąć spodnie i wezwał uczniów chederu, aby w nie pluli, Segal był straszliwy „apikojres” (bezbożnik| ział nienawiścią do

ortodoksji i należał do „Bundu”, póki się nie dorobił. Obe« cnie był to SawollJ Akimowicz, w którego domu mówiło się po rosyjsku, liberał z zaokrąglonym brzuszkiem, kuso ubrany, golony, co było wielką bezbożnością i napełniało Lewina zgrozą. Zgrozą go napełniały „nieczyste” kobiety, nie noszące przepisowych peruk, które przychodziły się fotografować. Miał kłopot, starając się od nich trzymać tę odległość przepisanych trzech łokci, zaglądał się, bo w domu Segala nie uznawano „koszer”, Z wolna jednak „kamień rzucony ręką w przestrzeń” poczynił zmieniać bieg.

— Trzeba w coś wierzyć — rzucił zaperzony ksiądz Wróbel.

Doktor Lewin przypomniał tę chwilę, kiedy wziął wreszcie rozbrat z dorobkiem tyloletniego wysiłku. Było to lato 1020 roku. Z Wilna odeszły polskie wojska, Front przesunął pod Warszawę. Kraj był po raz nie wiadomo który wyniszczony wojną, Wilno, poczuwszy się parę- set kilometrów za frontem, ponownie starało się żyć żydem normalnym.

Pewnego dnia z rozbitych Nalihaków zjawił się u swego byłego ucznia wynędzniały reb Lejb:

— Słuchaj, Szuelke, daj mi trochę pieniędzy, to ja zaczął handlować.

W Segale wezbrała gorycz, postanowił zemścić się na rabusiu dzieciństwa:

— Robo, Jak ja tobie dam pieniądze, to ty je wydasz na poąg dla córki, To ja tobie lepiej dam żyro.

— Nu dobrze, ale ty mnie poradź, z czym ja mam han- dlować?

— Jak to, rebo, toś zapomniał, coś nas uczył, że len w Na- harii był sześćdziesiąt razy tańszy niż w Jerozolimie? To ty handluj tym Inem.

Reb Lejb zrozumiał, że Segal kpi. Może jednak, wykpiwszy się, da pieniądze.

— To jest sprawiedliwe, tak jest napisane — postanowił dialektyką zwyciężyć dialektykę — ale czym zapłacę za przewóz tego Inu?

— Oj, rebe, przecie nas uczyłeś, że rabbi Cadok woził towary z Jerozolimy do Naharil. Wraca pustym wozem, to ci zabierze len.

— Ale muszę mleć pieniądze na zadatek, Kto pójdzie dać cały towar na żyro?

SgHMHHHMIRn

— Oj, rebe, czyż nie uczyłeś nas, że jak jest spór, to sporne sumy składa się i ten „munchln” leży jako depozyt do przyścia Mesjasza, który rozstrzygnie. Ileż tam Już musiało nabrać się pieniędzy od początku świata. To ty weź z tego munchln.

— Co znaczy — Ja wezmę, to dlaczego każdy nic ma wziąć? — pyta omal płaczkliwie „melamed”, czując, że nie może napocząć fotografa.

— Oj, rabbi, rabbi... To ty zapomniałeś, co nas uczyłeś, że każdy, co pilnuje szabasu, to ma włości bez granic? Ty przestrzegałeś go całe życie, no to masz włości. To możesz pod ich zastaw wziąć sobie z munchin.

— Szuelke, to po co mi twoje żyro? — wybucha reb Lejb. — Towar mam, przewóz mam, pieniądze też.

— Rabbi, ale co ty zrobisz, jak przyjdzie Mesjasz? On przecie natychmiast rozstrzygnie, do kogo pieniądze w munchin należą, ty będziesz musiał zaraz zwrócić, zanim zdążysz spieniężyć włości. To jak ty będziesz wyglądał? To na to ci potrzebna moja gwarancja? To ja ci daję gwarancję: że Mesjasz nie przyjdzie.

Domownicy długo się śmieli z tego, jak Sawelij Akimo- wicz wykorzystał swoje wykształcenie talmudyczne. Rozochocony Segal uciął kawał kiełbasy i wsunął Szmulkowi w rękę. Chłopak ugryzł ją mężnie i zwymiotował. W tym dniu odbyło się jego radykalne zerwanie z religią.

Słońce przesunęło się i włożyło mu na twarz. Zasunął się z fotelem głębiej i zajadł medytował dalej. Nie lękał się: nadciągała wojna, starał się więc rozeznaczyć w niej swoje miejsce. Głęboko wszczepionym nawykiem myślenia identyfikował żydostwo z religią. Więc skoro rzucił religię, to czy rzucił żydostwo? Skoro rzucił żydostwo, to może jego misją jest wymachiwanie maczugą pospołu z księdzem Wróblem i innymi troglodytami?

Wojna... Zabójstwa... Wstrząsnął się całym ciałem. Dziewięćdziesiąt diasporskich pokoleń, które czuł na plecach, przekazało mu dziedziczny wstręt do rozlewu krwi.

Wstał i zaczął chodzić po pokoju. Ten jego lekarski salon przyjąć, w który, zdawałoby się, wżył się Jak koń w uprzęż, raptem zaczął odpychać wszystkimi ścianami. Spojrzył na dyplom uniwersytecki wiszący na ścianie.

Ileż cierpień... To nic, te kucia conocne na barłożku rozkładanym co wieczór w atelier fotograficznym. Matura, którą zdał jako ekstern, była zabawką po treningu w Mirtę. To nic, lata studiów uniwersyteckich, kiedy żył stokroć lepiej z korepetycji niż jako uczeń bethamidraszu. Ale ten świat, ten obcy gojski świat, po którym nie wiedział, jak stapać. Szedł do niego z sercem gotowym pokochać — kamień rzucony w dzieje, który poważyl się zmienić parabolę biegu. Nie powiedział księdzu Wróblowi, że to on był tym Żydem spoliczkowanym na przystanku tramwajowym. Za co? Za ciekawość życia? Za to, że garnął się do nowej rzeczywistości? Przecież dopiero mając dwadzieścia dwa lata począł uczyć się po polsku. Ileż wysiłku... Czy kto podał rękę, zrozumiał, ocenił, pomógł? To nowe życie nieraz go odrzucało jak ta kiełbasa, bo do strawy duchowej, którą dobrowolnie obrał, dosypywano popiół upokorzenia.

Wówczas sobie powiedział: jeżeli za przeniesienie kuferka z Wielkiej ulicy od Segala do mej studenckiej norki na Niemieckiej musiałem zapłacić czterdzieści groszy, to chyba przenosiny z jednego obszaru kulturalnego dę drugiego muszą kosztować nieskończenie więcej, no nie? Nie bądź głupi, Szmulek, nie szukaj gojskich Sawelich Akimowiczów, aby ci udzielili kredytu na te przenosiny. Skąd mają mieć pewność, że nie zarwiesz? Sam masz płacić.

I z całą zawziętością namiętnej, talmudycznej natury — płacił.

Jeżeli należał do polskich stowarzyszeń, płacił składki, chodził na obchody, zapoznawał się z literaturą, tkwił na każdej nowej sztuce, to nie po to, by się przypadobać. Przeciwnie — trzymał się swego żydowskiego imienia ku zgrozie panienek prowadzących ewidencję w kancelarii uniwersyteckiej, woźnych wywołujących listy, profesorów przeglądających arkusze egzaminacyjne. Odbierając dyplom uniwersytecki dał sobie wpisać Samuela, ale w paszporcie miał wypisanego Szmula i nie mógł się zdecydować, czy jest Lewinem z paszportu czy z dyplomu. Jeśli był Szmulem, szemrano, że się wygradza od polskości, że prowokuje. Jeśli był Samuelem, oburzano się na mimikrę. Doktor Lewin więc, odchodząc w istocie od żydostwa, to żydostwo nieustannie podkreślał. Z lekka żydłaczył, odpowiadał pyta' niem na pytanie, sypał anegdotami żydowskimi. Tłumaczył to przed sobą postanowieniem wejścia do tego polskiego społeczeństwa frontowymi drzwiami, a nie kuchennym wejściem. Nie przez zmianę nazwiska, imienia, pochodzenia. Ale pftez wartości, które wniesie.

W tym dążeniu okazał nieustępliwą zaciekłość. Skończywszy w 1927 roku uniwersytet, otrzymał posadę w Ubez- pieczalni w Gdyni. Jego tytanicznej pracy nikt nie mógł negować i mimo żydowskiego handicapu uzyskał niebawem stanowisko lekarza naczelnego w tym mieście portowym.

Mianowanie uderzyło mu do głowy. A więc jednak obrał dobrą drogę, a więc ten nowy świat go nie odrzuca. Nie zebrał o kredyt, zapłacił kosztą przeprowadzki z czubem, ale dopiął swego. Poczul właściwe swej rasie poczucie uwielbiającej wdzięczności.

Rosnąca Gdynia stała się Mekką bezrobotnych. Ściągał do niej proletariat z całej Polski. Obok corbusierowskich gmachów wyrosła cała dzielnica, zwana „Pekin”, domków z dykty, ze skrzyń, w których wyładowywano towary. W Pekinie szerzył się nieład dzielnicy portowej, przybywające okręty importowały choroby weneryczne: roznosiły je na cały kraj skurcze ekonomiczne, wsysające i znów wypychające bezrobotnych.

Doktor Lewin postanowił schwycić syfilis za gardło w bramie wejściowej. Podzielił miasto i począł wzywać pismami urzędowymi odcinek po odcinku do stawienia się na badanie krwi. Na ogromnym planie Pekinu, pokrywającym całą ścianę, doktor Lewin miał oznaczony każdy dom i po wykryciu w nim syfilisu wpinał żółtą chorągiewkę. Iście talmudyczną przewrotnością wyinterpretowawszy przepisy, powykrawał z budżetu środki na zorganizowanie ekip sanitarnych i poddawał chorych przymusowemu leczeniu. W numerze „Wiadomości Literackich” poświęconym morzu doczekał się nawet specjalnego artykułu pod pompatycznym tytułem Judym w stopniu służbowym.

Ale krótkie były czasy triumfu. Kiedy posunął się z nakazami obowiązkowej rejestracji do dzielnic poza Pekinem, zamieszkali w nich prezesi a dygnitarze wszczęli gwałt. Lewina zapytano o uzasadnienie prawne. Kontrola rachunkowa wykazała, że wydatki na fantazje doktora wysuszyły środki przeznaczone na inne działy. Powstał gwałt o bezprawie, omal proces o nadużycia. Szczęśliwie skończyło się usunięciem ze służby. Okazało się, że w życiu realnym nie można wozić mitycznego lnu z Naharii.

A jednak, „może można? Lewin usiłuje brnąć dalej po drodze medycyny społecznej. Po powrocie do Wilna wplątany zostaje do jakiegoś komitetu gadającego o walce z gruźlicą. Znow bierze wszystko na serio, zbyt na serio, I oto znalazł się na czele utworzonej przez siebie kooperatywy przeciwgruźliczej, łączącej siedem gmin powiatu wileńskiego, Przemysłowość nieustępliwa i dziecięce zaufanie do tego, że przecie wszystko musi się zrobić, skoro jest słuszne, wprawiły, że spółdzielnia niebawem rozporządzała ruchomym wozem-laboratorium, którego ekipa w każdym tygodniu nawiedzała jedną gminę, badała dzieci w szkołach metodą Piręctwa na zagrożenie gruźlicą, a dorosłym gruźlikom zakładała odmy, Szczupła figurka doktora Lewina dwoiła się i troiła, z twarzy został tylko nos, tuż nad oczami pod wielkimi rogowymi okularami, Ale nie było środków na leczenie szpitalne, na izolowanie. Doktor brzośnie odwiedza chałupy, w których leżą chorzy na gruźlicę rozpadową na jednym łóżku z dziećmi. Doktor przez brzoświnową cerę policzków, przez rączki w dołeczkach widzi wyschnięte ciała.

W Wilnie niechętnie patrzą na tę pracę. Na to jest Ubezpieczalnia. Jeśli ubezpieczenia społeczne nie pokrywają jeszcze wsi, a służą jedynie ludności robotniczej, to powoli do tego się dojdzie. Na wszystko jest swój czas.

Chłopi też się zniechęcają, składki przestają płynąć. Doktor nie ma daru popularyzacji. Mówi dowcipy, które obrażają, każe wierzyć w coś, co wcale nie jest takie jasne. Spółdzielnia się rozłazi, długi doktora zostają. Zaczyna praktykować w Lidzie. Zwiedzili się, że jest najtańszy, że leczy darmo, że zawsze można go obełgać, Ma pełną poczekalnię żydowskiej i chłopskiej biedoty. Ma pełną poczekalnię ludzi, co idą szukać dodatkowej kuracji, nie wiedząc, że się nazywa psychoanalizą. Doktor przejmując się, rzuca się w życie ludzkie z głową, aby raz Jaszcz się przekonać, że Jest oszukiwany. Końce w nim cierp-kość i krytycyzm, Młoda Żydówka, u której skonstatował ciężę w trzecim miesiącu, zapewnia, że to chyba stąd, że „na suk popoła” (trafiła na sęk — Żydzi w Lidzie mówią jeszcze po rosyjsku). „To za sześć miesięcy urodzi pani sukinsyna,” Stary gospodarz skarży się, że traci słuch, bo Jak rano wstaje, to nie słyszy, Jak p, „dzł. Doktor zapisuje mu kminku wiatropędno: „Słyszeć lepiej nie będziecie, ule będziecie głośniejsze, „ó,” Czuję, że gorzkiejsze, kostyczniejsze, zapada się. Uznania — nie ma; pieniędzy — nie ma; najgorzej, że nie ma czym żyć. Kielbasę je, ale zaiste jeśli Inkwizycja ustaliła trzydzieści siedem sposobów rozpoznawania, czy Żyd nie markuje tylko chrześcijaństwa, to w Lidzie tropią na tysiące sposobów. Doktor Lewin nie myśli markować; doktor Lewin szuka swojej duszy.

Idzie na rok na Jom Kipur, w Dzień Sądu, idzie do bożnicy. Nie wie po co; z nawyku, z szacunku dla starej matki, która z nim mieszka, czy może, „z nieświadomionej tęsknoty, Idzie do bożnicy chasydzkiej, tam się modlą najzarliwiej: — W imieniu zebranych, w imieniu Boga, w imieniu Sądu Wyższego i w imieniu Sądu Niższego pozwalamy modlić się z przechodniami — intonuje prowadzący modły.

Doktor Lewin zaciska na sobie taśmę — to on, chluba bethamldraszu, jest teraz tym przechodniem, któremu pozwalają modlić się wraz z resztą Izraela. Latarni chylił czoło z uwiązanymi filakteriami — w których mieści się święty tekst. Chluba bethamldraszu wie, co ten tekst zawiera:

„Strzeżcie się, aby snadź nie było zwiedzione serce wasze, abyście, odstąpiwszy, nie służyli bogom cudzym i nie kłaniali się im,”

Azali nie palą te czarne skrzyneczki czoła, Szmulu-Sa- muolu?

Kantor teraz otwiera nabożeństwo wstrząsającą Kol- -Nidrei

„Wszelkie zaprzysiężenia i ślubowania, I oświadczenia uroczyste, któreśmy wzięli na siebie pod karą; to, cośmy ślubowali i zaprzysięgali, i zobowiązywaliśmy się od dzisiejszego Dnia Sądowego aż do Ostatecznego Dnia Sądowego, aby przyszedł w dobroci — żałujemy ich wszystkich. Niechaj będą poczytane za nieistniejące, Nasze ślubowania nie są ślubowaniami, nasze przysięgi nie są przysięgami.”

Cało wewnątrz bożnicy jest białe, bo wszyscy są w śmiertelnych koszulach i w tałosach. Każdy na własną rękę chce się przedrzeć do Boga. Podnoszą ręce okryte rytualnymi rzemieniami, zaciskają pięści i wykrzykują wersety, dopingując modlitwę wznoszącą się do Boga, modlitwę ociążała ich grzechami. Tak na polach wyścigowych tłum dopinguje finiszujące konie. Rabinowicz, bogacz, dla którego jedynaczki swaci nie mogą znaleźć dosyć dobrego męża w ca

łym województwie, rozstawił ręce i tańczy z przeciągłym „a-a-c-h” ekstazy, obracając się dookoła siebie. Brodaci, poważni kupcy wspinają się na palce, podnoszą ręce do nieba, skaczą, jak mogą najwyżej — całym ciałem rwą się do Najwyższego. Bożnicę ogarnia „hidlachdut” — spalanie się. Twarze cudnych chłopiąt, ubranych na biało, o ustach jak granat rozcięty i oczach jak lampy rozjarzone, twarze o dziewczęcej karnacji — jaśnieją w otokach pejsów pod futrzanymi czapami z lisich ogonów.

Lewin wtapia się w nich, gotów jest wierzyć wraz z nimi w tę straszliwą noc Sądu, że Bóg Zemsty, Jehowa, się rozjarzył:

„W blasku, groźny i nieruchomy, zasiada na tronie gorejącym, w morzu płomieni, odziany w purpurę ognia, a węgle gorejące — podnóżkiem jego. W krąg w potwornym płasie wiją się języki ogniste. Nad głową jego trzaska pożar i ze świstem wysysa, łapczywy, przestrzenie światów. Od spojrzenia jego stopy rozpalają się wyżej za drgnieniem powiek” (Bialik).

To jest Bóg Izraela, Bóg „zawistny” (Deut. V, 79), który grozi doktorowi Lewinowi, że „choćby się skrył przed moimi oczyma na dnie morskim, przykażę wężowi, aby go i stamtąd wykąsał”.

Doktor Lewin... poczyna się modlić. Jak ukojenie sływa na niego Unetanneh-Tokef, modlitwa, której tekst przed tysiąc dwustu laty umęczony, skrawiony rabbi Amnon, przyniesiony do synagogi, podyktował konając:

„Cóż jest człowiek? Łamliwy czerep gliniany; trawa, która usycha; kwiat, który więdnie; cień, który przemija; chmura, która się rozwiewa; wiatr, który przewieje; proch, który znika; sen, który ulatuje. A tyś jest, Boże, królem wiecznie trwającym.”

Doktor Lewin wraca późną nocą do swego mieszkania, Gwiazdy migocą w niezmiernych przestworzach. Dusza doktora Lewina jest ukojona i nasycona.

Rankiem, kiedy podnosi roletę w swym parterowym domku, przed oknami ciągną wozy na targ. Siedzą w nich zakutane baby, pokwikują na wozach prosiaki, pogdakują kury. Ciągnie jakiś ciepły, barwny, rzeczywisty świat, do którego omal nie przeniknął przez tę spółdzielnię gruzliczą.

Wozy przeciągnęły, ulica, która jest przedłużeniem szerokiego piaszczystego traktu z Grodna na Wilno, jest zno

wu pusta, wiatr pędzi po niej tumany kurzu. Nikłe drzewiny przy chodnikach stoją jakby zdziwione, że się tu znalazły. Doktor podnosi oczy, ale tajemnicze niebo, na którym przed kilku godzinami widział gwiazdy wieczyste, jest bezbarwne i płaskie.

Nudno, nudno jest w mieście Lidzie.

Traf wyzwolił doktora Lewina z tej lidzkiej niewoli.

W czasie zjazdu lekarskiego w Warszawie grupa uczestników siedziała „Pod Bachusem” i stary doktor Piekarski z Zaleszczyk informował się u kolegów, czyby mu nie mogli nastreczyć asystenta. Nie usuwa się, owszem, od obowiązków społecznej medycyny, nie odmówił swej współpracy z Ubezpieczalnią, ale to go odrywa od prywatnej praktyki.

— Mam dla kolegi jak raz kandydata — powiedział profesor medycyny z Wilna. — Mój były uczeń, Lewin — przedstawiał — wariował, tego... na temat medycyny społecznej. Może by, tego... Lidę rzucił?

Doktor Piekarski, szlagon z sutym wąsem, uderzony już nazwiskiem, spojrzął na fizys kandydata i struchlał. Bąknął parę słów nieobowiązujących i przeszedł na inny temat.

Ale stary profesor, który miał słabość do Lewina, nie dał za wygraną. Przyparłszy Piekarskiego w czasie przerwy w obradach, dowodził:

— Ten Lewin jest bardzo zasymilowany, należał do Ligi Morskiej i Kolonialnej i tego... wie kolega...

— Ale jakże ja go staroście z tym nosem i z tymi uszami pokażę? — jęknął Piekarski.

— Nie potrzebuje się pan kolega z nim obnosić. A w ambulatorium, z biedotą, nikt tak orać nie będzie, jak ten Lewin. A latem w czasie sezonu macie dużo klienteli żydowskiej, wielu nawet takich, z którymi trudno po polsku się dogadać, i tego... cadyków nie cadyków, wie kolega... Lepiej mieć asystenta handlowego wyznania.

Doktor Piekarski uśmiechnął się wewnątrz z naiwności profesora. Ci teoretycy nic się nie rozumieją na klientach — cadyków miałby oddać komu! Ale co do reszty, to ten profesor ma sporo racji.

— To prawda powiedział — że oni lubią poszwargotać

po swojemu, ale, z drugiej strony, co będzie, jak im się pozwolimy tak wszędzie wciskać?

„Handlowe wyznaczenie” niepokoiło Piekarskiego nie tylko ze względu na reprezentację. Asystent może okazać się za sprytny i przejąć klientelę. Ale profesor mówił o Lewinie jako o bezinteresownym społeczniku... „Jak Żyd trafi się tuman, to jest już większy tuman niż każdy goj” — pocieszył się Piekarski i w rezultacie zaprosił kandydata na obiad.

W czasie obiadu okazało się, że asystent może otrzymać dzięki staraniom doktora Piekarskiego posadę w Ubezpieczalni, a poza tym jakieś stałe quantum za pomoc doktorowi Piekarskiemu w przychodni.

— A prywatnej praktyki to już wcale nie będę miał, nie? — doktor Lewin raz postanowił nauczyć się walczyć o swoje sprawy. — Co pan doktor mówi do tego interesu?

Doktorowi Piekarskiemu niesmak odbił się na twarzy. Odstawił maszynkę, z której, błyskając sygnetem, nalewał kawę i po ojcowsku powiedział:

— Przede wszystkim... hm... chciałem koledze powiedzieć z życzliwości, z czystej życzliwości — że... hm... w obecnych czasach klientela jest wrażliwa na czystą polszczyznę. Piękny jest nasz język, po cóż go, hm (chciał powiedzieć: „zapaskudzać”), szpecić, hm... (chciał powiedzieć: „żydłaczce- niern”) tego... takimi germanizmami.

— Do dwudziestu dwu lat — pokornie i z prostotą tłumaczył Lewin — nie mówiłem po polsku.

— Otóż to — kontynuował doktor Piekarski zachęcony potulnością młodego lekarza — tak samo to imię: Szmul. Wiem od profesora, że kolega jest dobrym Polakiem — po cóż się upierać przy tym imieniu?

— Kiedy byłem wezwany na eksperta do sądu, podałem swoje imię według dyplomu, sędzia zajrzał w akta i z naciskiem podyktował protokolantowi: „Szmul”. Wtedy adwokat oskarżonego, Żyd, wstał i zażądał, żeby w protokole było imię Samuel, skoro tak to imię podaję, bo liczne precedensy są po temu — choćby Szawła, z którego zrobił się Paweł; jeślibyśmy tych precedensów nie uwzględniali, należałoby Słowackiemu poprawić Samuel Zborowski na Szmul Zborowski.

Doktor Piekarski z nagle zaczął się śmiać drobnym śmieszkiem. Lewin zanotował, że przy tym śmieszku opra wa oczu układa się w sposób charakterystyczny, i nagle pochylił się do kolegi-szlagona konfidencjonalnie:

— Nie pomoże i Samuel. Zawsze gdzieś odezwie się „a pintełe Jid” (punkcik żydowski).

Było to już po kilku likierach. Doktorowi Piekarskiemu ten kolega przypadał coraz bardziej do gustu. Pomyślał, że skoro mają przez lata razem pracować, to nie może pozostać dla swego asystenta zakrytą księgą.

Zażądał koniaku, a widząc, że doktor Lewin wzdraga się przed piciem, dodał dydaktycznie:

— Kolega musi się nauczyć popijać. Wiem, że to nie w żydowskim guście, ale to połowa praktyki, niech mi kolega wierzy. Najlepszej praktyki. Ja się tego nauczyłem w wojsku.

Musiał zamówić dobry koniak, bo podano go na dnie ogromnego kielicha. Doktor Piekarski wsadził weń twarz, wciągnął z lubością bukiet.

— Taka inhalacja dobrze robi — powiedział. Odsapnął: — Ja też musiałem uczyć się po polsku od nowa i to nie dwadzieścia dwa lata mając, a, czekaj kolega, tak, czterdzieści osiem.

Roześmiał się z zadowoleniem, widząc efekt.

— Prawda, że urodziłem się w Galicji, w Brzozowie, gimnazjum skończyłem w Krośnie, ale już na uniwersytet pojechałem do Wiednia. Ach, Wiedeń — przymknął oczy i pociągnął koniak. — Wtedy kto mógł wiedzieć, że tak się skończy, kto? (Tu cuknął się w myślach — to podpytywanie wiecznie mu wracało, kiedy wpadał w ferwor.) U nas w Brzozowie po prostu modliliśmy się za Franza Josepha. Nasz rabin to nawet zapewniał, że cesarz nosi „arba kaf- not” j tylko że jedynie z dwoma tylnymi frędzlami. Z przodu frędzle obciąża i tą częścią rządzi gojami, a z tyłu zachował i tą częścią rządzi Żydami. No, więc ojciec wysłał mnie na medycynę do Wiednia. Potem praktyka na klinice, i tak przyszedłem we Wiedniu. Wojnę odbyłem jako lekarz w wojsku austriackim, byłem wojak całą gębą. Po wojnie Wiedeń zbiedniał, zostałem lekarzem powiatowym, pojechałem odwiedzić Brzozów. W pociągu siedzi jakiś Żyd w chałacie i pyta, gdzie jadę. Odburknąłem, że do Brzozowa, i czytam

■ gazetę, bo co mu do tego. Widzę, że kręci się, coś ma na języku i wreszcie pyta, czy ma honor mówić z panem doktorem Piekarskim. Trzeba panu wiedzieć, że wówczas nazywałem się Pecker, więc zdziwiłem się i zapytałem, skąd mu Piekarski przyszedł do głowy. Odpowiedział, że zaczął sobie kombinować, kto może jechać do Brzozowa. Kupiec? Po co do Brzozowa pojedzie kupiec, kiedy tam wszystko bankrutuje? Krewny? Jak krewny, to nie może być goj, bo gojów w Brzozowie nie ma. A jak Żyd, to do kogo? Prawda, Kuglowie i Ma jery, i Ettingery mają krewnych w Ameryce, ale kto pójdzie teraz z Ameryki przyjeżdżać? Oj, mówią, że Pecker wrócił z Widnia i pracuje w starostwie. To jak pracuje w starostwie, to już pewno nie jest Pecker. Widzi pan, panie kolego — kończył doktor Piekarski — to był prosty Żyd, i to rozumiał, a kolega ma studia uniwersyteckie i jeszcze się przy Szmulu upiera?

Tak więc doktor Lewin znalazł się w Zaleszczykach. Nie (szukał nigdy kariery, ale kariera jak kobieta: przychodzi widać do tych, którzy o nią nie dbają.

Matka jego, stara poczciwa „mamele” w wiecznie przekrzywionej peruce, zmarła w Lidzie. Na pewno nie rozstałby się z nią, ale byłaby na nowym stanowisku uciążliwym handicapem. Zamiast tego zjechał do Zaleszczyk z opinią znakomitości. Okazało się, że doktor Piekarski komu trzeba i nie trzeba pokazywał odbitkę pracy doktora Lewina z „Miesięcznika Lekarskiego” pod tytułem Niektóre aspekty epidemiologiczne uczulenia na histoplazmę. Zaleszczykowie kiwali z uznaniem głowami i samopoczucie doktora Lewina zostało nieco znieczulone na antysemityzm. Po roku doktor Piekarski poszedł krok dalej w swej uczynności i zmarł na atak serca.

Następnego dnia odziedziczonym po nim chevroletem pojechał doktor Lewin do starej pani Wartanowiczowej w Dźwiniaczu, którą doktor Piekarski od lat odwiedzał dwa razy tygodniowo, unosząc z powrotem dwadzieścia złoci-, szów w portfelu i doskonały podwieczorek w brzuchu. W następnym dniu była kolejka do pani Makowieckiej w Tłustem i znowu podwieczorek i honorarium. Aż wreszcie... doktor Lewin począł rozumieć, że jest mu potrzebny asystent do leczenia ludności, skoro kontrola szacownego zdrowia kilku bogatych klientów dawała mu zupełnie dostatnie utrzymanie.

Kiedy przychodził sezon i pensjonaty zapełniały się kuracjuszami, doktor Lewin był rozrywany. Pełniąc obowiązki mówił toczoną, gramatyczną polszczyzną. Ale kiedy czuł się z kimś dobrze Ijy zydłaczył, naumyślnie szarżując. Konto bankowe rosło, choć nie dbał o to. Wraz z kontem rosła przyjaźń ludzka, nie czuł żadnego ostracyzmu, Zaleszczyki zaadoptowały jego wystający nos, jego odstające uszy i nie interesowały się jego smutnymi oczami.

Doktor Lewin nie zabiegał o więcej. Został, ostatecznie, Samuelem. Chciałby zostać bez reszty Polakiem, ale nie wiedział, jak się w „to” wchodzi. Przenosiny były, mimo wszystko, trudniejsze, niż przypuszczał. Reagował gorąco na tematy żydowskie, ale nie mógł do nich podejść ani przez religię, którą stracił, ani przez syjonizm, który uważał za pomniejszycielstwo. Doktor Lewin był znużony w swej samotności. Miał gorące serce i wyostrzony umysł, brak mu było niedbałego odprężenia się, które ma byle wygrzewający się pies. Jakże zazdrościł księdzu Wróblowi, który nie miał żadnych wątpliwości, żadnych wahań.

Zewnętrznie ich życie ułożyło się podobnie. Syn kucharki opływał w dobrobyt, jak i syn karczmarza. Do obu przyszły z pieniędzmi hobbies. Ksiądz Wróbel namiętnie oddawał się robieniu wina z winogron zaleszczyckich, twierdząc, że nie widzi powodu, dla którego wina polskie miałyby ustępować zagranicznym. Doktor Lewin zbierał porcelanę i antyki.

Obu jednak żarły jakieś nie wypełnione marzenia. U Lewina to był smutek, tęsknota za utraconą i nie nabytą ojczyzną. U Wróbla to niewyżycie jurnego chłopaka, ugnaniającego się całe dni z procą, pełnego awanturniczych pomysłów, na którego sypały się skargi ogrodnika, nie mogącego nastarczyć szyb w oranżeriach, i matek rówieśników z podbitymi oczami.

Nie chcąc się pozbywać doskonałej kucharki, wysłano gagatka na studia do seminarium. Ksiądz Wróbel pasował się z narzuconą sutanną, ale jego chłonny i prymitywny umysł żarł jak ogień podsuwany materiał. Ukończywszy seminarium, sposobił się na dalsze studia teologiczne w Rzymie, kiedy dziedzic umarł, a wraz z nim znikł popyt na specjalne potrawy. Należało pójść na wikariat, aby matce zapewnić chleb, a lepszego wikariatu nie było chyba w całej Polsce. Uzdrowisko rozrastało się z roku na rok!-;

na szczęście podsunęła się ta pasja z winem, ale kiedy na jesień Zaleszczyki pustoszały, księdzu Wróblowi robiło się nijako. Szedł wówczas na szachy do doktora i na nie kończące się nigdy spory. Doktora pociągał ten ksiądz, tak bez kłopotu ulokowany w swojej religii, w swoim narodzie. Księdzu — została niewyżyta pasja studiów teologicznych. Ustępując w dialektyce doktorowi, który nie tylko Biblię znał dokładniej, ale i ogólne wykształcenie miał szersze, ksiądz dodawał sobie kurażu łacina, w której był zaawansowany, szykując się do studiów rzymskich, a w której doktor był słaby. Stąd, wskutek bojów z doktorem Lewinem, przyłgnał do niego zwyczaj maksym łacińskich.

Nie łacina to jednak sprawiała, że doktor nieraz nie znajdował argumentów. Tłumaczył to sobie tym, że czasem trudno sprostać prymitywowi. Mówi się na przykład dziecku, że wiatr wieje, a dziecko żąda, żeby mu pokazać ten wiatr, i czy wiatr jest zielony, i dlaczego nie jest zielony.

Pewnego razu doktor był we Lwowie na amatorskim meczu bokserskim, na który zgłosił się ochotniczo cyrkowy zapaśnik. I okazało się, że ten zapaśnik nie mający pojęcia o prawidłach, o całej dialektyce boksu, lekko bije czołowego boksera. Sędzia ciągle mu przerywał, bo walczył nieprawidłowo, publiczność gwizdała, ale zwyciężył, i doktor pomyślał, że to tak jak w jego dyskusjach z księdzem Wróblem, które nie zawsze udawało mu się zamknąć dowcipem lub paradoksem.

W przedpokoju rozległ się dzwonek — we drzwiach stał posterunkowy Łąteczko.

Cała rodzina policjanta i on sam był na opiece lekarskiej doktora Lewina. Widywał nieraz Łąteczkę w koszulce jae-gerowskiej i wiedział, że ma pozostałości bronchitowe w wierzchołku lewego płuca, łuszczycę na przedramieniu

1 platfus.

Ale teraz to nie łuszczycy i platfus, tylko rzemień zaciągnięty pod brodą i srebrne palmy sztywno błyskające na kołnierzu, i cały Łąteczko silny, zwarty, gotowy.

Przyniósł wezwanie do wojska. Zasalutował z wylaniem. W tym salutowaniu z fasonem było coś więcej niż Łąteczko-szeregowiec oddający honory Lewinowi-porucznikowi.

150

W tym było, że oni, Lewin i Łąteczko, właśnie — silni, zwarci, gotowi.

Doktor Lewin poczuł ciepło w sercu od tego salutowania. Zamknawszy drzwi, raz jeszcze spojrzął na wezwanie: dwudziesty ósmy sierpnia, poniedziałek. To: jutro. Wyciągnął z szafy mundur. Z munduru uderzyło mdłe wspomnienie wojska, którego nie znośli. W wojsku każdego inteligenta posądzano, że nie jest dość wojskowym, a tym bardziej — lekarza, a tym bardziej Żyda. Wojsko widział jako jedno ogromne chamstwo. Brnąc przez podwórze koszarowe, na którym krótkonosi kaprale dawali szkołę zastrachanym kmiotkom, miał wrażenie, że jest na filmie, który kiedyś oglądał: oto wędrowiec natknął się nagle na polaną zachodzącą cudem od kataklizmu lodowcowego i spostrzegł że- 'rfujące pterodaktyl.

Za oknem rozległ się krok podkutych butów. Policjant Łąteczko wracał, obdzielając wezwaniem drugą stronę ulicy. I doktorowi się zdało, że opustoszała letnim południem ulicą sunie pterodaktyl, a struchlali ludzie chowają się po domach.

DZIEJE KOMPANII SAPERSKIEJ*

D o Krakowa szliśmy jak do ziemi obiecanej. Jakże to daleko na tyłach od naszych Tarnowskich Gór. Kwatery wygodne. Doprowadzenie się do porządku. Przeformowanie. Naprawy. Bary, kina, dziewczęta. Bohaterowie... Znowu będzie kompania jak z igielki, ruszymy na front od pewnego punktu, z pewnej bazy, z planem dowództwa, z nowym sensem.

Na przedmieściu jakiś kupiec, hurtownik wina, ofiaruje nam wina dla kompanii, ile chcemy. Koniecznie chce nam dać pięć beczek, ale z największym żalem możemy naładować tylko trzy. Ba, gdyby był Czudek z taborami!...

Skład monopolowy rozdaje ile dusza zapagnie papierosów. Obykamy się nimi po uszy. Nastrój żołnierzy podnosi się niebywale. Kompania (śmiech to nazwać, bo doszedłem z dwunastką ludzi) kpinkuje, podśpiewuje i rażno maszeruje. Toż przyniesiemy wszelkiego dobra na miejsce zbiórki kompanii!

Mnie przez chwilę nieco zimno się robi na widok tego pośpiesznego rozdawania. Ale już dziewczęta z chodników rzucają kwiaty, ale już jakieś panusie fasują dla nas herbatę, już nam chcą myć nogi na punktach specjalnie po temu urządzonych, aby opatrywać otarte nogi wracających z frontu żołnierzy. Daję się ponieść temu prądowi.

Otrzymujemy kwaterę w jakiejś szkole. Ściągnęło stu siedemdziesięciu ludzi z mojej kompanii. Jest i Czudek z przetrzepanymi, co prawda, taborami. Kuchnię nam rozbiły pociski, fasujemy jakąś drugą, zepsutą, która nam odtąd będzie towarzyszyła.

Wieści nas dochodzą ze świata. Te bliższe — o plutonie mojej kompanii zostawionym do dyspozycji dowódcy baonu na Śląsku. Porucznik, dowódca plutonu, wysadzając most pod nadzwyczaj silnym ogniem, zwariował. Ale zadanie wykonał. I te dalsze wieści — że zwyciężamy, że Niemcy trzeszczą.

Oho! Kupa nas tu jest. 6, 12, 23 dywizja gen. Monda, widziałem jakiś pułk z Wołynia, jakiś pułk poznański, pełno wojska. Pójdzie kontruderzenie jak cholera.

Roztarasował się, uwygodnił żołnierz. Lj[^]zą sobie palce u nóg, przeciągają się, rozprężają, na miasto nikt nie idzie, bo zbyt znużeni, na jutro rają sobie rajskie rozkosze, większość już śpi.

O północy, już całym batalionem, wyruszamy. I... na wschód!

Dowódca kompanii zmotoryzowanej, przystosowanej do niszczeń, oparł się o mnie, posłyszałem w ciemności, że płacze:

— Cały czas, cały czas niszczyłem to, co budowaliśmy przez dwadzieścia lat. Jakbym matkę zarzywał... I teraz... kiedy myślałem, że będzie kontrofensywa, ruszamy dalej, na nie doniszczoną Polskę. I znowu będę wysadzał, wysadzał, wysadzał...

Por. Siwicki milknie i łapie się za narywającą rękę. Może to i szczęśliwa okoliczność, że każde załamanie głosu można zwalić na karb tej ręki. Przysuwa mi zmięty nota- tniczek.

— Tu notowałem. Może panu wystarczy?

Czytam:

„Z Krakowa wywała masa wojska i ludności. Szereg dni. Nocami. Pod Nowym Korczynem przeprowadzamy się przez Nidę przy ujściu do Wisły. Dawałem patrole z oficerami do niszczenia mostów. Naprawiliśmy dwa mosty, zbudowaliśmy półtora kilometra drogi, zebraliśmy wszystkie, jakie się dało, galary pod Nowym Korczynem. Cały czas walki. Przez te tabory nie możemy się oderwać od nieprzyjaciela. Spotkałem por. Ganowicza — rannego. Między Nowym

ISS

Korczynem a Pacanowem, w majątku Chrzanów, powiedzieli fornale, że poprzedniej nocy przejeżdżało tędy dwieście czołgów. Nocujemy, ale się obawiam ataku rano. Nie mam ani jednego działka przeciwpancernego, ani jednego przeciwpancernego karabinu. Biorę dziewięćdziesiąt butelek ze składu z lemoniadą, napęlam benzyną i zakładam do tych butelek lonty. Granatów też nie mamy — prokuruję prowizoryczne z trotylu. Przejeżdża oficer z rozbitego przez czołgi oddziału, śmieje się: «Nie ostrzcie zębów na czołgi, one nigdy nie atakują umocnionych pozycji.» Istotnie atak nie nastąpił, pozbieraliśmy miny i spakowaliśmy nasze butelki.

Z rozkazu dowódcy dywizji rozstajemy się z naszym taborem. Skazano go na zagładę, bo tamuje drogę. Z taborami musiała pójść kolumna mostowa całkowicie zmotoryzowana.

Każą mi dwóm pułkom piechoty dać po plutonie. Dowódcy pułków przyjmują ich jak psy dziada w ciasnej ulicy, a ja po każdym takim daniu tracę kilkunastu ludzi.

W tych kluczeniach, wędrówkach, potyczkach, nocach w marszu, dniach bez snu, kiedy trzeba się odstrzeliwać napierającym Niemcom, kiedy trzeba się chować od zabijających aeroplanów — jeden był kres, niby próg ziemi obiecanej, wstęga Wisły. Tam czekają przy przeprawie umocnienia polskie, armie nienaruszone. Przemkną za ich potężne plecy rozbite oddziały, wyliżą swoje rany, zbiorą się w sobie do dalszej walki.

Wisła! — Mówi się tylko o niej...

Postanawiam skoczyć nad Wisłę, zasięgnąć języka. O parę już staj od naszego rozdroża trafiam na stłoczoną masę wozów. Przedzieram się bokami wzdłuż zalegającej na siedem kilometrów masy. I kiedy z nagłą las się skończył i o nozdrza uderzył zapach wodny, widzę, że na środku Wisły boryka się z prądem galar, w którym chłop przewozi ni mniej, ni więcej — z tysiąc ludzi czekających na brzegu.

Okazuje się, że most wysadzono źle — załamany w środku, tworzył wielką dwunastometrową literę V. W tej sytuacji owe dwie drużyny saperskie mogły się tylko rozplątać. Poradziły sobie o tyle, że boki tej litery połączyły w środku pomostem. Ludzie najprzód się wdrapali po jednej poprzeczce V, szli wątłym pomostem do drugiej i schodzili

po niej na drugi brzeg. Nawet przeprowadzają poszczególne konie i biedki z karabinami maszynowymi."

Porucznik Siwicki nie wie dokładnie, co będzie robił, ■ale każe ściągać materiał obficie złożony na brzegu, pozostawiając po budowie mostu. Rzeką płyną galary z ludnością cywilną. Wylądowane betami, skrzyniami, wszelakim sprzętem, niosą ludzi w dół rzeki — tak jakby tam nie czekała ta sama niemiecka niewola. Saperzy wyrzucają biedaków, rekwirują galary, klecić na nich poczynają pomost drewniany ku wyspie. Jest godzina dziesiąta rano, kiedy ruszono z pracą. Już zjawia się klucz niemiecki, by przeszkodzić przeprawie. Jedna z bomb pada o trzydzieści metrów od budowy, na brzeg, i zabija trzech oficerów. Ludzie nie wierzą, aby się robota udała. Zjedli już nawet rezerwowe konserwy, nie karmiono ich od trzech dni. Są tak osłabieni, że belkę, którą lekko powinno nieść dwu ludzi, wlecze czterech, stają, ocierają pot z czoła, ręce im drżą. Na szczęście, jakieś nasze litościwe działka przeciwlotnicze ustawiły się nad brzegiem i grzmiały do Niemców. To wystarcza, aby latali tak wysoko, że nie zaszkodzą. Brzeg wiślany wysoki, kaemy niemieckie nie mają obstrzału. Już i nasza artyleria, | zamiast czekać biernie, widząc, że się coś poczyna robić, odprzodkowała i strzela, aż grzmot się przewala z krańca po kraniec horyzontu.

To tyle dla ciebie zaszczytu, saperze marny, zawado pochodów, spławiany przez dowódców piechoty na zgubę? To twojej pracy ku osłonie te zenitówki i te działa, i ta armia czekająca?

Na tamtym brzegu była już kompania policji śląskiej. To oni, kiedy wojska opuściły pograniczne tereny przeznaczone na ewakuację, z pomocą strzelców, powstańców, przysposobienia wojskowego, ochotników, stawili czoło dywersantom niemieckim, uzbrojonym w trzydziestostrzałową broń automatyczną, w ręczne karabiny maszynowe, granaty. To oni, będący w utarczkach już na parę dni przed wojną, stoczyli pierwszego dnia krwawą walkę o kopalnię w Michałowicach, która przechodziła z rąk do rąk: tam wzięli pierwszych dwudziestu jeńców z hakenkreuzami, których broń schwyciło skwapliwie dwadzieścia nie uzbrojonych rąk. To oni pomogli w Łagiewnikach odbić kopalnię inżynierowi Zawiei, to oni odbijali w Czarnym Lesie oblężony posterunek policji, którego komendant poległ, to oni trzymali Pawłów,

Bielszo wice, których ludność broniła się tak dzielnie, to oni dopiero ustąpili w Orzegowie, gdy pierś w pierś ukazały się niemieckie wojska regularne, cofali się na rozkaz ku Będzinowi pośród oburzonej ludności, która domagała się broni, chciała walczyć.

Szli tak z zapiekłą raną w sercu coraz dalej na wschód, pragnęli czymś się przyczynić, pod Pińczowem robili zasadzkę na czołgi, rozszlawał słomę, którą miano podpalić (ale ich uprzedził innym, „abisyńskim” sposobem por. Kowal, co upolował czołgi, rozsypawszy na ich drodze proch, który następnie podpalił). Potem we Lwowie usiłowali stworzyć oddział niszczenia czołgów, następnie eskortowali Bank Polski do Rumunii, z Rumunii wróciło ich dwudziestu siedmiu do Polski na wiadomość, że mają oddać broń.

Takie honorne były te „gliny” śląskie.

Teraz, kiedy już byli na tamtym spokojnym brzegu i ktoś im powiedział, że saperzy klecą most, wrócili, rozebrali się do naga chłop w chłopa, wleźli w wodę i stanęli do pomocy.

Biega po brzegu kierownik roboty por, Siwicki, w krzyku, w gorączce. Co pięć minut zanurza łeb w wodzie wiślanej. W tym łbie huczą wszystkie dzwony, usta zioną nieartykułowane przekleństwa, przed oczami majaczą sylwetki ludzkie.

Ci ludzie nagle widzą, że się most istotnie poczyną klecić. Wówczas ogarnia ich entuzjazm i zaciekłość. Naloty niemieckie powtarzają się raz po raz — nic na to nie zwracają uwagi, stoją w wodzie, klecą, rąbią, piłują, zbijają, dźwigają, świdrują...

Widzi porucznik, że naładziła się praca. To tak jak z lewarem: jak dobrze pociągnąć, już potem samo płynie. Przystał na piachu, na kępie wyrudziałej trawy, przybiega pułkownik artylerii, który tak walnie z ciężkich dział do Niemców bije, tę robotę saperząt-niebożąt majestatem swoim osłania, pyta pułkownik, kiedy most stanie.

— Na dziewiętnastą, panie pułkowniku...

Odetchnął, pot ociera z czoła.

— To dobrze. Tyle wytrzymam. Uratowaliście sto milionów, bo tyle jest warta artyleria pozostała na lewym brzegu.

Słowo saperskie zostało dotrzymane. Most stanął na godzinę osiemnastą — o całe sześćdziesiąt minut przed obiecany terminem.

Kiedyś, w wolnej ojczyźnie, ten dzień wrześniowy powinien się stać dniem święta saperskiego.

Kiedy o godzinie osiemnastej pierwsze oddziały popłynęły przez most — pięć celnie rzuconych bomb trafiło w sam środek przejścia: w wyspę. Most bowiem składał się z dwu mostów, jako że dwa koryta okrążały wyspę.

Poszła fala, spłynęły trupy ludzi i koni i znów popłynął potok wojska przez most nienaruszony.

Twórcy jego jednak nie korzystają z tego, że mogą przejść pierwsi. Nadzy, zaparci w pogotowiu przy pontonach, czujni na to, aby natychmiast odbudowywać, drżą z wewnętrznego uniesienia, kiedy nad ich głowami przechodzą ich koledzy, ich rodacy, ich bracia.

Kompania tkwi tak przy przeprawie do pierwszej w nocy i ściąga ze stanowisk dopiero wtedy, kiedy artyleria i wszystkie cenniejsze oddziały znajdują się już po bezpiecznej stronie.

Oddajmy głos por. Siwickiemu:

— Dostawszy się do Baranowa, postanowiłem zrealizować sen wielu dni o zawiślańskiej ziemi obiecanej i po raz pierwszy od czasu odwrotu zdjąłem na noc spodnie. A że na noc znalazła się gęś — pieczona! — że słoma była sucha i przyjemna, izba czysta — spałem wspaniale.

Ale, niestety, krótko. O świcie coś tak rąbnęło, że nie od razu mogłem zbudziwszy się połapać, co się dzieje. Okazało się, że pobudkę nam zagrała niemiecka artyleria, która bombardowała Baranów z całego serca.

Wybiegłem na ulicę. W miejscu postoju kompanii nie zastałem już nikogo.

Opuszczam Baranów niemal sam. Tak już przyzwyczaiłem się w tej wojnie, że kompania to się rozprasza, to znów się zbiera: przecie do Krakowa wmaszerowaliśmy w dwunastu.

Powoli w tym odwrocie istotnie doszlusowaliśmy. Ci ludzie, wczoraj z oddaniem budujący most pod ogniem samolotów niemieckich, znowu stają się dziadami. Ale... niech zdechnę, a dyscyplinę będę trzymał. Co krok wróg nam stawia przed oczy straszliwe memento. Maszerujemy przez marną wieś Chmielów w powiecie tarnobrzeskim. Kościół z niej tylko został i figura przy dro

dze; drzewa pościanane stoją w popalonych ogrodach, jak szkielety. Podobno w miasteczku, liczącym tysiąc pięćset mieszkańców, zabiły bomby niemieckie trzystu, poraniły mnóstwo. Niemców nie dopuszczono do Stalowej Woli i wracając tutaj wylądowali swoją złość i swoje bomby.

Nie możemy wytknąć nawet nosa na szosę, bo trafiamy na istny ogień zaporowy. Leśnym kołem, robiąc łuk siedmio- kilometrowy, dochodzimy do wsi Stale. I ta wieś jest już bombardowana. Zdaje się, że już z tej aury bombowej nigdy nie wyjdziemy, poczynamy w niej pełnić zwykłe swoje czynności. I kiedy dowiaduję się, że moi ludzie, uciekając z bombardowanego Baranowa, zgubili ręczny karabin przeciwpancerzy, który szczęśliwie przed kilku dniami znaleźliśmy porzucony w rowie — pośród tych wszystkich bomb stawiam na godzinę pod karabin plutonowego i trzech żołnierzy.

— I plutonowego?

— I plutonowego. Trudno. Przecież chciałem jeszcze wojować, a nie uciekać. Tymczasem na noclegu w Stałem dogonił nas żołnierz, który miał pieczę nad ciężkim karabinem maszynowym. Mieliliśmy dwa. Jeden zgubiliśmy wyszukując galary pod Nowym Korczynem. Wówczas jakaś banda dywersyjna na nas wpadła. A tu ten drań tłumaczy się, że konie urwały się i biedkę w pole poniosły. Kazałem wracać do Baranowa i bez kaemu nie wracać. Do Baranowa, pod Niemców — to po śmierć albo niewolę. Uszedł kawałek drogi, wraca, prosi się. Nie zgodziłem się. Jeszcze raz wrócił, kiedy do mnie podjechał kapitan, zastępca dowódcy batalionu. Trzasnął w obcas i pyta kapitana, czy będzie przyjęty do oddziału, gdy dostarczy inny karabin maszynowy. Podobało mi się, że w myśl regulaminu się zwraca — pozwoliłem. Istotnie po paru dniach zjawił się z kae- mem polskim: skradł go gdzieś czy wycygał, a może znalazł?

To już, zdaje się, jest trzynasty wrzesień. Marsz wrasta w nogi, huk bomby w uszy, a sen w żołnierza na każdym miejscu. Teraz znów mamy cięższą służbę niż inni, bo musimy niszczyć mosty za sobą. Kiedy już ciasno się robi z trotylem, próbujemy okręcać słomą i palić. To się nigdy nie udawało na manewrach i tylko okapcało mosty. Tu paU się jak świece. Hitler w mowie do towarzyszy partyjnych powie, że Opatrzność pomogła zwalczyć Polskę. Widać mieli

Pana Boga jako szefa sztabu. Niemiecki Bóg, dając suche lato, pomagał palić się Polsce.

Zostawialiśmy za sobą zasieki, przy których zarywały się tylne straże, minowaliśmy pola, zrywaliśmy mosty, przekopywaliśmy drogi i znów — mimo że saper miał dwukrotnie większy trud niż żołnierz innej broni —I poczucie tego, że coś robimy, że do czegoś jesteśmy potrzebni, dodawało nam sił; patrząc w swoich chłopców, którzy wyglądali raczej na dziadów, z tymi zarostami, w dosyć różnorako noszonych brudnych i podartych mundurach, widząc ich błyski w oczach, kiedy tylko zażądało się od nich celowego wysiłku, widząc to, co potrafią ze siebie wydobyć, myślałem sobie, że to raczej teraz bardziej są żołnierzami niż wówczas, w tych przedhistorycznych, w tych zamglonych czasach, kiedy w świeżutkich mundurach i na otartych nogach w ostatnie dni pokoju maszerowali na pozycje nad śląską granicę. Myślałem sobie, że niechby nam dali jakie trzy dni na wypoczynek i oporządzenie, niechby się znalazł nasz sprzęt wysłany w niewiadome z taborami, to ta kompania będzie pierwszorzędnym wojskiem i cudów dokona.

Złudzenie w Krakowie trwało przez cały dzień postoju. Złudzenie na rozstaju leśnym nad Wisłą — siedem godzin. Tu rozwiało się nagle po dwóch godzinach, kiedy wypoczynek nam przerwano i kazano Spiesznie się cofać dalej na wschód — na Biłgoraj.

Maszerujemy całą noc i cały dzień. Kto się zwali i zaśnie, to go i nie podnoszą. Nie ma sił, czasu i możliwości. Liczy się, że dociągnie. Tak pod wsią Stale usnął i został porucznik Uracz.

Płynie, sączy się tymi duktami sama śląska dywizja: 11, 73, 75 pp. Map nie ma — odbito w sztabie dywizji pośpiesznie na hektografie jakieś bohomazy, z których nic zrozumieć nie można, a tu wielkie arterie nie dla nas. Jak tylko polana po drodze, to i nieustępliwy poborca czeka — śmierć. Już lotnik czyha i grzmi. Z lotu nurkowego, z karabinów maszynowych strzela. W pewnej chwili, kiedyśmy przeszli kolejną polanę śmierci, pamiętam, sięgnąłem do opatrunku indywidualnego, aby opatrzeć żołnierzowi palec urwany przez kulę z karabinu maszynowego. I wówczas otworzył się na nas gęsty ogień

artyleryjski. Skąd? Nie mieliśmy bezpośredniego kontaktu z wrogiem. Znaczący Niemcy są tuż.

Nadjeżdża pułkownik Powierza, dowódca dywizji śląskiej, z szefem sztabu. Każą się ubezpieczyć w miejscu. Ułani dywizyjni w trzydzieści koni ruszają na wywiad w przód.

Kiedy po pewnym czasie ruszyliśmy i my naprzód, zobaczyłem na skrzyżowaniu drogi leśnej i nieco dalej, na wprost, porozrzucane ciała tych ułanów. Nasz dukt zбочzył w lewo; skoczyłem wprost, bo zdawało mi się, że jeden z ułanów daje oznaki życia. W tej chwili na skrzyżowanie padł pocisk. Kiedy wróciłem, zobaczyłem ciężko rannych porucznika Supernaka, podporucznika Falkowskiego (bardzo zdolnego inżyniera w cywilu) i trzech szeregowców.

Cel marszu — pono jakaś leśniczówka, Edwardówka. Gdzie też być może? Trafiamy na 73. pp. i idziemy jako jego tylna straż. Niebawem jednak musimy poprawiać mosty rozwalone na drodze pochodu. Na wieczór dobijamy do jakiejś okropnie długiej wsi, Ciosny. Wieś jest zapchana. Przez całą długość chyba parokilometrowej wsi stoi w trzy rzędy artyleria — jaszcz przy jaszczu. Już się pojawił niemiecki lotnik-obszernik, już po wsi zaczyna strzelać artyleria. Stłoczona ulica stoi i czeka zmiłowania Bożego. Bo gdzież tu wyjeżdżać? Żołnierze chowają się po rowach, ale pociski rwą konie na miazgę, wylatują w powietrze jaszczce z amunicją, jest sądny dzień. Pułkownik Powierza posyła do Edwardówki, gdzie ma stać sztab grupy, gońca po gońcu, ale nie otrzymuje odpowiedzi. Okazuje się, że wszyscy gońcy zostali wybici.

Deszcz zaczyna padać. Ciężko ranni oficerowie naszej kompanii leżą na wozach — pokrywamy ich brezentem.

Nie mam już oficerów... Zwolski, zostawiony przeze mnie z plutonem przy cofaniu się znad granicy, zwariował przy wysadzaniu mostu pod obstrzałem (wpierw dokładnie wykonawszy zadanie). Osoba, wysłany do robienia zapór, gdzieś się zawieruszył. Uracz usnął przy drodze do Stałego i dotąd go nie ma, Supernak i Falkowski bardzo ciężko ranni. Prawda, jest porucznik Koszade, spotkany po drodze w cywilu, który błagał wszędzie o przyjęcie do wojska.

Deszcz pada. Jest noc, więc samoloty nie bombardują, ale artyleria wstrzelała się w wieś i do rana chyba nikt tu z nas nie zostanie. Deszcz pada, żołnierze, zwierzęco zmęczeni, wracają spod krzaków, ryzykują spać w chałupach, byle schwytać trochę snu na sucho. Coraz to ktoś pada. Wynosimy rannych bokiem zatłoczonej ulicy, łamiąc opłotki, a wracając potykamy się o nowe trupy i nowych rannych.

Bezbronni!...

Zarządzam zbiórkę kompanii. Wychodzą z chałup osowiali żołnierze, głowy mają wtulone w mokre ramiona, jak chore ptaki. Ustawiają się w coś w rodzaju czwórek na drodze, kiedy zajeżdża dowódca samochodem uruchomionym benzyną z moich butelek.

— Nie podobają mi się te czwórki, poruczniku...

Nie podobają się? Dobywam głosu i obszernicuję kompanię. Na chwilę poprawia się krycie i równanie.

Dobijamy wreszcie do Edwardówki. Tam dowódca daje mi rozkaz: skierować wozy drogą na lewo, zostać z liniowymi saperami, wziąć swój kaem, dołączyć drugi z drugiej saperskiej kompanii por. Marcinka, maszerować wstecz o dwanaście kilometrów i osłaniać odwrot.

Spojrzałem w oczy wydającemu rozkaz dowódcy batalionu. Uścisnął mi mocno rękę i odwrócił się. Wiedzieliśmy obaj, co taki rozkaz znaczy.

Wziąłem swego por. Koszade, wziąłem przydzielonego mi z kaemem porucznika z tamtej kompanii. Wzięliśmy najnowsze mundury z wozów, z bagietkami orderowymi, włożyłem białe rękawiczki, zebrałem stu dwudziestu ludzi, którzy właśnie mieli otrzymać obiad...

I znowu dali mi oni głębokie przeżycie. Ileż to razy ulegali panice i demoralizacji. Jednak ile razy zażądano od nich wysiłku — dopisywali ponad moje oczekiwanie i ponad własne siły. Myślę, że żołnierz polski jest lepszy w ofensywie niż w defensywie, że nawet obronę z takim żołnierzem, nawet rozpaczliwe sytuacje należy planować ofensywnie.

Hozumieli dobrze —■ po nocnej rzezi, w ciągłym ogniu, który szedł za nami — co znaczy odmarsz dwanaście kilometrów w stronę nieprzyjaciela. A przecież pomaszerowali z fantazją i chętnie. Któryś spróbował zaintonować. „Milcz, głupi" —• odezwały się głosy, bo ci prości ludzie nie czytali Rostanda, nie wiedzieli nic o Bergeracu, o Orlandzie, o Win- kelriedzie, o turniejach, Minnesingerach, o grančilokwencji rycerskiej, kto wie — może nie bardzo wiedzieli, może nie

bardzo by do nich przemawiała Reduta Ordon, może obce im były nasze tradycje najświeższe, najkrwawsze. Ale wiedzieli, że mają bronić tych wsi, które płonęły po nocach, tych kobiet uchodzących, których spódnice czepiały się dzieci, miast rozwalonych w gruzy, niszczonej warsztatów, Ale zapewne zupełnie dobrze rozumieli, że może nadejść czas, kiedy przed ich najbliższymi, kiedy przed nimi samymi nie stanie żadna zbrojna zasłona, kiedy zupełnie wydani zostaną na łup, na samowolę, na eksterminację — bez żadnej już obrony i bez żadnego ratunku.

Wiedzieli, że po to mają karabin w garści, męczyli się tym, że tak mało im dano robić z niego użytku.

I teraz, kiedy ruszyliśmy z tej polany leśnej, stu dwudziestu ludzi wyraźnie poczuło w sobie rozwiązanie kompleksu dławiącego ich od dawna. Dlatego, choć odrzucili piosenki — jako w ich chłopskim rozumieniu nieprzystojne w takich okolicznościach — przez cały czas marszu przerzucali się wesołymi słowami i dowcipami, czego nie było już dawno, i nie rozciągali szeregu.

Dowódca odcinka, przyjąwszy mój meldunek, westchnął spojrzawszy po saperach, którzy mają spełniać piechociarskie funkcje, wskazał pozycję i pożegnał wymownym uściskiem dłoni.

Jednak ledwośmy się zdążyli okopać, przyszła na zmianę jakaś kompania piechoty, wytrzaśnięta w ostatniej chwili. Moi żołnierze — proszę mi wierzyć, bo nie ukrywałem ich wad — nie chcieli z pozycji schodzić i szemrali. Bardzo chcieli raz przynajmniej bezpośrednio strzelać.

Wróciwszy do Edwardówki, niszczymy tabor. Nocą wy- mas zero wu jemy. Pewno tamta kompania, która miała powstrzymać Niemców, została wybita.

Nad ranem znajdujemy się na szosie do Zamościa. Cały czas nad głową samoloty niemieckie. Tną z tak niską z kaemów, że jakiemś plutonowemu łączności znosi pół czaszki, jak nożem uciął. Wieczorem jesteśmy już za Krasnobrodem. Koszade poszedł na niszczanie i nie wrócił. Ale nagle sypnęło kompanii, jak z rogu obfitości. Znalazł się por. Uracz, por. Osoba, a co najgłośniejsza — podchorąży Mitis, który dawno się gdzieś zawieruszył sam, bez żołnierzy, obecnie przyprowadził czterdziestu pozbieranych po drodze żołnierzy kompanii, dużo poza tym saperów z innych oddziałów, jakąś kuchnię, prowianty, nawet wino. Dołączył się jakiś saper, por. Markowski. Miałem już w kompanii stu siedemdziesięciu ludzi — stan, którego nie pamiętałem od samego Śląska,

I znowu — żołnierzowi potrzebna jest wiara tak samo jak amunicja i prowiant, żołnierz musi w coś wierzyć, aby trwać — znowu roimy: idziemy na odsiecz Lwowa!

Ale upływają dalsze trzy dni. Od dwóch dni nie jemy. Konie nawet nie pojone — studnie wszędzie wybrane, strumienie wyschły, większych rzeczek nie ma. Z nieba bezustannie lecą bomby. Kapitan saperów Pogorzelski wyszedł na chwilę z „łazika”, bomba trzasnęła, upadł; gdy wstał, skonstatował, że łazik, szofer, sierżant i żołnierz w nim pozostali nie egzystują. Piechota walczy na cztery strony świata. Jesteśmy niby w obleżonej, coraz wolniej posuwającej się i wygłodniałej fortecy.

Staliśmy na jakiejś ogromnej polanie leśnej, wyglądającej jak istny jarmark. Wozy usiłowały jechać w osiem rzędów. Te tabory się niszczy i mimo to narastają. Już nie regulujemy. Już wszystko się zatkało. Już 1 w przód iść nie można. Saperska komórka w piechociarskiej plazmie — gramy w pokera.

Zebrałiśmy się, szarże, czekamy przez dwie godziny na rozkaz dowódcy batalionu. Rozkaz nie nadchodzi. Ciężko patrzeć na męczarnie koni. Rozchodzimy się szukać dla nich wody. Polana pustoszeje, strzałów nie słyhać. Żołnierze patrzą pytająco na nas. Mijają jeszcze cztery godziny. Już nikogo na polanie nie ma oprócz naszej kompanii. Już poczynają przez polanę przechodzić pierwsi rozbrojeni żołnierze, mówią, że Niemcy nawet pierścionki odbierają. Nic tu tać nie można.

Zastępca dowódcy batalionu saperskiego, kapitan Śliw- czyński, uformował dwie kompanie, moją i por. Marcinka, w czworobok. Chciał powiedzieć, że kompanie istnieć przestają, i rozplakał się. „W prawo zwrot” — wzięliśmy swoje kompanie. Mówię żołnierzom, że żegnamy się w składzie tak liczny, jak nigdy nie byliśmy. To nie to... Mówię im, żeby nie tracili odwagi... To nie to! Więc przystępuję do wypłaty ostatniego żołdu. Każdy otrzymuje d wudziestozłotówkę. Strzelają obcasami, ciągną się jak nigdy. Łzy mi przysłaniają oczy, nie mogę patrzeć. Odchodzę w tył, muszę coś robić, nie mogę beczeć w oczach całej kompanii. Macham

ręką na „rozejść się”, ciągnę kaemy — ten swój i ten ukradziony, biorę łopatkę saperską, kopię. Kto to wyjmuje mi delikatnie łopatkę z ręki? To kapral Czudek. Inni cisną się z łopatkami. Naoliwiają, namaszczają broń, spuszcza ją w łono ziemi, kłękają i układają zieloną darń, której kwadraty pieczołowicie wycięli

Staję z boku i patrzę na ten — pogrzeb broni...

A potem saperzy poczęli topnieć jak ta polana przedtem. Coraz to któryś zarzuca chlebak i znika.

Pytam chłopaka, który w mojej kompanii odsługiwał wojsko, którego żeniłem:

— No cóż — fruujemy?

Prostuje się, patrzy mi prosto w oczy. Chłopska gęba wyraża silne postanowienie:

— Panie poruczniku, ja i tu będę potrzebny.

Pytam drugiego:

— Idziecie ze mną?

— Nie, panie poruczniku, pójdę do rodziny.

Oni chcą zostać. Oni nie czytali Cyrana de Bergerac.

— Druga kompania, zbiórka! — wołam.

Odpowiada mi cisza.

— Cóż to, nie ma już twojej kompanii, dali dęba? — ironizuje por. Marcinek.

Ale niepotrzebnie. Bo pierwszej kompanii saperskiej, którą on dowodzi — również już nie ma.

Na polanie pozostali oficerowie i podoficerowie zawodowi Dziewiętnastu ludzi Siedliśmy wszyscy na konie i pojechaliśmy na północ przez skraj lasu.

W pewnym miejscu rozstały się drzewa i otworzył się widok na dalekość. Dalekość była zielona i popręgowana słońcem, tworzyła przestrzał między lasami. Na pierwszym planie, o jakie pół kilometra przed nami, ujrzelśmy wielką flagę hitlerowską wbitą w ziemię. Drobne figurki przewijały się przed nią. To był jeden z punktów, w którym żołnierze armii generała Szylinga mieli składać broń.

Przypomniało mi się, jak, dzieckiem otrzymałem na Wielkanoc wspaniałe, ogromne cukrowe jajko. Z obu stron jajka były szybki Kiedy się patrzyło przez jedną z nich, widziało się ciekawą panoramę, mostki zwodzone, zamki — wszystko bardzo kolorowe, sztywne, tajemnicze i obce.

Cofnęliśmy się w liściasty las, przepychaliśmy się świerkowym zagajnikiem, ścierałem z twarzy pajęczynę, cicho było wokół po tylu dniach huku i wydawało się, że tamto wszystko nie istnieje, a jest tylko las, ziemia, słońce i wieczne dobro.

Kierujemy się w stronę wielkich bagien. W pewnym momencie wyłania się z krzaków jakiś oficer, mówi, że przed bagnami jest rozrzucona wielka wieś pełna Niemców, że on przez całą noc przesiedział w jakimś chlewie i teraz ucieka.

Z tyłu — siły niemieckie, które napierały przez tyle dni; na lewo — ta flaga; na wprost — bagna, których brzegi obsadzili Niemcy; na prawo — wąskie przejście między bagnami i wzgórzami; to ten przesmyk, w którym ostatecznie została przyłapana armia generała Szylinga, przesmyk niewątpliwie mocno obsadzony i pilnowany.

Siednyu spośród nas decyduje się zawrócić. Jedna grupa ma iść na Kraków — bo tam Bortnowski, tam wezmą udział w walkach. Drużdy skierują się do Warszawy, która się broni.

Zsiadamy z koni i puszczamy je wolno. Idziemy naprzód — istotnie, kiedy otwiera się pole, spostrzegamy na jego skraju wieś. Włazimy w zagajnik stojący pośrodku pola. Spędzamy tam noc, położywszy się spać na głodno.

Od wczesnego rana wyłania się za nami z lasu tyraliera niemiecka. Równocześnie ze wsi przed nami, w kierunku na las, idzie taka sama tyraliera. Widać oczyszczają teren z takich łazików jak my. Polowanie odbywa się na dużej przestrzeni, bo — co to? — raz po raz słyszymy krótkie strzały rewolwerowe.

Rewolwerowe? Więc to widać nasi oficerowie się bronią. Ale dlaczego pojedyncze? Czyżby tyłu ich strzelało sobie w łeb?...

Co prawda, kto się miał poddać, to mógł to zrobić już wczoraj. A tych opornych dzisiaj w pojedynkę wyduszają po zagajnikach.

Zbijamy się w zagajniku w gromadkę — jest nas dwunastu — i szeptem wiążemy się słowem honoru, że będziemy strzelać do Niemców, dopiero ostatnią kulę mamy prawo zarezerwować dla siebie.

Tyraliery się zbliżają. Ich punkt zetknięcia jest na linii zagajnika.

Słyszymy ich głosy ściszone i komendy wydawane pół

głosem. Najwidoczniej liczą się z tym, że zagajnik jest obsadzony.

Jakże świetnie zbalansowany ten vis. Ściskam'go w rękę leżąc pod najdolniejszymi łapkami młodego świerka. Widzę, że koledzy robią to samo, zaległszy dookoła rantów zagajnika.

Z mego ukrycia nie mam pola widzenia dalej jak na kilka kroków. Słyszę stapanie wielu ludzi... W pewnej chwili widzę buty żołnierzy. Przechodzą...

Tyraliery rozdzieliły się przy zagajniku i minęły go, uważając nie bez racji, że lepiej do niego nie zaglądać.

Wypelziliśmy wieczorem i idziemy całą noc, kierując się na bagna. Idziemy jakąś groblą, na której końcu stoi wieś. Wita nas ogień czujek. Cofamy się o kilkaset kroków. Jest tak ciemno, że nic nie widać o parę kroków. Nocujemy na grobli.

Kiedy się rozwidnia, przeprawiamy się przez rów i zapadamy w wikliny.

Jesteśmy cali przesycony wilgocią, głodni, z tyłu słychać rozsiane pojedyncze strzały, z przodu potraktowano nas w nocy ogniem, bagna po bokach nieprzejrane... Nie wiadomo, co robić...

Por. Krasnokucki powiada, że w każdym wypadku, jeżeli nie dostaniemy żywności, to zdechniemy w tych łozach, że nic nie ma do stracenia — wyprawia się do wsi, tej przed nami, z której w nocy strzelano. Idzie z nim podoficer. Długo nasłuchujemy, czy nie padną strzały. Kiedy minęło jeszcze dużo czasu, zrozumieliśmy, że dostali się w ręce Niemców.

Nastrój nie do wytrzymania. Niektórzy uważają, że walczyć — dobrze, przedzierać się — owszem, ale w mokrym bagnie zdechnąć nie chcą. Próbował Krasnokucki iść w przód, to oni pójdą w tył.

Wychodzi naprzód jedna grupa, potem druga. W dwadzieścia minut po ich wyjściu, kiedy musieli osiągnąć koniec grobli, słyszymy od tej strony, w której znikli, ożywione strzały.

Spojrzelśmy po sobie — pozostało nas sześciu. Porucznicy Marcinek, Markowski, Jaros i ja, podporucznik Stoch i kapral Śluzak, któremu Niemcy zamordowali ojca w pierwszym dniu wojny. Miałem ze sobą płachtę brezentową. Rozesłaliśmy ją na bagnie i staraliśmy się zmieścić.

Kiedy zmierzchno, posłyszeliśmy kroki i chwyciliśmy za rewolwery.

— Chłopcy, tylko nie strzelajcie — słyszymy głos Krasnokuckiego. — Sakramencki garnek wam tu przydzwigalem.

Przez rów niebawem wgramoliła się w błoto procesja: podoficer z ogromnym chlebem, baba z wielkim garem, buchającym parą (a to był rosół z kury, z kluskami), wyrostek wiejski z jajami na twardo i wreszcie Krasnokucki miłośnie tulący do łona zawiniątko z dwiema kurami.

Krasnokuckiego i podoficera odstawiliśmy od interesu jako nazartych we wsi i w sześciu daliśmy koncert przy akompaniamencie popłakiwań i siorbań babiny. Wieś nazywała się Antonówka, a ten wyrostek to był jej syn, żołnierz, który właśnie wrócił. Ciemnościami wyprowadził nas w kierunku szosy Tomaszów—Zamość.

Szosa, co jakie piętnaście minut, pomyka grupa czołgów. Podkradamy się blisko — widzimy, że na czele każdej grupy jedzie jeden wóz ze słabym światłem błękitnym, a inne suną za nim bez światła, czarną ścianą, jak jedna masa.

Artyleria niemiecka co jakiś czas strzela łukami świetlnymi, rozjaśniając okolicę w dużym promieniu.

Zapewne bokami szosy idą ubezpieczenia tego pochodu czołgów.

Kiedy tak leżymy jak zające w bruzdzie, szlusuje do nas jakichś czterech przekradających się oficerów. Znowu jest nas dwunastu.

Kiedy przewaliła się z chrzęstem jedna z grup — pomykamy przez szosę.

Zapadamy o dwadzieścia metrów po tamtej stronie. Zasztywamy się w lasek pod jakąś wsią. Nabieramy techniki: wysyłamy delegację do wsi zajętej przez Niemców. Delegacja przekrada się opłotkami i znów wraca z chlapiącą babą, z kurami, z jajami, z mlekiem.

Nabieramy humoru. Objadamy się jak nigdy w tej wojnie. Słonko wychodzi na niebo. Zaszyci w krzaki, słodko zasypiamy. Stanowczo lepiej jest być łazikiem niż dowódcą kompanii.

Nie wiem, kto tam pierwszy się obudził i zaalarmował wszystkich innych. Od wsi, z której otrzymaliśmy żywność, dochodziły gęste strzały. To nie mogło być polowanie na

rozbitków armii gen. Szylinga — strzelanina z kaemów była zbyt silna.

Nawykiem zawodowym rzuciłem okiem na zegarek — była siedemnasta — i popchnąłem się za kolegami na brzeg zarośli.

Pod lasem z przeciwległej strony zobaczyliśmy idące biedki amunicyjne i hełmy, polskie hełmy!

Jak oszalali popędziliśmy naprzód, wpadliśmy na jakiegoś porucznika w hełmie, który rozwijał tyralierę na wieś. — Idziemy naprzód, robimy ruch! — wyjaśnił śmiejąc się Ido nas wszystkimi zębami — prowadzę straż przednią [pierwszego pułku legionowego. O, tam pod stertą macie dowódcę batalionu, zameldujcie się, koledzy.

Idziemy prosto pod stertę. Płaszcze żołnierskie na nas. Zrzucam więc płaszczy, na sznurku na szyi mam visa, szóstkę w futerale przy pasie, nadto ogromnego waltera, którego odebrałem mimo błagań ciężko rannemu Fałkowskiemu, podejrzewając, że chce sobie życie odebrać. | Major dowodzący batalionem roześmiał się życzliwie, widząc ten arsenał.

— Widzę, że koledzyście się nie rozbroili, więc chcecie walczyć?

— Jasne.

Major pyta o dyslokację Niemców. Mówimy, że od miejsca rozbrojenia uszliśmy dwadzieścia kilometrów i wszędzie wsie zapchane Niemcami, mówimy o nocnym ciągu czołgów, o artylerii... Poprawił major rzemień od hełmu pod brodą:

— No, to idziemy...

Spojrzeliliśmy po sobie. Jasne nam się stało, że to natarcie szuka śmierci, nie zwycięstwa.

W tej chwili od wsi buchnęło „hura”. To ten porucznik ze straży przedniej poprowadził żołnierzy na bagnety.

Dotarliśmy do wsi, przez którą przeszli już nasi, szybko podążyliśmy za nimi drogą, którą szliśmy w nocy. Znowu przeskoczyliśmy szosę, tym razem w licznej i dobranej kompanii, znowu poczęliśmy zbliżać się do Antonówki położonej nad groblą — tej wsi, z której por. Krasnokucki przyniósł po raz pierwszy żywność.

Antonówka leżała o dwadzieścia kilometrów od tej pierwszej wsi, opróżnionej przez nasze natarcie, ale znaleźliśmy się przy niej tak szybko, że nie uwierzyłbym, gdyby nie mapa — przecież przedtem trzeba nam było całej nocy na zrobienie tej odległości. Było już jednak ciemno, kiedyśmy podeszli. Kompania idąca w przedzie zajęła placówki błyskawicznie. Ze wszystkich stron do wsi pełnej Niemców poczęły strzelać polskie kaemy. Niebawem zamilkły, bo już w wieś, bagnet na broń, wpadli nasi. Pełna teraz wieś strzałów — niby siennik żdźbeł słomy. Już ze wsi prowadzą jeńców niemieckich — jakie trzysta chłopca.

O trzysta metrów leży inna wieś. Niemcy, słysząc natarcie w Antonówce, zapalili stogi słomy i przygotowali się. Żołnierze z Antonówki z nie obeschlými bagnetami wpadli na tę drugą wieś, zdławili ogień niemieckich kaemów. Biegłem za nimi. W świetle płonących stogów zwiły się ich czarne sylwetki przy krwawej robocie — wyglądali jak szatani.

Po drodze natykamy się na młodziutkiego podporucznika, pewno z rezerwy. Chłopak jest literalnie zlany krwią. I choć podtrzymuje zwisające ramię, krew na mundurze zapewne nie jest jego, bo jest w cudownym humorze: — Idźcie panowie do wsi, znajdziecie pełne ręce roboty. Zęby mu błyszczą w twarzy, na której zakrzepła krew, jak u młodego wilczka.

Wieś gra jękiem jak skrzynia wiołonczeli. Kiedy wchodzimy w jej ulice, słyszymy, że Niemcy, podnosząc ręce, wo- łada, „Plen plen...” (zostało im to rosyjskie słowo, oznaczające niewolę, z czasów tamtej wojny). Wszędzie leżą ich trupy, wszędzie pomykają świecąc kalesonami. Widok tego wygodniostwa, tego spania i żarcia w porę — rozwściekla jeszcze bardziej żołnierzy. Pędzę za grupą, która operuje karabinem maszynowym. Dopada kolejno stodoły, wywala drzwi i kosi jej wnętrze, z którego pojedynczo wypadają ludzie w bieliźnie.

Stojąc z visem o kilkanaście kroków, koryguję ich robotę. I jak kobieta posuwająca się za żniwiarką zbiera nie do- sprzątnięte przez maszynę kłosa, tak ja zbieram visem te życia ludzkie pyrgające z otwartych wrót. Biorę starannie na muszkę, jest światło od gorejących stogów jak w dzień. Wygarniam trzy magazynki. Potem przekonałem się, że w trzecim pozostały mi trzy naboje.

Przeleciał przez wieś tabun koni bez jeźdźców. Więc tu stała kawaleria.

Minęło półtorej godziny, wieś poczęła milknąć. Wracam z czterema kolegami utrudzonymi jak i ja. Robi się szaro.

Za wsią jakieś luźne kule bzykają dosyć gęsto. Jeszcze widoczność jest zła. Na prawo luzacy trzymają wierzchowce sztabu. Nieco dalej sześciu naszych żołnierzy pilnuje wziętej do niewoli kompanii Niemców. Wojsk naszych nie widać, ogień niemiecki (dobrze się nie orientujemy skąd, czyżby ze wszystkich stron?) jest coraz gęstszy.

Rozwidnia się powoli, jakby się odsłaniała scena. Stajemy we czwórce, tak jakeśmy wypadli ze wsi — ja, Stoch, Markowski, Mitis — koło wielkich nie młóconych stogów. Pociski poczynają bić w stogi, przechodzimy na ich drugą stronę — tam bzyka też!...

Teraz już dostrzegamy, że kilkaset metrów zalega polska tyraliera i że na nią idzie ogień coraz bardziej się potęgujący. W pewnym momencie tyraliera drgnęła, widzimy oficerów biegnących z rewolwerami. Jeszcze opanowali sytuację.

Nagle z boku jakaś piechota wali na naszą tyralierę. Niemcy! Skąd się wzięli! Okazało się, że zaalarmowany Tomaszów wysłał piechotę ciężarówkami. Pociski naszej artylerii padają między te dwie tyraliery. Artyleria niemiecka poczyną strzelać coraz silniej z minuty na minutę. Już wybili konie naszych dział, obsługa pierzchła, działa stoją samotnie.

W ciągu piętnastu minut robi się pusto, nikt do nas nie strzela.

Znikła nasza tyraliera, znikły konie sztabowe, znikła kolumna jeńców, pociski artyleryjskie padają na nasze stogi.

Markowski, Stoch, Mitis i ja biegniemy pod ogniem artylerii ku grobli. Pamiętamy te trzęsawiska, które nas już raz przytuliły. Po rowach pełzają na czworakach ranni, skamląc o opatrunek.

Na grobli dostaliśmy się pod ogień, którego nigdy nie zapomnę. W groblę wałą z trzech stron karabiny maszynowe i artyleria. Jest już zupełnie widno. Wstrzelali się i pociski trafiają w sam wał, w samą groblę. Po niej, tak jak my, pełnie ogromna masa półprzytomnych ludzi. Pociski armatnie rwą w nich krwawe liszaje, ludzie oszaleli rzucają się w bagno, więzną w nim, a tam, w tym bagnie, wy- dziobują ich karabiny maszynowe.

Jakiś żołnierz z głową obandażowaną (przez opatrunek przeszło tyle krwi, że niesie niby krwawą kulę), trafiony w rękę, z której krew tryska, usiłuje zerwać bandaż z głowy i zatamować krwotok, ale w tej chwili zostaje ponownie trafiony i pada. Na bagnach ktoś wyje tak nieludzkim głosem, że jest to ponad siły nerwowe nawet tych żołnierzy, którzy widzą wokoło tyle krwi i słyszą zewsząd tyle jęków.

Markowski, Stoch, Mitis i ja pełzniemy przez cały czas na brzuchach, załomkami, starając się trzymać czucie.

Po dwóch godzinach czołgania się poczynają się krzaki. Wsiąkamy w nie. O jakie trzysta metrów znajdujemy nasze miejsce, gdzieśmy leżeli na brezencie w czarnej rozpacz. Teraz nam się wydaje najcudowniejszym zakątkiem.

Leżymy bez czucia. Jest dzień zwilgły i mundury ani błoto na nich nie schną. Teraz spostrzegam, że mam mundur przebity kulą. Przeszła bokiem po obrazku, który mi dała gospodyni w Tuczej Babie, ale obrazka nie uszkodziła.

Jedliśmy ostatni raz wczoraj o świcie kurę. Teraz już wywała się wielki dzień. Stawy wszystkie bołą, kiszki rwa.

Wóz jakiś przedziera się skrajem bagien. Żołnierz wiezie dwóch rannych oficerów. Wóz załamuje się przy wydobywaniu się przez rów na szosę. Odprzegamy konia, podkładamy deski, męczymy się dwie godziny — wypchnęliśmy na groblę. Gdzie też pojedą?

Pozostaje po tym szeroki ślad w bagnie — trzeba zmienić legowisko.

Przemykając się spotykamy płk. Czerwińskiego (arty- leryzstę) idącego z trzema oficerami.

— Panie pułkowniku, niech pan w tę stronę nie idzie, tam Niemcy...

Zastanowił się przez chwilę, machnął ręką i poszedł w poprzednim kierunku. W gruncie rzeczy miał rację — wszędzie byli Niemcy... Na nowym legowisku, mokrzy i głodni (to już trzydzieści sześć godzin, jak zjedliśmy tę kurę), próbujemy spać na brzegu rowu pełnego zielonej wody. Pod wieczór zrywa się deszcz i pada całą noc. Nad ranem przychodzi patrol niemiecki z erkaemem, zasiada na skraju grobli i kropi do przechodzących.

W pewnej chwili, o piętnaście metrów od nas, słyszymy chlupot kroków. Przywarowaliśmy. Wychodzą prosto na nas — nasi chłopcy z 1 DAK-u.

Ci też — jeszcze nie ostygli z uniesienia wczorajszej bitwy. Walczyli bez osłony piechoty. Zaatakowali czołgi niemieckie i zmusili Niemców do porzucenia ich w polu.

Nic nie wiedzieli, że w rejonie tej grobli była walka. Myśleli, że wydobyli się na jakąś swobodniejszą strefę, i chcieli upiec spokojnie w krzakach kartofle. Bardzo się skonfundowali, kiedyśmy im powiedzieli, że niedawno na skraju wiklin strzelał niemiecki karabin maszynowy.

Wspólnie starając się sprawiać jak najmniej szelestu, odchodzimy w głąb, znajdujemy coś w rodzaju suchszej wysepki, rozniecamy z badyli ogieniek i machając nad dymem, aby się rozprasał, pieczemy kartofle. Wypadło tego parę sztuk na gębę, ale zawsze coś gorącego.

Znowu się robi wilgotno, zimno i jeszcze głodniej, strasznie głodno.

Nie mamy rady. Przed trzema dniami też tu siedzieliśmy bezradnie, por. Krasnokucki (co też się z nim stało?) zaryzykował, poszedł do Antonówki groblą, wrócił z babą, z mlekiem, z chlebem. Z jajkami! Z kurą!...

Wieś Antonówka, Mekka upragniona, mleka i słoniny pełna, widnieje, jeśli głowę wychylić, burowiejąc słomianymi strzechami.

Wyłazimy przez rów na groblę, dochodzimy do miejsca, gdzie jej już nie osłaniają zarośla, idziemy wczorajszym pobojuwiskiem, tą drogą, na której przebycie, czołgając się pod ogniem, zużyliśmy dwie godziny czasu.

Cisza teraz panuje na grobli. Ludzi rannych nie ma, trupy gęsto leżą w najróżniejszych pozach. To z tej kępki wczoraj szło owo niehumanitarne wycie. Leży na niej żołnierz skrzyżony w pół; Kępka jest mniejsza niż jego ciało i sztywne nogi toną w błocie. Prawa ręka wyrwała spod munduru szkaplerz i zastygła przyciskając go do ust.

Ale błota nie są martwe. Nim się orientujemy, co to być może, czujemy na sobie liczne spojrzenia. To konie pozapa- dane w błoto, ranne i zdrowe; obracają ku nam głowy, patrząc oczami pełnymi cierpienia. Wydobywam visa i uważnie celując dobijam jednego konia po drugim. Kiedy wystrzelałem magazynek, orientuję się, że mi naboju nie starczy. Posuwamy się dalej szosą, salutowani smutnym „w prawo patrz” umierających koni, towarzyszy żołnierzy, pozbawionych wszelkich praw w tej wojnie. Jak zresztą i żołnierz...

Szukamy gorączkowo jedzenia, przetrząsamy chlebaki zabitych. Znajdujemy pełno pierwszorzędnych rzeczy, znajdujemy skórę Stocha, który wczoraj pełną porzucił ją, znajdujemy doskonałe koce, lornety, rewolwerów jest ile chcąc, ale nie natrafiamy ani na jedną puszkę konserw.

Niech się dzieje wola Boża! — pójdziemy do wsi.

Już tu Niemcy porobili porządki po wczorajszej rzezi.

Nigdzie nie widać ani jednego trupa. W obejściu jakiegoś domu widzimy systematycznie rzędem ustawione polskie karabiny i hełmy. Dwa działa olbrzymie z artylerii najcięższej stoją samotnie i bezradnie. Nigdzie ani żywego ducha.

Wchodzimy do pierwszej z brzegu chałupy... Jesteśmy tak głodni, że nie mamy innego wyjścia. W chałupie na łóżku leży umierający żołnierz i charczy. Twarz jego jest zupełnie żółta, jak twarz trupa. Obok wisi mundur — nasz podchorąży. Baba krzątająca się po izbie mówi, że nie ma zupełnie nic do jedzenia, uprzedza, że Niemcy złożyli sprzęt, poszli po wóz i zaraz wrócą. Wychodzimy, w opłotkach spotykamy jakiegoś chłopaka, jest nastraszone, bo mu Niemcy zrzucili czapkę z głowy, aby zobaczyć, czy jest ostrzyżony, i krzyknęli: „Polski wojok!”. Ale chłopcu, który istotnie wrócił z wojska, udało się wymigać, jako że był z tej wsi i wykazał się tym.

Prosimy go o chleb. Chleb? Przecież ludność przez cały czas bitwy w lasach siedziała.

Zaskoruzłą ręką szuka po kieszeniach.

— Z mąki na węglach piekliśmy. — Na dłoni ma mały podpłomyk. Nabożnie dzieli go na pół i nam połowę oddaje. Uważnie dzielimy go z Markowskim na dwie ćwiartki i oddaliśmy się żując.

Było to tak, jakby ten żołnierz, zostający na roli, udzielił komunii żołnierzom, ruszającym w świat.

Wróciliśmy na bagna do swoich. Nie cieszy Stocha odzyskana skóra, nie sprawiają na towarzyszach należytego efektu koce. Leżą na wznak na suchszym garbie nad rowem pełnym zielonej wody i patrzą w niebo poprzez sitowie. Trzy pełne dni nie jedzenia dla młodych zdrowych ludzi, którzy pozostawali w ciągłym wysiłku fizycznym, przeszli nerwowe napięcie bitwy i szczękali zębami w zimnych oparach bagien nocą — to jest istotnie wielkie cierpienie.

Artylerzyści już gdzieś poszli, siadamy w czwórkę — Mitis, Stoch, Markowski i ja — odbywamy naradę wojenną. Oczy mi błyszczą nienaturalnie, na policzkach wypieki. Za wszelką cenę iść gdzieś, nie pozostawać bez ruchu/ I za wszelką cenę — wyjść z bagien.

Decydujemy się iść tym suchym przesmykiem między bagnami, na którym ostatecznie rozgromiona została dywizja.

Ruszamy przedwieczorną porą, wkrótce znajdujemy się na leśnej drodze. Jest cicho naokoło, aż w uszach dzwoni. Po tyłu dniach huku aż dziwno. Nie stąpaliśmy jeszcze po takiej ziemi, na której nie słyhać ani pieśni w polu, ani ryku bydła, ani szczekania psów we wsi, ani śpiewu ptaków w lesie. Wzdłuż drogi leśnej wszędzie — bezsilne — działka przeciwpancerne, karabiny maszynowe. Wszędzie bruzdy po czołgach.

Zmierzcha. Idziemy po ciemku, ile się da. Wreszcie około drugiej w nocy kładziemy się na tej drodze leśnej, tak jak na nią weszliśmy, i zasypiamy. Zasypiając myślę, czy też nas nie obudzi kopnięcie niemieckiego buta. Kładę visa poręcznie. Wczoraj, ruszając, pytałyśmy siebie, czy dawna umowa, że będziemy strzelać, trwa. Orzekliśmy, że tak.

...Obudziło mnie szturchanie butem. Nad nami stało kilku polskich żołnierzy:

— Co, do cholery (mieliśmy płaszcze bez odznak), nie mogliście już lepiej się położyć? Przecie tam pod tymi budynkami placówka niemiecka.

Widniało już. Przez wycinek leśnego duktu ujrzałem jakieś budowle nie dalej niż o dwieście metrów.

Skoczyliśmy głębiej w las, w las, który widział różnych i licznych gości i przechowywał po nich różne ślady. Na polanie leśnej ujrzałyśmy trzy kuchnie. W jednej z nich na dnie kotła znaleźliśmy zakrzepłą kaszę może sprzed pięciu dni, na którą nacie kła woda deszczowa. Wyczerpnęliśmy wodę, nabożnie wycięliśmy kaszę, rozstawiliśmy trójnog z gałęzi, uwiesiliśmy menażkę i zjedliśmy tę trochę. Ale głód nie dał się oszukać i dał gwałtownie wewnętrzności

Potem szliśmy jeszcze cztery godziny. Ślady po taśmach czołgowych poczęły się zgęszczać, zbiegać, rozbiegać, wyraźnie gdzieś prowadząc. Wyszliśmy za nimi na leśniczówkę, powitało nas wściekle ujadanie brytana, ale Niemców nie było.

W leśniczówce młoda dziewczyna krzątała się po domu, a przy piecu stała starsza kobieta... smażyć kaczkę. Od tej chwili przestaliśmy cokolwiek spostrzegać, staliśmy, cztery głodomory, Stoch, Markowski, Mitis i ja, wparci oczami w kuchnię, zawieszeni na niej powonieniem, wzrokiem, słuchem nawet, bo ta kaczka diabelnie głośno i apetycznie się smażyła.

Poruszyłem zaschłym językiem i powitałem, jak umiałem najgrzeczniej, gospodynię.

Markowski, zwykle najbardziej przedsiębiorczy, zapytał z lekka załamującym się głosem, który miał być swobodnym:

----- Czy nie można by czego dostać do jedzenia?

Stoch pośpiesznie rozpiął odzyskaną skórę i wydobywał otrzymane z ostatniego żołdu dwudziestozłotówki.

— Nie, nie ma nic, wszystko wyjedli...

Podchorąży Mitis, najmłodszy spośród nas, zapytał, pośpiesznie płacząc słowa, przy czym w głosie jego czuć było ni to bezradność, ni to dziecinną prośbę:

— Czy naprawdę, proszę pani, nie ma nic, czy naprawdę? Oświadczyła z całą stanowczością, że istotnie nie ma nic. I my, czterech drabów z rewolwerami u pasa, w czwartym dniu głodu, nie znaleźliśmy tyle odwagi, aby choć spytać, co znaczy ta kaczka. Z przeprosinami wycofaliśmy się i poszliśmy w las..

Dążyliśmy na wschód, lasem, bojąc się wyjść ku wsiom na 'własnej ziemi. Zdawało nam się, że to już zaraz powinien być kres zasięgowi niemieckiemu, a tymczasem wciąż znajdowaliśmy ślady niemieckich czołgów.

W pewnym miejscu weszliśmy na równinę międzyleśną. Tu były pozycje naszej dywizji, może naszej armii.

Okop na półtora kilometra długi, co parę kroków karabin maszynowy.

Kilkanaście kilometrów posuwamy się tymi pozycjami. Widzimy całe baterie artylerii i stopy naboji. Markowski podnosi wychudłą twarz, oczy mu świecą gorączką:

— Taki pocisk do ciężkiego działa kosztuje tysiąc złotych, a taki do połówki kilkaset...

Jest i dla nas kasek: dwanaście nietkniętych wozów jakiejś zmotoryzowanej kompanii saperskiej.

Karabiny, karabiny... Wszędzie ich pełno. Hełmy. W jednym miejscu spostrzegamy górę szabel kawaleryjskich. Te

przynajmniej są połamane. Stosy ślicznych siodeł, prosto z magazynów.

Stąpamy nabożnie, ludzie głodni, tym pobojowiskiem, najstraszliwszym z pobojowisk, jakie widziałem. Nic to żołnierz zmarły, zastygły w męce, nic oczy umęczonych zwierząt wobec tej strasznej wymowy klęski, którą poniosła ziemia polna i rolna, w broń, sprzęt uboga, zdławiona, za gardło schwycona techniczną przemocą wroga.

Mitis, najmłodszy, kiedy wreszcie spostrzega karabin przeciwzołgowy, karabin-chlubę, któregośmy przed wojną nie znali, który został wydany z magazynów dopiero na wojnę (taki karabin porzucony w rowie nasza kompania znalazła i cieszyła się, że już nie tylko na abisyńskich butelkach polegać będzie), Mitis, najmłodszy, zatrzymuje się, bierze go w rękę, gładzi i mówi półprzytomnie:

— Taka broń, taka broń...

Ale są i inni amatorzy. Po pobojowisku szmygają postacie chłopskie. Pierzchają śpiesznie, zbliżają się, kiedy widzą, że to swoi. Szukają żelazniwa, skór, materiałów — ter- mity ze ślepej kohorty pracowniczej, które nie widzą nic, jeno budują, budują, budują, kiedy mrowisko ktoś zawali, kiedy mrowisko ktoś uszkodzi, aż wznoszą większe, niżli było.

Pytamy, czy może chcą wybrać broń i schować, i w pytaniu naszym jest ten sam ton, którym Mitis pytał o kaczkę. Chłopi spluwają przez zęby. Co to — to nie. To niebezpieczny szpas. U jednego z nich dziś nocą kapral w stodole spał, chłop nie wiedział, że ma broń, boby go nie wpuścił. Kapral przy sobie „lewerwer" położył, wszedł niemiecki patrol, zobaczyli rewolwer, z punktu zadźgali, że ani się pewno przed śmiercią nie obudził.

Chłopi kose spojrzenia rzucają na nasze rewolwery. Idźmy.

Pod wieczór jeszcze idziemy. Pewno do wieczora dobrniemy do swoich, nakarmią. W pewnej chwili znowu spotykamy chłopów.

— Gdzie nasi?

— Nasi? To panowie nie wiedzą, że już w Rawie Ruskiej bolszewicy?...

Za lasem jezioro. Całuję visa i rzucam w wodę. Dwa pozostałe rewolwery zatrzymuję. Za jeziorem łąka. Za łąką lasek brzozy. Gdzie idziemy?

W lesie groby. Darnią wyłożone, porządne, świeżutkie. Nad grobami krzyże. Na krzyżach napisy: „Tylu i tylu żołnierzy polskich." I tyleż hełmów polskich pod krzyżem. I dalej groby z napisem: „Tylu i tylu żołnierzy niemieckich." I tyleż niemieckich hełmów.

Ręka litościwa — czy szarwark. Szarwark porą jesienną, porą zbiorów, porą dożynkową.

Trupy końskie już pękają. Wrony kraczą nad lasem. Słońce świeci ostro i ukośnie.

DYWIZJA — JEŻ

Jest czternasty września. 11 dywizja, do której pułk Pa- sika należy, została oskrzydłona przed tygodniem na swych wymuskanych pozycjach nad Wisłoką- i odskoczyła sześć- dziesięciokilometrowym marszem jednego dnia. Nie zdołała jednak oderwać się od ścigającego ją Korpusu Bawarskiego, a z boku nie odklejały się jakieś inne formacje. Ósmą dobę przesuwa się dywizja na wschód w nieustannym boju, który wypełnia każdą z dwudziestu czterech godzin. Sztab jej stanowi jakby jądro w buzującej się mgławicy — to wydzielane na wszystkie strony grupy uderzeniowe rozpylają się w bojowe patrole.

Objąwszy dowództwo jednego z tych patroli, kpt. Ihnato- wicz¹ wbił się na oś okrążającego niemieckiego marszu. Ulokowawszy strzelców po strychach, przepuścił motocyklistów, opancerzone wozy rozpoznania, lekkie czołgi, pionierów, nawet działka zmotoryzowane. Już płynie załadowana na ciężarówce piechota, ale kapitan nie daje hasła. Wreszcie — jądro jak szerezeń: w otoku motocykli, w obramieniu czołgów lśniaca otwarta limuzyna, błyskająca złotymi bulionami naramienników. Za tą głowicą trzytonówka z piechotą.

Henio Pasik, przywarty do karabinu przeciwczołgowego, ruszył wiórem języka w wyschniętych ustach, wciągając powietrze dla wyrównania tchu. I już plasnął nad nim upragniony strzał Ihnatowicza: pierwszy pocisk trafił w sil

nik czołgu poprzedzającego limuzynę, drugi w silnik czołgu za nią. Jakby kto orzechy wybierał. Po limuzynie szły poczęły trzy erkaemy, a po knechtach stłoczonych w ciężarówce poszła seria ciężkiego karabinu maszynowego. Reszta kolumny skręca w boczną drogę, ucieka. Z limuzyny wyskoczył pułkownik-dowódca kolumny z szefem sztabu i adiutantem, zostawiając w limuzynie trupy kierowcy i trzech oficerów. Rzucono się żywcem ich brać, ale plunęli z pistoletów, raniąc dwóch strzelców; więc karabiny ze strychów wypykały ich natychmiast. Upolowani wspa- niałcy leżą w kałużach krwi, świecąc kłapami wyłogów i pękatymi mapnikami.

Przy zabitych znaleziono dokładny plan niemieckiego ataku. Na mapach były wyrysowane grube czerwone krechy. Okazało się, że wprost po piętach naszej 11 dywizji depcze 45 dywizja niemiecka, co widzieliśmy, ale nie wiedzieliśmy, że za niemiecką 45 dywizją podąża w tyle 44, że górą (na północ) ociera się o 11 dywizję niemiecką 4 dywizja (zmotoryzowana), o którą właśnie tak krwawo zawadził nasz wypad, że za jej zagonem podąża 7 dywizja niemieckiej piechoty. Nie wiedzieliśmy, iż dołem (na południe) posuwa się równoległe z nimi odnóżami gór niemiecka dywizja górską.

A więc pięć dywizji dobrze wyposażonych, w czym jedna zmotoryzowana — na tę jedną dywizję polską!...

Trzeba się wycofać, ale o tym w dzień mowy być nie może. Tymczasem niemiecka 45 dywizja podciągnęła tuż.

Wchodząc do Barycza, zafasował kwatermistrz kpt. Je- dziniak porzucone przez jakieś cofające się nasze wojska zapasy żywności. Starczyłoby tego z górą na dzień dla całej dywizji. Złożył więc te zapasy w stodole i miał na dwadzieścia cztery godziny spokojną głowę. Tymczasem dziesięć czołgów napierającej 45 dywizji podjechało pod samą wieś i pociskami zapalającymi spaliło stodołę.

Obok stała artyleria. Zła krew zalała chłopców. Kwatermistrz Jedziniak, który sam był dyplomowanym artylerystą, wpadł między nich, odprzodkował działa, wyjechali przed palącą się stodołę i jak grzmotnęli, tak pięć czołgów pozostało na placu.

Wywiad na północ donosi, że nieco przetrzepana przez nas pod Błazową dywizja zmotoryzowana pędzi dalej swoim szlakiem na złamanie karku przez Radymno na Lwów, jak

miała nakazane, i nic ją jakaś polska dywizyjka z boku nie obchodzi, niech się pozostałe cztery dywizje nią bawią.

Wywiad na południe wyświetla, że wzdłuż Sanu już suną oddziały dywizji górskiej, ale jeszcze z rzadka. Gdzieś za Sanem, pod Birczą, stoją pono jakieś siły polskie i postanawiają się bronić.

Wywiadu na zachód robić nie trzeba, tam trwa walka z 45 dywizją.

Kiedy nie ma ani rozkazów żadnych, ani żadnej łączności, postanawia płk. Prugar-Ketling iść z pomocą tym wojskom w Birczy. Wzywa młodziutkiego porucznika artylerii.

Kiedy zapadła noc, już się zdołał przeprowadzić przez San pod Nienadową, przez linie marszu górskiej dywizji nasz 48 pułk piechoty.

I wówczas nagle przychodzi rozkaz: cofać się na Przemyśl z przejściową obroną Krzywczy.

...Ściągnięto więc z powrotem przez San 48 pułk, ściągnięto maszerujące za nim oddziały. Cóż może wiedzieć na próżno rozsyłający wywiady dywizjoner? Zostawiono tych w Birczy złudzonych pomocą, walczących na próżno, jak potem się dowiedziano, do wieczora, aż im Niemcy odwrót odcięli. Sytuacja teraz jest taka:

Dywizja 45 i 44 nacierają na wprost, od południa, od Sanu, zagaściła się dywizja górską, a ta zmotoryzowana dywizja od północy w niepowstrzymanym pędzie przelała się na Łętownię, przecinając drogę naszej dywizji, a więc i wschodni, jedyny wolny dotychczas kierunek jest zajęty.

Łętownią leży o siedem kilometrów od Przemyśla, do którego dywizja otrzymała rozkaz marszu.

Pułkownik Prugar-Ketling ucieka się do polskiego sposobu, jedynego mającego jakie takie powodzenie w tej wojnie: każe rozładować broń, aby żołnierz nie zalegał strzelając, nie rozpraszał się, aby szlusował jeden do drugiego, każe nałożyć bagnet na broń i nocą uderza. Dywizja przebija się. Dowódca dywizji pierwszy wjeżdża na most pod Przemyślem wraz ze szpicą dywizji.

Jest północ. Nad mapami w kasynie garnizonowym pochylony pracuje generał Sosnkowski — dowódca frontu in partibus infidelium, dowódca nieuchwytnych armii generała Szylinga, generała Fabrycego. Przy nim dowódca grupy — generał Łukowski, pułkownik Dehmel. Po ścianie tańczy olbrzymi cień pierwszego oficera operacyjnego — pułkownika Morawskiego.

Od zmierzchu słychać pod odległą o siedem kilometrów Łętownią wzmagającą się kanonadę. Jakże tu układać w tym ciężkim położeniu plany, kiedy w rękę nie ma niemal nic, a nie wiadomo, czy się dywizja Prugara przebije?

Nagle na progu staje płk. Prugar-Ketling.

— A dywizja?

— Nadciąga.

Cieszy się sztab „frontu”. To jest dywizja, której żołnierz ma już za sobą szereg dni walk; nie dał się rozbić, miał sukcesy i inicjatywę.

Cieszy się dywizjoner Prugar-Ketling. Kończy się porzucanie na rozkaz bez walki doskonałych, umocnionych pozycji, kończy się odwoływanie rozpoczętych uderzeń, kończy się bezradne macanie wypadami w ciemnościach nocnych na wszystkie strony świata.

Lekki jak piórko wychodzi na plac przed kasynem, by dopilnować dociągających swoich. Przed kasynem w ciemności prostuje się jakiś oficer. To oficer wojsk łączności, kapitan Dudziński. Odbiwszy się od swoich oddziałów, znalazł również oderwaną od swoich, bezradną i zagubioną, ale wyekwipowaną pierwszorzędnie kompanię łączności. Objął nad nią komendę i zgłasza się pod rozkazy.

Tego dnia i kapitan Dudziński był ucieszony: miał dowódcę.

Jak magnes zbiera opiłki, tak sprężysty krok oddziałów zbiera niedobitki. Dywizja poczęła porastać w oddziały, w służby, nawet w artylerię ciężką.

Cóż ma do rozporządzenia „dowódca frontu”? Poza tą 11 dywizją — jeszcze 38 dywizję, która koncentruje się pod Sądową Wisznią. Siedemdziesiąt osiem kilometrów... ładna odległość, jeżeli się zważy, że wróg zmotoryzowany siedzi na piętach.

Zwraca się do pułkownika Prugara-Ketlinga:

— Pańscy żołnierze przychodzą prosto z bitwy, wiem o tym, ale nie mogę im dać odpoczynku, musimy natychmiast tej nocy wyruszyć na połączenie z 38 dywizją, bo będzie za późno.

— Rozkaz, panie generale!...

Jest po północy, a dywizja jeszcze nie ściągnęła do Przemyśla. Ci, co weszli do miasta, zalegają plac i przyległe ulice. Dziwny widok przedstawia w świetle księżycy to wymarłe wojsko. Bo żołnierze siedzą pod domami, skurczeni przy biedkach karabinów maszynowych, oparci o jaszce, przycupieni na nielicznych już wozach taborowych. Niektóre konie — męczennicy wojny — mają torby z owsem przy pysku. Skąd ci chłopcy potrafią zafasować furaz?

Patrzy Prugar-Ketling na swoją dywizję, z którą maszerował w nieustannych bojach dziesięć dni. Jest noc z czternastego na piętnastego września. Po zamaryłych szeregach idzie rozkaz. Podoficerowie podrywają żołnierzy.

Kiedy nadchodzi świt, gros dywizji jeszcze jest w Przemyślu. To będzie pierwszy dywizji marsz dzienny. Marsz męczeński.

Naloty powtarzają się co krótki odstęp czasu. Wszędzie przeklęta równina. Nigdzie najmniejszego lasku. Żołnierz zbiega w bok drogi i wtula się w bruzdy. Gorzej z końmi. Po jednym z nalotów pozostaje trzydzieści pięć trupów końskich. W późniejszych dniach zdarzył się nalot, w ciągu którego dywizja straciła osiemdziesiąt siedem koni. Takie cofanie się to już nie cofanie się wojska, to lud jakiś biblijny topniejący na pustyni.

Kiedy dochodzą do odległych o jakie dwadzieścia pięć kilometrów Mościsk, dowódca dywizji staje obok drogi i obserwuje smutne wejście swojej dywizji. Jeśli mieliście drogą istotę, którą dotknęła krzywda, i musieliście na nią bezradnie patrzeć, tedy pomnóżcie to przez ilość żołnierzy i zrozumiecie, co działo się w sercu dowódcy w ów wieczór piętnastego września.

Nie ma tu mowy o defiladach, o przeglądach. Tylko ot, kiedy salutują mu podciągający się pod okiem dywizjonera dowódcy oddziałów, pyta generał po prostu:

— Wytrzymacie, chłopcy?

I jeszcze widzi błysk w oczach, ten błysk, z którym żołnierze Ihnatowicza rozbili kolumnę pancerną pod Błazowa, z którym artylerzyści kapitana Jedziniaka pomścili spalone prowianty:

— Wytrzymamy!—

Nie ma czasu popasać w Mościskach. Przychodzi noc, przyjaciółka polskiego żołnierza. Po długim dniu letnim, który sprzymierzył się z suszą, przychodziła, aby otoczyć swoim płaszczem, aby kłaść chłodne palce na czoło. Dywizja rusza dalej.

Ale kiedy ciemne sylwety płyną nieskończenie przez milczące Mościska, w jednej z chałup przy zasłoniętych oknach popasa dowództwo. Patrzą na mapę.

Powstaje myśl zapchnięcia się w pięć-sześć powiatów górskich, z Rumunią, z Węgrami na zapleczu, obsadzenia wąwozów górskich. Ściągną tam siły wielkiej armii, która jest bardziej w rozsypce niż w definitywnym zniszczeniu.

Tak oto sobie myślano w chałupie w Mościskach. Ale czekał broniący się, otaczany Lwów. Któż mógł na swoje sumienie brać tego rodzaju decyzję?

I wtedy, nocą piętnastego września, ruszono dalej na połączenie z Lwowem.

W Sądowej Wiszni zastają 38 dywizję, która w bojach nie była, co nie znaczy, by się nie porozbijała przy transportach. Oprócz tego są tam żalosne resztki porozbijanej 24 dywizji.

Chłopy tam, w tej trzydziestej ósmej, dorodne, tęgie, dobrze umundurowane, nie po wykruszał i im się zawodowi podoficerowie. Nasze dziady z jedenastej co prędzej zaszyły się w lasy pod Sądową Wisznią, może też te przeklęte bombowce dadzą schwycić nieco snu.

Ze świtem jednak powstaje w Sądowej Wiszni sądny dzień.

Odprawa odbywa się przy akompaniamencie detonacji. Płk. Prugar-Ketling patrzy przez okno na stojące przed kwaterą konie, pośród których bomby czynią krwawą rzeź.

I kiedy niemieckie bombowce pościgowe schodzą nad Sądową Wisznią lotem nurkowym i wykaszają wszelkie życie z jej uliczek, pada decyzja podjęcia ofensywy na północny wschód, ku Lwowowi, który jest już definitywnie odcięty.

Uchylając się od przebywania bagien Wereszycy, wojska wezmą kierunek w lewo i pójdą na Lasy Janowskie. To główne natarcie poprowadzi dywizja-weteran, dywizja 11. Uderzenie na Wereszycę będzie markować dywizja 38. Spróbuje sforsować przejście, co osłoni prawe skrzydło pochodu, a w razie zbyt silnego sprzeciwu poda się, nie przechodząc Wereszycy, również na lewo, ku Lasom Janowskim.

Resztki dywizji 24 będą stanowiły odwód.

Gdy się ściemniło, ruszają pułki 11 dywizji naprzód. Na prawym skrzydle, na Nowosiółki, na Mużyłowicze i Mogiły, idzie 49 pułk piechoty prowadzony przez żywego jak skra, czupurnego i przedsiębiorczego podpułkownika Cho- dałę. Na prawo podąża 48 pułk piechoty pod swoim dowódcą, zrównoważonym, spokojnym i zaciętym pułkownikiem Nowakiem Ma kierunek na Rogoźno i Szklary.

W odwodzie za pułkiem 49 idzie pułk 53, którego dowódca, płk. Kocur, poprowadzi dziś osobiście jeden z batalionów z doskonałym skutkiem na bagnety.

Na prawo od 48 pułku idzie jeden batalion 38 dywizji; inne jej bataliony uderzają na przeprawę przez Were- szycę. W imię Boże!...

Ledwo ruszyli, zrywa się piekielny ogień, Niemcy obsadzili się mocno i nie myślą puszczać odsieczy pod Lwów.

Zwijają się w sobie jeź — 11 dywizja. Największy ogień idzie na 49 pułk piechoty; tam więc podążają oficerowie sztabu dywizji.

Ginie dowódca nie egzystującej już, wystrzelanej kawalerii dywizyjnej, rotmistrz Dąbrowski. Ginie, trafiony w kręgi szyi, pierwszy oficer operacyjny, kapitan dyplomowany Edward Helczyński. Kiedy do położonego przez żołnierzy na wznak podchodzi płk. Prugar-Ketling, melduje mu z uśmiechem, że dziura załatwana, że pułk jest gotów do dalszego natarcia. Umiera.

Nie czas, nie czas na pogrzeby. Pułkownik bierze polskiego „bezarda”¹. Z tym bezardem, to jest chłopem przewodnikiem, noc bierze pod pachę, starym polskim sposobem każe rozładować broń, i mając krzaki jako wachę, na Mużyłowicze się przedziera.

Poszedł w przód pułk, jeno sucholeż trzeszczy. Wnet w kanonadę wplotło się „hurraa!”. Uderzyli na bagnety. Kanonada bliższa cichnie, dalsza się nasila. Pułkownik śpieszy za nimi do wsi... Ach!

Tu ciała pokłutych Niemców, a tam dalej — już świt — armaty, armaty, czołgi, kaemy, ciągniki, kuchnie, wozy terenowe... Wieś nimi rozparta po ostatnią możliwość.

Ileż tych dział? Biegają podoficerowie, liczą... Dwadzieścia!... To, gdy cała dywizja ma trzydzieści sześć dział. Ileż tych czołgów?... Głosy liczących giną w opłotkach. I tu czołgi stoją, i tu, i tam w podwórku, i tam, w bocznej uliczce. Sto Lr

Trupy niemieckie martwo patrzą znieruchomiałymi białkami. Na ich mundurach szerokie wstęgi czarno-białe. Litera: „Germania”. Tu więc legła, tu została rozgromiona świeżutko na front przybyła Sturm-Staffel „Germania” — Gemischtes Korps.

Czasu nie ma. Niemcy szykują się do kontrataku. Zniszczyć trzeba ten sprzęt zdobyty, bo go nie utrzymamy. W mig łąziki taborowe, pośpiesznie zebrane (pułk bo już wyszedł przed wieś do walki), uwinęły się koło kwaczy syconych benzyną.

Wieś duża, niemiecka, zasobna. Pomiędzy ciężarówkami niemieckimi, wyladowanymi amunicją artyleryjską, pomiędzy przyczepami krytymi brezentem, ładowanymi trotylem przeciskają się gospodarze. Pokazują na te sterty naboju:

— Czy pan pułkownik wie, że to grozi wsi?

— Czy to my zaczęliśmy wojnę?

Już płyną rzeki benzyny z cystern z odkręconych kurków w bakach niemieckich wozów. Rzeki te dołem płyną, górą burowieją dymem, łączą się w jeziora zionące ogniem. I kiedy drobny mak ładunków karabinów maszynowych poczyna pękać w ogniu, wychodzą pośpiesznie żołnierze w beku kóz, myczeniu krów, płaczu kobiet i dzieci.

Gdy wyszli — rozgrzane „kufarki” poczęły pękać z grzmotem, który szedł po lesie, kościółek, zaraz potem cerkiewka wyskoczyły w górę i runęły jak domki z kart.

Od ty^u już dopada, już szarpie wróg zajadły, wróg nieustanny od tyłu dni — niemiecka 45 dywizja.

Nagle ktoś przypomina:

— A tamta wieś?

Prawda, w niej też* meldowano ilość czołgów i dział.

Pułkownik posyła saperów dywizyjnych, ale już od wsi wrócili Niemcy i saperów odparli. Więc tyle dobra ma im pozostać?

Tedy — polski sposób. Na bagnety! Gdzie pułk odwodowy?

Płk. Kocur — rewolwer w jednej, kij, olszynowy nie obkorowany, w drugiej ręce — sam prowadzi batalion.

Wpadają, przechodzą, wypierają Niemców. Luzaki za nimi, jak szatani, z płonącymi kwaczami. Już trzeszczeć poczynają karabinowe ładunki w ogniu, już się nagrzewają i hukają wielokalibrowe „cieleta” — armatnie pociski.

Pułk 48 chwilowo zawieruszył się po innych wsiach. Wyłażą z chaszczów z gębami ucieszonymi, prawie każdy prowadzi motocykl. Nabrali tego wielkie ilości.

Za wsią generał przyjmuje defiladę. Żołnierze są najedzeni konserwami niemieckimi. Idą dziady, świecąc dziurami portek, trzaskają krokiem defiladowym. Skąd się tym nie golonym od dwu tygodni drapichrustom bierze takie krycie i równanie?...

„Czołem, panie generale!” — pokrzykują, jakby nie siedzieli na dnie michy, na której rantach śmierć lub niewola.

W sąsiednich wsiach też poszczęściła robota. Z przejętych papierów ujawniło się, że polskie uderzenie werżnęło się w oś marszu odrębnej jednostki, oznaczonej jako Gemisch-tes Panzerkorps.

Toteż rychło sytuacja się odwraca. Niemcy zewsząd nacierają, linia walk jest postrzępiona, po południu nikt jej nie rozezna, przeciwnicy długimi językami wżerają się w siebie. Ihnatowicz wziął pluton i szaleje po przedpolach. Wszedł w głuchy i ciemny las i nagle na wolnej polanie zobaczył ciężarówiec, na którym stoi sierżant w polskim mundurze z dziewczyną w wiatrówce i rozdają z wozu polskie mundury.

Dywersanci!..;

Sierżant stoczył się z przestrzelonym łbem, dziewczyna wyrwała z futerału przy pasku „piątkę” i kocim ruchem skoczyła z wozu. Pasik stropił się mając przed sobą kobietę, puścił elkaem na pas, schwytał ją za ramię; strzeliła, poczuł targnięcie w rękę, puścił, uskoczyła w chasz-

Na polanie dobijano dywersantów — jeszcze nie umundurowanych parobczaków.

Ale już z chaszczów poszły gęste strzały; wysuwało się niemieckie natarcie. Ihnatowicz z plutonem odskoczył w las, na przesiece łapie ich cekaem, Ihnatowicza ścina seria.

Właśnie piątego dnia obrony Lwowa, w dniu osiemnastego września, resztki 11 dywizji rozpoczynają tragiczny marsz na Brzuchowice.

Tego dnia o świcie poszło pierwsze natarcie niemieckie, załamane ogniem polskiej artylerii.

W południe idzie drugi atak na prawe skrzydło, gdzie stoi 48 pułk. Ogień niemiecki niesłychanie się wzmacza. Pułk 48 ponosi olbrzymie straty; nie zostało już w nim niemal żadnego oficera zawodowego.

Pod wieczór strzepy „frontu”, armii, a choćby dywizji otrzymują trzecie uderzenie. Niemcy znowu biją przede wszystkim na prawe skrzydło, którego nie ma czym wesprzeć, ale i na całą dyslokację szczupłych sił polskich. W lesie, tam gdzie stoi dowództwo (frontu? armii? korpusu? dywizji?), jest piekło. Drzewa się wałają, gałęzie padają. Sześć samochodów przed dowództwem zostaje rozbitych, pół kompanii łączności (tej pięknej, sformowanej w Przemyślu) wybite, posterunek obserwacyjny dywizji — stale pod ogniem. 61 pułk piechoty niemieckiej okrąża prawe skrzydło.

Wówczas... podejmują marsz na Brzuchowice.

Płk. Prugar-Ketling kieruje operacją. Jeden batalion 53 pułku piechoty zostaje skierowany na prawe skrzydło celem ubezpieczenia przemarszu i odpierania ataków 61 pułku piechoty niemieckiej. Ma on za wszelką cenę nie dopuścić pułku do obejścia drogi dywizji i zajęcia Lelechówki, przez którą idzie linia marszu.

Major Młyński, dowódca batalionu, zasalutował jak na paradzie i ruszył z batalionem w las. Już go więcej dywizja nie widziała ani jego żołnierzy. Batalion i jego dowódca — polegli.

Taborów dywizja nie bierze. Jej dowódca wie, co znaczy w takiej sytuacji zatarasować sobie drogę.

Pierwszy lasem spływa na drogę do Lelechówki 49 pp.

Duktem leśnym równoległym do tej drogi rusza 53 pp.

Posuwają się na jednej wysokości równoległe, będą sobie pomocą. Tak myśli płk. Prugar-Ketling.

Kiedy jednak dogania pułk 49, okazuje się, że ten, stłoczony, przebić się nie może przez tabory dowództwa, resztek 38, resztek 24 dywizji.

Na wąskiej drodze leśnej, z której nie można zjechać, wyciągnął się wąż czterokilometrowej długości. Noc mija,

jeśli nawet batalion Młyńskiego nie przepuści 61 pułku, pod Lelechówką zapewne czekają siły ode Lwowa. Od strony batalionu słychać ożywioną kanonadę. dzielnie sobie poczyna Młyński! Co będzie, jeśli żołnierz liniowy nie wysunie się na czoło, Jeśli tabory weprą się pod ogień niemiecki?

Płk, Prugar-Ketling każe, aby przynajmniej artyleria pośpieszała duktem, aby chociaż jeden batalion podążył lasem, bokiem drogi, po której grzęzną tabory.

Pada gęsty deszcz, jest zupełnie ciemno. Potykając się, padając, kalecząc się o świerkowe gałęzie, chlaszczące po twarzy, biegnie... dowódca dywizji, z nim jacyś oficerowie, jacyś ludzie — trudno już rozróżnić kto.

Od strony Lelechówki podrywa się już kanonada. Czyżby czoło taborów wyszło z lasu?

Kto to woła, kto ręką sięga w ciemności, aby nawiązać kontakt? Aha, to szef sztabu, ppłk. Popiel. Woła, by zebrać kogo się da i bezzwłocznie uderzyć. Znowu ta jedyna śpiewka wojska bez łączności, bez aeroplanów, bez czołgów, bez działek przeciwpancernych i bez artylerii przeciwlotniczej: bagnet na broń!

Jaśniej się robi, deszcz ustał, ale wszystko tonie w gęstej mgle rannej. Łapią przebiegających żołnierzy, formują od- działek z dwustu bagnetów. Uderzają. Ale ten żołnierz już jest zdemoralizowany. Gdzieś wszystkiemu musi być kres. Często pada, trudno się podrywa do nowego skoku. Po przebyciu jakich stu metrów uderzenie załamuje się.

Kapelan dywizji, ksiądz Święcicki, podrywa się z laską w rękę i biegnie naprzód z głośnym „hurra”. Za nim pędzi dwóch oficerów z korpusu sądowego. Żołnierzy widać ogarnia wstyd, bo podrywają się i biegną za księdzem. Wpadają w Lelechówkę, Niemcy uciekają nie przyjmując spotkania wręcz. Przelatują Lelechówkę, przechodzą rzeczka. Na jej wysokim brzegu ktoś pierze do nas z karabinów. Okazuje się — jakaś Obrona Narodowa. Bóg wam zapłać, chłopcy! Niemcy wycofują się na płaskowzgórze w lewo. Uderza na nich płk. Nowak, który na swoją rękę zdołał zebrać ludzi. Niemcy są tam w znacznej liczbie, płk. Nowak dostaje się do niewoli.

Batalion mija majora Młyńskiego, gdzieś tam daleko w tyle, wciąż strzela. Nie czas myśleć o nim. Droga do

Bruchowic na chwilę rozwarła się. Nim się zamknie, jak zwierające się fale morza, trzeba przejść. Tam już — Lwów,

W ten właśnie dzień osiemnastego września, kiedy przez Lelechówkę przedarli się do Bruchowic, kiedy byli tuż pod Lwowem, ukazał się nad tym miastem po raz pierwszy samolot niemiecki, z którego nie padła bomba. Zleciała tylko, błyszcząc w słońcu, aluminiowa tuleja z przytwierdzoną białą-czerwoną flagą. Tuleję dostarczono dowództwu. Znajdowało się w niej pismo dowództwa niemieckiego. Niemcy wyrażali uznanie dla bohaterstwa załogi, podkreślali, że dalszy opór byłby niemożliwy, stwierdzali, że honorowi żołnierskiemu stało się zadość, i proponowali poddanie miasta, obiecując pozostawić oficerom „Nebenwaf- fe”*. Na odpowiedź wyznaczili termin dwudziestoczworogodzinny.

Kiedy jedyną odpowiedzią były strzały obrońców, nazajutrz podjechał pod jeden z wylotów ulicznych parlamen- tariusz. Przepędzono go.

Niestety trzeba jednak było złożyć broń. Na obszernym placu zgromadzili się wszyscy oficerowie. Dwa tysiące! Chałupa w Bruchowic ca. ch. Jak w 1863 roku. Płk. Pru- gar-Ketling mówi:

— Musimy zrobić jeszcze jeden wysiłek. Przecież tuż przed nami Lwów.

Istotnie, armaty bombardujące Lwów grają tuż.

— Rozkaz, panie pułkowniku.

— Ilu ludzi możemy zebrać?

Ilu ludzi? Smutne to gospodarstwo!...

— Dwa bataliony piechoty i dwa dywizjony artylerii.

— Rozpoczynamy bezzwłocznie natarcie.

— Rozkaz.

Prugar-Ketling podrywa żołnierza. Jest noc. W niej stoją jakieś szeregi. Nie widać twarzy. Bezimienne widma, które podniosły się na rozkaz.

Wychodzą przed Brucho wice. Od razu zrywa się niemiecki ogień. Przez ciemności przewiewają jakieś ucieka- jące sylwety. To ta przygodnie spotkana Obrona Narodowa,

jacyś żołnierze, którzy dawno przestali być glebae adscripti, jakieś łaziki...

Pułkownik Chodała dowodzący oboma batalionami rozwija swoich weteranów i przechodzi przez uciekających, zgarniając wielu do siebie. Batalion na prawo prowadzi ppłk Głowacki, na lewo major Lityński.

Batalion Głowackiego, obchodzący Hołosko od południa, wpadł na zaporowy ogień. Niemcy, wiedząc o nadciąganiu niedobitków, umacniali się tu od siedmiu dni.

Batalion Lityńskiego idzie bagnami. Nałożyli bagnety i uderzają. „Hurra” coraz bardziej się oddala. Przeszli! Gdzie dowództwo? Tędy, za batalionem, można przeskoczyć.

Nim je ściągnięto, Niemcy zamknęli dziurę. Po tamtej stronie, już we Lwowie, został batalion Lityńskiego. Trzydzieści bagnetów. To było wszystko, co ze śpieszącej z odsieczą armii doszło do Lwowa.

Jest godzina czwarta rano. Żołnierz kompletnie wyczerpany. Niemcy nie ustają w morderczym ogniu. Straty ogromne. Uderzeniem wręcz jednak — jeszcze i tym razem — przełamują nasze oddziały pierścien Niemców.

Nagle od naszej prawej flanki ukazują się czołgi niemieckie. Dwie armatki przeciwpancerne i karabiny przeciwpancerne zwracają się ku nim.

Kiedy wszystko jest gotowe do obrony, od lewej flanki ukazują się inne czołgi. Por. Witek wyskakuje przed nie bez żadnej osłony, z dwiema armatkami przeciwpancernymi.

Ginie on, ginie por. Gawlik, ale parę rozbitych czołgów zostaje na placu, inne pierzchają. W tych ostatnich chwilach nasi rozbili Niemcom w sumie jedenaście czołgów.

Ów wesoły kpt. Dudziński, który w Przemyślu przyłączył się ze świeżutką kompanią łączności, której połowa w Lasach Janowskich poległa, teraz, kiedy już i reszta wykruszyła się, teraz, kiedy odparto flankowe ataki, biegnie do piechoty na przodzie z wiadomością, żeby, kiedy tylko artyleria nasza pocźnie strzelać, poderwali się do ataku. Skoro dowódca całości walczy z bagnetem w dłoni, to słuszną jest rzeczą, że dowódca kompanii łączności osobiście znosi rozkazy. Tu już walczy gwardia nad gwardie.

Kapitan Dudziński rozkaz znosi i sam pada zabity.

U

Poświęcenie jego na nic, bo na artylerię od tyłu uderza teraz atak zmasowanych czołgów. Widzieliście kiedy kota opadniętego przez dwa psy? Kot kolejno z pazurami się zwraca, wirując na ogonie, aż wreszcie w którejś chwili zmiążdży mu kręgi paszcza napastnika.

Nasza artyleria, bez osłony, zwraca się przeciw czołgom. Czy rozumiecie, czym jest taki manewr? Powolność przeciw szybkości i zwrotności. Ale i ten atak, z czwartej strony świata, odbija. Piechota jednak, która ruszyła w przód zdopingowana obietnicą poległego kpt. Dudzińskiego — pozbawiona jest osłony. Nic nie poradzi na żelazną pięść. Topnieje. Rozpływa się. Nie ma już nic z sił polskich zdążających w kierunku głównego natarcia.

Oto jak gen. Prugar-Ketling opowiadał mi w Rumunii o ostatnim dniu walki:

— Zbieramy żołnierzy. Jest stu dwudziestu. Niszczymy armaty. Idziemy w las. I teraz jeszcze nie jest to bezładna ucieczka. Wydzielone patrole tylne ostrzeliwują się.

Punkt zborny — gajówka. Leży tam, w gajówce i naokoło gajówki, trzystu naszych rannych. Krwawy to i trudny plon sanitariuszy, jeśli zważyć las, noc, rozproszenie i silny ogień niemiecki.

Zostawiamy ich pod opieką dwu lekarzy i sanitariuszy, którzy mają czekać Niemców, i ruszamy w las i w noc. Trzymamy się za ręce, aby się nie pogubić, polski „be-zard” — chłop-przewodnik — znikł.

Rozbijamy się na trzy grupy. Tak, to już teraz, dopiero teraz, koniec. Zbliża się świt dwudziestego pierwszego września. Strzały milkną. I kiedy zmilknęły, jesteśmy w stanie zrozumieć straszłą prawdę: Lwów milczy!

Tłum już rabuje jakiś dwór. Wieś Prusy. Łachy cywilne zastępują mundur. „Panie pułkowniku — proszą żołnierze Ukraińcy — niech pan nie idzie sam... Widzi pan, co się robiło w tym dworze... Pana pułkownika zamordują. My Ukraińcy, z nami pan przejdzie.”

Rusza z nimi na wschód. A kiedy wychodzi z Prusów w nowej postaci, nędzarz z rozbitej armii szukający protekcji u Ukraińców, żołnierz Ukrainiec zatrzymuje się przez chwilę, patrzy na swego dowódcę i mówi z tępym bólem: — Sam musiałem swój kaem zniszczyć. Tak dobrze bił...

lii

/

Pasik pchał się ku granicy rumuńskiej. Balansowanie w pyle na zboczu szosy go zmogło — zdawało się, że ten potok wozów zetrze go i poniesie jak zdechłą mrówkę. Skręcił z tego zgiełku, spod tego słupa kurzu i poszedł miedzami na zielone kępy drzew. Dobrze po zachodzie słońca, ujrawszy wielką masę starodrzewu, poszedł na wielki park, na jakiś majaczący w głębi zwirowanych alei pałac. Stanąwszy na gazonie zawahał się w swojej nędzy. Czuł, że mu ręka brzęknie. Zdrową ręką począł wzu- wać buty.

W bocznej oficynie otworzyły się drzwi; w prostokącie światła migąły sylwetki, powiał gwar głosów. Drzwi zamknęły się i dwie postacie szły ku pałacowi

— Kto to? — zapytał dziewczęcy głos.

— Żołnierz...

— Co pan tu robi?

— Staram się nałożyć but.

Błysnęła latarka, ukazał się rękaw, na który przesiąkła krew.

— Świeć — powiedziała dziewczyna do swego towarzysza. Przyklęła i poczęła sprawnie sznurować but.
— Niech pan idzie z nami, opatrzymy rękę. Daleko ma pan do domu?

— Nie idę do domu... — zawahał się — chciałbym przejść do Rumunii.

— Słyszysz, Dołek?

Weszli już w krąg światła i Dołek zrealizował się jako lotnik podchorąży.

Z hallu zawieszono głowami zwierząt młodzi wepchnęli Pasika do wielkiego salonu, który przedstawiał dziwny widok koczowiska usiłującego trwać jako salon. Kanapy i pu- fy były pozasiedane przez matrony, reszta towarzystwa z braku mebli siedziała na dywanie w pozach stylizowanych na niedbałe i rozbawione. Lokaj w liberii godnie usiłował stapać z tacą przez zabytki odchodzącego czasu.

— Papiusiu — anonsowała dziewczyna — pan kapral jest ranny.
I jakby umacniając socjalną pozycję przybyłego w tym tu salonie:

— Przebili się z Brzuchowic w ataku na bagnety.

Dołek strzygł również okiem na Rumunię i hrabina

Ojrzycka, zabrawszy Pasika na opatrunek, inwestowała w ten zabieg cały niepokój o syna. Pasikowi dziwnie było

czuć dotyk jej wypieszczonych rąk, zmywających pokan- cerewane dłonie wodą lawendową i mydłem Pearsa.

Drogę omawiano do późna. Węgry były bliżej, ale wzdłuż węgierskiej granicy byli Niemcy. Ojrzycki dał list do War- tanowiczów nad granicą rumuńską. Ojrzycka, w trosce o istotniejsze oparcie, dała ryngraf oraz usiłowała kleić jakieś sposoby korespondencji przez znajomych w Szwajcarii. Krystyna pakowała paczki dla Dołka i Henia, zadowolona, że chłopcy mają ten sam numer kołnierzyka. Palce jej, wiotkie i sprężyste, stanowiły zjawisko równie nie znane, jak ten salon, ci goście, to mydło Pearsa, twarde i przejrzyste, ta lawendowa woda. Dziewczyna wyczuła ukradkowe spojrzenie i w pewnej chwili, dołączając do paczki brata fotografie rodziny, wyciągnęła i dla Pasika amatorskie zdjęcie. Na zdjęciu była amazonka na wspiętym koniu na tle pałacowej fasady.

— Niepotrzebnie koń zasłonił tło — tłumaczyła — ale nie mam innego zdjęcia w domu. Myślałam, że może zechce pan mieć pamiątkę z pierwszego noclegu po wojnie.

Słowa stuknęły pusto i straszno.

— Po wojnie w Polsce — dodała pośpiesznie. — Nim wróćcie.

13 ył to rzeński ranek szesnastego września. W wielkim chryslerze, oddzielającym kierowcę szklaną ścianką, hrabia Zdzisław Podhorecki, szczupły, chudy, z podczernionym wąsem spod bindy, w sztywnym wysokim kołnierzyku i z monoklem w oku, przypominał — w tym rozpiętym trzęsieniu ziemi — karykatury bon viveurów końca XIX wieku.

Jego towarzysz, również pan w szóstym krzyżyku, był to sławny Hanc Hauke, olbrzymi mężczyzna z wielką, falującą, czarną brodą, którą przenikały początki siwizny.

Siedzący w chryslerze rozumieli, że cęgi niemieckie mogą zamknąć się przed nimi na Styrze, do którego przedzierali się natłoczoną szosą. Wczoraj wieczorem wreszcie przybyli na most wiodący przez Styr do Łucka, już zabarykadowany, w którym wkrótce po ich przejeździe zamknięto przełot w barykadzie.

Droga od mostu świeciła lejem przy leju. Pozostawszy jeszcze, sekretarz wojewody, smagany klaksonem oczekującego wozu, wił się przy telefonie, tłumaczył zapóźnionej w ucieczce żonie podsekretarza stanu, że nie wie, gdzie można dostać moreli dla jej papugi

Świtaniem ruszyli w dalszą drogę „do tych pocziwych Małyniczów” w Szyrynówce. Małynicz był ich kolegą uniwersyteckim z Wiednia. Nie widzieli go od tamtych czasów wskutek swoistego trybu życia: Podhorecki obraził się na Polskę za reformę rolną, buntowanie fernali i „wszystko takie” i nie ruszając się ze swojej Łęcznej na krok, kontynuował styl życia, jakiego nabrał „we Widniu”. Nosił tam- toczesne wysokie kołnierzyki, marynarki z klapami blamowanyżni czarnym obszyciem, kolorowe kamizelki i spodnie pepita. Nie przestał nosić monokla, z biegiem lat począł czernić wąsy, nigdy nie poniechał prenumerowania „Neue Freie Presse”, „Revue des Deux Mondes” i „Punch”.

Te pisma jednak stawały się pyłkami w huraganie pism i książek, które nadciągały za Hansem, kiedy raczył zjawiać się na roczny pobyt.

Hans Hauke, syn alek ziemiański gdzieś z Inflant, ukończywszy arystokratyczny Korpus Paziów, a więc oddawszy carowi Mikołajowi co jest carskiego, został wysłany na Bodenkultur (studia rolnicze) do Wiednia przez ojca, bardzo skumanego przez węzły rodzinne z galicyjskimi stańczykami, ażeby oddać co jest cesarskiego cesarzowi Fran- zowi Josephowi. Zresztą stary Hauke, pochodzący z Kawalerów Mieczowych, przez żonę, hrabiankę Thun, był spokrewniony z Habsburgami i na narodziny Hansa Franz Joseph przysłał nadwornego ginekologa. Z drugiej strony jednak młody Hauke, będąc w Korpusie Paziów, zachodził w niedziele na obiadek do „diadi” Stackelberga, który okazywał się krewnym ze strony babcinej po mieczu, aczkolwiek babcię porodziła hrabianka Orsini Z tym wszystkim Podhorecki; którego dziadunio dostał hrabiowski tytuł w Galicji, a papa usadowił się nad Pilicą, wiedział, o ile go przenosi szlachecki biały kiel w czerwonym polu Hauków (nie mieszać z „gorszymi” Hankami, flamandzkimi, którzy dopiero w XVIII wieku przybyli do Polski przez Saksonię, spłodzili generała i uchytrzyli się nawet spokrewnić z Bat- tenbergami I nie mieszać z wojewodą z Łucka Hauke-No- wakiem, „co już jest czort wie co”).'

Na Bodenkultur znajdowało się sporo ziemiańskiej młodzieży. Hans, sta wszy się po wcześniej zmarłym ojcu sukcesorem trzydziestu tysięcy dziesięcin puszczy, cieszył się wielką popularnością, przez długie lata żywiąc i utrzymując roje' przyjaciół.

Kiedy jednak ci przyjaciele na drugi dzień po popijawie borykali się z kociokwikiem, Hans, świeżuteńki, zasiadał do książek, bynajmniej nie związanych ze studiami rolniczymi „Ten nonsens prywatnego władania ziemia skończy się za naszego życia — huczał swoim głębokim basem — a na państwowego ekonomia nie mam zadęcia.” Miał natomiast „zadęcie” do tego, co poczynało się krystalizować jako socjologia. Jego olbrzymie cielsko atlety (ponoć w Bra

tysławie jako „czarna maska” pokonał w podwójnym nelsonie zawodowca) mieściło w sobie ducha niewyżytego, rzekłbyś — ziemia ugorująca w nieróbstwie pokoleń. Żarł książki jak płomień. Był czas, że dał się namówić na regularne studia w Heidelbergu. Po dwóch semestrach wrócił. Okazało się, że wszystko jest zanadto uregulowane w tym Heidelbergu. Postanowił protestować w imieniu Infant i raz po raz wędrował pod umieszczoną na gmachu Dyrekcji Policji tablicę z napisem: „Dat Verunreinigen dieses Ortes ist verboten bei Strafe 3 Mark.” Co właśnie skuteczniejszy wołał swoim tubalnym głosem: „Bltte zahlen”, i uściwszy policjantowi trzy marki wychowanek „Pażeskogo Kor- pusa” wracał z rozładowanym na chwilę kompleksem. Z czego okazywało się już wówczas, że Infantczyk był sam ni toje, ni sioje — właśnie... Międzymorczyk. Kiedy pierwsza wojna wybuchła, wystrzeliło nim jak korkiem z tego starcia Wschodu z Zachodem. Były wieści, że w Kamerunie organizował partyzantkę, jaka się nadarzyła, a więc przeciw Niemcom. Nagle w 1917 pojawił się w Petersburgu, odbył rewolucję, pętał się wszędzie, nie wiadomo było, z kim trzyma, raz był na rewolucyjnym okręcie „Ałmaz”, bombardującym Pałac Zimowy, innym razem z junkrami na dachu stacji telefonicznej. Broniąc jej przed atakiem marynarzy, nurzał się w tych uciechach rewolucji, którą, zdawałoby się, zaaranżowano gwoździem rozrywce jasnie pana dziedzica. Znikł, wypłynął w Paryżu jako heros antyniemieckich walk w Kamerunie, wybił się ze swoją francuszczyzną i zapasem wiadomości w Polskim Komitecie Narodowym. Witany w kraju z otwartymi rękami, odniósł się również do wszystkich wylewnie i zaraz dał „Gazecie Warszawskiej” artykuł przeciwko piłsudczykom, do „Rządu i Wojska” przeciw endekom, a do „Robotnika” przeciw piłsudczykom i endekom łącznie. Kiedy socjaliści z kolei zde gustowali się filipiką na „czerwonego kapłona” z powodu ich zamysłów pozbawienia orła korony, Hans skonstatował ze zdumieniem, że wszyscy już mają go dosyć, a ponadto, że się resztki nie dociętych dębuszków nad Dźwiną nieodwołalnie straciło wraz z Wołmą, folwar- czek zaś pozostały po polskiej stronie starczy ledwo na tytoń do fajki i zakupywanie książek, co nie było drobną pozycją w obyczajach Haukego. Wówczas, napatoczywszy się na Ojrzyckiego, starego kolegę z Wiednia, szwagra Pod-

horeckiego, pojechał do niego do Hałdanowa i siedział bity rok.

Ojrzyccy nie widywali go tygodniami, bo kazał sobie donosić jedzenie do pokoju. Kiedy jednak wypływał na widok publiczny, był wielki jubel, zjeżdżające się sąsiedztwo delectowało się asortymentem wygrzmiewanych paradoksów. Hrabina Ojrzycka, mająca skłonność do migreny, aranżowała te seansy w dużej komnacie zawieszanej makatami, co nieco tłumilo huk potężnego basu. Z tego basowego potoku mógł każdy wyłowić, co chciał. Braciom szlachcie po- równo smakowały podśmiewanki z Witosy, któremu, gdy zobaczył, że chłopski premier Bułgarii Stambolijski popycha mięso palcem, nóż ze zgorzenia w gardle stanął, jak fajer- werki filipik na rzecz komunizmu. Pozwalali i sobie doskwierać wywodzeniem antenatów nie tyle po mieczu — mitycznym pradziadzi, co i po sakiewce mamusi, którą wszyscy pamiętają.

Hansowi wszystko było wolno, bo poza erudycją i dowcipem posiadał wysubtelnione poczucie obyczajów, którymi oni nasiąkli, był koneserem win i miał się za rafinowanego gurmada, aczkolwiek niektórzy powiadali, że jest po prostu obzartuchem.

Po roku orzekł:

— Mój drogi Luniu, zaniedbałem całkiem kolegów. Nie godzi się tak.

Pożyczywszy ile tam trzeba od drogiego Lunia, pojechał najprzód, aby to wydać, na miesiąc do Warszawy, a potem do Poddębna kolegi — wieńczyka, Nieziamkowskiego.

— Nieziamek — huczał — przyjechałem odpocząć po hrabiach. Ty przynajmniej nie masz siedmiu pałek na zastawie, to ci nie wypada podawać ciekawego „St. Julien”.

I tak się utarło, że kolejno spędzał rok u Ojrzyckiego, Nieziamkowskiego albo Podhoreckiego, przedzielając te pobyty miesięcznym brylowaniem w Warszawie.

Rozleniwał się coraz bardziej, nie wyłączając całymi dniami z łóżka. Brudny i rozchełstany, pochłaniał przy wiecznie zapuszczonych roletach sterty książek. Gaduła i causeur — lenił się wówczas nawet językiem poruszyć. Wynałazł słów- ko-wytrych: „sago”, „sagowaty”, „sagowato”. I złe, i dobre rzeczy, i piękne, i brzydkie, i nijakie — wszystkie były „sago”, wszyscy ludzie „sagowaci”, wszystkie zdarzenia „sa- gowate”. Wyrażenie nie znaczyłoby nic, gdyby go nie pod

barwił gestem. „Gest wyprodukować — huczał — to sprawa ekonomia — przysadki mózgowej. A słowo — oho! — to już fatygować samego jaśnie pana — mózg.”

Każdej jesieni zmartwychpowstawał i, wyświeżony, z orchideą w klapie, z triumfującą brodą, pachnącą jakimiś olejkami, wkraczał do „Ziemiarki” czy IPS-u, zasiadał przy stoliku „Wiadomości Literackich” i grzmiał tak, że mniej uprzywilejowane stoliki mogły również słyszeć, co mówi znakomity Hans. Zaraz potem każde powiedzonko, każdy dowcip obiegał Warszawę.

— Na czym właściwie polega teoria względności Einsteina? — pytał Kaminsker, wieczna ofiara.

— Wyjaśnię ci to przystępnie: wsadź mi nos w d... Ty będziesz miał nos w d... i ja będę miał nos w d... To samo, a co innego. To jest, widzisz, teoria względności.

Naturalnie, każdy taki kawał leciał po stolikach i na Warszawę.

Hauke miał to do siebie, że wszędzie, gdzie się znalazł, był postacią dominującą. Nie ma wątpliwości, że podczas walk w Kamerunie był pierwszą osobą pod każdą palmą. O pieniądze dbać nie raczył. Zawsze za zaszczyt sobie uważano gościć go, poić, karmić. Od saskich czasów nie było w Polsce tak wspaniałego pieczeniara. Możliwych mecenasów nie stało, ale Hansa na rękach nosiło górne dziesięć tysięcy.

Na parę lat przed wojną zaszła rzecz nieoczekiwana. Hans dyskutował zawzięcie o marksizmie z komunizującym literatem i wreszcie postanowił zmiażdżyć go ostatecznie:

— Mam zresztą nad panem tę przewagę, że nie czytałem Marksa i nie mam przez to zmaconego sądu.

Po czym, wyraziwszy wstręt do doktryn, wygłosił pean na cześć autopsji.

— Trąci pan myszką — niespodziewanie zauważył prof. Czornalski, wyławiając kostkę cukru z pół czarnej.

— Hę?... — wszechhuczający Hans wydawał się na chwilę zdemontowany.

— Myszka — poprawił się w siodle Czornalski.

— Drogi panie — Hauke zdołał już wrócić do wielko- pańskiej łaskawości — ja tylko nie znoszę doktrynerstwa. Jeśli są rzeczy wiecznie piękne i estetyka Apoksyomenosa nie trąci myszką, to mogą być i wiecznie nieznośne i mamy prawo tak samo nie lubić doktrynerstwa, jak go zapewne nie znosił Plato. Jeśli podzielam gusta, które przypadkiem bardzo dawno żywił Plato, to nie znaczy, że przez to same trącę myszką.

— Ze zbyt wielką pewnością siebie postępowy obskurantyzm miesza wieczność z modą. Z kultu rozumu też robiono prawo wieczne.

— Zleżmy z tego filozofowania. Po prostu: doktryner hamuje życie.

— Bo mu nie da brzmieć pełnym tonem, jak radio, w którym nie dokręcimy galki. Ale fantasta robi to samo przekręcając za wiele. A potrzebna — aurea mediocritas. Pan to źle rozumie, bo pan jest z Bramy Smoleńskiej.

— I z Bodenkultur.

— Piotr Wielki też pracował na stoczni amsterdamskiej, ale rwał brody bojarom z mięsem. Wojuje pan z ekstremami doktrynera, a sam pan jest — fantastą, to znaczy ekstremistą z drugiego końca.

Tymczasem od sąsiedniego stolika sfrunęła zemocjonowana Estella Stock, gidia literacka, onaż kierowniczką propagandy Biura Podróży, która coś niecoś złapała z gromów na marksizm i z peanów na cześć osobistych doświadczeń:

— Ach, mistrzu, ach, może by mistrz pojechał na tygodniową wycieczkę „Inturista” do Rosji? Cały koszt, z jazdą, pobytem, utrzymaniem, napiwkami, zwiedzaniem — sześćset sześćdziesiąt złotych, a przecież dla mistrza...

Hans, odzyskując kontenans, gromił właśnie pikolaka, że nie ma fajkowego tytoniu.

— Ja zaraz przyniosę z kiosku, panie dyrektorze... Zmiażdżony majestatycznym spojrzeniem chłopak się poprawił:

— Panie prezesie...

— Jak chcesz mnie tytułować, to mów mi od razu „Panie Boże” — zadudnił Hans.

Estella całkiem zacukała się swoim „mistrzowaniem”. Hans jednak raczył przejść nad tym do porządku dziennego i znieacka rzucił niedbale:

— Ach, to miło, to bardzo miło, pojedę... Kaminsker — zwrócił się do asystującego mu bogatego adwokata, mecenasa sztuki — załatw to tam z panią jakoś.

No, i niebawem wpłynął na wody moskiewskie. Radek, Żyd polski, który jak raz bawił w Polsce w czasie krótkiego flirtu 1934 roku, zasypywał gościa antykomunistycznymi

anegdotami i prezentował uroczystie na przyjęciach z dygnitarzami i z wodą:

— Iwan Ottokarowicz Haukie, krupnyj pomieszczik kur-landzkiej guberni

Było to, jakby Madame la Patronne prezentowała magdalenkę członkiniom Towarzystwa Sw. Wincentego a Paulo.

Rezultat był niespodziewany. Hans, lat tyle ugorujący, był jak gdyby nagromadzeniem palnego materiału. Za dotknięciem pierwszej iskry życia stos się zajął. Nie wylażąc z szlafroka pisał dwa miesiące, posłał rękopis wydawcy i... pisał dalej. Po dwóch miesiącach posłał drugi rękopis innemu wydawcy. Toteż równocześnie się ukazały Sfinks wykastrowany i Wotan w Gansepromenade.

Niebawem między spłoszonymi jego wydawcami miała miejsce taka rozmowa telefoniczna:

— Otrzymałem depeszę od Haukego...

— Ach, ja też: „Wycofać idiotyczną obwolotę.”

— No, do mnie by tak ostro sobie nie pozwolił: „Zniszczyć to kretyństwo Łackiego.”

Łacki, kierownik literacki firmy, kiedy nie mógł dobić się żadnych uzgodnień (proszony o interwencję Ojrzycki nie słyszał nic więcej jak „sago!...” grzmiące z głębi łoża), napisał na tak zwanych skrzydełkach obwoloty w książce o Rosji, że „autor stara się rozwiązać zagadkę atrakcyjności zwietrzałej doktryny dziewiętnastowiecznego materializmu, przed której wzrostem ostrzega”. Grafik do tego dał na obwolucie sfinksa z twarzą muzyką, o byczym karku, o ciężkich powiekach, z mongolską fałdą.

Książkę o Niemczech jej wydawca zaopatrzył komentarzem, że „mistyczny totalizm jest ostatnim szermierzem Europy... który ją zniszczy”. Na obwolucie starogermański Bóg w hełmie z turzymi rogami, z polatującym krukiem, miał kosmyk spadający na czoło, karabin na ramieniu i wybijał einciki w defiladzie.

Ukazanie się książek było codzienną pocztą w spokój Haukowego barłogu.

Dowodząc, że Niemcy mają nie mniejsze prawa do Prus Wschodnich jak Polacy i że dopiero rewolucja bolszewicka uaktywniła „bogoiskatielstwo”, które stanowi o sile nadciągającej Eurazji, Hauke już podczas pisania książki smakował oburzenie czytelników i podpuszczał coraz to inne ekstrawagancje: a to, że nie lubi sacharynowych Madonn zachodniej cywilizacji, że jego Bogiem jest groźny Bóg Wschodu, wobec czego zawiesił sobie nad łóżkiem ikonę; to znowu, na odwrytkę, zapytywany, czy Kawalerowie Mieczowi uczestniczyli w bitwie pod Grunwaldem, odpowiadał z żalem: „Dech wypieraliśmy szkapom, ale cóż, nie zdążyliśmy z pomocą...”

— Komu?

— Naturalnie Krzyżakom. Dalibyśmy dopiero łupnia smoleńskim brodaczożom, wzięli za pysk litewskich żmogu-sów i w Polsce nie nałagłby się hermafrodytyczny styl — międzymorski.

Okazało się jednak, że naczelną problematyka obu książek — grozy, która wisi nad Polską, ukazanej aż brutalnie — przyćmiła rzeczy mniej strawne, paradoksy, a nawet snobistyczne wyrwasy. Poprzygważdżano czerwone fellow-travellerstwo Haukego, jego faszystowską degrengoladę, „doskonałą ignorancję w sprawach dotyczących religii”, ale nad tymi zarzutami czuć było tłumik: opinia publiczna była obu książkami wstrząśnięta. Recenzje w poważnych pismach omijały raczej passusy niewygodne dla siebie i delectowały się ustępami niewygodnymi dla przeciwników. W rezultacie na autora posypały się pełne zachwyty listy czytelników należących do skrajnych obozów.

Hans nigdy nie oczekiwał czegoś podobnego. Od listów pisanych przez prostych ludzi nie można było odczepić się jednym słówkiem „sago”. Leżały na stole przy łóżku, trwały, coś mówiły do niego, do którego nikt nigdy nie mówił. Człowieka w Polsce właściwie nie znał wcale. W ogóle do człowieka miał niecierpliwość.

— Hansa nic w gruncie rzeczy nie obchodzi poza paradoksami — dowodzono w kawiarniach.

— Nie — protestował prof. Czornalski — nic ciekawego nie powstaje bez pasji — inaczej i to, co mówi Hauke, nie miałyby atrakcji.

Wobec tego podsunął Hansowi tablice Rohrschacha.

— To ciekawe — konkludował zbierając arkusze z rozgniecionymi plamami czarnego i czerwonego atramentu — reaguje pan w sposób niesłychany na formę plam; to, co pan potrafi znaleźć w kształcie rysunku, przechodzi wszy-

kie moje doświadczenia — świadczy o wyostrojonej i syntezie, i analizie, o wspaniałej organizacji aparatu intelektualnego. Ale na kolory reaguje pan słabiej. Co to znaczy? To Fznaczy, że pan zżywa się, zżera na problemy, którym pan udziela, wbrew temu, co mówią, nie tylko intelektu. Udziela pan im całej gorącości serca. Ale pan nie boleje nad Iksińskim, że jest głodny — zamartwia się pan tym, że masa nieokreślonych Iksińskich jest głodna, gotów pan byłby w pewnych okolicznościach do największych poświęceń w imię tego. Ale poszczególny Iksiński nic pana absolutnie nie obchodzi

— Kameruński problemat[^] mruknął Hauke.

—A czyż spółdzielca w mleczarni w Pipidówce, ogryz-kiem ołówka notujący obrót dzienny, nie jest panu równie nie znany jak Murzyn w Kamerunie, choć pan walczył dla tych Murzynów czy o nich, czy jak tam — brnął w prawo, widząc poczymychowanie Haukego. — Tylko na miłości do określonego Iksińskiego, tego właśnie z brodawką z lewej strony nosa, rośnie prawda życia; na miłości do Iksińskiego-abstrakcji pienią się doktrynerzy albo fantaści.

Teraz masa z tych Pipidówek próbowała wprawdzie podejść do stojącego w półmroku łóża, na którym czochrał się brodaty olbrzym, ale było jeszcze między nimi bardzo daleko.

Podpłynęła natomiast do Haukego jakaś prawda — awangarda tych jeszcze nie rozeznaczonych ludzi. Czuł się właściwie po raz pierwszy w życiu potrzebny. Mógłby od tych książek iść po mandat, po redaktorstwo. Był za leniwy. Był za niecierpliwy. Kiedy zwrócono się do niego o zajęcie stanowiska wobec ataków na jego książki w piśmie nowo powstałej grupy Chrześcijańskich Liberalów, wyraził przypuszczenie, że przodujący tej grupie bankier Rosenstein „wkrótce Matce Boskiej zaproponuje bruderszaft” i że z recepty „weź sześćdziesiąt procent chamów, trzydzieści procent spekulantów, dziewięć procent profesorów i jeden procent bankierów”, według której spitaszono tę grupę, wyjdzie... „sago”.

Zaraz tedy chamy i profesory na wyprzódki pisać poczęły o Hansie von Hauke, mającym ciągotki teutońskie i, na odmiannę, że wychowawiec carskiego Korpusu Paziów, który pono ikonę dotąd ma powieszoną nad łóżkiem, zwęszył drogę od białego caratu do czerwonego.

Hauke przewracał się ze stękaniem na swym łóżku, ale już do „splendid isolation”, do książek i do paradoksów nie mógł wrócić. Nie gniew achillesowy mu na to nie pozwalał, tylko te nieumiejętne listy prostych ludzi, o których podbijaniu ani myślał. Nigdy storczyk kawiarniany nie przypuszczał, że rafinowana „causerie” stanie się porywającą tłumy gawędą, nigdy cynik nie sądził, że pasja serca, którą dla bywalców „Ziemiańskiej” musiał Czornalski w skomplikowany sposób wykrywać, leży jak odkrywka łatwa do ujrzania.

Zamknął się cykl. Książka nie wtedy jest napisana, kiedy ją autor ukończy, a wydawca wyda. Książka dopiero wówczas zamyka się w całość tworzenia, kiedy do niej przy- rośnie czytelnik. Ten czytelnik, krztusząc się, nie czuł się złapany przez coś nieznanego.

Aż przyszła wojna, która zruszyła autora z łóżka, a jego czytelników z różnych Pacanowów.

Ten szesnasty dzień wojny był równie słoneczny jak wszystkie pozostałe dni, które wypłyły wodę z rzeczulek i bagienek i rzuciły wyschlą ziemię pod gąsienice czołgów.

Droga, dzięki zamknięciu mostu na Styrze, była dalej pusta, gałęzie w sadach ugięły się pod owocami, w polach ludzie byli zajęci przy zbiorze chmielu, przy wrywaniu maciorek z konopisk.

Nic nie znamionowało wojny — chyba te drobne ognie po polach, idące od ognisk, nad którymi osmalano na gwałt wybijane wieprze. Lud, co na tej ziemi siedział, miał w duszy dziejowy sejsmograf, na który nie mogły wpłynąć żadne komunikaty o „niedawaniu ani guzika”.

Zboczywszy o cztery kilometry przed granicą z traktu międzyrzeckiego, zapuścili się w las tchnący próchnicą. Tabliczki rewirów były jedynym znakiem, że jeszcze nie wyjechali poza krańce zasiedlonego świata. Podskakując w tej zielonej ciszy po korzeniach, ulegali wspomnieniom myśliwskim i majówkowym.

Z nagłą otworzyło się przed nimi ściernisko, a na jego skraju obejście w sadzie. Jar, wzdłuż którego jechali i w którego zboczu kopało trzech mężczyzn, poszerzał się

ku zabudowaniom i pływającym łagodnym zwozom schodzącym do strumienia. Skłon, odcinający się na Mąk Sinyim niubli ciemną zielenią, był cały opętany dojrzałymi kawonami, wśród których widać było pracujące kobiety,

Wszedłszy w dom, zobaczyli dziewczynką skrobiącą kur' lofle. Dziecko nie wiedziało nic o żadnych b/łał yniczach, w łac poszli za nią szukać matki, Po drodze dowiedzieli się, że dziewczynka nazywa się Urszulka, że osada istotnie nazywa się Hzyrynówka, ale mieszkają w niej osadnicy, a to jest dom pana Sielickiego, u jej tatus Jan Pasik Jest w Kanadzie, a jej braciszek i Henio pana Sielickiego są na wojnie, u pan Bielicki boi się, że mu wojski pozjadają kawony, bo pan Inżynier, co wczoraj przyjechał, to od jednego raz u zjada cały kawon. Mówiąc to wszystko wznosiła przejryste oczy, jakby szukając potwierdzenia i odpowiedzi. Po śniadanej twarzyczce otoczonej ciemnymi warkoczami chodziły cienie, w doleczkach jarzyły się prześniechy,

— Małyńczowie nie zrywali, widać, z tradycją przód' ków — huczał Hauke — i podrosowywali okolicę,

Ale to się okazała czysta pot w ar z. Pasikowa, którą znaleźli przy dojeniu krowy, w rozmowie z przybyłym Inżynierem o sumiastym białym wąsie wyjaśniła, że Małyńczowie gospodarowali tu wprawdzie, ale za ruskiego, że drobny kawałek Szyrynówki, który im został po tej stronie granicy, oddali na osadnictwo, jak tylko Polska nastąpiła.

Właściciel siwych wąsów wpatrywał się w przybyłych i wrzasnął nagle:

— Hans!...

Zwrócili się do niego, nie rozeznając,

— Widzicie i ja bym ni/* poznał, gdyby nie publikowali twojej brody, A to, jak Boga kocham, Bociani..,

— Czuba!.. Pięć do sześciu!..,

Czubalski w one czasy był na politechnice w Wiedniu. Obecnie ewakuował swoją fabrykę aż do Korca, dalej już nie ma udzie się pchnąć. Przyjechał do Starego podkomendnego zask ładować cenniejszo rzeczy. — O, te skrzynie — wskazał, kiedy szli ku domowi.

Hłonce poczynało kłaść długie cienie, od jaru nadchodził Sielicki z synami, Romkiem i Marcinem; poznali w nich ludzi dębujących w zbroju,

Sielicki mruknął Czubalskiemu, że wszystko gotowe, i zapraszał gości do środka. Już i z kawoniska szła Sielicka ze

starszą Jadwigną, zatrzymała się, aby z cukrówki zdjąć sześciolatniego lironka i czterolatniego Zbysia,

Sielicki, któremu trzyletnia Zuzia natychmiast //dr u pała się na kolana, informował, że wojny, dźluki Bogu, u nich r/jó znać, że wczoraj jeszcze był kupiec z Równego pertraktować o kawony.

Ponieważ polskie radio od wielu dni milczało, z komom katów za granicznych dowiedzieli się, że olbrzymie szczytce niemieckie, z jednej strony sięgające przez Brześć, z drugiej strony przez Lwów, zamykają się na Lucku.

-- No, my już poza nimi — sapnął Hauke, kręcąc gałką. Nagle z radia polala się mowa. Natrzęsał się sprzedawczyk Ołpiński ze stacji Wrocław:

— Dowiadujemy się, że znakomity Hans Hauke, renegat niemiecki, który tumaniał Polaków dorabiając się na tanim patriotyzmie, czmycha za rządem polskim do granicy rumuńskiej, ale Wodan go krokiem „GUnsepromenade" dojdzie i weźmie za piękną brodą.

Że dojdzie, to ani chybi — mówił Podhorecki — ja wrócę do Łęcznej, ma rację pan Bielicki, że rolnikom nic nie zrobią. Ty, Czuba, także nie masz czego się oba wlać, ale z ciebie, mój dhogi — zagrassejował rolnik Podhorecki przyprawiając smakowite „Wurstchen", Lepiej, uważasz, Ner z suto, szofeh, jak się postahs, jednym dni*m do Zaleszczyk obhóci, ja i tak tu czekać muszę — jeśli pani pozwoli — zwrócił się eleganckim gestem do Marusi,

Trzej koledzy rozmawiali do późna. Czubalski uważał, że karta się odwróci, powinni na to tutaj zaczekać. Na dnie tego optymizmu wiecznego romantyka leżał sentyment dla małej Zuzi, która go wzięła z s nerce, dla samotności Pasikowej, przed którą kazał prezentować broń, kiedy powita wału Polska,¹ Pasikowa patrzyła w niego Jak w zjawę z tych cudownych lat,

Hauke, skory zawsze do kontrowersji, zbywał milczeniem bzdury o sześciuset samolotach alianckich, które ponoć wylądowały w Polsce, Przeżywał niemiecki komunikat. Kiedy eter pęka od wiadomości eksplodujących jak bomby, wróg

\

znajduje czas i miejsce, aby mówić o nim? Przez dwadzieścia lat Polski niepodległej, jeśli co pisano o nim w prasie, to o jakimś wicu Hansa. I nagle... Hauke wzruszył się natrzęsaniem Olpińskiego, jakby odbierał pasowanie rycerskie. Więc jednak i on znaczy coś w życiu tego najechanego narodu?

Z okien chryslera patrzył ze zdumieniem na szosę wrześniową. Ciągnęły nią chłopskie drabiniaki, pańskie powozy, biedki żydowskie. Jej poboczami brnęli inteligenci w okularach, zakonnicy z opuszczanych w popłochu klasztorów, więźniowie z ewakuowanych więzień, babuliny z tobołami na plecach, wózki dziecinne, taczki naładowane jakimś dobytkiem.

Jaśnie pan z Korpusu Paziów, Europejczyk, cygan literacki, który życie spędził między egzotyką, pałacem i kawiarnią, patrzył chciwie.

On tej Polski różnorodnej nie widział. Ta Polska różnorodna była jakby popakowana po kartonowych pudłach: chałupy oddzielnie, oddzielnie dwory, cegielnie, pałace, oddzielnie kramy i sklepy, oddzielnie warsztaty i fabryki...

Teraz pięść losu uderzyła w te kartony, przewróciła je, wysypała ich zawartość na szosę wrześniową, mięsła, mieszała. Szosa płynęła w niewiadomym kierunku, ale to jedno Hauke rozumiał: ten exodus nie skończy się, skończyć się nie może ponownym ściurknięciem do na zawsze rozwalonych kartonów.

W ciągu dziesięciodniowej wędrówki autem otrzymywał na każdym kroku niespodziewane dla siebie oznaki czci i miłości, spotęgowane przez egzaltację patriotyczną, skorą do wyszukiwania szpiegów i kanonizowania świętych.

W Lublinie, w czasie bombardowania, policjant, pilnujący towarów wynoszonych z palącego się sklepu, na dźwięk jego nazwiska skoczył do kupca i załatwił kupno butelki wina. Pod Chełmem jacyś podchorążacy, rozeznawszy jego czarną brodę, przybiegli prosić, by przyjął nieco konserw.

Hauke zdumiewał się: za cóż go tak sobie cenią ci ludzie? Porucznik na rozbitej rampie w Łucku zarządzający cysterną, do której na próżno cisnęły się setki ludzi, wydzielając mu rację benzyny, której by nie dał innym cywilom, powiedział:

— Teraz widzę, jaka to prawda była — te mapy w książce pana wykazujące dzień po dniu, jak Polskę pokryją zagoni czołgów.

Z jakichże kątów wyszli w świat ten policjant, ten porucznik rezerwy, ten podchorąży, aby go spotkać na niewiadomym trakcie.

Poczuł w sobie nieprzearty ciąg: maszerować z nimi, widzieć, rozumieć późnym rozumieniem.

I kiedy zaperzeni Podhorecki i Czubalski pytali, co decyduje robić, odpowiedział dawnym młodzieńczym slangiem:

— Klawo, Bocian, fajno, Czub, pojedę z powrotem do „Zur Goldenen Glocke”.
„Zur Goldenen Glocke” — to była knajpka ich młodości.

NA TUŁACZKĘ

W,

| dniu pierwszym września ¹ otworzywszy radio nagle pośród jakiejś muzyczki posłyszałem: —Uwag a... U w a- g a... Nadchodź i... Ba-Ra-Na-Da... Uwag a... U w a- g a... Nadchodź i... Ba-Ra-Na-Da...

Niekłopotliwa muzyczka nawiązała się wpół przerwane go taktu. Przez otwarte okno lały się potoki słońca. Dzień był piękny. Gołębie latały białymi pióropuszcami, ulicą prze- ► chodziła jakaś przekupka, zachwalając swoje jarzyny śpiewnym "głosem.

Znienacka w sposób dojmujący poczułem trwającą jeszcze zacisność tego ostatniego codziennego dnia, bo oto zrozumiałem, że z małego pudełeczka radiowego wyszczerzyła ku mnie trupa głowę — wojna.

Od kilku dni starałem się, aby mnie wysłano na front. Sądziłem, że jeśli żołnierz żwawiej wybija takt maszerując ulicami miasta, kiedy na niego patrzą oczy rodaków, to tym bardziej czuć na sobie winien oczy kraju — walcząc. Niestety, żołnierz nasz został pozbawiony nie tylko radości żołnierskiej — odznaczeń bojowych, wzmianek w rozkazach, nie tylko napojono go, nie z jego winy, goryczą bezładnej ucieczki, ale i tam, gdzie krwawił, gdzie walczył, nie było przy nim — oprócz dowódców nikogo, kto by mógł powiedzieć: „widziałem!”

Rzecz, zdawałoby się, tak prosta jak skierowanie korespondenta na odcinek walczący, rozbijała się o spory kompetencyjne między Sztabem Generalnym, GISZ-em (Głównym Inspektoratem Sił Zbrojnych), Prezydium Rady Ministrów i Instytutem Naukowo-Oświatowym działającym z ramienia Ministerstwa Spraw Wojskowych. Nie istniał nawet załączek kwatery prasowej. Zaraz nazajutrz, po tym jak dosłyszałem w pogodnej muzyczce znaki wojny, zamordowano bombami niemieckimi wiele kobiet i dzieci. Ale kiedy chcieli to uwiecznić fotografowie PAT-a (urzędowej Polskiej Agencji Telegraficznej), aresztowano ich i odebrano aparaty. Nie było bowiem „uzgodnionej” władzy, która by miała prawo wystawić im zaświadczenie.

Nie mając więc dostępu do wojska, zrozumiałem, że się wojna zaczyna, poszedłem zobaczyć te prace, które przy wojsku pełni ludność cywilna: prace kobiet i harcerzy.

I właśnie kiedy pierwszego dnia wojny byłem w Wojskowym Przystosowaniu Kobiet — między dziewiątą a dziesiątą rano — odezwały się syreny. Rzuciliśmy się do okien. Na dachach okolicznych domów stali ludzie z workami piasku i płachtami obywatele wyznaczeni przez obronę przeciwlotniczo-gazową. Białe obłoczki szrapneli poczęły pękać na niebie. Jeszcze tułała się myśl, że to ostry alarm próbny. Ale niebawem radio potwierdziło: Niemcy rozpoczęli wojnę... W rozgardiaszu biegających tu i tam kobiet z meldunkami i rozkazami zobaczyłem w kącie pokoju dwie grube łydki jakiegoś podlotka, leżącego na brzuchu, z głową pod stołem. Widząc to, poszedłem, aby się nieco podśmiać z takiego pietra, i zobaczyłem, że mała pracownica wywodzi czerwonymi kredkami na rozłożonym na podłodze kartonie napis: „Szczepienia ochronne”. Przechodząca instruktorka przystosowania wojskowego pochwaliła małą. Ta wydobyła się spod swego stołu i stanęła na baczność, śmiesznie przylepiając pulchne palce dzieciennych jeszcze rąk do bioder. Konopiaste mysie ogonki, tego zaplecione, zdawały się również prężyć na baczność.

Tak mi została w oczach. Mała dziewczynka spełniająca przy detonacjach artylerii przeciwlotniczej swój obowiązek i tak go ceniąca, że nie pozwoliła sobie po dziecinnemu pogapić się na tę wojnę, którą z okien oglądali starsi.

Potem przyszła wieść, że nasz 36 pułk piechoty wkroczył już do Gdańska. Stara działaczka z przedwojennego „Strzel-

ca"potom kurierka Legionów (nio wymieniam jej nazwisko, bo może jest pod Niemcami), która weszła już w tok pracy po krótkiej dystrakcji z powodu bomb, podniosła głowę i z oczu Jej potoczyły się dwie łzy.

A była to Jedna z tych tatarskich wieści, którymi się karmiono przez cały czas tej krótkiej wojny.

Gazety nic podawały żadnych konkretnych wiadomości. Od razu zaczęły wychodzić w zmniejszonym formacie, zamieszczając wezwania i odezwy, ale nie informacje. Teraz rozumiem, że te informacje byłyby od pierwszego dnia przerażające. Zabawne wrażenie robiły w gazetach resztki dawnego życia. Podawano, że niebawem ta i owa ulica zostanie wyasfaltowana, lub informowano o zmianach w rozkładzie tramwajowym.

Tramwaje z przygaszonymi światłami kursowały rzadziej, bo znaczną część obsługi wzięto do wojska. Jeździła nimi publiczność, coraz częściej obwieszona maskami gazowymi.

Lotne patrole Wojskowego Przystosobienia Kobiet poszły pod koszary, do których ściągali mobilizowani, ażeby „krzepić ducha". Poszedłem i ja pod te koszary. Nie trzeba było żadnych pocieszeń, żadnej agitacji. Szure postacie kobieciny w chustkach dreptały zn mężczyznami, którzy kroczyli szerokim krokiem: niosły ich węzłki, oby trochę, aby jeszcze ten tysiąc, tych sto, tych pięć kroków, zanim się brama za- trzaśnie. Potem stały w gromadkach pod bramą, przerzucając się słowami. Cały dzień byłem z nimi w różnych punktach inuista. Nigdzie nie słyszałem nic innego, jak to jedno: — Trzeba...

Mężowie ich teraz nie żyją albo są w niewoli. Co mówią to kobiety, Jeśli uratowały życie? Milczą. Nie słyszymy ich. Nie możemy ich słyszeć...

Drugiego września okazało się, że w pierwszy dzień bombardowania nie ucierpiało centrum miasta.

Warszawiacy, zadzierając głowy, wpijali się oczami w srebrne krzyżki niemieckich samolotów, płynących na wysokości czterech— pięciu tysięcy metrów.

Drugiego września, drugiego dnia wojny, nic mając żadnych wskazówek ani danych, pojechałem na chybił trafił z komendantem harcerstwa na miasto — obejrzeć posterunki harcerskie i znaleźć ślady bombardowania.

Na Siekierkach, odległym przedmieściu Warszawy, zameldowała się pikietka dwóch czternastoletnich harcerzy. Jeden z nich był tu na posterunku wczoraj właśnie, w czasie nalotu. Nadchodziła godzina^piąta po południu. Powinni ich zmienić o dwunastą, ale zmiana nie przyszła, więc tkwili. Młoli za zadanie wskazywać drogę rezerwistom i dawać sygnały alarmowe w czasie nalotu.

Kiedy począł się atak, pokierowali ludzi do schronów, do rowów, do upatrzonych zawczasu miejsc zakrytych. Sami wleźli w rów obole, obserwując jednak drogę i „nie schodząc z posterunku". Co prawda niezbyt się nasze kmiotki liczyły z tą „władzą". Jeden z nich, mimo ostrzeżeń, ruszył dalej. „No, raniło go w nogę i powieźli go do szpitala" — melduje chłopak i wydaje mi się, że w głosie jego słyszę ukrytą „Schadenfreude".

Patrząc na gołe kolana chłopców i przypominam sobie początki skautingu, kiedy w roku 1912 na polanie w Sko- lem odbywałem pierwszy sześciotygodniowy kurs instruktorski,

Głowy nam posiwały od tamtych czasów, narosły nowe pokolenia „Wilczków" i „Biskoptów". Widziało się Co roku tę najwcześniejszą młodość wieku męskiego przepelniającą obozy, spływy kajakowe. A ot, teraz i na nich przyszedł czas próby.

Chłopcy prowadzą mnie do bezkształtnego rumowiska desek. Tu wczoraj trzasnęła bomba w dom robotnika kanalizacji miejskiej. Sam właściciel domku usiłuje uratować cośkolwiek, ale bezskutecznie. Z gruzów wyciąga tylko martwego kota — kocur zeszczywniał w pełnym galopie, śmierć go chwyciła w ucieczce. Oprócz tego ocalał dziwnym trafem wielki oleodruk przedstawiający jakieś dziewczę z cytrami, płynące stawom w ozdobnej, złożonej gondoli pomiędzy łabędziami. Obok jeszcze dwa rozwalone domy i wyrwy po trzech bombach. Lotnik niemiecki chciał się pozbyć balastu i równocześnie szarpnął oba rygle, z których każdy wyzwolił trzy bomby.

Okolicami podmiejskimi pomykamy dalej. W urzędzie pocztowym przy telefonicznych tablicach rozdzielczych sle-
aia

dzą harcerze; harcerze uzbrojeni w torby listonoszów roznoszą korespondencję; po komisariatach policyjnych chłopaki siedzą przy sosnowych stołach i prowadzą jakieś rejestracje, roznoszą wezwania rezerwistom. Wczoraj kobiety z przysposobienia wojskowego i rezerwistki, dziś te chłopaki, te harcerki o rumianych buziach, niosące wiadra wody, ciągnące ciężkie wory — wszystko chce być potrzebne, wszystko jest gotowe do poświęceń, wszystko chce stanąć z armią.

Wjeżdżamy w Otwock. Słaby dymek wznoszący się ponad rzadkie sosenki wskazuje, gdzie mamy jechać. To dopala się murowany dom piętrowy, zwalony przez bombę.

W sąsiednim domu Żydówka w peruce przekrzywionej na głowie dojada łączywie rybę pływającą w roztopionym maśle. Pomarszczone starcze palce łapią duże kawały mięsa rybiego, maczają w maśle, tłoczą z wielkimi kawałami chały do ust. Drzwi od jej mieszkania poprzebijane są odłamkami bomby. Przez ten dom przeszedł wstrząs. Niejednokrotnie w czasie rewolucji rosyjskiej obserwowałem, że ludzie ulegający wstrząsowi pożerają jadło z dziwną zachłannością.

Syn Żydówki mówi, że w dniu wczorajszym, w pierwszym dniu wojny, o której wypowiedzeniu nic nie wiedział, o godzinie dziewiątej rano silny wstrząs wyrzucił go z pościeli. Odłamki bomby, które porobiły te oto dziury w drzwiach z wejściowych, poszły ukosem górą. Wypadł na dwór. Przed nim palił się dom, który dymi jeszcze. Ludzie skakali z okien. W oknie mieszkania kierownika sąsiedniego miejskiego zakładu dla upośledzonych dzieci żydowskich ukazała się kilkunastoletnia dziewczynka, jedna z wychowawie, trzymając na ręku dwuletnie dziecko. Rzuciła dziecko na ręce oczekującego w dole ojca, ale sama nie zdążyła i zapadła się wraz z podłogą. Leży pod gruzami.

— A ten sierociniec?

Duże oczy patrzą na mnie z niemą rozpaczą.

—Chodź pan... •

Idę za żalobnym przewodnikiem. Po drodze nachyla się nad jakimś dołkiem, ukazując niemym gestem coś, czego rozróżnić nie mogę. Po chwili widzę, że to są zwęglone zwłoki chłopca. Piszczel wyszła wysoko, przedarłszy skórę ramienia. Klatka piersiowa otwarta, sterczą żeberka jak w ćwiartce cielęciny. Wewnątrz klatki piersiowej różowieje nie dopieczone mięso.

O dziesięć kroków dalej przytułek. Mieści się w starym, rozłożystym drewniaku. Tu padła bomba o dużej sile. Wchodzimy do ocalałego korytarzyka. Na ścianie czerwienieje krew. Nauczyciel, w którego oczach zastygło przerażenie, opowiada, jak mieli posiedzenie rady pedagogicznej, jak rozległ się alarm, jak dyrektor z dwojgiem nauczycieli wybiegł, po czym bezpośrednio rozległ się huk, jak go rzuciło o podłogę, jak się podniósł, wybiegł natykając się na dyrektora z połamanymi nogami i rannych obu nauczycieli, jak biegł dalej przed dom, zobaczył trupki dziecinne i chowające się w krzaki ocalałe dzieci. Ostatnie dziecko pełzło w krzaki ciągnąc się na rączkach, wlokąc za sobą zmiażdżone nogi.

Za Otwockiem po tym nalocie strącono dwa samoloty niemieckie. Jeden zgorzał. Tylko nogi lotnika w eleganckich butach oficerskich ocalały od ognia i dłoń z manicurowanymi palcami, z pięknym brylantem. Niechże się dowie na tamtym świecie, że celnie rzucił: dziesięcioro dzieci zostało zabitych, a dwadzieścia pięć rannych, wiele z nich będzie kalekami, gdyż musiało się dokonać licznych amputacji.

Lotnik drugiego samolotu został ujęty żywcem. Proponowałem, aby kazać mu iść samotnie w pełnym mundurze, ze wszystkimi orderami, za dziesięcioma trumienkami dziecinnymi na cmentarz. Rzucił bomby na spokojne lotnisko, nie mające żadnych obiektów wojskowych, o godzinie dziewiątej dwadzieścia, w piątek, dnia pierwszego września, pierwszego dnia wojny.

Po powrocie z Otwocka napisałem reportaż o pierwszym dniu wojny. Łatwiej go było napisać niż wydrukować. „Wiadomości Literackie” nie mogły sobie dać rady z cenzurą. Pielgrzymowaliśmy więc od Annasza do Kaifasza, starając się przepchnąć tak, zdawałoby się, potrzebną rzecz — prawie dokument. Dałem również do druku szesnaście swoich zdjęć. Były tam trupy kobiet, tak jak je śmierć złapała, w łózkach, jedna głowa jak śliwkowy nadęty balon, o zalanych rysach, upieczona na kolorowo. Były domki biedaków rozwalone i ciała potorturowanych dzieci. Artykuł nosiłem do GISZ-u, do WIN-u (Wojskowy Instytut

□r

Nauk), do Prezydium Rady Ministrów, do Komisariatu Rządu. Zamiast patrzeć, zamiast pisać dalej. Mądrzyli się. Uzgadniali. Bali się straszyc ludzi. Tkwili w reżimie tajemniczości i głębokiej nieufności do obywateli.

Nim reportaż przeszedł przez te tygle, redakcja wyjechała nie zdążywszy oddać do druku numeru. Widziałem w odbitce szczotkowej ten swój „wstępniak” — ostatni wstępniak „Wiadomości Literackich”. Nosił tytuł Życie i śmierć. Był obficie dokumentowany. Potem już tylko Niemcy dokumentowali Achtzehn Tage Feldzug in Polen. Nawet alianci wyłącznie z ich źródeł mogli brać informacje, przyprawiając je tylko niedołączonymi odtrutkami.

Podzieliłem jako pisarz los tylu żołnierzy, którym nie udało się ani razu wystrzelić w tej wojnie. A co robili dziennikarze?

Gazety poza wiadomościami, że „Berlin leży w gruzach”, że „zakłady Kruppa leżą w gruzach”, że „linia Zygryda Jest przełamana w siedmiu miejscach” — wiadomościami, w które trudno było uwierzyć człowiekowi mającemu Jaki taki sens w głowie — nie podawały nic. Ludzie wisieli przy głośnikach. W głośnikach obertasy i kujawiaki przerywało raz po raz groźne „Uwaga! Uwaga! — nadchodzi...” Słuchali płk. Umiastowskiego specjalizującego się na polskiego Quiapo de LianoAle i ten nie mówił nic, czym by się można było pożywić.

Dopiero wieczorem dawał się słyszeć komunikat polskiego dowództwa. Z niego było wiadomo, że cofamy się, cofamy ...

Coś na trzeci czy czwarty dzień wojny naloty rozhulały się na dobre. Krwawe łuny zapaliły się na Okęciu, na Woli. Za oknami słyszeliśmy nie tylko detonacje, ale i charakterystyczny świst pocisków. Na skrzyżowaniach ulic wyrosły zielone gaiki — stały w nich działa. U wylotu naszej ulicy postawiono barykadę. Nerwy czasem puszczały. Kiedy wyszedłem po jednym z silniejszych ataków, mając maskę przeciwgazową przewieszoną przez ramię, jakaś pani krzyknęła histerycznie:

— Maskę na przód!...

— Dlaczego?

— Bo szpiedzy podkradają się z tyłu i przekłuwają!

Szpiegów widziano wszędzie. Raz po raz inicjowano pogoń za pseudoszpiegami. To tłum bezsilny, nie mogąc pomóc walczącym, pragnął się czymkolwiek przyczynić.

Bezsilność istotnie poczęła zarysowywać się z dnia na dzień. W środę, szóstego września, widziałem bombardowanie mostów. Maszyny niemieckie sunęły już nie na takiej wysokości jak za pierwszych dni. Doleciawszy nad most, pikowały jedna za drugą w dół i widać było, jak od ich kadłuba odrywają się bomby. Na ulicach stali zamarli wpół kroku ludzie, zapominając o niebezpieczeństwie. Wpijali się oczami w niebo, szukając, czy nie ma, dla Boga, naszych maszyn na horyzoncie.

Ministerstwa wyjechały. Na Żoliborzu stał długi sznur maszyn, zdolny przewieźć cały pułk chyba. Okazało się, że pojadą nim panie naczelnikowe, referendarzowe, asesorowe i chmary stenotypistek. Dziś, kiedy to piszę, błąka się tu, po Bukareszcie, kierdelik maszynistek z GISZ-u, który przyciągnięto aż tutaj.

A więc rząd traktował wojnę po dawnemu, sądząc, że utrzyma jakąś linię pozycyjną, i ewakuował lege artis urzędy, mając widać błogi zamiar roztasować się gdzieś na tyłach i urzędować. Brak wywiadu? Brak zwykłej wyobraźni?

W przeddzień wojny przyleciała samolotem z Litwy moja starsza córka. Chciała być w czasie wojny w Polsce. Młodsza pozostała w Anglii, w Oksfordzie.

W czwartym dniu wojny rozległ się dzwonek u drzwi i weszła moja młodsza córka, która przyjechała z Oksfordu przez Danię, Szwecję, Estonię, Łotwę. Jej młodość wypełniła nasze mieszkanie. Córki wróciły, ale ja, widząc, że Warszawa będzie oddana, jak tyle innych miast, a mając porachunki z Niemcami, postanowiłem wysłać córki na wieś i sam też wyjechać. Tylko Jak7 Pociągi były niedostępne i benzyna była niedostępna dla nie spokrewnionych z urzędami.

Kiedy więc nie mogłem użyć swego auta, kolega lekarz, powołany do wojska, udzielił mi swego opelka z dwudziestu litrami w baku, za co miałem wywieźć jego żonę, jej przyjaciółkę i dwunastoletniego syna. Moja starsza córka wyjechała już nieco wcześniej. Miałem więc od siebie dodać tę młodszą, z Oksfordu, i żonę. Sześć osób w czteroosobowym samochodziku. O rzeczach nie było mowy.

Za oknami stała czarna noc. W jej ciemni oddychała pokaleczona Warszawa, której ciało od rana miało być szarpane na nowo.

Mieliśmy wyjechać szarówką. Nastawiłem budzik i dom zapadł w sen. O dwunastej zbudziło nas łomotanie do drzwi. To komitet domowy przychodził powtórzyć wezwanie radia: grupa pancerna przebiła się pod Tomaszowem, wzywa się ludność do kopania okopów.

Niebawem jednak to samo radio wezwało ludność męską do opuszczenia Warszawy.

Wepchnęliśmy się w nasz samochodzik. Kobiety żegnały się, głośno polecając Dogu siebie i tę niewiadomą drogę. Ruszyłem ciemnymi ulicami, bez świateł, namacując krawężniki.

Za miastem wjechaliśmy w tłum wozów. W ciemnościach posuwało się kilka rzędów, stłoczonych, między nimi starały się przewijać rowery, bokami drogi płynęła gęstwa pieszych. Poniektóre wozy wojskowe parły pod Warszawę, droga u wylotu Pragi była przecięta barykadą przeciwczołgową, zostawiając wąskie jeno przejście na jeden wóz.

Jechałem hamując co kilka kroków i znowu poczynając z pierwszego biegu. W tym nadużywaniu sprzęgła coraz to psuł się któryś wóz. Następowało zamieszanie, ściąganie z drogi, zderzały się błotniki, odrywały się splątane zderzaki. Rzecz charakterystyczna: nie było na tej potępieńczej szosie ani jednej kłótni. Ludzie pomagali sobie w sposób rzeczowy i szybko.

Kiedy już dzień poczęło, stanąłem i ja ze spalonym sprzęgłem na rozwidleniu szos na Brześć i Lublin. Na skutek tego rozwidlenia gęstość wozów zrzęda, można było jechać z pełną, jednostajną szybkością, ale to było już nie dla mnie. Kierujący ruchem na skrzyżowaniu dróg policjant przyskoczył: „Niech pan ściągnie na bok tego trupa!” Ściągnąłem, wytoczywszy z baku do blaszanki resztkę benzyny.

Nad skrzyżowaniem poczęły się ukazywać niemieckie aeroplany. Doktorowa i jej przyjaciółka płakały, chłopak dostał czegoś w rodzaju hysterii, przed naszymi oczami ciągnął nieskończony wąż pojazdów i rowerzystów. W bladym świetle wyłonił się pochód pieszych. Szli niosąc drobne dzieci na rękach, widać było, że porzucili swe domy nagle, w popłochu, szli z zawiniątkiem, z teczką. Szli robotnicy, Inteligenci i ludzie zamożni. Spotkałem uciekającą in premio re

dakcję „Gazety Polskiej” z Rogożem na czele. Wyszli z redakcji, tak jak stali, o godzinie trzeciej, tuż po zrobieniu numeru. Szedł dyrektor monopolu zapalczanego z córką i siostrzeńcem, grupa filmowców, potem dwaj adwokaci. Naród na wygnaniu.

Cóż łatwiejszego niż nierozumująca rozpacz w głodnym, zmęczonym, wygnanym, idącym bez celu tłumie. Na skrzyżowaniu zatrzymali się, radząc, czy iść na Lublin, czy na Brześć. Pomykali pod drzewa wobec nalatujących niemieckich aeroplanów. Czyż byłoby coś dziwnego, gdyby z tłumy tego zrobił się motłoch, pomstujący, wołający o zdradzie?

Byłem między tymi ludźmi cały dzień, nie słyszałem ani jednej skargi, ani jednej inwektywy. Kiedy koło północy zawezwano ich w stolicy do łopat, stanęło sto dwadzieścia tysięcy. W ciemni nie oświetlonych ulic stali, czekając na sprzęt, potem kopali zasadzki przeciwczołgowe, płytkie od strony ataku, strome od strony obrony. O godzinie trzeciej pułkownik Umlastowski wezwał ich do opuszczenia Warszawy. Szli więc teraz z wściekłością w sercu, z żalem powszechnym, że im nie dano karabinów, z wiarą, że Niemcy przegrać muszą, choćby i całą Polskę zajęli.

W tym poranku na szosie hojnie mi zapłaciły serca ludzkie za trud pisarski.

Kiedy bogacze brnęli w kurzu przydrożnym i żaden pieniądz nic im pomóc nie mógł — zdołałem wpakować na przechodzące wozy kolejno cztery kobiety i dziecko będące pod moją opieką.

Sam pozostałem na szosie. Miało się ku wieczorowi, kiedy władowawszy się na przygodną ciężarówkę dojechałem do Garwolina, gdzie zabrakło benzyny. Z Garwolina zabrał mnie jakiś kapitan, który po drodze do Lublina zbaczał do siedziby sztabu gen. Korytowskiego.

Siedziałem na ławeczce przed piętrowym murowanym domkiem, w którym mieścił się sztab. Miasteczko nazywało się bodaj Żelechów. Małeńki skwerek, alejka, ławeczki, skrawek zieleni — niby ostatnie pożegnanie.

W Lublinie spotkałem rodzinę. Naloty się powtarzały, rządu już nie było. Niemcy, donosząc o tym z rozgłośni wrocławskiej — w polskim języku ustami renegata Ołpińskiego — kpili sobie, że „rząd ucieka do Lwowa,

a Wańkowicz wraz z nim, ale my go po tropach Smętka złapiemy".

Młodsza córkę, mimo protestów, wysłałem na wieś, gdzie już była jej siostra; stamtąd miała ruszyć do pracy w najbliższym szpitalu. Żona mając skierowanie Przystosobienia Wojskowego Kobiet chciała jechać do Lwowa, ja postanowiłem towarzyszyć armii jako korespondent frontowy. Znajomy pułkownik zaproponował mi ruszenie z pancerną grupą, która stoi w Kurowie, miasteczku odległym o trzydzieści kilometrów od Lublina. Musiałem się tylko przedtem zameldować w „dwójce”. Major z „dwójki” wyznaczył mi odprawę na dziewiątą rano.

Nazajutrz o dziewiątej przeprosił, że oficerów, którzy mieli być na odprawie ze mną, jeszcze nie ma. Poszedłem obok, do gmachu ekspozytury prasowej min. Grażyńskiego, którą prowadził senator Katelbach. Wczoraj były tu nastroje różowe: że 800 tanków niemieckich pod Rawą zostało odciętych, z czego 400 już przetransportowano do Dębłina, że między Mławą a Łomżą wzięto 50 000 Niemców do niewoli, że 500 bombowców angielskich już bierze w Polsce udział w walkach powietrznych...

W ogóle przez całą tę krótką wojnę wieczorem rozchodziły się najbardziej pomyślne wieści, rano zaś ludzie budzili się ze świadomością nowych klęsk.

Tak samo było i tego dnia. Ekspozytura nie urzędowała, dwa wozy stały z bakami pełnymi benzyny. Mój artykuł, który zamówiono i zaraz posłano do drukarni, nie ukazał się. Czekano na wyjaśnienie sytuacji.

Wróciłem więc do „dwójki”, którą opuściłem przed godziną. Zaniepokoiły mnie rozwarłe drzwi. W poczekalni, rojnej przed godziną, nie było nikogo. W gabinecie szefa świeciły powyciągane szuflady, na biurku leżał porzucony znajnik.

Wróciłem do gmachu Województwa równocześnie z gwizdami syren oznajmującymi ponowny nalot. Stałem na balkonie drugiego piętra. Nie mogłem dojrzeć maszyn. Ciągnęły na ogromnej wysokości. Całe niebo drgało hukami motorów, jak blacha teatralna, którą imitują grzmoty. Nagle w dom na lewo trzasnęła bomba. Trzy piętra osunęły się jak domek z kart. Na prawo, w podmokłą łąkę, uderzyło sześć bomb jedna za drugą, podnosząc słupy torfu. Pobiegłem do schronu, w którym siedziała ekspozytura prasowa. Sądziłem, że sytuacja wyjaśniła się już. Wniosek? Wyjeżdżać natychmiast po zakończeniu alarmu! Dali mi jedno miejsce w wozie dla żony, ale nie obiecali czekać. Żona była w drugim końcu miasta. Wskoczyłem więc po nią, biegnąc ulicami zasypanymi szkłem, mijając trupy i rannych o zasypanych twarzach, których wleki podobni do trupów ludzie. Nalot trwał, bomby eksplodowały jedna po drugiej. Dobiłem do domu, w którym zatrzymała się żona. Swoją walizkę zdeponowała w cukierni. Cukiernia okazała się zamknięta. Żona siadła do auta bez żadnego bagażu. Miałem sto osiemdziesiąt złotych, dałem jej połowę. Ubrana była w lekki kostium. Tak ją widziałem ostatni raz. W sobotę dziewiątego września.¹

Ja zostałem jeszcze cały dzień w Lublinie. Przyszły wieści, że Kurów jest spalony do cna. „Moja” grupa pancerna wyruszyła w niewiadomym kierunku. Wzdłuż głównej ulicy — Krakowskiego Przedmieścia — gorzały jak stos cztery kamienice. Gorzał też dom sąsiadujący z tym, w którym nocowałem.

Szedłem alejką przed Dowództwem Okręgu Wojskowego. Ż obu stron alejki stało wczoraj z górą dwadzieścia wozów. Dziś bomby zniszczyły doszczętnie wszystkie. Autobus rzuciło przednimi kołami na dach pięknego buicka. Buick miał rozwaloną chłodnicę. Wszędzie sterczały bezkształtne rury, blachy.

Wody w mieście nie było. Pod wieczór miałem usta spalone, podniebienie wyschłe. Stos palącego się domu jaskrawo oświetlał stertę butelek wyniesionych ze sklepu kolonialnego. Chciałem kupić butelkę wina, ale pilnujący sterty policjant zabronił, powołując się na nowe zarządzenie, zakazujące sprzedaży napojów mocniejszych niż czteroprocentowe. W czasie bombardowania, jeszcze w Warszawie, jakaś paniusia targowała się przy mnie w aptece o cenę proszków na ból głowy, twierdząc, że w sąsiedniej aptece taniej dostanie. Tak ciągle jeszcze życie, przerywane bombami, chciało płynąć normalnym torem.

Późną nocą, w zamian za nieco benzyny, zabrało mnie auto jadące mimo miejscowości, do której skierowałem swoje córki. Benzyna była wtedy w cenie złota. Oddając

część zdobytego w i, u blinie ka mUtra przezornie zacbo- wul(Tin raszUb

Córki zatrzymały się w dworku, dookoła którego w są- \sledztwie najbliższym utaiły cztery spokrewnione domy tej mamęJ rodziny ziemiańskiej. We wszystkich czterech pełno było wygnańców I liczba Ich wciąż się zwiększała. Utył [życia „przedwojennego” mieszał się z nowym porządkiem \rzcocy, Ochmistrzynie wkrótce zaprzestały rozpaczliwych uwysilków, ażeby każdemu gościowi zapewnić łóżko i dwa czyste prześcieradła. Ale na stołach, do których zasiadało się w dwie i w trzy kolejki, wciąż heroicznie ukazywała się wędlna, A gospodarze, kiedy wygnańcy zabierali się czmychać dalej, po przedwojennemu zapraszali: --- Posiedźcie Jeszcze trochę. Co się wam tak śpieszy? Pytanie było o tyle retoryczne, że nad tymi dworkami przeciągały dzień w dzień eskadry niemieckie, że bomby niemieckie padały na bezbronne wsie, że lotnicy niemieccy szli z karabinów maszynowych do pastuszków i do ludzi pracujących przy młocurni, Pod nimf leżała złomna żółciejąca ścierniskami, dorodna, bogata, wydana na łup,

W te dni bezbronności i odcięcia od świata, kiedy nie było żadnych gazet, Jedynie radio mój/lło nam coś niecoś, Niestety, nic działało Już radio poznańskie ani katowickie, ani toruńskie, ani łódzkie, Główna stacja radiowa w Warszawie zdemontowana zastała przedwcześnie, Pozostała słaba stacja Warszawa II, której nie można było łapać na detektory. A ponieważ gros radioabonentów polskich miało radioaparaty kryształkowe, więc w tych pierwszych zaraz dniach wojny kraj, który trwał w wysiłku, ludność, od której chwila wymagała napięcia wszystkich sił, pozbawiona była Informacji Polska została skazana na pocztę pantoflową,

A przecież,, A przecież laka była woła zwycięstwa, tak modliły się o nie wszystkie serca, że w „tatarskich wieściach” ginął dotetyzm szerzony przez wroga, że nosły one ludzU/rn zmaltretowanym balsam kojący.

Trudno było wierzyć tym wieściom. Przylegałem uchem do skrzynki radiowej, w której wyczerpana bateria szemrała cichym głosem wiadomości straszliwe, Przejierały one z suchych danych niemieckich komunikatów sztabowych, z re- *um<? podawanych przez stacje sowieckie, z triumfalnych wyć tłumów, do których przemawiali wodzowie niemieccy,

L

Wysłuchałem m. In, fragmentu mowy Goeringu Obwieścił że Warszawa jest wzięta,

I nagle z wieży Babel głosów niemieckich, rosyjskich węgierskich, litewskich, których jazgot niezrozumiały dla przeciętnego Polaka brzmiał Jak krakanie skłębionego ptactwa nad świeżo padłym trupem, przedarł się - głos Wat szawy. Mówiła na swojej słabej stacji, Ze się broni, że pierwszego dnia wdarły się na Jej przedmieście cztery czołgi niemieckie, które zniszcz/mo, że następnego dnia zniszczono siedemnaście czołgów niemieckich, że teraz wła śnie czołg niemiecki, który zapędził się rat Wolę, 7/>stał ujęty przez kobiety wolskie. Prezydent Starzyński, głosem ochrypłym z wysiłku, głosem człowieka, który zdawał się nie spać od wieków, pouczał, gdzie można nabywać mięso i pieczywo, pouczał, że kamienice ma Ją warzyć strawę ze wspólnego kotła, uprzedzał, że będzie produktów coraz mniej, komunikował, że za pół godziny trzeba mu sześciuset Judzi pod broń, i ochotnikom kazał się zebrać pod pa łucem Mostowskich, uspokajał, że I dla Innych miejsce w obronie Warszawy się znajdzie, kierował Ich tymczasem do batalionów pracy.

Przez lata prezydent Starzyński mówił do Warszawy w cylindrze, inaugurując różne „otwarcia” — ze złoconej łoży na uroczystych przedstawieniach, Dziś zdawało się, że mówi ze stosu gorejącego, że jego zachrypły głos przedzie ra się przez dym i płomienie

W tym dworku wraz ze mną byli i ludzie w sile wieku, nie powołani do wojska, obtłukający progi wszelkich PKU proszący o przyjęcie do wojska. Wyszli na wezwanie z Warszawy i teraz zaciskali dłonie w pięści słuchając słów Starzyńskiego,

Na drugi dzień pobytu w gościnnym dworku usłyszałem przez radio komunikat niemiecki, który powiadał

0 wzięciu Sambora na południu I podchodzeniu pod Brześć na północy. Zrozumiałem, że Niemcy rozpoczęli drugą transz*; wojny. Pierwszą transzą było wbicie klinów na Mławę

1 na Częstochowę, rozsadzanie Polski żelaznymi klinami, pomiędzy którymi znalazły się cnie nie zniszczone armI*- Teraz poczyna się ten nam manewr.,, tak że wojska nie

mieckie inogą do nas przyjść od wschodu. Może dlatego jest tu, w tych okolicach, poza nalotami bombowców, tak cicho?

Z gminy przybiegł posłaniec. Żona telefonowała z Łucka. Czy dojedzie stamtąd? Może zostanie odcięta? „Kiedy zadawałem sobie te pytania, jedna córeczka przepakowywała już znoje rzeczy w swój jeszcze pensjonarski plecak i w małą walizeczkę. Druga przyniosła swoją ulubioną maszynę do pisania — małą FK. — Będziesz może na tym mógł coś zarobić... Ta, która przyjechała z Oksfordu, chciała mi dać wszystkie funty, co jej z drogi zostały. Wziąłem banknot pięćofun- towy.

Odprowadziły mnie na szosę. Sunęły po niej ciężarówki wiozące rannych. Aut prywatnych niemal nie było. Spłynęły wszystkie na wschód przed kilku rfniami Tam, na wschodzie, w Łucku, była moja żona

Stałem na środku szosy, machając zachęcająco bańką z benzyną, ale nikt na to nie zwracał uwagi.

Nagle nadjechał niemożliwie rozklekotany wóz, pełen po dach betów i ludzi. KiŁkumireńgrzne dziecko kwiliło gdzieś tam w czeluściach manatków.. Ta arka Noego, powiązana sznurkami, o wygiętych błotnikach, śmierdząca niemożliwie naftą, terpentyną i rozgrzanym spirytusem (czego bo w te dni nie lano do baków), poczęła na kilkadziesiąt kroków przede mną zwalniać i cicho skonała u moich stóp.

W środku dal się słyszeć jakiś szurgot, hukanie kolanem w drzewiczki, stękanie, po czym wywalił się grubas ważący chyba sto dwadzieścia funtów, z bródką a la Napoleon III; puknął, stuknął pod maską i zaopiniował filozoficznie:

— Złazcie, psiakrew! Dojechaliśmy... To świństwo w haku skończyło się. Podsunąłem się słodko ze swoimi piętnastoma litrami W owe dni auta otrzymywało się darmo, ale za benzynę płacono po dziesięć dolarów za litr. Cóż dziwnego, że towarzystwo z arki Noego patrzyło na mme jak na gołębicę zwiastującą koniec potopu.

Strażak w kasku i z toporkiem, podebrany w drodze dla ochrony i usługi, został delegowany do stania na stopniach wozu, na których już stało i tak jakieś indywiduum. Moja benzynę połknęła arka Noego z apetytem. Pocałowałem wówczas dzieci po raz ostatni Kiedy się tutaj, w Rumunii, budzę, widzę rączki wyciągające się do mnie, usteczka pół- dziecinne, usiłujące się uśmiechać...

Po piętnastu kilometrach osiągnęliśmy Chełm. Stał w nim jakiś czas „eselon nr 2" szefostwa komunikacji Naczelnego Wodza. Toteż Niemcy bombardowali Chełm codziennie — regularnie o piątej, trzynastej i osiemnastej. Pod gradem bomb przesuwano cysterny na żeberka.

Aż wreszcie dziesiątego września udało się wydostać od Naczelnego Dowództwa dwa działka przeciwlotnicze. Nala- tujący w normalnej „dyżurnej" godzinie klucz trzech niczego nie spodziewających się dornierów został w całości zestrzelony.

Tegoż dnia nastąpiła zemsta niemiecka Dziewiętnaście dornierów z wielkiej wysokości bombardowało dworzec. Ział on po tym bombardowaniu sześćdziesięcioma lejami

Pomimo to, kiedy przejeżdżałem przez Chełm piętnastego września, usiłowano przepychać tamtędy — i przepychano — transporty. Wznoszono też zapory. Bo podobno czołgi niemieckie przeszły Wisłę i były już o kilkadziesiąt kilometrów.

Dziesięć kilometrów za miastem arka Noego odmówiła posłuszeństwa. Podczas kiedy Napoleon UF pukał w karbu- rator, poszedłem o pół kilometra w przód do studni przy budce dróżnika Studnia miała urwany łańcuch. Wspólnie z łażnikami ciągnącymi bokiem drogi ucieliśmy drut zwisający ze słupa telegraficznego (sieć telefoniczna była wszędzie pozrywana, a ponieważ nie widziałem obok śladów bomb, więc domyślałem się tu roboty dywersyjnej) i przywiązaliśmy do niego garnek. Wyszedłszy z pyłu stojącego na gościńcu, jedliśmy ogórki wykopane z bezpieczeństwa pola i piliśmy tę wodę z przydrożnej studni Jak za wojen kozackich.

Wróciwszy przekonałem się, że grat powiązany sznurkami nie dał się namówić do dalszej drogi Grubas uradził w nim spać. Zostawiłem mu walizeczkę i z plecakiem poszedłem do stodoły...

Świtaniem nie zastałem ani grubasa, ani walizeczki Stojący w sąsiedztwie żołnierze powiedzieli, że arkę Noego ktoś litościwy wziął na hoT, aby podciągnąć do warsztatów w najbliższym miasteczku.

Miałem zapalenie żył w nogach i normalnie po przejściu kilometra odmawiały mi one posłuszeństwa. Ale cóż robić?

Wziąłem plecak, przez ramię przerzuciłem płaszcz jesienny, pled, aparat fotograficzny i poszedłem szosą.

Kto w tych dniach szedł szosami Polski na wschód, ten nie zapomni ich obrazu. Upał był wielki i od przejeżdżających aut, wozów i motocykli stał nad szosą jakby nieruchomą ścianą gęsty kurz. W tym kurzu, w tym pyłe jak widma poruszali się ludzie, nieraz wynurzający się o dwa kroki i znowu ginący jak w obłoku.

Tu idzie stary Żyd z Żydówką. Niosą walizę, przeciągnąwszy laskę przez jej ucho. Są dopiero pięć kilometrów od miasteczka, dyszą ciężko, przystają, zmieniają ręce, łudzą się, że uratują tę resztkę mienia. Stary Żyd z zaropiałymi oczami, płacząc się w poły chałata, biegnie za drabiniakiem pełnym ludzi, podnosząc błagalnie oczy zamęczonego na śmierć zwierzęcia. Chodzi o to, aby mu jadący w wozie pozwolili trzymać się za drabinę. Nic z tego, wóz ciągnie wychudła szkap, jest on wyładowany po brzegi jakimś gratami, siedzi na nim tylko stara kobieta, reszta rodziny, wraz z drobiazgiem dziecinnym, drepcze przy wozie. Każda uncja siły końskiej jest droga.

Motocyklista usiłuje, wymienić na rower motocykl (w którym, jak z naciskiem podkreśla, jest jeszcze siedem litrów benzyny), ale nie może znaleźć chętnych.

Bokiem drogi, w skwarze, w pyłe, idą cierpliwie żołnierze, nie porzucając swych karabinów. Poniekąd zdjął buty, przewiesił je przez ramię i wędruje metodą chłopską na bosaka. Dopiero kiedy dziesiąty i setny żołnierz, gęsto poprzedzielany cywilami, wyłoni się z kurzu, człowiek poczyna się orientować, że to jakiś pułk dąży „na nowe miejsce koncentracji”.

Nie, nie mogę iść dalej. Siedzę w rowie postarawszy się wybrać stronę nawietrzną. Patrzę na każdy przejeżdżający wóz i czuję, że oczy mi się robią psie i błagalne jak u spotkanego niedawno Żyda. Wydobywam z plecaka bochenek razowca, który mi tam włożyły córki. Nie dodały nic do tego, bo trudno było jeszcze i na drogę nadużywać cudzej gościnności. Od wczorajszego południa nie miałem nic w ustach, więc ułamuję dużą skibę. Przechodzący żołnierze proszą o chleb; rozdają niemal cały bochenek i starannie chowam pozostałą kromkę.

Wtedy, w pyłe szosy, czuję dotkliwie klęskę. Poruszać się nie mogę. Do dzieci jest, jeśli brać polami, chyba ze dwa

dzieńca pięć kilometrów. Ale jakże wrócę na chorych nogach? Rozglądam się po wioskach na horyzoncie. W którejś z nich doczekam przyjscia Niemców. Kiedy uprzytamniam sobie, jak będą się wyśmiewać i że z pewnością osadzą w obozie koncentracyjnym, podrywa mnie do marszu, ale niebawem siadam, aby znów z niemą prośbą wlepić oczy w przejeżdżające wozy.

Wreszcie widzę powóz zaprzężony parą koni. Żołnierz na koźle, buda podniesiona, pod budą nikogo. Proszę żołnierza o podwiezienie. Uzależnia to od podoficera, który podąży gdzieś z tyłu. Legitymuję się podoficerowi.

— Widzi pan, my jedziemy pół dnia i noc; zrobiliśmy sto kilometrów, konie ledwo ciągną; ale dla pana...

Biegnę uradowany, utykając doganiam powóz, rozsiadam się na jego poduszkach. Zwłaszcza ta prawa noga, którą czuję jak drewno, odtęcha. Wydaje mi się, że ten wlokący się noga za nogą powóz jest szczytem marzenia.

Ale po dwóch kilometrach kończy się rozkosz. Konie są tak zmęczone, że woźnica decyduje się zajechać na całodzienny postój do najbliższej wsi. Więc ponieważ mijasny przystanek kolejowy, wysiadam. Będę czekał pociągu.

Jakiś sierżant, prawnik w cywilu, jacyś jego koledzy wyjmują, co mają najlepszego. Jestem wzruszony. Kiedy nadchodzi pociąg towarowy, chłopaki wciągają mnie na węglarkę. Ale po chwili rozchodzi się wieść, że pociąg nie pójdzie dalej, bo między tą stacją a następną Niemcy wysadzili tor. Z wagonów zeskakuje kilkaset postaci ludzkich, by wsiąknąć w wędrującą drogą obłok kurzu i ludzi.

Moi przyjaciele też muszą udać się tą drogą, ale ze zmieszaniem i ze współczuciem patrzą na mnie: „Nie możemy pana tak na drodze zostawić Niemcom.”

Przed stacją zatrzymuje się nagle piękny chevrolet. Dziw, bo te auta zawsze pędzą starając się nie zatrzymać. Nie jest to przyjemne patrzeć nędzarzom z wielkiej drogi oko w oko.

Już rozumiem. Ktoś przy stacji porzucił zepsute auto i szofer chevrolety bada, czy nie znajdzie w baku benzyny. Znalazł piętnaście litrów, więc radość pasażerów nie ma granic.

Mój sierżant biegnie, tłumaczy coś z wielkim zapałem, ale wraca zawiedziony: — Mówią, że sami korzystają z gościnności szofera, że

15 Od stołpców p« Kair

jest ich w aucie sześć osób (chevrolet jest typu mniejszego, czteroosobowego).

Sam idę ku chevroletowi. Jedzie w niej dwóch doktorów, plutonowy, syn jednego z doktorów i inżynier z Warszawy, którego brat podążył za nim na motocyklu. Jest to przypadkowa kompania, która się dosiadła do wozu dyrektora tramwajów miejskich, prowadzonego przez jego szofera.

Znam dobrze inż. K., eks-ministra; czy ta okoliczność, czy prośby lekarzy zmiękczyły serce szofera — nie wierzę swemu szczęściu. Jadę.

Pięć kilometrów dalej spostrzegam stojącą bezradnie arkę Noego. Nie chciano ich więcej holować, bo droga przechodzi w głębokie piaski. Główna szosa jest zmasakrowana lejami, więc ruch odbywa się tą boczną drogą. Grubas, całkiem zrezygnowany, daje mi moją walizeczkę. Jest w niej maszyna do pisania, „którą może, Tatusiu, coś zarobisz”.

Posuwamy się cały dzień na Kowel, co chwila wysiadając, aby przepchać wóz przez istne Sahary piasku. Jadąc pozieramy pilnie na ludzi idących drogą. Jeśli zaczynają uciekać, zatrzymujemy i my wóz i biegniemy w pole, gdzie — jak kuropatwy przylegając do skib przed jastrzębiem — czekamy, aż przeleci kolejna eskadra niemiecka.

Gęste leje przy torze, przy drodze, przy mostach zapowiadają Kowel bombardowany wczoraj przez eskadry niemieckie. Dziś poleciały na Łuck. W ogóle całą drogę miałem główne bombardowania o dzień przed sobą. Kiedy przyjechałem do Łucka, Niemcy bombardowali położony dalej na południe Krzemieniec.

Przejechaliśmy Kowel, pozostawiając inżyniera na drodze wraz z bratem, któremu się zepsuł motocykl. Nocujemy w wiosce o pięć kilometrów za miastem. Lekarze mają befsztyk, szofer jaja na twardo, plutonowy słoninę, a ja swoją kromkę chleba. Z ogrodu przynosimy pomidory, gospodyni daje główkę cebuli. Zapijamy spirytusem z bańki po benzynie.

Przyjechawszy „aż pod Kowel”, wyminąwszy takie setki tysięcy ludzi i tyle wojsk, moi towarzysze czują się bezpieczni. Ale ja pamiętam, że Kowel leży na cięciwie łączącej Brześć i Sambor, i wcale nie jestem pewny, czy nie natkniemy się na czołgi niemieckie. Zastosowują się do moich przynagłeń z ociąganiem.

W Kowlu zostawiamy plutonowego, który ma tu punkt zborny. Jedziemy dalej w piątkę, licząc szofera.

Do Łucka wjechać nie możemy. Od Włodzimierza wlewa się do niego olbrzymia moc wozów. Pokazali się tam już Niemcy. A więc przewidywania moje były słuszne — pętla się zamyka. Stoimy w zatorze parę godzin. Okazuje się, że most jest zabarykadowany, wozy ciurkają wąską przerwą w barykadzie i major kierujący ruchem obwieszcza, że most już definitywnie zamyka. Jednak przejechaliśmy. Czy znajduję żonę? W budynku władz wojewódzkich trafiam na ślad. Sekretarz wojewody rozmawiał z nią przed dwoma dniami, nie mogła otrzymać auta na zachód i ruszyła wraz z falą ogólną, która lunęła za rządem na Krzemieniec.

Wyciągam moich towarzyszy ze schronu, do którego się skryli, bo samoloty niemieckie gęsto latają, i jedziemy na Krzemieniec. Droga jest już wolna i przyjemna. Tu biedota nie zdążyła dopełnić, a możni tego świata przelecieli.

Krzemieniec jest zniszczony, jak każde miasto po drodze. Pierwszy nalot odbył się w dzień targowy. Zabito czterdzieści osób, raniono ciężko około setki, lżej rannych nikt nie liczył.

Nie mogę znaleźć śladu żony. Jedną z pań, którą o nią pytam, opowiada szczegóły bombardowania:

— Widzę, dwie harcerczki prowadzą pod rękę trzecią — małą dziewczynkę. Piszczy jak pisklę: „boli”. Podnoszę spuszczoną na ramię główkę, wydobywam ją ze splątanych osmolonych włosów, widzę twarzyczkę córeczki mojej przyjaciółki. Nic nie można było poradzić — odłamki poszarpały brzuch. Umarła. Za Krzemieńcem ścisła kontrola nie przepuszcza wozów bez przepustki. Wydawano ją tylko nielicznym wozom i dlatego teraz pomykamy niemal pustą szosą. Kamienie dudnią bezustannie w dno karoserii. Widać szosa — z kamienia tłuczonego — została zrujnowana przez przemarsze oddziałów zmotoryzowanych.

Kierujemy się na Tarnopol, gdzie postanowiliśmy nocować, ale kiedy pod Zbarażem począł się karkołomny objazd nowo budowanej szosy — skierowaliśmy auto w boczną drogę. Niebawem ogarnął nas stary las. Szofer, niesłychanie wydenerwowany ciągnął jazdą bez świateł lub z małymi światłami, przyćmionymi na dodatek błękitnym celofanem,

pozwoił sobie na pełne reflektory. W ich blasku wyłaniały się przed nami wielkie liściaste drzewa jak fantastyczna feeria.

Zaraz za lasem znaleźliśmy porządne obejście gospodarskie. Gospodarzem okazał się osadnik wojskowy, żołnierz z 1920 roku, który wraz z innymi otrzymał nadział ziemi z rozparcelowanego majątku Grocholskich. Ich kolonia osadnicza liczyła trzydzieści sześć gospodarstw, każde po dziesięć hektarów dobrej ziemi. Mieli świetlicę, kółko rolnicze, związek strzelecki. Szesnaście tysięcy takich gospodarstw leżało wzdłuż naszej wschodniej granicy.

Następnego ranka święciliśmy niedzielę. Gospodyni zgotowała kurę, usmażyła jajecznicę, przeparała nasze koszule, słońce świeciło tak gorąco, trawa była taka zielona, że postanowiliśmy nieco odpocząć.

Gospodarze byli mili i gościnni. Ale gospodyni nie mogła oprzeć się jakiemuś niepokojowi. Wszystko jej z rąk leciało. Po pogodnym niebie raz po raz przeciągały srebrzyste eskadry niemieckie, po czym słyszeliśmy oddalone detonacje. To niszczone bombami Tarnopol. Gospodyni obojętnie niosła wiadra, nie chowała się od samolotów — niepokój, który ją żarł, był inny. Chciała się porywać, chciała pakować manatki na wóz i ruszać w świat, do swoich, pod Łuków.

Gdzie? — pytał zniecierpliwiony mąż. — Przecie tam Niemcy. Jakaś ich ciekawa, to i tu ich będziesz miała. Lepiej przetrzymamy na swojej ziemi jak na cudzej łasce.

— Ja się nie boję Niemców, ja się nie boję i ich bomb — szlochała skulona kobieta.

— To czegoż się boisz? Taki charakter mieć, to i żyć nie trzeba — konkluduje mąż wyprowadzony z równowagi.

Wyruszyliśmy więc dopiero o pół do jedenastej. W nocy spadł deszcz i mokre gałęzie leszczyn biły o twarze osadniczych chłopiąt, którzy oblepili stopnie samochodu, wyprowadzając nas ze śmiechem na trakt.

Objazd, z którego czmychnęliśmy wczoraj, był nie tylko błotnisty, ale i zawalony artylerią przeciwlotniczą. Przy głównej szosie pracowało mimo niedzieli dwa tysiące robotników, przeprowadzając nową arterię. Widać więc te głębokie tyły pracują jeszcze planowo, może rząd odwoła swoją decyzję przejścia do Rumunii? Może?... Przecież napotkany wczoraj w Krzemieńcu wojewoda wołyński wracał do Łucka, a więc w kierunku przeciwnym niż granica.

Dlatego, kiedy znajomy oficer artylerii przeciwlotniczej informuje, że wójt gminy Wiśniowiec otrzymał z Powiatu wiadomość, że dziś rano wchodzą bolszewicy, których należy powitać życzliwie — śmieję się z jeszcze jednej plotki.

Powoli przebijamy się między sprzętem wojskowym ku Zbarażowi. Zatrzymawszy się przy jakiejś chałupie słyszymy od chłopów, że przejechały przed nami trzy czołgi, których obsługa po rosyjsku pytała o drogę na Tarnopol. Uspokoiłem moich towarzyszy podróży, że żołnierze z Królestwa, nie znając ukraińskiego, lubią popisywać się w rozmowach z kresową ludnością łamaną ruszczyzną, która im została z dawnych lat.

Kiedyśmy z podmokłej łączki wjeżdżali na garb góry drogą wyżłobioną w glinie, ze szczytu w okropnym pośpiechu zaczęli zjeżdżać rowerzyści, pędziły konie, auta osobowe i ciężarowe. Wszystko to pędziło na łeb na szyję, konie nie były w stanie wstrzymać wozów bijących im o tylne nogi, całe bractwo zygzakowało po wąskim tunelu wyżłobionej w głęboki jar drogi. Nasz szofer przyparł auto do ściany wąwozu, ale pędząca w dół ciężarówka obdarła mu lakier. Po pewnej chwili zdołaliśmy rozróżnić, co wołają ludzie w tym popłochu: „Tam... bolszewicy...”

Kiedy przelecieli, zjechaliśmy tylnym biegiem na łączkę. Równocześnie od strony, w którą zdążaliśmy, ukazała się kolumna czołgów.

Czołgi zbliżały się coraz bardziej. Część ich szła w bojowej gotowości, na niektórych jednak wieże były otwarte, widniały w nich głowy czołgistów.

Pierwszy czołg przejechał i drugi, a my wciąż nie mogliśmy rozróżnić żadnych znaków rozpoznawczych, nic też nie mówiły kombinezony obsługi. Dopiero gdy przyzwyczailiśmy wzrok, ujrzeliśmy twarze mongolskie, z grubą ciosane. Nie mogło być wątpliwości.

Kolumna, która nas minęła, liczyła siedemdziesiąt trzy czołgi.

Ruszyliśmy za czołgami. Rozwinęły się w kolumnę bojową i poczęły otaczać lasek.

Po chwili nadjechało kilkunastu bolszewickich kawalerzystów. Kazali nam opuścić wozy, cywilne i wojskowe,

zabrać z nich rzeczy i zgromadzić się przy odległym o pół kilometra futorze. Kawalerzyści mieli kaukaskie burki z twardego czarnego pilśniu, karabinki z lornetkami, kaukaskie szable o gardach inkrustowanych srebrem i pistolety automatyczne. Wyraźnie jakiś oddział doborowy.

Poczęło się wzajemne zaznajamianie. Jeźdźcy na koniach płonęli ciekawością dowiedzenia się, jak też wyglądają ludzie z tej Polski. Rozpytywali chciwie o to, jakie są u nas porządki, czy oficerowie nie biją, czy robotnik może chodzić do kina, czy ma urlopy. Odpowiedzi nie wypadały widać tak, jak by chcieli, więc: Czy kobieta w Polsce ma swobodę? Na tak złożone pytanie nie mówiący po rosyjsku chłop w mundurze nie mógł dać odpowiedzi.

— Czy na przykład latają wasze żony na szybowcach, czy uczą się skakać ze spadochronami?

— Latają. Skaczą — odpowiada ponuro nasz chłopina, a cały jego wygląd zdaje się mówić: „Odczep się raz, ty cholero, czegoś się uczył?” Wyobrażam sobie, że gdyby się jego Magdzie zechciało latać na aeroplanie, zaraz by zdjął pasek i nauczył babę rozumu.

~ Ot, zobaczycie, jak wam będzie dobrze, wybierzecie sobie sowiety — samorząd lokalny, będziecie żyli, pracowali. Myśmy przyszli was uwolnić od panów i od osadników — psów przeklętych.

Przypominam sobie niepokój mojej gospodyni, którą porzuciłem przed dwoma godzinami. Czy wie już? Czy może do ich ubocza wieść dojdzie dopiero jutro?

Zza lasu ukazuje się pułk bolszewicki. Żołnierze zmęczeni, twarze blade, ale sprzęt techniczny wydaje się dobry i zasobny. Wielka ilość ciężkich i lekkich karabinów maszynowych. Nadto — co jest dla mnie nowością — na wózkach konnych lub zmotoryzowanych czterolufowe karabiny maszynowe z jednym celownikiem dla obrony przeciwlotniczej. Słońce zachodzi. Ukazuje się drugi pułk. Potem jedzie artyleria. Końca nie ma.

Jest już zupełnie ciemno. Przez cały dzień nic nie jedliśmy. Błogosławię kurę zjedzoną u osadników. Co prawda jest to kura, za którą zapłaciłem najdrożej w życiu. Gdybyśmy wyjechali o pół godziny wcześniej, zdążylibyśmy przed tymi pierwszymi trzema czołgami. Co z żoną? Czy się znajdziemy?

Przyjeżdżają jacyś dowódcy bolszewicy. Wywołują na szcych oficerów, każą im posegregować żołnierzy według gatunków broni.

— A co my mamy robić? Jesteśmy cywilni. Mamy auto. W tymże położeniu jest jakiś Francuz z rodziną, dyrektor fabryki w Częstochowie.

— Panowie pojedziecie dalej. Prywatna własność ruchomości jest u nas uznawana.

Widzę jednak, że nasza „prywatna własność” jedzie już bez nas drogą. Prowadzi ją nasz szofer, wewnątrz siedzi czerwonoarmista.

Biegnę z protestem do dowódcy bolszewickiego. Uspokaja, że wóz odwiezie rannego do Zbaraża i wróci. Nie bardzo wierzę i nie bardzo już protestuję, bo do granicy jest sto sześćdziesiąt kilometrów i nawet gdyby nam zwrócono maszynę (doktor ją podawał jako swoją, bo miał papiery na wóz, który porzucił w Chełmie), to przecie nie zdołamy taki kawał drogi tak apetyczną rzecz utrzymać.

Zresztą już otaczają nas żołnierze z „rużjami na pierie- wies”.

Poczyna się pochód w ciemnościach po zoranej roli. Nie mogę nadażyć, potykam się.. Z tyłu konwojent woła: „Nie odstawaj!” Stanęliśmy pod jakimś chutorem.

— Pan jest urzędnik? — pyta oficer bolszewicki.

— Nie.

— Wszystko jedno — dosyć, że pan należy do klas uprzywilejowanych.

— Jeżeli pisarz jest klasą uprzywilejowaną... — próbuję zadowcipkować.

Okazuje się, że tym razem wygrałem na przynależności do wyzyskiwaczy, bo mnie i doktora ulokowano wraz z oficerami na podłodze chaty wymoszczonej słomą, podczas gdy żołnierze poszli do stodoły. Chłopka ukraińska, pociągając nosem, postawiła gładysz zsiadłego mleka. Był to jej naturalny, nie nakazany odruch. Mleko odjęła od ust nie tyle sobie, co cielątku, któremu już nie miała co dać. Błogosławieni ludzie prości, serca proste, które na całym szlaku szły z pomocą fali wygnańczej, nie pytając ani o narodowość, ani o przynależność klasową. Ci ludzie należą do jeszcze jednej międzynarodówki, do międzynarodówki serca.

Powoli zasnęliśmy. Koło mnie niespokojnie przewracał się jakiś podpułkownik. Spał w długich butach, bo nie miał

w

talku, a bez talku nie dałyby się nałożyć. Ładnie się wybrał na front.

Rano poczęto nas ustawiać do transportu. Major bolszewicki zbliżył się do mnie.

— Jaki jest pański zawód?

— Literat.

Żołnierzy i oficerów ładują w wielkie autobusy, które pod strażą aut pancernych biorą kurs na wschód, my, to znaczy ja, „literat”, i kilka innych osób w cywilu, zostajemy na zielonej łące z naszymi małymi tobołkami.

Idziemy na przelaj polami. Od strony Tarnopola słychać kanonadę.

Wchodzimy w gęsty liściasty las. Potem wieś. Nazywa się Czarny Las i jest prześlicznie położona w leśnym parowie. Po zielonych stokach stoją białe chałupy, kryte grubymi złocistymi strzechami, w obejściach przed nimi pęcznią grube sterty zebranego urodzaju. We wsi mieszkają Polacy i Ukraińcy. Ostatnio przybył liczny element uchodźców, których tu rozlokowało starostwo. Te trzy gatunki ludzkie chodzą koło siebie grzecznie i ostrożnie. Nowych władz jeszcze we wsi nie ma. Nikt nic nie wie.

Odbija się to na nas, bo za żadne pieniądze nie chcą wynająć koni. Nie wiedzą, czy złoty jest co wart, nie wiedzą, czy bolszewicy nie rekwirują furmanek po drogach. Siedzimy w miejscowej polskiej świetlicy. Napłynęła pełna izba chłopów. Skrzynka radiowa drze się wszystkimi językami świata. Najzrozumiałej mówi radio ukraińskie. O wyzwalaniu biednych ludzi spod przemocy panów.

Konie wreszcie, najgorsze w całej wsi, dał ukraiński chłop, wagabunda i ryzykant, pałający współczuciem dla młodego chłopca, urzędnika PKO z Warszawy, któremu ofiarował gościnę. W zamian za obietnicę wzięcia ze sobą tego chłopaka i osiemdziesiąt złotych obiecał zawieźć nas do odległego o trzydzieści pięć kilometrów Skalatu.

Wyjechaliśmy wczesnym rankiem. Przejeżdżając przez Zbaraż mijaliśmy wielki murowany budynek szkolny, obstawiony wartami, w którym ulokowano naszych oficerów.

Tarnopol okrążaliśmy bokiem, słysząc strzały armatnie. Potem dowiedziałem się, że nasi żołnierze z cekaemu na wieży kościelnej ostrzelali bolszewików, więc wieża kościelna uległa obstrzałowi z dział. Zjechaliśmy wraz z taborami bolszewickimi na boczne drogi. Już się przewalila widać ę-

ła bojowa część wojska, bo teraz nieskończonymi sznurami ciężarówek jechała żywność i benzyna. Bokami drogi szli puszczeni wolno żołnierze polscy.

Obawiałem się wjeżdżać do Skalatu. Zajechaliśmy na pół kilometra przed miasteczkiem do dwóch schludnych murowanych domków stojących przy gościńcu. Mieszkańcy ich — osadnicy, nakarmili nas i podjęli się zawieźć do Kopyczy- niec, odległych o pięćdziesiąt kilometrów.

Żegnaliśmy się z naszym Ukraińcem z Czarnego Lasu, dziękując mu za usługę. „No cóż, panowie — powiedział patrząc nam w oczy — jak w takich czasach człowiek dla człowieka dobry nie będzie, to wszyscy zginą.”

Kiedy już moszczony wóz stanął pod domem, poszedłem pożegnać się z gospodarzami i zobaczyłem ich kilkunastoletnią córeczkę, uczennicę gimnazjum w Tarnopolu, opartą o komin, wstrząsaną płaczem. Półdziesięcioletnia, nie wyklarowana figurka podlotka przypomniała mi moje córeczki.

Pocałowałem ją w czoło; czując słony smak łez na ustach, siadłem na grochowinach i ruszyliśmy w noc.

Po Skalacie chodziła już milicja, jednak jeszcze niepewnie i nieśmiało. Opowiadają mi, że milicjant przyczepił się do baby niosącej żołnierski chlebak: niby że to rzecz rządowa, należy zwrócić władzom. Baba była pyskata, szamotała się o plecak. Żołnierz bolszewicki, stojący obok, widząc, że milicjant grozi karabinem, podał babie swój: „Przygrzej mu, mamusi!” Rezulutna baba trzepnęła milicjanta kolbą w łeb, że aż się przewrócił przy aplauzie tłumu.

Rozumiałem jednak, że ten bałaganik rychło kończyć się pocźnie. Toteż parłem ku granicy dzień i noc.

W jednym z miasteczek przydrożnych zatrzymała nas na krótko milicja. Rynek miasteczka cały już był obwieszony czerwonymi flagami, które mieszkańcy prokurowali przez oddzieranie białego pasa.

W rynku, pomimo późnej pory nocnej, snuły się grupki ludzi. Jakiś „partyzant” w cywilu, z dwoma rewolwerami u pasa, informował o stosunkach w Rosji Sowieckiej. On sam jest drwalem, ale dzieci jego kończą gimnazjum na koszt rządowy. Wszystko się podoba w jego opowiadaniach.

— A ile kosztują buty?

Ludzie mają tysiące pytań. Młodzieniec w eleganckim palcie zapytuje, czy składy apteczne można będzie trzymać prywatnie.

— Co ty, braciszku, z byka spadłeś? — pyta dobrodusznie partyzant. — Przecie wszystko musi być rządowe.

Włeczmy się już tyle godzin po ciemku, mało spaliśmy od kilku dni. Aby spędzić sen z oczu sobie i towarzyszą, co grozi między innymi spadnięciem z wozu, poczynam naśladować głosy zwierząt. Kiedy pokazują, jak się wabi dzikie kaczkę, słyszę nad sobą groźny głos:

— Ty czto tam chriukajesz?

Równocześnie pada na nas z kilku stron światło latarek elektrycznych, widzimy kawalerzystów i skierowane na nas rewolwery:

— Ręce do góry!

Już odstawiam kandelabra.

— Złaż...

Biorę się rękami za drabinki.

— Ręce do góry! Znowu robię kandelaber.

— Złaż!...

Po kilkakrotnej gimnastyce, zasapany, stawiam ultimatum: albo kandelaber, albo złażenie.

Zaczyna się od skierowanych rewolwerów, których nie trza się „bojać”, natomiast bardzo pożytecznie jest machnąć jakąś kwestią pryncypialną, na przykład: Czy dużo mają traktorów? Rzucają się na dyskusję, jak psi na kość, w zapale nie spostrzegając, że dyskutuję w pozie Hagar na pustyni — z rękami ku niebu.

Podczas gdy żołnierze badają słomę w naszym wozie, a inni po dokonaniu rewizji osobistej bez sprzeciwu zwracają mi lejkę, pana wachmistrza korci dowiedzieć się czegoś:

— Skąd wy?

— Z Warszawy.

— A po coście uciekli?

— A czegoż mieliśmy włązić Niemcom w łapy?

— No, widzicie, myśmy was uratowali. No Jak tam? — pyta rewidujących.

— Nic podejrzanego nie ma, towarzyszu komendancie.

— No to ruszajcie. Sami musicie rozumieć: nocą różni się włóczę.

Łedwośmy ujechali kilometr, znowu:

— Ręce do góry!

Znowu taki sam silny patrol, liczący dwadzieścia—trzy-

dzieści koni. Znowu rewolwer, rewizja. Znowu zapominają

o wszystkim, rzucając się na pryncypialną kość...

Zrobiliśmy pięćdziesiąt kilometrów i zatrzymujemy się

przy domu z brzoza. Kopyczyńce. Długo chodzi i dobija się do drzwi woźnica, aż wreszcie stara kobieta

wpuszcza nas do środka. Mości słomę na podłodze. Nie wiemy, kto to

i co, ale kładziemy się skwapliwie. Światło się pali bez przeszkód, okna otwarte. Już od trzech dni nie ma

nalotów, warkoczą tylko rosyjskie samoloty, wojna się skończyła.

Słomo! Słomo! Pledzie, pledzie!... W gruncie rzeczy człowiek jest zwierzęciem. Kiedy tak ciepło ogarnie organizm, kiedy poczuje sytość w brzuchu, poczyna mu się wydawać, że ma wszystko, że mu nic nie trzeba. Błogosławione te troski i te zadowolenia zwierzęce. Gdyby nie one, ileż ludzi w te dni nie wytrzymałoby ciężaru nieszczęścia.

— Ruky u horu! — z niesamowitym rykiem wpada jakiś drab w cywilu, trzymając w ręku rewolwer; za nim tłoczy się trzech oberwańców z karabinami; widzę, że jeden z nich jest bosy.

Ale my jesteśmy ostrzelane ptaki. Czyż nas nie rewidowały czołgi i kawaleria, i towarzysz-partyzant?

W słomie już się zaczęło robić sennie i ciepło. Więc tylko podnoszę głowę i informuję się z flegmą i rzeczowo:

— Czto ty, bielony objęlsia?

Mój wielkoruski akcent robi wrażenie. A nuż jaki radziecki dygnitarz?!

Z głębi domu przychodzi niespodziewany sukurs. Owa kobieta, która nam słała słomę, nadciąga z miotłą. —

Szczo ty, Mykołka, zduriw? — Pęc w łeb! — samego najważniejszego wodza.

Milicja rejteruje wobec takiego dictum, a zaperzona niewiasta tłumaczy, że ten z rewolwerem to mularczyk, który jeszcze przed trzema dniami przy budowie tego domu wapno nosił.

Nazajutrz wkracza Jegomość w cywilu, nie golony, ale z wąsami prosto spod bindy.

— ■ Kto i skąd?

Myślmy, że to jeszcze jedne rewizja, ale to gospodarz tego domu, inżynier Wołoszyn, w którym, oprócz nazwiska i wąsów spod bindy, nic strasznego nie ma.

Zaprasza nas na herbatę i opowiada, że jest inżynierem drogowym i tak dalej („i tak dalej” pakuje co parę zdań), że ten domek zbudował sobie i tak dalej, bo koszary obok i tak dalej, i miałby ładny czynsz od rodzin oficerów i tak dalej, a tu masz diable kaftan i tak dalej.

My jednak spieszymy się, aby jechać „i tak dalej”. Pozostaje nam do Zaleszczyk bodaj sześćdziesiąt kilometrów.

W Czortkowie już widzieliśmy w rynku wielki sznur ludzi czekających w kolejce. To rejestracja uchodźców, stosunki poczynają się ustalać i kostnieć. Pilno nam, aby wreszcie dobić do granicy, bo niewątpliwie według wypróbowanej metody bolszewicy opróżnią pas graniczny i mowy nie ma, żeby nam dano dojechać.

Przepychamy się pośpiesznie przez miasteczko, nie zaczepiani przez milicję. Ulice bowiem kipią od drabiniaków, takich jak nasz. Przekonawszy się, że bolszewicy nie rekwirują i nie grabią, pośpieszyły wsie okoliczne zasięgnąć języka. Lepiej jest już teraz jechać za dnia.

Po południu ma się odbyć wiec. Tymczasem rozdają odezwę, która wzywa ludność do rozprawy z „panami”.

Pozostaje nam ostatni przeskok — do Zaleszczyk. Podniecenie nasze wzrasta. Ludność informuje, że do Zaleszczyk nie wpuszczają nikogo. Wbrew więc doświadczeniom nocy uprzedniej postanawiamy do Zaleszczyk dojechać o zmroku. Zawszeć po ciemku łatwiej przecisnąć się, choćby piechotą.

Trudno wyjechać z Tłustego przez stłoczoną masę wojsk sowieckich płynących na zachód. Jedzie z nami Władysław Broniewski, któregośmy podebrali z roweru na wóz między Kopyczyńcami a Tłustem.

O jakie dwadzieścia kilometrów od Zaleszczyk wielka masa artylerii zmotoryzowanej, która szła przed nami, poczęła skręcać na rzyisko i ustawiać się na nocleg w obronnym czworoboku.

W tej chwili moje spojrzenie skrzyżowało się ze spojrzeniem oficera stojącego przy samochodzie osobowym. Uderzył mnie brak oznak na kołnierzu, uderzyła mnie twarz odmienna niż dotąd widziane żołnierskie twarze; proste, otwarte, często o cechach mongoloidalnych, chłopskie twarze wielkorosyjskie, takie same u żołnierzy, jak u oficerów.

Twarcz, z którą skrzyżowały się moje oczy, była z lekka nalana, ot, twarcz jakiegoś „kantorszczlka”, bluralisty, który przeszedł wykształcenie wojskowe. Automatycznie powiedziałem woźnicy:

— Poganiaj pan swoje kobyły!

Po chwili jednak usłyszeliśmy za sobą warkot motoru. Osobowe auto zajęchało przed nas, wyskoczyli z niego dwaj oficerowie.

— Stój, dokąd to? — pyta kantorszczlk-komisarz, trzymając rewolwer w ręku.

— Do Zaleszczyk.

— Po co?

— Do żony.

— Do żony? — z przekąsem przeciąga komisarz. — A on — wskazuje na doktora — pewno do teściowej? Doktor, Orawianin z pochodzenia, Ślązak z zamieszkania, poczynna coś gulgotać ze słowacka, czemu usiłuje nadać brzmienie, według jego mniemania, rosyjskie.

— Kim panowie są?

— Lekarz, urzędnik Kasy Pożyczkowo-Oszczędnościowej i dwaj pisarze.

— Pisarze? A panowie są polscy patrioci? — pyta agresywnie.

Na szczęście Broniewski ma za sobą trzy swoje książki tłumaczone i wydane ogzez moskiewski „Gosizdat”, o mojej Opierzonej rewolucji też były recenzje w prasie rosyjskiej, obaj bywaliśmy w Sowietach, obaj znamy kupę literatów rosyjskich, więc się czujemy dość pewnie.

— A pan Jest patriotą Związku Radzieckiego? — odpowiada pytaniem na pytanie Broniewski.

— Naturalnie. Ale to całkiem inna sprawa.

— Wie pan, w zbyt nierównych warunkach rozmawiamy, aby kontynuować dyskusję... Zatrzymał pan dwóch pisarzy znanych sowieckiej literaturze i chce pan, żebyśmy tu panu na szosie wygłaszali exposé? To niemożliwe...

— Czy dlatego, że ja Jestem uzbrojony? — chowa rewolwer.

Sytuacja zaczyna się przechylać stanowczo na naszą stronę.

— Nie może pan tu od nas żądać żadnego wynętrzenia się. Może pan najwyżej nie puścić nas do Zaleszczyk — podtrzymuję Broniewskiego.

— Ależ co wam do głowy przychodzi, „grażdanie”? Jedźcie sobie,.

Po czym, chcąc zatuszować niezręczny obrót rozmowy i podkreślić, że puszcza nas z własnej woli, pyta:

— Hej, kto pałacy? — i podrzuca w górę pudełko zapalek. O zapalaki w te dni było niesłychanie trudno. Woźnica łapie je w lot.

Widok jest przykry, więc mówię z przekąsem:

— Dobrze jest mieć oberchapki ze stołu klas posiadających.

— To ja jestem klasa posiadająca?

— Nb tak, pan ma zapalaki, a my nie mamy — replikuje z pasją proletariacki poeta, mocując się z walizką, której zawartość komisarz przewrócił w czasie rewizji do góry nogami.

I takeśmy pojechali.

Jest już zupełnie ciemno. Ciągniemy, pod strachem bożym, ku Zaleszczykom. Może tam jest żona? Może ją dziś zobacze? Ale zapewne razem z wszystkimi przejechała już do Rumunii. Trudno, zobaczymy się nieco później.

O cztery kilometry przed Zaleszczykami, w ciemności kompletnej, oblega nas jakiś oddział, co poznaję po ster-
czących dookoła drabiniaka karabinach.

— Aha! Co? Nie zdążyliście do Rumunii uciec?

Oj, teraz tak łatwo nie pójdzie... Jest podoficer, ale bodaj że nie ma żadnego oficera i naszym pisarstwem nie ma komu tu imponować. Jakieś ręce szybko i sprawnie rewidują całe moje ubranie wzdłuż ciała. Każą otwierać walizki i przerzucają nasze rzeczy. Z punktu konfiskują doktorowi scyzoryk, urzędnikowi PKO latarkę elektryczną i mnie... moją, po bohatersku przeniesioną przez tyle rewizji, lejkę.

Proszę, posiłkując się terminologią aktualną, aby mi oddali „fotoaparat”, bo to jest moje narzędzie pracy.

— Nie bój się, obywatelu — odburkuje podoficer, przerzucając lejkę przez ramię — wszystko się rozpatrzy.

— Ależ oddajcie choćby scyzoryk.

— Nie można. To jest biała broń.

— Co też mówicie, obywatelu? Jakaż to biała broń na wasze czołgi? Toż jutro na rynku znowu sobie kupimy scyzoryk.

— No to znowu wam odbierzemy.

— Obywatelu, oddajcież, czymże człowiek chleb będzie krajać?

Widzę, że argument trafia do przekonania audytorium. Scyzoryk jest pierwsza klasa, napęczniały ostrzami, ma i dółtko, i korkociąg, i szydło, i nawet małą piłę.

— Na, masz — oddaje z żalem „bojec”.

Myślimy, że rewizja skończona, i poczynamy zamykać walizki. Ale napływa nowa fala, która chce mieć również zabawę. Znowu rewizja osobista, rewizja rzeczy, znowu odbierają doktorowi nóż, tym razem bezpowrotnie. Wlepiam wzrok w ciemność. Podoficer, który wziął moją lejkę, jest niebywale wysoki, więc go rozróżniam.

— Zawracać konie — huczy. — Do Zaleszczyk nie można. Cóż to, nie wiecie, że to pas graniczny? Masz babo kaftan.

Napływa nowy oddział. Tym razem jest oficer. Srogi, nieufny, ale zawsze oficer.

— Nie, nie można ich puszczać. Zaaresztować.

Wydziela konwój, który otacza nasz wóz.

— Do komendanta!

Widzę, że wozu nie zawrócono, posuwa się w stronę Zaleszczyk. Dobre choć to. Zgnębieni doktor i urzędnik nie upominają się o nóż i latarkę. Mój dryblas z lejką ginie w mrokach nocy.

— Panie komendancie — wrzeszczę rozpaczliwie — mój fotoaparat...

Komendant na szczęście jest nastawiony służbiście.

— O! Fotoaparat!... Hej, kto go ma?

— Starszyna...

„Starszyna” zostaje wywołany i zawrócony z drogi, którą się skromnie oddalał.

— Lejka... — mówi z żalem oddając oficerowi aparat.

Koneser!

Mój aparat bierze jeden z konwojentów, którego mam czule na oku. Słodczy, z jaką z nim rozprawiam w czasie tego trzykilometrowego pochodu, jest taka jak rozmowa aresztowanego Zagłoby z konwojującym Rochem.

Wprawdzie nie dogadaliśmy się do wspólnych antenatów, ale znałem gubernię, z której pochodził, byliśmy więc niejako „ziemlaci”.

W Zaleszczykach kilkakrotnie zatrzymują nas przejeżdżający autami oficerowie. Robimy gęby najpokojowsze, wesoło uśmiechamy się, żeby nie sprawiać wrażenia wleczonych do ciemiic burżujów. Jeśli będą trzymać nas pod kluczem, jak tu znaleźć żonę, jak jej dać znać?

Furtka drewniana. Ogródek. Komendantura. Stajemy przed obliczem komendanta. Ten lejtenant (już pocynam rozróżniać rangi) ma sympatyczną gębę chłopską, bujną czuprynę, błękitne oczy, jest ubrany w żołnierski fasowany mundur.

— Nu? — zapytuje, biorąc od konwojenta nasze paszporty.

— Obywatelu komendancie — trzępię jak wyuczoną lekcję — oto tu stoi jeden doktor, jeden urzędnik Kasy Pożyczkowej i dwóch literatów. Kolega ma trzy książki wydane przez „Gosizdat”, a ja też byłem w Moskwie i znam sowiecki świat literacki.

— A pańskie nazwisko? Mówię swoje nazwisko.

— Jakże, słyszałem — powiada — słyszałem.

Łże, bestia, bo nic słyszeć nie mógł, ale na tematy literackie i kulturalne panuje wśród oficerów wzruszający i chwalebny snobizm. Komendant Zaleszczyk wydaje się „zrobiony”.

— U nas — powiada — jest tak: jeśli mamy do czynienia z porządnymi ludźmi, to mogą być spokojni, a jeśli ze złymi, to wtedy gorzej. Ot, dziś panowie prześpicie się u mnie, a jutro waszą sprawę rozpatrzymy.

„U mnie” — to znaczy w mamrze. Ładna perspektywa. Jak raz wsiąknijemy, to się okaże, że to jest nasze właściwe miejsce.

W tej chwili mój Roch Kowalski wyciąga ogromne łapsko i wtyka mi w rękę lejkę. Czuję, że wzbiera we mnie fala lojalności. I choć komendant nie widział tego, daję mu aparat:

— Obywatelu komendancie, przy rewizji zakwestionowano mi aparat, który polecono panu oddać do decyzji.

Wziął go w rękę, obraca:

— Czy są w nim zdjęcia?

— Są.

I zdjęcia wojsk sowieckich?

Bodaj nie, ale nie jestem pewny.

Zatrzymuje w rękach lejkę, obracając się do innego interesanta. Czy przepadnie?

Broniewski zapytuje o 'wieści przez radio. Komendant ma radio w swoim sypialnym, przyległym do biura pokoju. Ma tam też jakąś morową Marusię w wyszywanej koszuli.

Siadamy na łóżku komendanta i słuchamy radia. Dobry z niego chłopak. Tak nam uczynnie tłumaczy, jak rozróżniać dystynkcje armii sowieckiej, tak mu przy tym lejka przeszkadza, że nagłym zdeterminowanym ruchem ją oddaje.

— Wiecie, komendancie — mówi Broniewski — nie trzymajcie nas w mamrze.

— Dobrze — zgadza się komendant — tylko paszporty wasze zatrzymam. Zjawcie się jutro o dziewiątej rano.

Przenocowaliśmy w pierwszym napotkanym pensjonaci-ku. Obudziłem się, kiedy słońce biło w okna wesołym blaskiem. Wyjrawszy przez okno zobaczyłem panie w kostiumach „tailleurs”, panów w spodniach „café au lait” — wycinek autentycznego kurortu po tych strasznych dniach ciągłego wyskakiwania z auta i przypadania w rowach, po tym spaniu w stodołach, po tych bezustannych „ręce do góry”.

Może tu, może w tej grupie, może w tamtej zobaczę żonę? Wymizerowała się na pewno... Jakże daje sobie radę?

Wychodzimy na ulicę, aby udać się do komendanta. Zaczepiani po drodze panowie bardzo chwalą sobie pobyt w Zaleszczykach. Złoty ma nakazany kurs obowiązkowy. Złotówki papierowe w te pierwsze dni wojny rzucono na rynek w olbrzymich ilościach, każdy z tu przyzostałych ma tego pełno i właściwie bardzo sobie winszują, że nie pojechali owczym pędem do Rumunii.

Komendanta nie zastajemy, więc mu zostawiam kartkę:

„Tacy a tacy, zatrzymani wczoraj, zjawili się w myśl pańskiego polecenia o wyznaczonej porze, aby otrzymać dokumenty na prawo pobytu w Zaleszczykach. Powtórnie zjawimy się o godzinie dwunastej.”

Zaleszczyki grają wszystkimi barwami lata, chociaż to już dwudziesty pierwszy wrzesień. Otoczona z trzech stron kotlina, podany ku południowi polski Meran jest ostatnim kęsem polskiej ziemi, którą mam pożegnać.

Na ulicach nie ma już eleganckiej publiczności, która widać tylko rano przesuwiała się dyskretnie na rynek bocznymi uliczkami. Wszędzie tłumy szarej biedoty. Każdy żołnierz jest otoczony tłumem chciwie pytających i każdy agituje całą gębą. Jest ruskie ścięto kościelne. Cerkiewka w bocznej uliczce przepełniona tłumem wiernych: piękne czarnobrewa dziewczęta ukraińskie w swoich wzorzystych kostiumach, mołojcy w wyszywanych koszulach. Wszystko roześmiane.

Teraz wydłubujemy po zakątkach trzeci element: uchodźców z Polski.

Są, są... W przytulnych sadzikach, ocieniających pensjonaty, w szpalerach dojrzałych winogron (przecież to sezon winobrania), w altankach, w których z pułapu zwisają ży- wokiście gron — pełno kolorowych sukienek, białych spodni panów.

W podwórkach stoją eleganckie buicki, duże fiaty, mercedesy, panowie, skazani na przymusową bezczynność, dzierżeni w obrębie pensjonatu przez drżące połowice, zrzucają marynarki i biorą się do rąbania drzewa. Les rois en exil...

Opływają ich, że tak powiem, dwie fale. Pierwsza to fala lęku, czepiająca się opowiadań kucharki wracającej z targu, służącego robiącego wywiad po ulicy.

Leciwe paniusie zwierzają sobie najprostsze fakty głosem tak nabrzmiałym podnieceniem, że nim się otrząsałem, sądziłem, iż za każdym razem mówią o jakichś rozstrzelaniach.

A tymczasem brzmi to mniej więcej tak:

— Wie pani, ot co tylko wróciła Marysia, posyłałam ją spytać, czy nie ma w sklepiku czarnych sznurowadeł, bo mężowi pękły...

— No i co, i co?...

— A no są, Żyd mówi, że ostatnie, ale wziął taniej niż w Warszawie.

— Nie o to pytam. Więc mówi pani, że idzie Marysia?...

— I widzi, że jakiś krasnoarmiejec pyta, kędy się idzie na most...

— Nie, naprawdę tak pyta?

— Jak mnie pani widzi... I wie pani, podbiega jakiś Ży- dziak i pokazuje.

Towarzystwo zastyga w kontemplacji faktu, którego grozy nie mogą uchwycić.

A druga fala, która ich opływa, to poczucie, że Jest tak wygodnie, tak przyjemnie, tak ciepło, że jest tyle złotych, że tak dobrze jeść dają, że już wreszcie nie warczą nad głowami te aeroplany.

— Miałem nosa — chelpi się któryś z panów — byliśmy już z całą rodziną naszym autem na moście w niedzielę, kiedy się to wszystko jak barany rzuciło do ucieczki, aż tu widzimy — jadą auta w przeciwną stronę; mówią, że Rumuni grabią do nitki, że nawet kobietom kolczyki z uszu wyrrywają. Musieliśmy wjechać aż na tamtą stronę, obrócić autem po rumuńskiej ziemi — i z powrotem...

— Uniknęliście państwo straszego losu — dodaje inna pani. — Przecież tam Rumuni podzielili wszystkich uchodźców na cywilnych i wojskowych, cywilnych jeszcze rozdzielili na mężczyzn i kobiety z dziećmi i wsadzili to wszystko w trzy obozy. Te obozy to gołe pola obwiedzione drutem, i jak deszcz pada, to mokną całe noce, a warty z obozów nie wypuszczają.

— A jaka drożyna! W pierwszych dniach płacono po sześćdziesiąt złotych za obiad, po dziesięć złotych za szklankę wody...

— A teraz w ogóle złoty nic nie wart...

Myślę z niepokojem o żonie. Czyżby przeszła z innymi do tej Rumunii?

Przebiegam pensjonat po pensjonacie, spotykam znajomych, ktoś by ją widział... Nigdzie ani śladu.

O godzinie dwunastej komendant, już podinstruowany przez nasz papierek, wręcza nam paszporty bez słowa. Pytam go o żonę, ale nie wie. Przyjechał już jakiś komisarz, ale to nie jest władza cywilna Zaleszczyk, tylko jakiś tam ktoś inny. Ciągnie za nim z płaczem żona polskiego nauczyciela. Ich szkoła znajduje się we wsi odległej o osiemnaście kilometrów. Całą noc wytrzymywali oblężenie i pogróżki ukraińskich chłopów.

— Towarzyszu komunisto — jęczy — co mamy zrobić?

— Otworzyć szkołę, zwołać dzieci i uczyć...

— Według jakiego programu?

— Według dawnego.

— W polskim języku?

e— W polskim.

— Towarzyszu lejtenancie — zwraca się do młodego oficerka, który lichy wie dlaczego dodaje sobie powagi spacerując z podniesionym jak do strzału rewolwerem, chociaż nikogo aresztowanego w podwórzu nie ma — jedźcie z tą obywatelką, zapowiedzcie we wsi, żeby nie śmieli się awanturować, bo im damy łupnia, i niech dzieci do szkoły posyłają.

Zbliża się podoficer i raportuje, że przywieziono ciało zabitego krasnoarmiejca.

Doktor mnie trąca:

— Czas, żebyśmy poszli do szpitala.

Już jako meldowani mieszkańcy Zaleszczyk kroczymy sobie bez żadnych obaw do szpitala. Szpital jest polski. Zbiega się do niego i rak, i ryba..,

Otoczyli nas zaraz lekarze. Już niosą mojemu doktorowi białe fartuch: „Gdzie macie być, jak nie z nami.”

Rozkrochmalił się doktorek, pociągnął nosem znajomy zapach jodoformowy, już poczyna się wypytywać a krzątać, już by gotów kogoś operować — Rumunia mu już nie w głowie, z fal spienionych, które nim miały, zaczął się o tę ławicę ostryg, już by tu tkwił..

Do mnie też podchodzą lekarze, mrugają porozumiewawczo, prowadzą gdzieś na piętro. Pokój czysty i czysty, biało lakierowany dają, łóżko ze śnieżną pościelą, wprowadzają do sąsiedniego pokoju, w którym stół ugina się pod jadłem:

— Niechże pan tu mieszka, pokój z pełnym utrzymaniem. Wszelkich zapasów i papierosów starczy nam wszystkim i pełnemu kompletowi chorych na rok.

Okna „mego” pokoju wychodzą na ogród. Korony drzew sięgają szyb. Słońce spokojnie przesiewa się przez gałęzie. Cisza tu niezmacona i życzliwe twarze ludzkie naokoło.

O żonie nie wie nikt..

Schodzę na dół.

Mówię do doktora:

— Radzę jechać do Rumunii.

Ale doktor uważa, że bolszewicy zachowywali się z nami w drodze przyzwoicie. Ja też tak uważałem, ale ludzie, którzy już przeszli przez rewolucję, zostali z pewnymi urazami czy nawykami, jak kto woli. Ja w każdym sklepiku starałem się coś kupić na zapas do zjedzenia — doktor śmiał się i protestował: „Przecież już mamy zapasów na całe dwa dni.”

Dzień cały schodzi na poszukiwaniu żony. Obszedłem wszystkie pensjonaty, znalazłem wielu znajomych. Nie, nikt jej nie widział.

Dniestr wartko biegnie pod moimi stopami, wirydarze zielonych krzaków schodzą do samej wody. Żywej duszy nie ma dookoła. Kto wie, może wartownik siedzi gdzie zasadzony w krzakach? Teraz, za dnia by trafił. Ale wybrać w nocy bezkسیężycowej dogodną chwilę.. Byłem poczuł wodę pod stopami,

Oceniam więc, że nie tyle trudno jest przejść samą linię graniczną, ile dojść do niej. Należałoby zamieszkać nad samym brzegiem. Czyliż nie powiedział komendant garnizonu: „Poszukajcie sobie mieszkania, gdzie chcecie”?

Miejscowi Polacy stykają mnie z gospodarzem mieszkającym nad wodą. Owszem, przyjmie nas rzekomo na mieszkanie, a w nocy wypryśniemy.

Pytam, ile chce za przeprowadzenie.

— Jak pan co da, to się przyda, ale może pan nic nie dawać.

Mamy iść we dwójkę, pewien podchorąży lotnictwa i ja. Córeczka mi dała te funty — trzeba schować. Idę do szew- czyny Żyda:

— Proszę mi to schować w podeszwach. Nie zdradzi pan?

Nędzarz podnosi na mnie ze swego zydla czarne, palące
oczy:

— Proszę pana. Jak człowiek człowiekowi nie będzie pomagać, to zniknie to ostatnie, co przeszkadza, żeby złość ludzka zalała świat.

Tak oto mniej więcej mi powiedział na drogę tułaczki emigracyjnej szewc z Zaleszczyk.

Operacja z butami przeciągnęła się do godziny siódmej minut czterdzieści. Ogłoszono stan wojenny i chodzić można tylko do godziny ósmej. Pędzę do komendanta, aby mu oświadczyć, że się przeprowadzamy, że mamy już gdzie indziej zamówiony nocleg, żeby dał przepustkę. Przepustka okazuje się na dzisiaj zbędna, bo dzisiaj teatr ukraiński daje w Zaleszczykach wielkie bezpłatne przedstawienie dla ludności.

Bierzemy z pensjonatu rzeczy i wychodzimy na ciemne

zupołnio ulico. Idziemy Jukle trzydzieści kroków zu przewodnikiem, tak to Jogo sylwetka wciąż nie zaciera.

Do brzegu z tej części miasta Jest daleko. Umacniamy się nu duchu tym, Ze Jeśli nas znrzymu patrol, powiemy, że przenosimy się na nowy lokal. Alo któż uwierzy, że wynajęliśmy lokal przypudkowo nad brzegiem Dniestru, tu, gdzie stoję tylko klitki nędzarzy?

Przewodnik skręca w boczni) uliczkę, ujętą w parkany, biegnącą nad Dniost. Kiedyśmy i my w nią skręcili, hukną! strzał. Widzę, że przewodnik szybko ucieka.

Mija kilka chwil. Idę naprzód, by nawiązuć kontakt z przewodnikiem. Tak, ton domek nad Dniestrem to za- pewne domek naszego przewodnika,

Zaglądam przez słabo oświetlone okienko i widzę wewnątrz chaty i pobok niej wielu ludzi. Rewizja? Ujrzawszy moją głowę, wyskakuje Jakiś śmierlelnlo zalękniony człowiek:

— Czego tu chcecie, czego? Czy nie wiecie, że nlo można chodzić po nocy? I w dodatku nad granicą?

Tłum Jakichś podrostków napiera coraz bardziej. Na ramionach mam plecak. Tłum szepcze. Wycofujemy się niby to w kierunku wskazanym, po czym bierzemy nogi za pas. Niebawem Jużłożymy w swoim pokoju w pensjonacie. Pokoju tego nie opłacaliśmy, bo był bezpieczny, I mieszkaliśmy darmo, oczywiście bez pościeli, ale i bez wmeldowanla i od- meldowywania się.

Biegną godziny. Podchorąży wsparł głowę nu rękę i opo- wiodu o przeszłości, niedawnej, a przecież przedzielonej cflhj epoką przeżyć. Brał udział w lotniczej obronie Warszawy... zestrzelił dwu Niemców... Ma głowę ranioną odłamkiem...

Długa Jest ta noc. Ale wreszcie zasnęliśmy mocnym snem,

Kiedy obudziliśmy się nazajutrz, słońce stuło wysoko na niobie. Podchorąży poszedł szukać nowego przemytnika, ho tamten był już „spalony”.

Po południu wprowadzamy się do upatrzonego pensjonatu, stojącego o kilkaset kroków od Dniestru przy bocznej uliczce, która do rzeki opłotkami zbiega. Umawiamy się, że będziemy płacić dziennie po osłem złotych. Mamy za to pokój z balkonem i pięknym wldokłom, dwa łózka francuskie, na których właśnie lokaj w pikowym smokingu zaciąga świeżą pościel (ach, przespać tę jedną noc między dwoma czystymi prześcieradłami), wodę bieżącą, zimną I gorącą, i posiłek cztery razy dziennie...

Żyć nie umierać w tych Zaleszczykach!...

Na dole przy brydżu zastuję sporo znajomych z Warszawy. Cioszą się, że będziemy „spędzać czas razem”. I/otnik pulrzy Jak młody dziczek na brydżujące damy.

Od strony Dniestru słyhać trzy strzały. Potem jeszcze dwa,

Patrę na młodego oficera o męskiej twarzy, pytam, ile ma lut? Dwadzieścia dwa. Okazuje się, że jest kolegą towarzyszy wypraw narciarskich moich córek, że bywał na wieczorkach lotniczych, na których i one bywały.

Tyło tych chłopaczysków przewijało się przez nasz dom, kto by to spamiętał! I wszyscy tacy samiuteńcy!...

Nie mam rodziny, nie mam córek, spod progu mego uszedł strumień wlozonny, który wzbierał w każdą sobotę, na każde święto. Sam jestem, postarzały nagle, zbyty nagle sensu, wyliniały pies wsiowy w ucieczce. I nagle kropła młodości z zaczarowanych ogrodów moich dzieci padła tu przode mną. Żal ścisnął serce,

•Jeszcze raz chłopak wychodzi na zwiady i aby ostutecz- nlo umówić się z przewodnikiem. Wraca niosąc w rękę gołębia. Tego gołębia wypuści, zebrawszy wiadomości na tamtej stronie, bo tutaj nikt nic nio wio. Czy się formuje poza Polską armia narodowa? Należy tu dać znać. Przynosi też wiadomość, że dziś w obiad przyjechała do Zaleszczyk straż graniczna w zielonych czapkach. Ale może dopiero od Jutru zamurują granicę? Jest już dwadzieścia po piątej. Za godzinę nio można będzie chodzić. A za trzy godziny wzejdzie kulężyc.

Srogi podchorążak piastuje gołębiu, alo rnnle każe wszystkie rzeczy wyrzucać. On sam nie ma nic poza swoim nieco ucywilnlonym mundurem. Zgadza się, abym wziął muiizynę do pisania (to ta od córeczki), lejkę I dodatkowo obiektyw, bo mu wytłumaczyłem, że tego dziennikarz nlo rzuca, jak żołnierz karublnu. Ale muszę zostawić nowiutki pluszcz i plod-himsluja, a do płocaka, w którym tkwią aparaty i maszyna, biorę tylko Jedną zapasową zmianę bielizny.

Kiedy schodzimy w dół po schoduch, Jedna z pań wdsię- cznym głosem wzywa nas na kolicję. Odpowiadam weeolo, że zaraz przyjdziemy, I przemykam się ciemna klatką seho-

dową, ukrywając plecak. Rachunek pensjonatowy, ku zdziwieniu gospodarza, uregulowaliśmy za dzień z góry.

Przed wyjściem troskliwe ręce przewodnika — ducha opiekuńczego — wtykają nam w dłonite sękatę, wysokie kije. Bo prąd Dniestrowy wali z nóg.

Za załomkiem ciemnej ulicy czeka nas grupa tych, którzy razem z nami mają przechodzić rzekę. Przewodnik nakazuje ciszę, bo wczorajszej nocy zastrzelono przekradającego się chłopaka.

Pomykamy więc cicho drożynami wydeptanymi w krzakach nadrzecznych.

Przez chwilę robi się w nas samych taka cisza, że bicie serca wydaje się zgiełkiem. Usta wyschły gwałtownie i łapią powietrze, język jak kołek. Przecież gramy wielką grę. Przecież ta rzeka oddziela nie tylko dwa kraje, ona oddziela dwie epoki. Przejść ją — znaczy jedno na całe życie. Nie przejść tych stu kilkudziesięciu metrów — znaczy drugie.

Przewodnik wysuwa się pierwszy, za nim ja z podcho- rążakiem. Inni czekają, co z tego wyjdzie. Najgłupsza taktyka, bo przecie jeśli się zrobi alarm, to my już dopadniemy wody i będziemy bezpieczni, podczas gdy oni będą musieli cofnąć się w krzaki i już nie przejdą.

Na prawo rysuje się ciemną sylwetą jeden z mostów. Wiemy, że na obu jego końcach stoją warty. Wydaje nam się, że ciała nasze rozpierając wodę wydają wielki plusk. Ale rozumiem, że w huku pędzącej wody ten plusk musi ginąć.

Jedno mnie jeszcze niepokoi — ławica piasku pośrodku Dniestru, którą musimy przebiec. Idzie nią szlak wszystkich szwarcujących się, nie łatwiejszego, jak umieścić tam placówkę.

Ławica coraz bardziej się zbliża, już ogarniam okiem jej rozległą płaszczyznę. Nie, jest pusto...

Za ławicą wpadamy w najgłębszy nurt. Woda sięga do piersi i gdyby nie mój posoch, spłynąłbym w dół. Jeden z Czechów (jak się później dowiedziałem, szło z nami sześciu Czechów z tworzonego przy polskim wojsku legionu) potyka się, puszcza niesioną walizę, towarzysze go wycię- gają, ale walizę w ciemność poniosły bystre wody.

Wyłazimy cali mokrzy na drugi brzeg. Szybko przecinamy idącą wzdłuż brzegu drogę, po której krążą warty ru

muńskie, i pniemy się ścieżką poci górę. Wyciskamy zmoczone ubrania. Ja wyrzucam strzępki butów ofiarowane przez dobrych ludzi specjalnie do przejścia Dniestru i nakładam „funtowe” buty. Psa zjedzą, nim wynajdą moje funty.

Brzeg po tamtej, rumuńskiej, stronie Dniestru to wysoki kant kotliny, w której smaży się zaleszczycka patelnia. Pnąc się ukośną ścieżką pod górę, zatrzymujemy się przy jakimś murku odgradzającym ścieżkę od przepaści. Wydaje mi się, że gdyby go prześwietlić, zobaczyłbym cieniste figi smyr- neńskie, tak typowe dla krajobrazu południowego wschodu.

Przeszliśmy ten Dniestr jakby pęknięcie świata.

Pod naszymi nogami leży nocna panorama Zaleszczyk. Przez rzędy silnie oświetlonych ulic suną samochody z nie maskowanymi światłami. Idący na tułaczkę chłopaki z Zaleszczyk chłoną oczami ten widok, jakby pragnęli wyryć go sobie w duszy na długie lata, może na zawsze. Wszyscy oni nie mieli szczęścia, mimo starań, dostać się do wojska polskiego, może obcy im dadzą broń, której nie dali swoi? Ruszamy w górę. Podchorążak, widząc, że sapię i utykam, bierze mój plecak i pniemy się do gwiazd, które wyszły z ciemni i siadły rąbkami na szczycie kotliny.

Rozglądam się po towarzyszach. Przeważają parobczakt zaleszczyckie, jest dwu Słowaków, trzech Czechów, jakiś żołnierz, jakiś uczeń. Wszyscy oni, bojąc się pasa granicznego, śmigać będą, korzystając z nocy, ku odległym o czterdzieści kilometrów Czerniowcom. Ja nie mogę, bo mi już prawa noga obrzękła do niemożliwości, a i lewa ma się ku temu. Nie może też iść kolega Feldhuzen, polski dziennikarz przydzielony do formującego się batalionu czesko-sło- wackiego.

Podchorążak ma wątpliwości, czy może mnie pozostawić. Uspokajam go, że mam nadane kontakty do wsi odległej o pół kilometra, a kiedy wciąż się waha, tłumaczę, że to nie jego sprawa prywatna, że zbyt drogo Jego wyszkolenie kosztowało Polskę, żeby teraz miał ryzykować. Daję mu na pożegnanie funta i pokrywając wzruszenie mówię po lotniczemu: „Złam kark.”

— Niech pan złamie kark — odpowiada ml z ciemności młody głos i w tym zabawnym szacunku dla starszego pana,

któremu się per iycay, taby kark słamal — inowu
mi się widii bolesne skrzywienie ust mojej coreciki, Jakem ją wtedy tagnał na srosie.

Sciehły kroki, zostaliśmy a Feldhutenoiu pod gwiazdami samotni. Z tamtej strony powoli gasły Zaleszczyki — rzekłbyś, niewidzialny zakrystian chodzi i gasi światło la światłem. Kiedyśmy jui wyszli całkiem na szczyt, od rów- niń priysiecU dojmujący wiatr. Pocięliśmy iść w strony w której spodiiewałem się anaieić wieś.

Pamiętałam, ie do tej wsi schodzić nie naleiy od strony, £ której priyssiśmy, bo jar spada tu i pieca na łeb. Polecono nam go okrajyc od góry i wejść do wsi drogą od strony przeciwnej.

Ale kiedy zobaczyliśmy pierwsze światła, okazało się, te chałupy stoją na gładkim polu. Jar gdzieś snił (to odprysk wsi wypełił przez brzeg jaru i rozbudował się po polu)- Weszliśmy w wieś, bo cói mielibyśmy robić? Na wypadek spotkania strainika zaproponowałem Feldhutenowi odegranie pewnej komedyjki.

Posuwamy się więc ulicą wsiową „jawnie", to inacy walimy środkiem drogi, priy ciym demonstracyjnie pogwizdując: „Oj ne chody, liry ci u, taj na weciernyciu, bo na we- ciernyci diwky ciariwnyci." W pewnym miejscu napotykamy chłopa:

—Dobry wieciór,..

—Wieczór dobry...

Pytam go, ciy to jest wieś Kostryiówka. Powiada, ta to wieś Diwiniacika. A nam trzeba do Kostrytawki. Do wsi w jarie.

Na ulomku wsiowej ulicy ukaiuje się figura wartownika s karabinem. Masz babo spodziewany placek!

Feldhuien podbiega siybko do przedstawiciela władzy rumuńskiej (to widać jeden i tych, co żywcem wydtierają ilote korony x gęb uchodiciych) i mówi zdyszczanym szeptem, wskazując uniżenie na mój masyw czerniejący w ciemnościach:

— Victnuni\$trul jiuticiae.'

Po ciym, wskazując na siebie.'

— Sscrsturui...

Strainik zestawia nogi l puka obcasami. Dobra naasa! Podpływam majestatycznie, klepię go po ramieniu i pokazuję mu gestami, aby nas prowadzi! do prefekta.

Prefectul, prefectul — powtarzam uparcie — wio! amigo.

„Amigo" — to idaje się po hispańsku, .jjretectur¹ to chyba wypada z rumuńska, skoro dodałem „ul", no u „wio!" to po polsku — jakie go popędzę inaczey?

Biedak coś bard 10 się wymiguje. Żarliwie tłumaczy, że chciałby, ale nie mota, pokasuje dookoła ręką — zapewne, ta musi pilnować tego rejonu. Wreszcie decyduję się go ulaskawić i wsiakamy w noc te wszystkimi koronami nie naruszonymi w naszym tębostanie.

Gdiiei, do licha, ta Kostryiówka? Teren płaski, wiatr wieje, upojenia przesily, idziemy po zoranych polach, nogi bołą. Odszedłszy *e dwa kilometry, spostrzegamy gdzieś w dole pod nami światelka przebijające przez idący w dół las. Zostawiam Feldhuiena, ilażę ibociem larośniętym lasem, ścieiką stromą. Kiedy jestem jui uisko, wychylam l zarośli głowę, widię przed sobą ów pierwszy most, koło którego przechodziliśmy Dniestr. Na moście stoi wart a

Winduję się, skrzypiąc, na górę, gdzie rasłają Feldhuiena, który jui był pewny, ta mnie priyskrzybli. Wlecemy się drogą powrotną do Dświniaciki.

Decydujemy dociekać świtu w kupie słomy. Opodal stoi jednakta budynek, tyle ta bei dachu. Nosimy do niego wilgotną słomę, mstywamy się w nią i szczękając tębami — bo im bardsiej ku ranu, tym chłodniej — trwamy

Gdyby ktoś priystanął terai pod ścianą tego karawanse- raju, posłyszalby glosy:

Prosię mnie objąć mocniej...

— Niech się pan przytuli całym ciałem...

Następnego dnia znaleźliśmy gospodarza tago budynku Włał w nas po litne gorącego mleka i aawiół do stacji kolejowej.

W Ilukaresicie inalatłem ludii, którzy stwierdzili, ie tana l Łucka pojechała l powrotem do Warszawy. Musieliśmy się minąć w jakimś punkcie drogi

Pierwsiego bukareszteńskiego ranka obud*tt mnie śpiew maszerującego oddziału.

Biegnę do okna. I satnyrauIt się w pól drogi. Prmciei nasi chłopcy juit nie śpiewają

BUKARESZT 1080

A,

— Ich ill esledwo wsiadłszy w Czemiowcach do pociągu bukareszteńskiego, Już węszył farbę drukarską.

— Zobacz pan — tłumaczył Haukomu — toż cała Rumunia trzęsie portkami; każda wiadomość z Polski to szlagier.

Postawił portabla na kolanach i szybko wybębnił ploty i anegdoty.

Hauke brał kartkę po kartce i tłumacząc na francuski ścinał wyr wąsy i dodawał swoje uwagi.

Z dworca pomknęli do redakcji „Adeverula”. Achilles napominał, aby Hauke nie zbył tanio. Ale „Adeverul” nie chciał. Nie chciały dwa inne dzienniki. Już się wylęgnał strach, który odtąd będzie paraliżował sumienie i decyzje świata. Achilles, bywały w Rumunii, w której otrzymywał bezpłatne przejazdy i pobyty w kurortach, nagie poczuł, że za nim nic nie stoi.

Doktor Lewin z księdzem oczekiwali w kawiarni. Przy wszystkich stolikach siedzieli dygnitarze poczynając linię wraz z zrozumieniem, że Rumuni armii nie przepuszczą.²

— We wszystkich redakcjach nam powiedzieli — komunikował Achilles — że redaktorzy są na lunchu i dziś nie wrócą.

— AB der urcman gejt lancen, gejen dy klezmer piuzn. — Kiedy biedak chce tańczyć, muzykanci idą siusiac — zakonkludował doktor.

Więc biedaki co prędzej płacili za kawę i gnali do konsulatów po wizy. We Francji zaproszą ich do tańca.

Lubrzykowski, radca w Atenach, zwolniony tuż przed wojną ze służby za niewłaściwą interpretacją przepisów

0 dietach, w drodze powrotnej do Macierzy wolał się zatrzymać w Bukareszcie. Kiedy na konsulat lunął napór uchodźców i personel nie wytrzymał, fachowy emeszetowiec, ofiarujący bezpłatną koleżeńską pomoc, był Jak znalazł.

Iladca miały uczucia niepewności. W karierze dotychczasowej stale mówił o Piłsudskim: „Komendant”; teraz zaczął podejrzewać, że zwolnienie przez sanację może być wstępem do nowej kariery. Ale nie był jeszcze całkiem pewien. Z Francji Jeszcze niewiele było słyhać, Lubrzykowski jeszcze nie złapał wiatru.

Obejrzawszy się po przydzielonym gabinecie, długo stał w zadumie przed portretami Piłsudskiego, Mościckiego

1 fimigłogo-Itydzo. W pierwszym Impecie zdjął Je wszystkie ze ściany; nagle strach go ogarnął, obejrzawszy się skonstatował, że nikt tego nie widział, i czym prędzej powiesił z powrotem prezydenta. Po chwili wahania wrócił na dawne miejsce Piłsudski. Wreszcie — niech tamf — śml- gły. Ostatecznie nikt nie może od niego wymagać zwracania uwagi na to, co za nim wisi, kiedy ma taki nawał pracy.

Po południu przyszedł dla uzgodnienia spraw attaché wojskowy, płk. Termoplłski.

Pułkownik Termopiiskl był legionistą i sanatorem. Jego to inicjatywie należało zawdzięczać burzenie cerkwi na Chełmszczyźnie. Po 1026 roku¹ ubolewał, że przeżył historyczną chwilę w przymusowej bezczynności w prowincjonalnym garnizonie; teraz poczynało mu świtać, czy tej bezczynności nie dałoby się ubrać w mundur. Zaryzykował wzmiankować Lubrzykowskiemu, że on już nie uznaje Smigłogo- -Rydza (z klapą bezpieczeństwa: „dla względów formalno-prawnych”).

Lubrzykowski zdjął ponownie portret: poszło gładko.

Ostrożnie macając każdą piędź brodu, przez który postanowił przeprowić się na nowe lądy, brnął coraz śmiałej. Po dwóch dniach jut, zapytany przez kogoś z „petentów”, co się dzieje z marszałkiem Smigłym-Rydzem, zaryzykował dowcip:

— Jaki fimigły-Rydz? Mówiąc otwarcie, przebiegł do Rumunii, ale Smigły-Znjąc.

DnJ niepewności jednak trwały, a tu przybył ten Ib ulu z Jagiełłą po wizą do Francji, Lubrzykowski domyśle! ale że autor dowcipów o Liberalach Chrześcijańskich nie bodzi! teraz persona grata, ale siedząc na placówce nie bardzo sU w tym wyznawał. Wobec czego, zarzuciwszy Haukego kom' pl^m^ntam!, kazał mu wraz z Jagiełłą przyjść za kilka dnll

W Hau kem pyr kota ło jak w garnku; zaciągnął Jagiełłą do jakiejś kawiarni,

— Cóż to za kurwidolek? ~ zdziwił się, Kawiarnia była lokalem wschodniej gry w „trik-trak”¹, szachistów i orientalnych kokot.

Hflukemu w atmosferze kawiarni wróciła zdolność perorowania przed byle kim i Achilles został uraczony wykładem o międzynarodówce kundli,

— Widział pan? Już Lubrzykowski f. Termoplłski szlu- sują. A cóż to za nos mają te kundlef,.. Jeden drugiego o milę rozpozna. Polska — to największa chyba wylegarnia kundli. Stanu mieszczańskiego nie ma — skok z chłopą bezpośrednio w kulturę poszlachecką za duży. Taki Dryutsl, uważasz pan (bo to jest przedlegionowe nazwisko Tfrmopil- tklego), kiedy pasał krowy, był całkiem do rzeczy i zostałby człowiekiem do rzeczy. Ale jak tylko nałożył krawat, to jakby obrozę na kundla. Jak tylko siadł z tamtej strony okienka — adlu- Vruzium — bez kija nie przystępuj*, fummy, frazeologia, życie nad stan, przekonanie, że w nowej pozycji czerpie się soki z przywileju.

Kelner postawił zsiadłe mleko, Hauke na emigracji znalazł się bez chętnych do płacenia podskaklewiczów, co go przyprawiało o zły humor,

- Polska mogłaby produkować człowieka jak złoto, ale w ostatnim wykańczającym stadium zanurza go w kadzi poszła chockiej kultury, na którą materiał okazuje się najmniej oporny. Co jest u Boga Ojca, że ten dół po różnych Urzędowach jest pierwsza klasa, a ta góra?..,

Hauke zatknął się; skończył swoje zsiadłe mleko, był głodny, pasował się ze sobą, czy zamówić jeszcze jedną porcję,

— No, dół też nerwowy — podtrzymał Achilles rozmowę — napinałem felieton o lotnikach, chwaliłem, a tym- r.fjtHsm lotnicy szukają mnie po Bukareszcie, żeby obić.

Hauke nie miał wątpliwości, że bez akceptacji z Paryża Lubrzykowski wizy nie da; pobyt zapowiadał się na dłużej.

Następnego dnia przeprowadził się do pokoiku na przedmieściu, a wieczorem wybrał się do kurwidółka, do którego z premedytacją namówił księdza-szachistę et Co.

Nie było Ich jeszcze. I okazało się, że kto pod kim dołki kopie, sam w nie wpada:

— Czeka) no, miła Iiaehatłukum — powstrzymywał awanse pulchnej wschodniej piękności, wymalowanej wszystkimi kolorami tęczy — daj spokój mnie i mojej brodzie. Mówię d, no — miej cierpliwość: zaraz tu przyjdzie pies na kobiety,

„Pies na kobiety” ukazał się w zawziętej kłótni z doktorem, f stąd heca, która ucichła dopiero na widok szachownicy,

Naszczuta Ilachatłukum kibicowała dławiac obfitym biustem zmieszanego wikarego. Ksiądz szukał ratunku w jajeczniczy z boczkiem, zamówionej przez lawina; doczekawszy złośliwie przedostatniego kęsa, doktor przypomniał, że Jest piątek; nadto ruszył tym parszywym koniem wspomaganym przez pionka,

—■ Ad impontibUla nemo tenetur — rozstawił ksiądz ręce na tę lawinę kleik, Achilles nie przyszedł..

Okazało się, że szofer bankiera Rosenstelną odprowadzał do Paryża packarda i Achilles zabrał się z nim wraz z Estel- lą Stock, była recenzentką filmową, wlce-Boyem w spódnicy.

Lubrzfkowuki tłumaczył się Haukemu, że „szczerze mówiąc” musiał tej parze udzielić wizy, bo rząd emigracyjny mobilizuje przede wszystkim propagandę, „mistrz zaś, h#,,, he.., mówiąc otwarcie — jest do wyższych celów”.

Tak jednak podśmiewając się przypochebnie, pewny całkiem nie był, czy aby*głupstwa jakowego nie robi; pokazywano mu kiedyś Haukego przy jednym stoliku ze Stellu. „Jednak trochę racji mieli w centrali, że pobyt na placówkach ekspatrluje” westchnął na Jeszcze Jeden z węze- łeczków gordyjskich. Nie należy palić mostów z Haukem, nim Kstella nie puści farby w Paryżu.

W Bukareszcie znalazł się mecenas Stefan Szpinalski, wiceprezes Stronnictwa Demokratów-Liberalów, i w Paryżu powstał Jubei: projektowana Kada Narodowa „poszerzy wachlarz”.

Równocześnie z poleceniem niezwłocznego H

wania mecenasa Lubrzykowski otrzymał poufny liścik od Pyździa Skwirczyńskiego. Pyździo, który już się „zagetrzył” w Angers, sygnalizował, że Szpinalski jest typowany jako jęczyczek u wagi. Prestidigitator ateński miał serdecznie dosyć „pracy z pobudek koleżeńskich i ideowych”, balansowanie na „zwrocie efektywnych wydatków” mogłoby się zakończyć i tym razem rewizją przez jakiegoś chama, nie mającego wycucia potrzeb służby dyplomatycznej. Skwapliwie więc wyprawił obiad ku czci Szpinalskiego, na którym miał mu wykazać: swoje rozgałęzione stosunki z korpusem dyplomatycznym; „czucie” czy tam „łączność” z krajem (terminologia jeszcze była na słabych nóżkach); kooperację z władzami wojskowymi.

Za korpus dyplomatyczny będzie biegać ten nieoceniony konsul portugalski — jedyny, po prawdzie, stosunek dyplomatyczny Lubrzykowskiego; za kraj — da się parę typków, które się najostatniej z Polski przemknęły, dobrze by było, żeby jak raz zdarzyli się jacy hrabiowie, demokratyczny prezes nigdy by nie zapomniał Lubrzykowskiemu, gdyby pod jego dachem przeszedł na „ty” z jakim hrabią; \yojsko będzie odstawił Termopilski, niestety, z tą swoją babą... To dwa nakrycia; Portugalczyk z żoną, jeśli nie przywlecze siostrzenicy — cztery; państwo domu — sześć. Lunia ostrzega, że nie może sadzać więcej jak dwanaście osób. Lubrzykowski liczył: Szpinalski, ktoś z ambasady na ubezpieczenie, może uda się bez żony, wtedy niechby nawet trzy typki z Polski — zonglował w myśli talerzami — jeden talerz zostaje. Lubrzykowski, który w dziedzinie lingwistyki rozpracował raczej dziedzinę restauracyjną, pomyślał, że dobrze będzie mieć kogoś do bawienia Portugalów, i zaprosił Haukego.

Na obiedzie jak karbunkuł piterwszej wody błyszczała ognista bródka Portugalczyka. Konsul Fortunato Maria Jeb- jerras Allerano y Cortega był entuzjastą Polski, nawet brał lekcje polskiego i recytował — według informacji Lubrzykowski ego — wieszczów polskich. Zainicjował Komitet Pomocy Uchodźcom Polskim wśród pań korpusu dyplomatycznego, udzielał w swoim domu noclegu żołnierzom zbiegłym z obozów. Ci tak haniebnie upraszczali jego nazwisko, że postanowiono konsula nazywać po prostu Alerańskim. Alerański był chodzącym dowodem, jak atrakcyjna jest polska kultura, jeśli obcy zechce się do niej zbliżyć.

Dziś jednak świetność Portugalczyka i jego bródki gasła przy pokutniczej szarości Szpinalskiego, podcelebrowywa- nej przez jegomością i jejmość z Polski. Jegomość reprezentował „wolę kraju” o dwa dni bardziej zleżała, przyjechał bowiem na dwa dni przed Szpinalskim, pomazanie zaś jejmości całkiem mierzchło: bidula była w stanie stwierdzić autorytatywnie, jaka była cena na jaja i słoninę w Sniaty- nie przed sześciu dniami, i ze smutkiem myślała, że już pojutrze pocznie się lekceważące: „Ach, to pani już przed dwoma tygodniami opuściła Polskę.”

Przez pierwsze więc pół obiadu Szpinalski niepodzielnie władał uwagą zebranych. Od wybuchu wojny tkwił w pensjonacie, póki mógł, pod Kołomyją, wreszcie się wystraszył, hycnął wczoraj przez Czeremosz, znalazł się więc na stole u Lubrzykowskiego „prosto z wody” i autorytatywnie informował, co kraj potępia i czego oczekuje. W tym względzie poglądy kraju zbiegały się ze stanowiskiem Stronnictwa Demokratów- Liberałów, które miało swoich zwolenników (jak państwo wiecie) we wszystkich częściach Polski.

— Jąk w arce Noego — przytaknął Hauke — po parze.

Lubrzykowsk^się zatrzepotał i obwieścił, że ma miłą niespodziankę: mianowicie nieoceniony przyjaciel Polski, pan konsul, przywiózł ze sobą na ten obiad dwie butelki ma- dery, która dochodzi stu lat. Wobec czego, rozlewając po naparstku, a przydygując, a przywacując, wzywał zebranych do wzniesienia toastu na cześć... hm... zawahał się — toast na cześć prezydenta Portugalii mógł prowokować toast na cześć prezydenta Polski, którego portret Lubrzykowski zdjął *fuż definitywnie — na cześć jego szlachetnej ojczyzny.

Teraz nadszedł moment Alerańskiego. Kochał te przemówienia i uważał, że każde z nich warte jest dwóch butelek tego starego, ale wyjątkowo złej renomy rocznika, który za bezcen zakupił.

— Uwaga! — szepnął sekretarz ambasady z wąsikami a la Menjou — teraz będzie o 1064 roku.

— Panie i panowie! — rozpoczął po polsku don Fortunato, po czym, przeszedłszy na francuski, przypomniał, że kiedy w 1064 roku Portugalia ostatecznie przepędziła Maurów, Polacy też odpierali najazdy niemieckie, jak i teraz.

Nie bardzo wiadomo było, czy owo „też” odnosiło się do Portugalczyków wtedj^ czy do czasów obecnych, ale

konsul władając francuskim równie kiepsko jak słuchacze, mówił bardzo wzruszająco, Lubrzykowski, dobrnąwszy do koniaku, biegał wkoło z butelką, więc rozczulenie rosło, osiągając zenit, kiedy mówca zakończył po polsku: „Niech żyje nieszmertelny i bo-atereski narut polski.”

Wobec czego jejmość, oceniając, że jeszcze ze dwa dni może biegać za autentyczną reprezentantką bohaterstwa, zabrała głos, zapowiadając, że wszyscy spotkają się niebawem w wolnej Polsce, bo na wiosnę wojna skończyć się musi. Jegomość, którego bezczelna baba ubiegła, chociaż on 0 dwa dni dłużej od niej był w kraju, skarcił ten „niebezpieczny optymizm” i wyłożył swoją tezę. On też uważa, że wiosną 1940 roku potęga niemiecka zostanie rozgromiona, ale pierwszeństwo powrotu będą miały eszelony wojskowe.

Zabrał więc głos pułkownik Termopilski i zaraz można było poznać zimny umysł sztabowca; zasypał obecnych cyframi, które miały ich przygotować na najgorszą okoliczność — powrót do kraju na wiosnę 1941 roku.

— No, panowie sztabowcy, lubicie epatować laików — załagodził dobrotliwie Szpinalski.

Hauke, jednym uchem słuchając, rozmawiał z konsulową:

— Podziwiam czynną sympatię męża pani dla Polaków.

— Ach! — zaśmiała się — Fortunato ma zawsze jakieś hobby, które go pasjonuje bez reszty. Przed wojną szalała kolekcjonując pudełka od zapalek.

Towarzystwo przeszło do salonu. Rozmowa poczęła się rozklejać, bo każdy ciągnął w swoją stronę: jejmość wciąż jeszcze usiłowała zbyć ceny na masło

I jaja w Śniatynie, jegomość podkreślał symptomatyczność wypadków, które ostatnio (na słowo to kładł nacisk) w kraju zaszły, a których był świadkiem, Szpinalski w dalszym ciągu „zaznaczał” — zaznaczał i zaznaczał bez przerwy. Alerański począł swój popisowy kawałek, jedyny, który znał z „potężnej twórczości trzech wieszczów”, mianowicie pierwszą strofę z Trzech Budrysów. Hauke smętnie poczynął sobie uprzytamniać, że istotnie zachodzi jakiś przewrót dziejowy, skoro on, Hauke, przestał być centrum uwielbienia (dowcip o arce Noego tyle że spłoszył zawodową czujność Lubrzykowskiego, z innych spłynął — niechby tu był taki Kaminsker, ten by się rozczmokał...); Menjou nie spuszczał jednej ręki z koniaku, drugiej z Termopilskiej; Alerańska poczęła się interesować tymi zabiegami; gospodyni zrobiła więc dywersję na rzecz koniaku i dobrych obyczajów, zapaliła górną lampę i sprezentowała narzędzie tortury: sztambuch.

Podirytowany Hauke postanowił się pomścić na pierwotniakach i zahuczał, że to będzie świetnie, jeśli w księdze gości każdy z nich uwieczni wygłoszony prognostyk.

Lunia Lubrzykowska (dla najbliższych Lu-Lu), wypiełgnowana, w świetnej ateńskiej sukni, stanowiła wymakilo- wany futerał na kobietę, w której kobieta mogła być, mogła nie być. Futerał zaklaskał:

— Doskonały projekt!

Nieoceniony Hauke, biorąc za dobrą monetę uśmiechy ponurej wściekłości, odkleił sekretarza od Termopilskiej:

— Panie Henryku, niech pan zapisuje. Prosimy, panie pułkowniku — dyskontował swoją odsiecz u zagrożonego — niech pan jako ekspert otworzy zapisy.

Termopilski się wydał i począł dyktować;

— Jako Polak i chrześcijanin wiei ę w zwycięstwo sprawiedliwości...

— Stop! — basnął Hauke ku sekretarzowi — my wszyscy też... Ale po prostu: szanpan przewiduje powrót na wiosnę 1941 roku? Wszak tak? Zapisz pan, panie Henryku.

Powyłuskiwał tak głupstwa kolejno z niemożliwie po- obrażanego towarzystwa i wręczając sztambuch futerałowi, zatopił jej rączkę w brodzie. Wtedy zerwał się protest:

— A pan?

— Mieliśmy tylko zaprotokołować dyskusję, w której nie brałem udziału.

Hauke wyczuł groźny nastrój. Obudziło się w nim wielko- państwo.

— Pisz pan — rzucił do sekretarza ambasady, zupełnie jakby to był skryba oczekujący z gęsim piórem.

Odwalił się (delię by temu brzuchowi i tej brodzie) i podyktował, jakby wnosił zapis do grodu:

— Punkt pierwszy: Wojna będzie trwała sześć lat. Atmosfera z punktu się rozrzedziła. Sześć lat? Ot, epatowanie paradoksami. Poroniony kandydat na polskiego Bernarda Shaw.

I pozostałych punktów słuchano z rozbawieniem.

— Punkt drugi: Nie będzie zwycięzców; można pancerkami wjechać do Berlina, ale to nie jest równoznaczne z możliwością urządzenia powojennego świata.

Punkt trzeci: Preponderancja Rosji zaraz po wojnie.

Punkt czwarty: Po czym rozpocznie się dwudziestopięcioletnia anarchia, która zburzy wszystko, zmiele świat na pył drobniotkich cząsteczek. Po dwudziestu pięciu latach te cząsteczki zaczną się zrastać nie wedle jakiegoś z góry wyznaczonego planu, tylko biologicznie. Jak odrasta stratowana trawa.

Lubrzykowska spostrzegła, że temat poczyna nudzić:

— Czy wiecie państwo, że Basińska przyjechała z Polski, a tu tymczasem Rasiński drapnął do Paryża z Basińską?

Towarzystwo rzuciło się na ofiarowaną kość.

Hauke wrócił do swojej dziury na St. Apostoli z paką gazet, które mu pożyczył Lubrzykowski Niemka siedmiogrodzka, u której odnajmował pokój, właśnie po pokazie filmowym w ambasadzie niemieckiej opowiedziała mu, co widziała „na własne oczy”: dzieci niemieckie w Bydgoszczy za długim stołem z rączkami poprzybijanymi do blatu przez polskich oprawców,

W gazetach francuskich już odpłynął temat polski, zwykle reprezentowany per „pauvre Pologne” w wywiadach z sentymentalnymi Polkami fordanserkami, które goreją ogniem patriotycznym. Opisujący ich cierpienia dziennikarze chętnie powoływali się na Madame Walewska i dawali z lekka do zrozumienia, że i im było dane wstąpić w ślady Napoleona. Teraz cierpienia fordanserek wyparły niesłychane cierpienia żołnierzy na linii Maginota, których jedyną rozrywką jest gra w piłkę nożną. Wojna to ciężka rzecz, sprawozdawca znał pułkownika, który przez dziewiętnaście dni nie otrzymał listu od żony.

Prasa niemiecka, podając przemówienia gen- Sikorskiego, stwierdzające, że „to, co się stało, było wyłącznie z naszej winy”, dziwiła się, jak „państwo, którego bezwartościowość stwierdza własny premier, mogło stać się powodem wojny”.

No, a prasa polska była krepowana w szkalowania „Głos Polski” w Paryżu żalił się na francuską cenzurę, która powstrzymuje zbyt krytyczne pisanie o kampanii wrześniowej, w czym „Głos Polski” widzi u Francuzów ze zgorszeniem „chęć zdjęcia z nas odpowiedzialności za tragiczny bieg wypadków”.

Hauke nie mógł spać. Kapele kundli nie dawały zasnąć Diabli nadali, że wylazł w świat. Trzeba to odrobić. Jutro ściągnie stertę książek, zwali się w sen zimowy. Odczuwał silne ciągoty do poczytania raz Jeszcze Gibbona o upadku cesarstwa rzymskiego. Nie będzie chodził wieczorami do „Café Elisabeth”, gdzie zbierał się „polski parlament”. Tylko w południe wpadnie co dzień na schody do kurwidółka, bo tam nie zaproszyli się jeszcze Polacy.

Co prawda, jakże tu czytać na tym materacu domnuli Freiberg, o wygniecionych sprężynach, jakże tu czytać bez kawusi ze śmietanką w zapieczonym garnuszku, którą rano wnosi służący stąpający na filcowych podeszwach?

Hauke nie mógł spać. Karaluchy robiły chrzęst nieznośny w skrzynce na śmieci, w której leżał papier po szynce jeszcze z wczorajszego śniadania. Hauke zapalił światło, zobaczył wielkie, czarne odwłoki, szurgające między skrzynką a dziurą w ścianie. Siadł na krześle z parasolem i przygwałdział owady przesuujące się wzdłuż obszarpanego dołu tapety.

Bijąc tak karaluchy, smakował sobie, że ponownie wczyta się w epitafium, które Gibbon wystawił upadającemu Imperium Rzymskiemu: „Opisałem triumf barbarzyństwa i rehgil” Któż teraz zatriumfuje nad światem grającym w football nad liniami Maginota? Przecie nie chrystianizm, który już spełnił swoje.

Hauke sobie obiecywał przeczytać przede wszystkim rozdziały XV i XVI. Łudził się. Jak ludzi się chory, że mu coś będzie smakować.

Bo Hauke — był chory. Ugryzł go bakcyl Międzyepoki. Już nigdy nie zapadnie w sen zimowy. Będzie brodził po świecie jak niedźwiedź zruszony z legowiska — zbyt wcześnie.

Zasnął za jasna i kiedy go rano zbudziło skrobanie do drzwi, powitał Je ponurym charkotem.

W drzwiach ukazał się drobny chłopak w zrudziałej, za obszernej kurcie. Niemrawo Jakoś, bokiem, przepchnął się przez drzwi i stanął niepewnie na widok rozjuszonego brodacza.

— Zamykaj pan drzwi, do cholery, zimna nie napuszczaj. I — p co chodzi?

— Rzewnicki jestem... Podchorąży...

— Więc co z tego, że Rzewnicki i że podchorąży?

Ml

Chłopak spletał się 40 reszty/ Coś tłumaczył, Ze to on dał Hau kemu konserwy na szosie pod Chelmem, * Hauke, pókozbudzony, siedział w rozchełstane) piżamie, czochrał się w brodą i śmierział tytoniem. Wszystko razem wyrażało skrajną niechęć, na skutek czego Rzownlckl począł juZ rzuca/i słowa całkiem hez składu; Ze przeszedł Prot,, że psjszedł po koszulą do Komitetu Opieki, ale za* mknięto,,

—Więc co, przyszedł pan, abym dał koszulą za te konserwy?

i nagie spostrzegł, że prawa ręka Hzewnickiego jest na temblaku,

—Kiedy? — wskazał ręką,

—W zeszlą środą,.. W bitwie pod Kockiem,

Hauke wyskoczył z łóżka, podsunął chłopcu stołek, zapalał prymus,

—W bitwie? Przed sześciu dr,' iml? — tkał przed chłopca herbatą, masło, ser, — Jedz najprzód - - przenzenł na „f,y”,

Okazało się, Ze podchorąży Witek Rzewnicki był w walkach już od pierwszego dnia, od samej granicy śląskiej. Wzięty do niewoli z plutonem pionierów pod Iłowym Kor~ czynem, kiedy wysadzali przed samym nosem Niemców most Nidzie, uciekł. Wtedy kiedy spotkał „pana redaktora”, to już znów zaciągnął się do tworzącej się w Chelmie grupy formowanej f/rzez płka Szalowi cza, dowódcę piechoty Łfc dywizji, Kiedy pan redaktor pojechał, oni ude- r/yJ, na leszów, odbili go; kiedy wchodzili do miasteczka, trupy Wtemców leżały ułożono Ja^ sągl, na człowieka wysoko,, Ale pod Tomamow&ffl ich otoczyli, znów wziejl do niewoU, znów uciekł. Szedł szukać ponownie walczących oddziałów, WMu było takich, złączyli się w oddział.

Pod Włodawą — to już był pierwszy październik — trafili na dwie dywizje pod gen. Kleeelterglern, które szły na odsiecz Warszawie, Poddała poprzedniego dnia - mruknął Hauke,

Alo t/ni nie wiedzieli o tym Poszli na Kock, Siemcy zastąpili im drogą pod Byrókomlą, Witek został zastępcą do* wódcy plutonu. Trzy razy Syrokomla przechodziła z rąk do rąk, to był trzeci październik, a czwartego,, Czwartego paź- dziernika mówi z nabożeństwem Witek - wycofali Jego pluton na odpoczynek, I zawiesza głos. Tego — nie "miał przez całą kampanią, ; g I

Piątego października, wypoczęci, Odfcywtmi, tą w natarciu trzy razy, Ginie dowódca plutonu, Witek otrzymuj» kaz obsadzić plutonom liz jer ę lasu, WyoYfuMi, odczyścił cekaom, A rano,,. Rano przyszedł rozkaz poddania się, zaprzestania ognia. Jechały ku nim ciężarówki niemieckie zur łAerać Ich do niewoli i wtedy,, on... dowódca,,. udał, że nie widzi, Jak cekaemiarz przypadł do maszynki, udał, że fñ& słyszy skamlących prósb, idących spod jego stóp. Na bliski dystans poszła sori-i po ciężarówkach. Wtedy został ranny w rękę, Nadjechał motocykлом polski kapitan, chciał aresztował.'i, mówił, że Witek zhañbił mundur polski.

Spojrzał pytająco,

Łał przejął Haukego — świat nio stawia wymagañ honorowych wlarołomcom w dyplomatycznych mundurach, tylko Witkom I znowu uciekłość? — uśmiechnął się.

Chłopcu przybyło otuchy. Tak, mówili, że za granicą będą się bić. Tylko ręka go rozboleła, do doktora chciał, alo koszula brudpa i w strzepakach, pokazali drogą do Komitetu, alo w Komitecie przyjmują od trzeciej, Miał już tak do ambulansu iść, alo zaszedł herbaty się napić, a w kawiarni siedzieli Polacy i mówili, że wszyscy kradli i że Becków a przewiozła w spódnicach do Szwecji dwa miliony złotych w Złocie,

— Chłopcze, chłopcze — mruczał Hauke — toż nie potny- ślaeś, spódnica by się Jej urwała.

— Alo kiedy różno rzeczy mówili — doszukiwał się Witek,

7m generałowie wyprzedali aeroplany i pepance za granicą, bo mieli od lego prowizję, że dowódca naszego lotnictwa był niemieckim agentem, że dowódca armii Witka jest toraz gościem w myśliwskim pałacyku Goeringa.. Witek miał adres Haukego, ale nie śmiał przyjść, Ale po tym, co posłyszał, to zamiast do ambulatorium, proste tu go poniosło,

Podniósł na Haukego oczy dziecka, pełne zaufania I rozpaczy.

— Proszą pana, przecież my... walczyliśmy-.

J

W kurwidołku dr Lewin siedział sarrurtny l znudzony, bo ks. Wróbel odkrył starego Rumuna, emerytowanego nauezy-

m

cielą, który za szklankę kawy wprowadzał w arkana szacho-

Te. Książd więc usiłował nauczyć się, jak wreszcie dać sobie radę z koniem i pionkiem, i przepędził od kibicowania doktora i Rachatłukum.

— Oj, źle — powitał doktor Haukego — cały Bukareszt trzęsie się, że z pana defetysta, mówią, że niczego innego po autorze takich książek nie można się było spodziewać. Mówią, że pan zapytał Szpinalskiego, na czym opiera przypuszczenie, że wojna się skończy za rok, a kiedy Szpinalski odpowiedział, że „inaczej kraj nie wytrzyma”, to pan powiedział: „No, to nie wytrzyma.” Szpinalski jest oburzony.

Hauke się zalterował. Po rozmowie z Witkiem poczuł wyraziście, że o powrocie do snu zimowego nie ma mowy, a ten Szpinalski gotów go trzymać u domnuli Freiberg do usmarkanej śmierci. Ze strapieniem przypomniał sobie, jak wydęte zapewnienia Szpinalskiego o jednolitej woli kraju przekuł zapytaniem, czy w Kutach, pod którymi Szpinalski przycupiony przesiedział, zdążyła zebrać się Konstytuanta. Szpinalski niechętnie będzie widział w Paryżu szydło wypuszczające powietrze z jego „woli kraju” albo rewelacje, że w arce Stronnictwa Demokratycznego mieściło się zaledwie po parze nierozumnych stworów z każdej dzielnicy. A cóż za terminy nadeszły, rozmyśla Hauke: całe życie zwykł nie płacić za siebie i za siebie gadać. Teraz nie można sobie pozwolić na jedno ani na drugie.

Doktor był ciekaw, czy to prawda, że Hauke wróży trwanie wojny na sześć lat.

— A na ile? Poprzednia wojna trwała cztery lata, a Niemcy byli mniej przygotowani, to im chyba można pięćdziesiąt procent dorzucić.

— Ale i potem nie ma być zwycięzców, nie?

— A po tamtej byli?

— I Rosja ma zapanować?

— Jak jest pusto, to ciec się wlewa.

— Wszystko bardzo prosto wychodzi.

— Rzetelne horoskopy zawsze są proste. Odkąd w czas przepuściłem lasy nad Dźwiną, poczułem w sobie kwalifikacje na proroka. Jasnowidztwu na drodze staje nie tyle problematyka, ile „wishful thinking”. Mojej rodzinie chciało się wierzyć, że po wieki wieczne będą siedzieli w swojej Wołmie. A cóż to za cudeńka ten „wishful thinking” wyprawia!... Wojna ma się skończyć za rok, bo pan Szpinalski dłużej nie wytrzyma!... Zobaczysz pan, jak się światowi Szpinalscy rozmnożą przez wojnę. a

— Ale skądże dwadzieścia pięć lat czekania po jej ukończeniu?

— Albo i więcej. Całkiem już za wariata nie chciałem biegać, to im zniżyłem cenę... nowej epoki. Dawniej między epokami dłuższe przerwy bywały: ostatnia — czterysta lat, od najścia barbarzyńców do Karolingów. Ale technika się udoskonala, świat się zrasta, jeszcze Napoleon podróżował nie szybciej niż faraonowie, więc i interwały między epokami się skracają. Cóż, nasz interwał zaczął się w 1914, trwa już ćwierć wieku. Wojna, powiedzmy, sześć lat, jeżeli na ni to, ni owo po wojnie przeznaczymy jeszcze dwadzieścia pięć lat — tak, ma pan rację — możemy nie wydać na 1970 rok.

— Ja nic nie mówiłem — przestraszył się Lewin — to pan... A co za „czulent” f wyjdzie z tego pieca na 1970 rok?

— Rząd światowy, oparty na Cywilizacji Uniwersalnej — rąbnął Hauke.

Tegoż dnia wieczorem Hauke parł do „Cafe Elisabeth”, jak rozszrożony odyniec. „Parlament” był w pełnym toku debat:

— Ostatecznie niewiele się zmieniło pod rządami SS., Dawniej też rządziły dwa S: Siuchta i Sitwa. Rozochocili się.

— Nawet trzy — bo i sanatorzy.

— Nawet cztery — bo i świnię.

Hauke zwykle nie reagował na te dowcipne kalambury. Siadywał w kawiarni z długoletnim nawykiem, że jest to miejsce, w którym można pytlować, co się komu podoba. Ośmielone chrunie coraz bliżej go podchodziły i nachodziły, trącały ryjami — i nic.

Propaganda obcych, podlenie się swoich podkopały kawiarniany eklektyzm. Hauke czuł na sobie oczy rannego, którego Niemcy nie dostrzelili, ale usiłowali dotrzeć rodacy. I storczyk kawiarniany przemienił się w lwa, który szuka, kogo by pożreć.

Siedzący naprzeciwko niego przystojny młody człowiek

zarzekał się, że raczej w Rumunii doczeka powrotu, niżby chciał jechać do Francji, bo nie będzie śmiać oczu podnieść Tia Francuzów.

I nagle Hauke wypalił mu w twarz:

— Gównu psie!...

Zrobiła się nagle cisza. Ne quid nimis — Żeby nie zanadto — burknął ksiądz Wróbel.

— Nu, pies nie jest trefne zwierzę — usiłował dosyć beznadziejnie doktor Lewin załagodzić dowcipem.

Tymczasem w oczach zelżonego zapaliło się coś, jakby błysk wdzięczności:

— Pan redaktor istotnie sądzi, że powinniśmy jechać do Francji?

Hauke, zaskoczony, pokrył rękę pytającego swoją wielką dłonią:

— Tak jest, tak sądzę. I pan też.

Dokonany został zabieg kręgarski, w którym mocnym uderzeniem naprostowuje się skrzywiony kręgosłup. I w młodym Polaku wdzięczność za wyzwolenie z kompleksu wzięła górę nad obrazą.

Tak nałagał się w Haukem odczyt pod tytułem Inna twarz Polski.

Słowo miało opuścić kawiarnię i stać się ciałem.

W dniu odczytu ogromny tłum falował przed kamienicą, na której trzecim piętrze mieścił się trzypokojowy lokal Komitetu Polskiego. Na schodach stał w cztery rzędy aż po trzecie piętro mur ludzki.

Stanąwszy w pokoju środkowym, tak aby słuchacze i z pozostałych dwóch mogli słyszeć, mówił Hauke ludziom na- piętrzonemu pod sufitami o poczarzach gdańskich walczących do końca, wyróżnionych; o Westerplatte broniącej się jednym, rychło rozbitym działkiem bateriom pancernika „Schleswig Holstein”; o dowódcy obrony Wybrzeża, płk. Dąbku, przypieczętowującym walkę do kresu strzałem w skroń; o harcerzu w Grodnie spalającym czołg, o plutonowym Jasiewiczu z 49 pułku piechoty, wysadzającym się wraz z mostem i kolumną Niemców. Składała zebrane świadczenia, ciche jak brzęk w trawie, nad którymi wzniósł się triumfalny ryk megafonów, roznoszących gdańską mowę Hitlera, obwieszczającą zakończenie osiemnastodniowej ekspedycji karnej (Achtzehn Tage Feldzug in Polen). Mówił o ludzkiej Warszawie, o stolicy broniącej się do dwudziestego ósmego września, o Modlinie błyskającym ogniami aż po upadek Warszawy, o Helu walczącym do trzydziestego września bez żadnego już oparcia poza wąską mierzeją piasku, o wielkiej bitwie pod Kutnem, o bronii zakopywanej i znów odgrzebywanej do walki, o żołnierzach po wielekroć rozbrajanych i szukających ponownie szeregów.

Skończył nagle, bo już nie stało tchu i nie stało miary. Rozległo się jedno klaśnięcie i zmilkło spłoszone. Aktorzy dramatu, których należałoby oklaskiwać, byli w ziemi.

Hauke szedł z odczytu do „Café Elisabeth” wyparowując wysiłek. Po drodze przyplątał się do niego człowieczek ze spiczastą bródką i żądał rozmowy „z mistrzem”. Hauke szedł nieco nieprzytomnie, człowiek z bródką niecierpliwiał się więc i powtarzał z naciskiem, że jest Nowakowskim. Marianem Nowakowskim. Marianem Antonim Nowakowskim.

Coś z tym nazwiskiem przedarło się do świadomości Haukego.

Mińsk jesienią 1917 roku. Oddziały Polaków wyodrębniają się z rozpadającej się armii rosyjskiej, są rozbijane po drodze, miasto roi się od uciekinierów tych rozbitych oddziałów. I na tle tego wszystkiego — M. A. Nowakowski.

M. A. Nowakowski mówi tu, mówi tam, zawiązuje Koło Polek na Zacharzewskiej, inicjuje szycie bielizny na Złotej Górze, przewodniczy pieczeniu ciast na Gubernatorskiej.

— Trzeba coś zrobić z tym M. A. Nowakowskim — troszczą się rzeczywiści prezesi, autentyczni działacze — zakłada Koła Polek imienia Księcia Józefa Poniatowskiego, każe członkiniom przysięgać na bezwzględne posłuszeństwo Księciu Józefowi.

Ale stopy napieczonogo chleba rosną, tysiące żołnierzy otrzymują dach nad głową. Śmieszny człowieczek z kozią bródką, przemawiający do mieszczek patetycznym stylem, ma w palcach talent organizacyjny.

Kiedy zasiedli przy stole „parlamentu”, Hauke wraz z kawą odzyskał przytomność i począł słuchać opowieści Nowakowskiego.

Mimo pięćdziesiątki udało mu się, został zmobilizowany, pełnił funkcje sierżanta, szefa gospodarczego. Teraz jest w obozie w Magaraszti. I właśnie ten obóz w Magaraszti...

\\

Są kłopoty. Chciał założyć Koło Rycerzy Orła Białego, ale kapitan polski, dowódca obozu, mówi, że w wojsku żadnych stowarzyszeń zakładać nie można. Więc tylko założył świetlicę. Sami ją umeblowali, upiększyli. Odczyty wygłaszają oficerowie z pamięci, ale fachowych prelegentów nie ma. A poza tym — Rumuni mają wyłączyć oficerów, przenieść do innego obozu. Więc czytaniem by zapchnął brak odczytujących, ale nie ma co czytać. YMCA wydała trzy zeszyty Krzyżaków, to je czyta żołnierzom na głos. Po jednym zeszytce na tydzień. Żeby starczyło. Trochę pomaga, ale ot, tylko trochę. I żeby Hauke ze swoim odczytem przyjechał.

Hauke poczuł, że leci od karaluchów domnuli Freiberg w niewiadome kręgi.

A potem pytał się M. A. Nowakowskiego, gdzie u diaska podziawał się przez tych lat dwadzieścia. M. A. Nowakowski był kooperatystą. Ale właściwie wszystkim u nich w miasteczku. Co za straż ogniową mieli, jaki chór... Brali konkursy. Jaką zrobili kasę pożyczkową!... Gdyby nie wojna, to już mieli budować boisko w Urzędowie.

— Gdzie?...

— W Urzędowie — potwierdził z godnością M. A. Nowakowski.

Przywiezieni za ciemna, Ojrzycki i Pasik rano rozeznali się, że są w obozie, którego zmurszałe baraki wystawione podczas tamtej wojny oddziela chudawy drut od pól kukurydzianych, uciekających pod horyzont. W bramie wejściowej stał obdarty wartownik z karabinem na sznurku.

— Te, Cygan, dam ci za karabin pięćdziesiąt lei — zagaił Henio w swoistym volapiicku gestów z mieszaniną paru słów kluczowych, który odtąd poprowadzi naszych żołnierzy przez wszystkie obieże świata.

Rumun nie zgadza się (pięćdziesiąt lei to cena obiadu). Chłopak licytuje. Kiedy oferta dochodzi do czterech tysięcy lei, wartownik robi gest znaczący oddawanie karabinu.

— Ty dziadu, jakbym miał cztery tysiące lei, tobym z tobą nie gadał, tylko po prostu waszego króla kupił.

Skombinowali, że nie jest trudno uciekać. Zaczęło się to od pierwszego dnia we wszystkich obozach. Zaroiło się w miastach od frantów, którzy demonstrowali jakieś frywolne fontazie i przyszywali do mundurów wyzywające

cywilnością guziki. Opieki żadnej zorganizowanej nie było poza skutecznym „swój swemu”. Pchało się wszystko po wizy wyjazdowe, które Rumuni pod naciskiem niemieckim dawali coraz trudniej. Wtedy do obozów poszła wiadomość, że przede wszystkim potrzebni lotnicy. Po tygodniu pobytu Dołek uprzedził, że w nocy ucieka i żeby rankiem Henio za niego w apelu lotniczym stanął. Co noc ulatniała się grupka lotników i co rano przy apelu było ich dwustu, jak obszył. Major Valgodescu (zwany przez żołnierzy Wal-Go-Deską), komendant obozu, pochodzący z Bukowiny i mówiący po polsku, wściekał się, że przy każdym apelu umniejsza się stan piechoty, i stawiał za wzór lotników.

Henio z zalem rozstawał się z Dołkiem. Wojna porwała jego dwudziestoletnie życie z świetlistej trajektorii. W Rzeszowie, jak i w całym Okręgu Przemysłowym, buzowało od młodych inżynierów, którzy lecieli w to światło wstającej wizji technicznej. Chłopak z siedmiu oddziałami szkoły powszechnej, majdrujący przy starym traktorze w macierzance porastającej rów, znalazł się w hali liczącej jedenaście tysięcy metrów, w świecie strugarek, wiertarek promieniowych, frezarek, tokarek wielonożnych, rewolwerówek, szlifierek. Z nabożeństwem poglądał na gwinty toczone z dokładnością do dwóchtysięcznej części milimetra, na tarcze karborundowe dorównujące twardością brylantom. Gdy mu się z wolna nastawiał wzrok, spostrzegł cud człowieka nieodłącznie z cudami technicznymi związany, inżynierów niemal równo latków, tak jak on w kombinezony ubranych.

Chłopak stuknął się w nabrzmiałe bicepsy — nie gorsze. W łeb — już ci taki sam, tylko, pusty. Kopnął się do ładowania tego głupiego łba nie nazartym głodem pokoleń, jałowo kalikujących jak ojciec przy ogniskach różnych bonawenturowych kuźni. Spotkał go życzliwy śmiech i pomoc. Wieczorami dukał pełznąć do małej matury. W dzień — pracował przy tej technicznej karuzeli. Porwały go młode ręce w wirujące kółeczko.

Zdał małą maturę. Przygotowywał się do dużej. Od niej — droga na politechnikę.

Młodzi inżynierowie tkają chłopakowi spod Korca Przedwiośnie.

„Światła i siły będzie z miesiąca na miesiąc przybywać w miarę obwałowania wałem szklanym Wisły. Siły i światła będzie taki ogrom, że ono wszędzie dosięgnie.”

Tak marzył Żeromski i patrz, ówoku spod Korca, co my zrobimy. Zastąpimy drogę wodom dzikim, nie ujarzmionym. Nagromadzimy wielki zapas energii elektrycznej, która równie łatwo wypełni fabrykę, jak motorek małowrotnego. Tokarz prowincjonalny, kowal, ślusarz, młynarz, tkacz, kra- wiec-chałupnik, proletariat nieszczęsny, gnieżdżący się po śmierdzących małomiasteczkowych rozłogach, nędza z nędz pomiatany, najniższy — otrzyma niewolników elektrycznych, którzy zegną karki i będą na niego pracować.

Wówczas — jak ta linia wysokiego napięcia, jak ten rurociąg — Pasik popchnął się z młodymi zwierchnikami do samego serca sprawy, tam, gdzie w wąskiej gardzieli Dunajca zabiegł drogę rzecze sobiepańskiej i kapryśnej — inżynier. Pasik patrzył, jak żwirówka podaje żwir w sita i płuczki na cotaz wyższe piętra, jak w poprzek Dunajcowi rośnie tama betonu, którego by starczyło na trzysta sześć- piętrowych kamienic.

Kiedy posypały się bomby, walczył o to, co budował, i o siebie zębami i pazurami. Kiedy nagle zgiełk bitwy opadł i opadła rzeczywistość otaczająca go dotychczas, został bez dawnych bodźców... Jedno tylko zostało — fotografia Krystyny.¹ Wyciągał ją raz po raz, rozpamiętywał. Fotografia była powiększonym wycinkiem kliszy. Widać na niej było połowę wspiętego konia i tors amazonki. A oczy i usta były słodkie.

Nie na darmo M. A. Nowakowski wzywał pomocy Haukego. Żołnierzy, od których miano zażądać krwi, uczono zawzięcie pokory, bicia się w piersi. Na obóz się strzęsły niewprawne, nowo kreowane dwójkarze, węszące, czy nie powstają sanacyjne spiski. Żołnierzom, którym udawało się wydostać do Francji, władze polskie na granicy wręczały instrukcje nakazujące, żeby nie zapominali, że ich państwo zostało pobite, że powinni mieć dosyć pokory wobec Francji. Wieloletnia przyjaciółka Polski, Rose Bailly, starała się temu przeciwdziałać: „Moi przyjaciele — pisała — macie coś więcej do robienia niż poniżać Polskę. Podnieście wysoko głowy, synowie kraju najwaleczniejszego i najchwalebniej-

szego. Nie obawiajcie się patrzeć nam prosto w oczy. Pomyślcie, że sami zbijacie Francuzów z tropu.”

Valgodescu pytał ze współczuciem polskiego komendanta obozu, kpt. dypl. Pietkiewicza: „Widzicie, jak walczy Finlandia. Wy byście też tak mogli — dlaczego nie zaprosiliście naszych sztabowców?”

„Głos Polski”, który począł wychodzić w Paryżu, wyliczając niezliczone ilości bitew polskich, od 1109, od bitwy pod Głogowem poczynając, z całej wojny światowej wymienił tylko potyczkę pod Kaniowem gen. Hallera, którego protegowali Chrześcijańscy Liberałowie.

Cóż mógł przeciwstawić temu M. A. Nowakowski? Spokojne jego chywy spółdzielcy nie wystarczały.

— Panu redaktorowi podobają się cygarniczki, które nasi chłopcy robią? — pytał witając Haukego w świetlicy.

I Marian Antoni Nowakowski, Jan Chrzyciel torujący drogę prawdzie, stawił na pulpicie szklanę z wodą.

A Hauke — kostyk i cynik, kalamburzysta i paradoksiarz, kpiarz i sprzeka, odwalał taką Obroną Częstochowy, że kozia bródka Nowakowskiego nie potrzebowała podrywać do śpiewania Roty; grzmiało i huczało, aż truchło się sypało ze zmurszałych baraków.

Po jednym takim odczycie obóz stawał na nogi; po prostu — ktoś przyszedł i powiedział, że można myśleć o Polsce tak, jak to tkwi w głębi ich duszy.

Pewnego dnia wybuchła bomba. Do apelu nie stanął ani jeden lotnik: wszyscy już uciekli, nie było co maskować. Valgodescu szalał. Posypały się komisje. Otaczać zaczęto obóz solidnym wysokim płotem. Żołnierzy pochodzenia niemieckiego wezwano do rejestrowania się na powrót do kraju.

Rejestracji dokonywali Valgodescu z Pietkiewiczem, protokołował Pasik:

— Starszy szeregowiec Gawłowski Henryk, lat dwadzieścia pięć. Przecie nie jesteście Niemcem?

— Tam są teraz Niemcy...

— Starszy szeregowiec liski Waclaw, lat trzydzieści osiem, urodzony Sulmirzyce, po w. Ostrów. Jesteście przecie Polakiem?

Obleśny uśmiech lata po ścianie:

— Panie poruczniku, mnie już dawno lekarze uznali za wariata.

Z dalszej rozmowy okazało się, że ożenił się z Niemką, dzieci do niego piszą: „Lleber Vati”.

Następny, Jędrzejczak Jan, szeregowiec, lat czterdzieści jeden, uprzedza pytanie:

— P, „ścle Polskę, ja chcę na Śląsk.

Jeden gest przywołuje go do porządku.

Klimek, Gawron, Sosna, Lech, Dzierżynga, Tcndera, Szymura — nie znają ani słowa po niemiecku, zaparli się, patrzą tępo w ziemię — wiedzą jedno: rodziny czekają, dzieci nie ma komu żywić, chcą wracać.

Widać obawiano się ich trzymać w obozie przez noc, bo zaraz po południu przyjechała ich zabierać komisja: major, porucznik, cywil i tłumaczka, młoda dziewczyna z szerokimi ustami. Zdębiał — to była dywersantka spod Mużyłowicz, która go postrzeliła.¹

Major niemiecki był kwaśny. To jest, niewątpliwie, polski terror, jeśli na tysiąc blisko żołnierzy tylko trzydziestu dwu zgłasza się na powrót do rodzin. Major żąda zbiórki ogólnej.

— To nieco potrwa — melduje Pietkiewiczowi posłany z tym Pasik — bo oni właśnie zajęci są toaletą,

— Co pan ma na myśli? — ton głosu chłopca zaniepokoił tłumaczkę. Oczy ich spotkały się, na twarzy jej odbił się wysiłek — czy myśły się gdzie z panem spotykali?

— No, mogliście — rechoce cywil doskonałą polszczyzną — ona jest dobra patrolotka polska, „ja”...

Nawet była na uniwersytecie w Krakowie, pracę pisała, że Kopernik był Polak. Ho., ho... „tiichtiges Mdel...” Nawet na imię ma Wanda, jak ta, „co nie chciała Niemca”,

Na placu tymczasem ustawił się apel. Cywil w imieniu majora wezwał tych, którzy chcą wracać do Polski, do wystąpienia z szeregu, bez obawy, bo niezwłocznie z placu będą zabrani.

Poczęli się wyłaniać, Niemcy ich z niepokojem liczyli. Nie stanął ani jeden poza tymi trzydziestu dwoma.

Kiedy tak gromadka się uformowała, uderzył jej żaloszny, dziadowski widok: mieli mundury rozpięte, rozchełstane; poniektry podtrzymywał spodnie. Okazało się, że „toaleta” dokonana przez kolegów polegała na obcinaniu guzików z orzełkami, żeby ich nie zaświnili; w tym zapale poobcinano też niektórym guziki u portek, nawet u rozporków.

Ogromny dwuszereg pozostających poczynął się łamać, poszczególni żołnierze, zwłaszcza Ślązacy, sąsiedzi, przysuwali się do tego dziadostwa. „Panie kapitanie — tłumaczyli się powstrzymującemu Pietkiewiczowi — niech aby tym mordom się przyjrzyć. Zapamiętać sobie na nasz powrót.”

Cywil niemiecki stanął na czele kolumny i sprawnie podał polską komendę. Niewątpliwie był przeszkolony w polskim wojsku. Szesnaście dwójek zrobiło w prawo zwrot, w kierunku bramy, i poczęło się posuwać wzdłuż żołnierskiego dwuszeregu. Dwuszereg stał na baczność, z szarżami na przepisowych miejscach, i o sprzedawczyków twardo uderzyła Rota, „Nie będzie Niemiec pluł nam w twarz...” Valgodescu łypnął niepewnie na majora niemieckiego, na wyprostowanego przed dwuszeregami 1 śpiewającego kapitana Pietkiewicza, chciał salutować, bał się, ściągnął więc po cywilnemu czapkę ze łba — że niby gorąco. Inni Rumuni poszli za jego przykładem, Pasik, stanowiąc część zespołu polskiej komendy obozu, stał poza dwuszeregami, blisko bramy. Wanda z Mużyłowicz, polonistka, szpieg, jakby nie mogąc wytrzymać naporu pieśni bijącej jak tęgi wicher o bramę, odwróciła się. Oczy jej skrzyżowały się z oczami Pasika.

Z obozów Rumunii i Węgier uciekli już wszyscy lotnicy. Dokładnie siedem tysięcy stu dziewiętnastu.

Teraz plechoclarze mogli myśleć o sobie. Na drugi dzień po pobycie niemieckiej komisji grupa żołnierzy bawiła się w „patyczek”. Po każdym rzucie liczono kroki do patyczka i cała grupa przesuwała się.

Zainteresowany wartownik nie przeszkodził rozjemcy obliczyć kroków do patyczka, który padł w samej bramie, ale wnet począł rozpaczliwie gwizdać: rozjemca pyrgnął w kukurydzę.

Valgodescu tego dnia dał swoim trabantom tak srogi „opeer”, że kiedy nocą posłyszeli gwizdek, zbiegli się jak jeden mąż, aby schwytać manekina ze słomy spuszczanego z okna pierwszego piętra.

Nazajutrz przy apelu Valgodescu nie doliczył się piętnastu. Pasik z uczuciem profesjonalnego zadowolenia, z jakim

magik po udanym triku wyjaśnia, jak znikł zegarek w tłumaczył mu, że to nastąpiło właśnie podczas alarmu.

— No, to się skończy — sapnął Valgodescu, wskazując na nowe ogrodzenie. — Jak przeskoczysz, to puszcze wolno — zaśmiał się.

Pasik zmierzył ogrodzenie wzrokiem, ocenił na trzy metry. Serce mu skoczyło.

— Panie majorze, słowo?

— Ha, ha, ha... słowo! Kapitan Pietkiewicz świadkiem.

— Co kombinujecie, Pasik? — pytał Pietkiewicz.

Okazało się, że Pasik osiągnął kiedyś wicemistrzostwo

Okręgu Krakowskiego w skoku o tyczce. Miał w rekordzie trzy metry czterdzieści Zmierzyli płot starannie — trzy metry.

Ze składek na przybory sportowe zakupili tyczkę. Pierwszy skok wyniósł dwa metry dziewięćdziesiąt pięć.

— Te pięć centymetrów wytrenuję.

— Ale skakać na drut...

— Jakby zawadził, ładne byłyby jatki...

Przyszła dzień pokazu. Demonstrowano pięciobój. Pod płotem zjawił się Pasik z tyczką, w szwimkach, w koszulce. Valgodescu nie połapał się, aż smukłe ciało śmignęło nad płotem i skryło się w kukurydzy.

Pietkiewicz przytłumił odruch komendanta obozu:

— Panie majorze — a słowo oficera?

Rumun się stropił. Z tłumy wysunął się któryś z żołnierzy z węzełkiem w ręku. Zsalutował przepisowo (Valgodescu ogromnie to lubił, ale nigdy tego nie miał):

— Panie majorze, plutonowy Maliniak melduje się posłusznie. Proszę o pozwolenie przerwania rzeczy.

— Przecie goły po Rumunii nie może latać; zaraz go złapią i cała heca spadnie panu majorowi na głowę — tłumaczył Pietkiewicz. Po czym wyprostował się służbowo (Valgodescu kochał takie rzeczy) i zagrzmiał: — Panie majorze, słowo oficera rumuńskiego to nie pół słowa.

Maliniak, widząc wahanie, rzucił węzełek.

— Wyleż, nie bój się — krzyczeli. |

Z kukurydzy wyblęsnęła na chwilę półnaga postać i węzełek znikł.

POD OKUPACJĄ

ANIN*

Ilość i rozmiar samosądów oraz masakr niemieckich dokonanych na ludności polskiej wyświekli dopiero przyszłość. Jeżeli chodzi o masowe jednodniowe rzezie bez sądu, o których wiadomość do mnie dotarła, to na Okęciu zamordowano pięćdziesiąt osób, w Bochni — osiemdziesiąt, w Skierniewicach — sto pięćdziesiąt, w Chrzanowie — dwieście i w Aninie — dwieście.

Tutaj podaję przebieg wypadków w Aninie z opowiadania uczestnika, który znalazł się wśród skazanych na śmierć.

Był drugi dzień świąt Bożego Narodzenia. Zaziębiony, od kilku dni leżałem w łóżku. Koło godziny osiemnastej musiałem jednak wstać i wyjść, bo nadeszły cztery zamówione przeze mnie wagony węgla. Tak samo jak

wszyscy czepiałem się nieoczekiwanych zajęć, handlowałem, czym mogłem, byle utrzymać rodzinę.

Zakaz pojawiania się na ulicy obowiązywał od godziny dwudziestej, więc śpieszyłem się, by dokończyć formalności w mieszkaniu swego współnika. W czasie naszej rozmowy posłyszeliśmy trzy strzały rewolwerowe; nie zwróciliśmy na nie większej uwagi

Wyszedłem o dziewiętnastej trzydziści, by na czas znaleźć się w domu. Był trzydziestostopniowy mróz. Brnąłem przez zasy, wtuliwszy twarz w podniesiony kołnierz futra. Na przejeździe kolejowym natknąłem się na patrol niemiecki biegnący pod dowództwem oficera. Byli to saperzy z konsystującego tu hanowerskiego Baubatalionu. Patrol pośpiesznie mnie obszukał i pobiegł dalej.

Stałem rozmyślając, co robić. Najwidoczniej odbywa się jakaś obława. Nie dał mi czasu do namysłu następny patrol, który ponownie mnie obszukał i zabrał na wartownię. Niebawem zaczynają napływać coraz to nowe patrole, prowadząc nowych aresztowanych. W małej wartowni zaczyna się robić ciasno. Żołnierze wyprowadzają wszystkich na podwórze i każą stać z podniesionymi rękami. To męka tak trzymać podniesione ręce. Pozwalają nam w końcu założyć je za głowę, ale i to jest taką męczarnią, że mimo mrozu pot spływa mi po twarzy. Stojąca obok żona mego przyjaciela, gruźliczka, chwieje się na nogach i jęczy.

Wytrzymali nas tak dwie godziny, później poczęli wzywać po kilka osób, kaprał spisywał personalia i puszczał do domu.

W domu wybiegają na moje spotkanie matka i żona.

— Jesteś! Wielka obława na ludzi — w kawiarni zastrzelono dwóch sierżantów niemieckich.

Chwila wahania. Ale reflektuję się, że mam alibi. Zresztą dokąd tu uciekać w mróz i noc? Dworzec na pewno strzeżony, a każdy sąsiad zagrożony w równym stopniu.

Kładziemy się, każde z nas udaje, że śpi.

Koło godziny pierwszej słychać po stopniach ganku ciężkie kroki

— To po mnie — rzucam szeptem w stronę łóżka żony.

Stuk kolby w drzwi Zona otwiera — wchodzi czterech zaśnieżonych żołnierzy. Dwaj pierwsi wyciągają rewolwery, jeden w moją, drugi — w stronę żony. Dwaj drudzy stoją z tyłu z ręcznymi granatami w dłoniach. Poznają Ich — to ci z brązowymi kołnierzami, przydzieleni do gestapo,

— Bist du ein Pole?

— Tak...

— Stek auf!

— Dlaczego? — dochodzi nabrzmiały przerażeniem i prośbą jęk żony.

Odpowiedziało jakieś warknięcie.

Zona trzęsącymi się rękami daje mi futro. Krząta się szukając rękawiczek. Dowodzący drab wychodzi z jednym z żołnierzy do drugiej połowy willi — tam mieszka inż. Sza- lewicz z Kresów.

— Czy pan na pewno jest Polakiem? — pyta jeden z pozostałych żołnierzy.

— Tak.

Milczenie.

— Czy brał pan udział w wojnie? — pyta drugi.

— Tak, w 1920 — w polsko-bolszewickiej.

— Ach, sol...

Pyta trzeci:

— Czy pan jest Polakiem?

Tamci ukazują się z Szale'wiczem w otwartych drzwiach; wieje z nich ciemność i mróz.

— Schnell...

— Zaraz, tylko znajdę rękawiczki — krząta się żona.

Dowódca coś mruknął. Nie zrozumiałem. W oczach żony

zastygło przerażenie. Nim zdążyłem spytać, co jej odpowiedział — wypchnięty do Szalewicza, brnę obok niego w śniegu, z rękami, według rozkazu, założonymi w tył.

Przed budynkiem komendy zastępuje nam drogę dwu żołnierzy. Jeden z nich to młodziutki chłopak o panińskiej cerze i wijących się lokach.

Chwiejąc się w biodrach, występuje naprzód i pełen uśmiechów zapytuje;

— Hdben tie einen Rjevólvjer?

Głos to piskliwy, nie wymutowany głos hermafrodyty.

Stawiają nas twarzą przed ogrodzeniem placu. Jest już tam kilku ludzi. Po mojej prawej ręce stoi Szalewicz. Po lewej stawiają urzędnika starostwa. Znamy się, ale nie dajemy tego poznać po sobie.

Trzymamy wciąż jeszcze ręce, tak jak nam kazano! za sobą. Niemcy Wją rewolwerami po rękach, więc je opuszcza

my wzdłuż ciała. Nogi kostnieją w tym wielkim mrozie, więc zaczynamy tupać. Niemcy kopią tupiących, więc zmarzli ludzie, zwrócenii twarzami do ogrodzenia, stoją nieruchomo, z rękami wyciągniętymi na baczność. Głowa starego Szalewicza trzęsie się, więc raz po raz biją go po niej.

Przez drucianą siatkę ogrodzenia widzę, jak prowadzą coraz nowe partie wyłapanych. Na spotkanie ich wychodzi, kołyszając się w biodrach, cherubin-hermafrodyta. Pelen śmiechów przyjaznych, pyta: „Rjevolyvjer” i nagle uderza po twarzy cienkim stalowym prętem.

Za nami stawiają nowe szeregi. Słysząc odgłosy bicia i okrzyki: „Verfluchte Hunde!”, „Polnische Schweine!”.

Za mną stoi woźny województwa, stary człowiek. Otrzymał tak mocne uderzenie, że barankowa czapka zleciała mu z głowy i upadła między mną a ogrodzeniem. Czerniała tak w śniegu, i nie wiadomo było: podnieść czy nie, aby nie zostać uderzonym. Nie rozumiem po niemiecku — jakiś wrzask niemiecki wydał rozkaz podniesienia jej; kiedy chciałem się pochylić, unieruchomił mnie wrzask jeszcze sroższy. Ale Niemcy zaczęli bić innego. Był to lekarz weterynarii, za którym przybiegł jego pies. Pies nie dawał się odpędzić, mimo rozkazów swego pana. Bito więc weterynarza, że się odzywa z szeregu, i kopano psa, że nie odchodzi.

Znowu sięgnęli do pierwszego rzędu, do trzęsącej się głowy starego Szalewicza. Skowyt kopanego psa, głuche uderzenia razów, nieruchomość bitych i milczących ludzi, światło pełni księżycowej, śnieg, w którym odbijały się długie czarne cienie, mróz wszechobejmujący — wszystko to sprawiło, że czułem się zupełnie otepiały. Ta otepiałość spłynęła na mnie jak fluid od pozostałych ludzi. Mignęło mi przez myśl, że jesteśmy tak bierni. Pomyślałem też sobie — pamiętam — że przecie żaden z nas nie ma broni. Myślałem beznamiętnie, jakby kto inny myślał za mnie.

Koło godziny trzeciej wyszli z gmachu komendy trzej oficerowie gestapo, wysocy, smukli, świetnie ubrani, o inteligentnych twarzach. Przeszli między ogrodzeniem a pierwszym szeregiem, przypatrując się twarzom. Zatrzymali się przed sąsiadem urzędnika starostwa, który stał przy mnie. Spytali o coś, urzędnik starostwa pośpieszył jako tłumacz. Wyszli za obręb brańców, odbyli krótką naradę, po czym wywołali, idąc znów wzdłuż szeregu, urzędnika

starostwa, mnie, dyrektora fabryki, właściciela willi i Szalewicza. Jeden tylko Szalewicz był w starej jesionce, my czterej mieliśmy na sobie dostatnie futra i wyróżniliśmy się widać spośród masy ludzkiej.

Prowadzą nas przez podwórze komendy. Na tym podwórzu znajdują się pięknie utrzymane groby Niemców poległych pod Aninem w czasie oblężenia Warszawy. Przy grobach stoi człowiek — na tym straszliwym mrozie tylko w samej marynarce. Chwieje się. Kiedy mijamy go bliżej, rozeznają mężczyznę lat może trzydziestu, w stanie skrajnego wyczerpania, z głową spuszczoną, z rękami obwisłymi wzdłuż ciała; chwieje się, z wysiłkiem starając się utrzymać równowagę. Pilnuje go żołnierz.

W przedpokoju komendy ustawiono nas pięciu rzędem. Ja byłem czwarty z brzoza. Po kolei wzywano każdego do pokoju. Zwróciło moją uwagę, że wzywani wracają niemal natychmiast. Za mną stał Szalewicz.

Kiedy mnie wezwano, znalazłem się w półkolu ze dwudziestu oficerów gestapo. Jeden tylko siedział przy stole trzymając pióro. Ten odezwał się od stołu czystą polszczyzną:

— Proszę podejść tu.

Zrobiłem parę kroków i stanąłem przed nim.

— Twarzą do pana pułkownika.

Wówczas zobaczyłem twarz, której nie zapomnę. Twarz oficera, którego wieku określić niepodobna, musiał mieć jednak pięćdziesiątkę. Bardzo niski, przeraźliwie chudy, o twarzy wyschłej jak trupia czaszka pokryta błoną pergaminu. Ten pergamin był poryty w głębokie bruzdy. Siwe włosy, ostrzyżone na jeża. I oczy zupełnie bez koloru, bez wyrazu, bez ruchu. Te rybnie oczy patrzyły na mnie.

Zanotowano moje imię, nazwisko, rok, miejsce urodzenia
1 kazano wyjść. Wówczas pomyślałem, że idę na śmierć, bo były to tradycyjne cztery pytania przy egzekucjach. W innych wypadkach pytano o zawód.

Kiedy więc za drzwiami znikł z kolei Szalewicz, zacząłem rozglądać się, czyby wbrew wszystkiemu nie uciekać. Ale niebawem z drzwi wysunął głowę gestapowiec i rzucił:

— Tych czterech odprowadzić do domu.

Pomyślałem, że widać rozkaz rozstrzelania tak się nazywa.

Eskortowało nas czterech żołnierzy trzymających w dłoni

rewolwery. Znowu minęliśmy chwiejącą się postać, groby, czarne rzędy brańców stojących przed ogrodzeniem. Idący za mną fabrykant mruknął:

— Też porządk! Na to, żeby spisać nazwisko, trzymając całą noc.

Widzę, że ten człowiek nie orientuje się w niczym. Jestem pewien, że za chwilę otrzymam kulę w tył głowy. Księżyc jest już nisko i za mną, widzę więc wydłużony cień żołnierza i cień ręki trzymającej rewolwer. Obserwuję ten cień z całym napięciem uwagi, zdecydowany, w razie jeśli podniesie rewolwer, rzucić się na niego. Czasem ręka zatacza szerszy łuk i wówczas 'gotuję się do skoku.

W pewnej chwili mój towarzysz mówi, że to jego dom. Żołnierz robi ruch ręką, nakazujący, by wszedł do bramy. Drugi żołnierz każe mi iść dalej samemu do mego domu.

„Teraz obaj będą strzelali” — myślę. Odchodzę patrząc bokiem.

— Prędeż! — woła żołnierz.

Jestem już o dziesięć kroków i orientuję się, że strzelać nie myśli.

Koło mego domu stoi wartownik — hanowerczyk starszego rocznika.

— Puścili pana, prędeż, prędeż niech pan wchodzi. Prędeż, prędeż — mówi z jakąś ulgą i z troską w głosie.

Żona i matka tkwią u drzwi od samego mego wyjścia. Ten żołnierz wtedy powiedział: „Już mu rękawiczki nie będą potrzebne...”

Dowiaduję się, że trzy strzały, usłyszane koło dziewiętnastej, to były strzały człowieka, którego dwu sierżantów niemieckich chciało aresztować w pewnej kawiarence. Potem zaczęły się rewizje przeprowadzane na razie przez batalion saperów, nim przyjechało gestapo. Jeden z saperów, na podstawie podobnego wypadku w Sudetach, wiedział, czym się to skończy. Uprzedził spotkaną Polkę, żeby mężczyźni uciekali. Kobieta brnęła w śniegu od domu do domu, stukając w okna i alarmowała. Ale Anin jest rozrzucony, zdążyła zawiadomić niewielu. Pewna matka leniła się wstać do pukającej i odprawiła ją ostro. Kobieta nie mogła tracić czasu i pobiegła dalej. Tej matce wzięli syna.

Pani Szalewiczowa posłyszała ruch w naszej części willi i przybiegła spytać:

— Gdzie Stasio?

— Lada chwila powinien tu być — odpowiedziałem w najlepszej wierze.

Siedzieliśmy na pięterku, patrząc przez oszklone drzwi na zalaną światłem księżycą drogę. Szalewicz nie wracał.

Koło godziny piątej słyszymy silną salwę kilku karabinów maszynowych. Po salwie — krótkie strzały pojedyncze.

— Zabijają! — krzyczy spazmatycznie Szalewiczowa.

Salwy powtarzają się co pewien odstęp czasu.

O szóstej kończy się zakaz wychodzenia z domu. Zamilkły salwy. Pani Szalewiczowa biegnie w stronę, gdzie strzelano.

Laski Anina rozbrzmiewają lamentem kobiet.

Szarzeje. Na zmierzchłej drodze ukazuje się biegnący cień. To Szalewiczowa:

— Zamordowali Stasia!

Znalazła jego trupa z wywalonym okiem i częścią mózgu.

Przybiegła córka Szalewiczów, nauczycielka gimnazjum, mieszkająca na innej uliczce. Okazało się, że Niemcy zgromadzili dwustu mężczyzn. Po stu za jednego Niemca. Pierwotnie Frank wydał rozkaz rozstrzelania pięciuset.

Kobiety biorą saneczki dziecięce i idą po ciało Szalewiczowa. Widzimy z okien, jak wiele kobiet udaje się z saneczkami w tamtą stronę. Wkrótce potem dwie kobiety na śmiesznie małych saneczkach wiozą trupa. Ciało nie może się zmieścić, więc jedna trzyma wysoko uniesione nogi, a druga boryka się z ciężarem, ciągnąc. Raz po raz ktoś wpada do willi wołając, aby uciekać. I podczas gdy kobiety krzątają się przy zabitych — ludność męska ucieka.

Szalewiczowa z córką wracają z pustymi saneczkami. Niemcy postawili warty i nie pozwalają zabierać trupów. Tylko niektóre rodziny zdążyły to zrobić.

Postanawiam wyjechać do Warszawy koleją. Na dworcu tłum. Pokazują mi kobietę, której zabito męża i syna, studenta politechniki. Jest spokojna i nie płacze. Innej matce zabito czterech synów. Nad jedną „zlitowali się” — spytali, którego z dwóch synów mają wziąć. Zniecierpliwieni wybrali sami.

W drodze spotkałem dwu braci, którzy byli w ostatniej dziesiątce, już nie rozstrzelanej. Opowiedzieli przebieg egzekucji.

Skazańcom kazano iść w stronę plantu, przeszli tunelem aż na pole, gdzie stały karabiny maszynowe.

Wydzielono

dwudziestkę, kazano klęknąć i modlić się. Z dwu stron błysnęły reflektory ciężarówek i padła salwa. Potem dostrzeliwano.

Kiedy kazano klęknąć następnej dwudziestce, niektórzy zaczęli wołać:

— Jestem na służbie państwowej!

— Jestem volksdeutsch!

— Jestem obywatel amerykański!

Nic nie pomagało. Rozstrzeliwano dwudziestkę po dwudziestce. Widać wyprowadzono dwustu dziesięciu, bo ostatni dziesiątek oszczędzono.

— Pan pułkownik darowuje wam życie — powiedział oficer gestapo — pod warunkiem, żebyście do godziny ósmej pogrzebali zabitych.

Niemcy pojechali, z ciemni wysunęły się na pole rzezi przytające kobiety. Z gromady trupów poderwał się nagle jakiś chłopak i jak oszalały pomknął w las. Potem wstał, chwiejąc się na nogach, miejscowy fryzjer i obłędnie pytał:

— Proszę państwa, co ja mam robić, co ja mam robić?

Miał w dwu miejscach przestrzelone plecy. Zaopiekowano się nim.

Przy ciele zabitego weterynarza leżał zabity pies.

Pogrzebano zabitych równymi rzędami i postawiono na ich grobach krzyże.

Rodziny, które zdążyły wykraść trupy, nie dały ich grzebać Niemcom.

Jest więc krzyży sto osiemdziesiąt sześć, a na nich nazwiska stu osiemdziesięciu sześciu Polaków i daty urodzenia: od czternastu do siedemdziesięciu sześciu lat.

POD RZĄDAMI ERICHA KOCHA'

siężyc był schowany tej sierpniowej nocy i Elżunia niepewnie stąpała poboczem traktu. Worek uwierał. Był w niej zamęt, przez który nie zdążyła się przebić rozpacz.

Od tego czasu, kiedy przypadła ustami do rąk Romka, wyciągniętych z wagonu, zamknęła myśl o nim. Trzeba czekać, aż te wojny się pokończą. Taki los.

Tego wieczora przyjechał z Korca znajomy. Widział przez ulicę pochód jeńców. Kobieta rzuciła bochenek, stłoczyli się. Niemiec na krzyż seriami przejechał, została drgająca kupa ciał.

Niemcy przecięli kolej Odessa—Czerkasy, zagarnęli pięćdziesiąt dwa tysiące. Osiemnaście dni ich pędzono te pięćset kilometrów do polskiej granicy, po drodze padło czterdzie-

ści tysięcy, do Korca doszło dwanaście tysięcy. Tam rzucono im pierwszy bochenek chleba.

— Ot, Jakie czasy — złożyła Pasikowa ręce — człowiekowi straszno będzie i pomodlić się „chleba naszego powszedniego... daj nam, Panie”.

— Wiesz, Adamie — pochylił się opowiadający do Sielickiego — jak raz dziś ich gonią bokiem Kostopola do Janowej Doliny. Ludzie naszych rekrutów poznawali...

Elżunia poczuła nóż w nagłe ściśniętym sercu. Sunęła rękami jak somnambulik po półkach, ładowała jedzenie. Sielicki zawiózł ją na wąskotorówkę do Kostopola. Było już późno w noc, odjechał.

Pociąg nie przyszedł. Do Janowej Doliny osiemnaście kilometrów, myślała. Dojdzie do rana.

Za Kostopolem w ciemności potknęła się, rozeznała rękami — trup. Biegła, zwała się znów o trupa, poderwała się, uciekała, potknęła się o trzeciego. Upiory wyszły z nagonką po żywą krew. Uskoczyła w grząskie pole, padła bez tchu, nie ruszyła dalej, aż noc zbieła. Pusty trakt wyłaniał się stwardniałą grudą. Zobaczyła leżącego na wznak, z rozwartych ust w zzieleniałej twarzy szedł pas zakrzepłej krwi. Mijała szybko trupy dostrzelonych. Jeden uciekał... upadł na wznak, twarzą w dół z nasypu, nogi w płatach z opon okręconych drutem sterczały w nienaturalnym zbliżeniu. Może ten futór to jego dom?

Ciotka Genia Malinowska schludna była gospodyni i wesoła na dziwo. Starsza zaledwie o dziesięć lat od Elżuni, była z nią jak równolatka, dlatego argument, że „ciocia pozwoliła wziąć chusteczkę od Fyłypa”, brzmiał nieco komicznie, bo ciocia była trzpiota. Zameżna za majstrem na kamieniołomach.

Napieka tego dnia bułek dla Czesia, który się objawił. Mówił, że w Polsce też barszcz, że zaczęła się partyzantka i Stefanek Sielicki w tym.

— Aby znów mu co nie strzeliło — zasepiła się rozstawiając gorące bułki.

Czteroletnia jedynaczka podbiegła na grubych nóżkach — dała jej kawałek.

Coś się na ulicy działo. Okno w białych firanczkach przesiewające blask na geranie było radosne, ciocia Genia

była radosna, schwyciła na ręce zaśmiewającą się Jagusię, biegła do okna.

Dołem ulicy stał jeszcze cień. W nim mrowiło się wytchłą niemocą. Zobaczyła, jak dwaj kościelcy wloką pod ręce trzeciego, a czwarty z tyłu podpira go kijem. Schwyciła wielką bułkę, rzuciła. Podtrzymujący miotnęli się w bok. W środku opustoszałej ulicy leżał chleb, przy nim człowiek. Niemiec precyzyjnie strzelił w tył głowy, kopnął bułkę, nędzarze się zemknęli. Skamieniała: poczuła na sobie wzrok. Patrzący zrobił ręką nieznaczny gest, wskazując na siebie. Dręczyła ją ta twarz.

Na obiad przyszedł Czesio, był poruszony. Rozeznał Romka.

To Romek patrzył błagalnie w jej okno.

Malinowska biegła z kobiałką. Ze Złażna przez most na Horyniu, przez Janową Dolinę do placu ogrodzonego, na którym trzymano jeńców, był kawał drogi.

Już po zrudziałej trawie. Widać druty. Obóz brzmi jękliwą tonacją. Stanęła, łapiąc dech, już rozróżnia:

— Towarzyszczy, pomagicie!...

Wartownik, przechadzający się pod drutami, zaczął bagnetem psa zastrzelonego przez konwój, przerzucił, skłębilo się warkotem.

Niemiec w budce przy bramie miał twarz wesołą. Zbliżyła się ostrożnie, dziesięciorubłówka w sztywno wyciągniętej dłoni.

— Miitterchen, trzeba sznapsem pokrzepić. Tylko prędko, póki tu jestem.

Biegła do Janowej Doliny po wódkę, spotkała Elżunię. Biegły z powrotem. Ten sam wesoły chłopak rozmawiał z trzema innymi. Przywitał je owacyjnie, zawahały się.

— Jest sznaps? — wyszarpnął koszyk, odkorkował butelkę — puścił obiegiem. Żarli kielbasę, jajka, popijali:

— Prosit! — krztusili się ze śmiechu — to mu na pewno pójdzie na zdrowie.

Głowy na bezwładnych tułowiach są tak zawszone, że na odrośniętych włosach za uszami przy karku wiszą grona gnid. Na szyjach sznury, na których mają zawieszane nu-

morki, są połno gnid. Na ciałach powyżerane przez wszy rany, tak głębokie, że nieraz widać kość.

Esesman goni do kotła; odkleja się Jeden po drugim, stają w kolejce, chorzy, oblepioni kałem biegunki, cuchną słodkawo-mdłym zapachem zrywającym do torsji,

Z obu stron esosmanl na podwyższeniach tną bykowcami przez twarzo. Chłepcą ciecz, do której spływa krew.

Roman leży z głową wspartą o pierś Filipa Matwijczuka, Filip zwlókł się do kotła, Jutro go dobiją.

Reflektor poszedł po leżących, wynurzyły się na chwilę w ostrym blasku miednico wyrzynające się przez skórę fio- letowo-żółtych trupów. Zdarto z nich nawet obesrane koszule. Ręce i nogi czarne od brudu, tułowia aż do łydek oblepione kałem.

Znowu ciemność. Romek obejmuje udo, knykcie i wskazujące palce się schodzą. Mierzy tak bezustannie. Był czas, kiedy palce się nie stykały. W marszu podniósł końskie kopyto, nadgryzał je przez kilka dni. Teraz już palce się zeszczyły.

Wlecz się noc... Z wieży poszła seria, ranek pokaże, ilu dostrzelić.

Komendant obozu, któremu Sielicki nawiózł żywności, posłał po Romka. Ale Romek nie mógł już chodzić. Poszli po niego.

Zaszedł im drogę „Zlrkus”. Wydzielono trzystu Żydów w tak zwane Matzura Kommando. Ślżak Macura wyprawiał z nimi ów zircus.

Żydzi w workach przez głowę toczyli beczki z kałem, które musieli napępiać rękami. Śpiewali Katlutzą. Martwa maska starannie otwierająca usta wpierała w Sielickiego błagalne oczy. Młody Goldman!...

Ślżak Macura, ujrawszy komendanta, dziarsko zasalutował i wrzasnął: „Nummer elnel”

Żydzi zaśpiewali:

Jak był śmigły Rydz, Nie robili Żydkł nie,
A juk przyszedł Hitler złoty, To nauczył Ich roboty.

AJ, aj!... giował.

Nie czekając na dalsze numery — chlapanie się po twarzach — szli do studni, pod którą leżał Roman. Sielicki nie poznałby kościelca z czarną brodą, który ważył dwadzieścia pięć kilogramów. Dawał wszystko, co przywiózł, konia i wóz, żeby wziąć syna.

— Przywieź dziesięć rubli złotem, to go dostaniesz. Dam mu mleka tymczasem.

Lipszyc mył ręce. Zawisli na jego ustach.

Doktor brał ręcznik z rąk Pasikowej, patrzył na nich swymi orzechowymi oczami:

— Tylko tak karmić, Jak zapiszę. Stopniowo.

Powłóczył po swoim nogą, Idąc do stołu. Posuwali się za nim:

— Pan doktor będzie dojeżdżał?

Zrobił ruch ręką, wyrażający bezbronność. Taki gest mógł się wylać tylko na dwóch tysiącach lat prześladowania.

Lpszycowle z trzytygodniowym dzieckiem nie odważyli się uciekać w głąb Rosji. Pocieszał żonę, że Jako lekarz będzie potrzebny. Ale się nie łudził co do swego żydowskiego losu. Tkwił tu — Jak i żydowska biedota, bo i co miał robić?

— Pngus — prosiła Anitra — schowajmy się u Sielickich.

Nazywała go Pngus. Rzeczywiście ze swoją nlemrawością przypominał pingwina.

Brał jej rękę, delikatną w przegubie, silną rękę pianistki:

— Anitra...

Czy ten prąd życia, które drżało w filigranie, Istotnie któregoś dnia ma ustać? Kiedy brał ją za rękę, czuł jakby ładowane wołty. To ten niesłychany nabój życia, rytmu, melodii dostał się w jego ręce, niezdarnego Pingusa?

Dziwił się nieraz, nie wierzył.

Gdy groza wisiała, chłonał w te dni jej obecność, był szczęśliwy pijanym szczęściem każdej minuty.

Do Sielickich się skryć? Wytropią... Nienawiść wszędzie.

— A co z Hryciem? — pytał.

— Ten gad? Do „kruków” się zapisał.

Doktor się wzdrygnął.

Kąpali go co dzień w balii z gorącą wodą, wciąż skądś się brały wszy. Leżał na sklepionym łóżku, Elżunia karmiła go kleikiem, zaczęła dodawać po łyżeczce masła. Zgolono mu brodę. Patrzyła na czaszkę obciągniętą skórą i dziwiła się: kto to taki?

Wtedy, na dworcu, targnęła się ucałować go w rękę, nie wiedzieć czemu. Teraz tęsknota się ucieleśniła. Kiedy przywieziono uschniętego dwudziestopięciokilowego chudzielca z długą, czarną brodą — to nie był Romek. Ale elementarny, mocny plan zbudowany był na Romku — należało go życiu przywrócić.

Już go poiła mlekiem, już przyniosła pierwsze jajko na miękko. Poprawiał się z dnia na dzień. Wstał.

Zawsze był dzikawy, w przeciwieństwie do piegowatego Marcinka. Był w nim wewnętrzny ogień. Lubiła patrzeć, jak majdrował paści, a czarny czub spadał mu na czoło. Zawzięty myśliwy, dziki i zawzięty tancerz. Ciemny rumieniec wybiegał mu na śniadą twarz. Wystrzegała się, by się nie otrzeć o niego w mrocznej sionce.

Przybierał na ciełe, czekała, kiedy tyśnie spod czarnego loka. Ale lok był przylizany, Romek wolny w ruchach i nie ten.

Dogrzewało słońce, przysiadła się, gdy siedział przed domem.

— Romek — niby nieumyślnie przyparła do niego sterczącą pierśią.

— A co? — pytał, i nie wiedziała: co?...

Wszędzie już osiedli gebiets- i rajonkomisarze.

Nie tylko ciocia Genia sobie chwaliła, że jej mąż nie musi doglądać w kamieniołomach zwariowanych norm. Niemcy wszędzie przywracali kapitalistyczne porządki i Laskowski też wrócił na nadleśnictwo. Pozostawieni sobie, trzepotali się bezbronnie Pingus i Anitra.

Kulik, szef landwirtschaftsamtu w Kostopolu, wysoki, otyły pięćdziesięcioletni Niemiec o grzmiącym basie, z men-

surą na twarzy, często przyjeżdżał na polowania, łącząc przyjemne z pożytecznym: w czasie tych wycieczek doglądał ściągania kontyngentów, własnoręcznie podpalając obejścia tych, którzy zalegali. Epileptyczny brutal, o siwym jeżu nad apoplektyczną gębą i wąsie krótko przyszyżonym, nie rozstawał się z pałką gumową, ryk jego słycać było na kilometr.

Przy obiedzie, po łowach, głaskany wołyńską niemczyzną Hufnerowej, teściowej Laskowskiego, współpracującej z Niemcami, rozkrochmalał się: po wojnie otrzymał dobra cumańskie, jako rządca osadził Laskowskiego, byle ten zapisał się do volksdeutsche.

Hufnerowa wzdychała, pani Małgorzata milczała jak pień, Laskowski skreślił rozmowę:

— We środę piętnastego października otwiera się pełny sezon.

— We czwartek mam inne polowanie — Kulik przymrużył oko do Hufnerowej.

— Jawohl, Herr Landwirt — promieniała stawiając tacę.

— Bratkuchen — rozpromienił się Kulik. Odpoczywał duchowo w swojskiej atmosferze.

W ten właśnie czwartek szesnastego października 1941 roku Sielicki wioził syna do doktora Lipszyca, tkwiącego za zamkniętymi okiennicami. Zaufani pacjenci przynosili żywność przez kuchnię. Anitra nie miała odwagi zagrać na fortepianie. Tym namiętniej przylgnęła do maleństwa, które, ssąc pokarm, patrzyło na nią wielkimi oczami. Znała wszystkie jego gniewy, wszystkie jego chytre przechody, zdawało jej się, że ten kontakt osłabnie, kiedy małe przestanie brać z niej pokarm, wpierając w pierś tłustą rączkę. Patrzyła na wąską piętęczkę i w duszy rósł podziw dla jej doskonałości. Zaczynała nucić.

— Zapisz melodię — mówił mąż, dysząc te strzępy kołysanek.

Nie chciała. To był język jej i jej córeczki, która odpowiadała mlaśnięciem i gaworzeniem. — t Pingus — pytała — czy długo będę mogła karmić?

— W każdym razie do Nowego Roku — odpowiadał i milkli, jakby mróz przedarł się z październikowej ulicy. Otu-

lata SIQ wraz z małą, pod kaszmirowym szalem Bzybko tłukły się ich serca połączone strugą życiodajną i mową nie narodzonych melodii.

Senny zazwyczaj Kostopol mrowił się szarym ludem, ciągnęły okoliczne wsie. Na Sielickiego padały spojrzenia ukradkowe, wołał jechać okólnymi uliczkami, aż wjechał ponownie na główną ulicę, przy której mieszkali Lipszyco- wle.

Pochód żydowski wywijał się na trakt zbiórkowego placu pod Kostopolem. Jeszcze doładowywano na ciężarówce żydowskie bachory; Kulik, stojąc w otwartym samochodzie, wrzasnął z niezadowoleniem: dwunastoletnia kaleka nie mogła się wdrapać, płakała. Gestapowiec przyskoczył, schwycił za włosy, przegiął głowę, strzelił w ucho.

— Schnell — wołał Kulik.

Kiedy Anitrze wydarto córeczkę i rzucono na wóz, Lipszyc z nieoczekiwaną energią odciągnął żonę. Zaskoczona ścichła, dała się zepchnąć. Zawisała całym ciałem na ruszającym wozie i nagle rozeznała jeden płacz w tych płaczach. Podbiegła przed kordon „kruków” — policjantów Ukraińców w szarych mundurach z czarnymi obszyciami, wyrwała dziecko i poskoczyła z drogi w rów, rozpięła płaszcz, bluzkę, wtulała odzyskane, jakby je chciała z powrotem wtłoczyć w łono, dała pierś. Małe wpięło się, cmoknęło, szczęśliwość rozlała się w połączonych ciałach.

Nad rowem rozkraczył się milicjant, słychać było młaśnięcia, nie wyzwolone nucenie, miał czas mierzyć, trafił w skroń, głowa osunęła się na nasyp, niemowlę nie przestawało ssać.

Od drogi półkalek kaczmy chodem spełzał Pługus. Skrzyżował oczy z milicjantem.

— A koły tak... — powiedział Hryć.

Strzelił dwukrotnie.

— Schnell — nawoływał Kulik.

Hufnerowa nie przypomina „Mutterchen” stawiającej tacę z bratkuchenem, kiedy przebiera toból, podobna jest raczej do baby ze zwierzęcym pyskiem, podbierającej cukier z chodnika. Wyciąga przelewający się w rękach szary jedwab, z którego patrzą zdziwione flamingi.

Zmierzch zasnuł trakt, ciągnie wiatr październikowy, niemowlę usiłuje ssać sztywniejącego trupa.

Na drugi dzień sala w centrum miasta jest zawalona odzieżą pomordowanych. Wernisaż zwiedzają wybrani. Kulik proteguje córkę Wójcika, eks-pisarza gminnego. Utleniona krowienta o nogach jak słupy ledwo może objąć malowanymi na czerwono szponami tyle darowanego. Przypo- chleblają się jej:

— Ta koszulka skrwawiona... Może wymienić?

— Kiedyż bardzo ładna koronka — zaperza się,

Wrażda ciężka, odwieczna tej ziemi wzbierała nad domem Mazurków, gdzie Halka przycupnęła z Aniutką, nad czar- nobrewą Kaziunią Podhorodecką, nad małą Jagusią w Janowej Dolinie, nad odbudowującym się domem Szejtusów, nad nie uwiezionymi resztkami szlacheckiego zaścianka, nad Matką Boską w Kafmierce, cudami słynącą, nad kościołami budowanymi przez Jagiellonów.

Kiedy wybuchła wojna rosyjsko-niemiecka, Jarosław Staruch, członek Ukraińskiego Komitetu Narodowego w Krakowie, skryty w wozie siana, przejeżdża kordon. Czas wrócić do tego, czego bratobójcza walka w 1019 roku nie osiągnęła. Wyskakiwały ognie, coraz to tłumione przez ekspedycje karne, padali od kul skrytobójczych Pieraccy, Hołówkowie, Twerdochliby, jęczeli po badaniach katowani mołojcy, szlifował butelką lśniącą podłogę Bandera na korytarzu więziennym u świętego Krzyża, gnili u Św. Jura we Lwowie krnąbrni ukraińscy studenci, w obszernych celach zamku Lubartowiczów w Łucku uwiezieni Ukraińcy obmacywali się nieufnym spojrzeniem, nie wiedząc, kto tu jest swój.

Z więziennego okna roztaczał się widok na Styr i łąki za nim, dalej szły dąbrowy, chutory, prace w polu i wieczorynki, ład pospólny i sąsiedzki.

Jarosław Staruch, syn nalanego w czarnoziemy aż po Kubań czterdziestomilionowego narodu, który przez wieki nie doznał swego, jechał bić w resztki ładu, po którym

itltwltfUil w«Im»> \vh ju,v l- lř,v tt uli' i'i(Mi m M •!(MU i u^iii ni-ij MMMmYiiiu IMM^Im Mę wll^iii^1 MM
11 ii iMI i IIIH I UHM i MM Wm I-wmwIH IMIMIm»I lIWM I I U IMiV(MU INFIIIIY wywlyCUi
WHIII |U/«IMS NiMMH^WI iin^FTLU^MLT^1 IMMMMM N*MLLMWVWM
j „HMImMI" pillltHWHiltft tt<1 Iy Jm '-mm mv 1'MlMIMM IMHIIHIIH Mlii kHł.HIi ••MMHm ImVIIIM,I,
FIGHLMMI lł>l*K| ul lid nWY WMIIY ju nimIMMI *y
'|«MI MIMIMM II,V 1 MM\VM' iMÓM^y Iii* mIHIMM MMIMhIm.| [>Mi|Itij HiMyMu^1,)! |M^M|»FL»'| |IU
IMIMH|»MVI>I PHNSLJWLM, T»<M MIMIMN hi l»V' Stüfliis IhImWNImmI, IHmWNMImI MH\$fMTUli|fA W|
Mlllif' VI^H NLM^v»''' «TT KTYH I IIMiM, MMIMSWLHY I'''' IMLV^1 LL!| MMM MMI ,VMIV
Nm Ii4 MMII IMIm J IM^w!(^iimi'i mImi iIMM I MHPfldWHliM
HLMMLFY Im lll| iJIMMI, ulu Mlicy, IMM^V NIH 1 }P|W tóB
MHTMIIMI,)tft|ft(tlll| WWyNIItil M ITFFLM IM I. III Itllf.H I M|IMVL» 'li l^1 *viI*Im»IwMM GRRrwSft INI
IMImi Uh W V V I, muIM Fi|IMILHIU MIMMIIMIMMJ NIMI>|| mMIImw|IRM| wv 1 iWMWIMi MIMMM MIIH MM
Im Im «YLI mi^iIMIm NIMIm mMIImWm NIMImiIMiiIm, AMIMH iIJMii IMMMMM/, iimiI -wiuiKpjiO.lpliWWI
|MLMHL<M>^1 MIMWMImImi IHIMITMIY NtfMcIIMwyiig W^*MMM| I#yU MM |R| uHMł HrfM IiumIMM i'hiI .
„Nmi<IiIMMIIm^i «»)iffIMFIH HRMLMRTIY wI4»NF« FLFL M@ ^,Hh ^VWWL r:IHVIF|> w •LTT!(|!VIN PMIMWl^*
MIIMMM- wM| (MMI i i MiiwyMyj i.UM> dli IMIMHI-II, ftpUl/iPWyW R^MMMy MM iMliMin.
Mm|mi Ih I^IMU, m|MM| |Milllyi^MV gftWOfit NftjiW IHIMiMI',l vvm lIWMWir»(MMyAlIMII lin k|>-
Y)IH lilMCM HI^MIM.Y,
* H/MMKmiMI *M|I^MIM Myl MM IIIHI ^J Mll|l^Mwif II lilj@ M^Mfl, wv»YMMI Nli| MM IIMJ
iIwImH WMLmH MmIHIMIMi^ ...^
IFMLRI (M MhVVM^ONIM< fliHHpiy * TLL»FILFLI IMHIMHIUMJ MI^*MM ML JWL * WTY NUHH(^VIV
OMIM.IMIMWl^ UHIIMIIH * HIIMwy, ItUiypI Mm MMVYI^i»Y WMMM L
IMM^DLLMJ MiMoliluy WH|nlH)&M Im M»M>l»^*M...^
* LLLMMLRTIM.MI Im „tImi-LR i (IMIMMI AillflHIFL!^ W hIhi WMI^j Wuj ulu A^|m|mwH|
hmmwImiImI.)mI^ lij^W'. MIMI wnjNlui •!> HiltillY W lili) iMlU »I^IMM, W^'
MTMMM^Y M Y * IMMM|F^i * IHMH mii lii I liWM^ HMIll Wg
cluwllw wwynlIn »IMM^ MM Im jltf MIMI>Y MHA *IMM
fin FMI)^ UL K MIMM.IMMIHIMI GWII
{ 'iUli A 'nuilnyi |«Mi#inVWyIM mIiUIMIM |Mf h« (W^f
I H Y^IIL) I U NM WMIHIM", I |M^ I III ^PMWJFI WMUNIM N,I NMMIMIH LIIMI^
'(MIL jMI| (iMliiu MMMMCMiM *IM^I<I4» II «ltf I^|M< lylIMt |f UUIMMiy MMIM*^!, lliiM illf
WYllll^Mjil
|M| MIM^MIViIMJ IMIMMAHI ,
AiM ((^MMMM IM HYLm MIMMHl»HmUv<M^ CMifMIMflIi
W!>IM W 1 MI IM I I IM M(1 WmIM A t IMIII ymUIM^H MM ••IMiIM, |«K mIm I U, Ii>|UIM iLMLYŚ |Mi
wIhIH ImImi MM^n^I (fili liii-n IMMIIMIM>MM.|Y Ij|IV-IiIMMV MlnU IImIi(I) JM MmiMUlII
>MVMMVIM M|mi MW«H|
MIMIMMI IMIMI4WM MfNfiilSmI ^MiMliUiiwiMiy |HKM
IMIMI"*y HilIMIMl«iM>i,|| IMIMM^W MIM|MM\VMH.yf|lj
ill|l I^ImmIHim diiiiitiylilHMl MM M»MMIUMIM MImMmI
MOWI | IM II , MMFI MHIIMWII w|R|»MI>| HIWIM KI Im NI (MI/ NIMMIIM! U ImIMMMIMM I^MMMIIM IMMI
MIMNihK' i A^ IHMIMH MMMM UHMIM^i *M jHI^Iiyill filIMIJMltwiM 1 |UIMMWH^ bM^flu^ii MIMMMMI^
I^MI> HMIMM JIiNWill F<MMIHR».Y KMITLNTMIKUUTY (IM
<lll|IV |||M IMMtH (IIIMWMA
flrifwjlfi h^UMMH IIMNIHMIMIM^ MIMMM» |M »IIMMMIMIMM, HM^IM Iii^MWil NWImIMUI-
W{M flftfl iMM|Mł, PM ^tuhlluf I^UM«MIM liii«V |M^VMi(M|ilMWMly MMMMIMMIV, *M^j|fj.V
/tMIMly Klif ulillHCiHfIMMihMIllI" I^ilimfMfti Ml»* IfH MMMiUle
MIM uiMiji.y wliMMiilmiH MM IM MWMMW^IIM IHNIIMWMIIM łviMM HIIHMIIMMIHMM (^)iIn4
HfiS^Miffi M^HIM,
SrlM|iImM,V fllyMMM Oll^IMil^MyiM mH^iIm1|i*K MWMI Mt
M(M IIM |iMM wltl^yl WypIHWMIft M^i WISUIIMIM ImkIYMI»M>MI, hit j|<| M^IMli^i A |lil|MM|,
MM«liyyv^V l>l(f MflluMl>M| 4MIM M»U
MIH ^IMMIMMV IMIM^H4 \V|HMV MMN^IUiny M»« HUIUM iIM MI^WV, Mi4|Mi«Mli4Miy
ihimIMII|ml>m Wpili Wl^rtil IUIhIMH Hll^iililhi«.y i wn*yw|Mu iltvhM IMMlc MiiV<v jpfj iMIMWIM
»»»•* iMH^1 vH MM#M i i -i•
MIMMllhv Mllf IMMM ^yM M>l |)Mnf1 *MtM I«Im|HMl. -m>»IM'. p| ||| !> IPIMIIIHI w I^ll|U|WIM
MM^vWM ImH^ Im fm^ImMI* 1! W^MMhUIM MUIIH # MMhMM, AtM-IM^MMtt
(MH>Mi«\VMMif!
(M^ytlMIINiMIM^M | l>mv^MM|M^M IHMMMMIMK |MMr«<xy ft |M-M

| yiM IM M«HMM!M MMMMMIMIM MIM W»MIMMH HMH^ M« MM wMh^W W i'li*MMilMlhi (IM*
IyIKwytMI^ MM^UWIW iIMI^MM <|(N«M#y^ili|H
fylHM WYIMI^; . MMWh^uyI ^^MM^HHMMW^M.y
(Mul*
iMili It*|<| i «>HIIMWullMlIMM ItlttM
MIMMIUII IPMMM MMIMMeK M«yMMt MIMHIH tłumi
ifft

za bardzo się rozmnoży, powiadasz pan? To się rozpleni ptaki, które ją wydziobią.

Po licznych deliberacjach w sztabie dano satysfakcję generałom, rozwiązując legiony ukraińskie i powołując policję polityczną. Amnestionowany Szuchewycz stanął na jej czele.

Życie Pasikowej się odgięło. Z Kanady mąż ogólnikowo doniósł, że Henio żyje, pisał, że ją zaraz po wojnie sprowadzi, biedy już nie zazna.

Chłopaków nie było. Stefek Sielicki i Henio Pasik nie wrócili z wojny, Martyś z Rosji, Józio Mazurek z Donbasu, Czesiek Skowroński gdzieś tajemniczo przepadał, a z Romka wciąż nie było żadnej pociechy.

Gdyby było jak dawniej, przyszliby z harmonią Hryć i Fyłyp, ale Fyłyp zginął w obozie, a Elżunia śmiertelnie się bała zalotów jednookiego Hrycia. Wrażda głucha stała między Ukraińcami a Polakami.

Bawiły się więc same, jak to na Andrzejki. Kaziunia, Elżunia i Jadwinia zdjęły trzewiki, ustawiały jeden za drugim, każda kolejno stawiała swój — do progu pierwszy doszedł trzewik Elżuni: pierwsza za mąż wyjdzie.

Urszulce na pocieszenie dano łać wosk, ciocia Genia wyławiała z wody placki o postrzępionych brzegach, podstawiła pod lampę, rzucała cień na pobielaną ścianę i opowiadała dziwy dziwne: Kaziunia w karecie, Jadwinia w objęciach chłopca, a Halka — tu już ciota-plota była na pewno złośliwa — prowadzi za ręce dwa bachory.

— Znaczy, że twój Emil z wojska wróci — tłumaczyła Pasikowa.

Urszulce wylał się krwi placek całkiem bez brzegów. Zbysio wystrzelił, że Urszulka będzie krowy pasła. Bliska była płaczu, Pasikowa zatykała ją kawałkiem makownika.

Nad woskiem Elżuni ciotka Genia deliberowała długo. Postawiła go tak — wyglądało jakby las czy ogród. Trudno było coś z tego wyrozumieć. Postawiła inaczej, jakaś duża ryba jakby. Przekreśliła ponownie, na ścianę wpłynął poszarpany kontur.

— Oj, widzę, widzę głowę Elżuni, głowę pochyloną, a nad nią wielka małpa, o, jaka kudłata, ogromna, ręką sięga-

— Jryć — pisnęła Jadwinia.

— Idź ty, głupia — zgromiła Pasikowa — wylejcie dla Elżuni jeszcze raz. .

Ale i drugi raz wylała się Elżuniowa głowa, tylko zwiisał nad nią jakiś okropny profil z dużym czubem.

Mieszkielowa zażegnowała strachy, stawiała sytę i ma-kownikami. Piły drobnymi haustami, za oknami stała noc i nieznana przyszłość. Nagle stwardniała gruda błota wybiła okno i rozsypała się na bawiące się na podłodze dzieci.

Mazurek i Sielicki wypadli na dwór, ale było pusto, ciemno i wrogo w tej listopadowej nocy.

— Trzeba trzymać psy, Pawle.

— Co psy pomogą — spojrzał w stronę dalekich świecących okienek Matwiczukowej karczmy.

Nie, nie przychodził Romek do siebie. Porwie się i robi za trzech, to znów zginie z wnykami. Żarło go coś.

Czesiek zaglądał czasem do siostry. Wytropił wilki zaszłe z Polesia, położył padłego u Szejtusów konia, poszli na zasiadanego.

Czesio wyjął z pnia wyfluszczony karabin z obciętą lufą.

— To z partyzantki?

— Przyda się jeszcze.

Nakryli się jednym kozuchem, stawiali stopy w ten sam ślad. Jeden zostanie, drugi wróci znacząc ślad powrotny. Wilk to nie zając, na którego dosyć zasiąść pokrywszy się prześcieradłem.

Legli pod okapem świerków. Roman wpatrzył się w położoną o dwadzieścia kroków padlinę, z której płoszyli wrony. Przez żebra widać było fioletowe i żółte wątpia.

Czesiek ładował oberżniętą kulę:

— Wejdzie dziurką, wyjdzie wrotami. Nasi partyzanci...

Romek patrzył na oderwane kopyto. Elżunia trwożyła się,

kiedy oczy chłopca robiły się białe.

— Co z tobą? — pytał Czesio.

— Uciekłeś — mówił głucho — mnie powlekli Spróbuj tego kopyta. Ha, ha, ha!... doskonałe kopytko...

Ha... ha... ha!...

Aż przyszła Wilia. Szczęśliwsza, zasobniejsza jak poprzednia. Zbysio szmygał między komorą, podziwiając

ogromną gęś pieczoną, a piecem w kuchni, przy którym tkwiła Pasikowa. •

Elżunia wróciła od parnika, nasypała kartofli dla świń, mężczyźni zadali bydłu, wrócili się przebrać, kobiety i dzieci były wyświeżone, stół zaciągnięto czystym obrusem na sianie, stąpali uroczyście, dziwili się sobie, było święto.

Pasikowa wzięła opłatek, zbliżyła się do Sielickiego:

— Żeby na przyszłe święta z Marusią... r- I z Janem...

Stali skupieni koło talerza, Romek tylko siedział, taki był... Pasikowa podeszła, owszem, pocałował w rękę, przełamał się opłatkiem. Elżunia zbliżyła się, przecież już ułożone było, że się pobiorą:

— Za nasze szczęśliwe życie, Romek.

— Owszem — uśmiechnął się.

Jedli barszcz z uszkami, jedli rybę faszzerowaną. Tego się Pasikowa nauczyła mieszkając z mężem w radomskim garnizonie, wydobywała fasony sprzed dwudziestu lat, niechże zobaczy Sielicki, że to nie „wareniki” i „hołubce” (pierogi i gołąbki) jego chochłaczki.

Sielicki, syn drobnego gospodarza z Pułtuskiego, pojadał powoli, nie znał się na wymysłach, ale rad był widząc tyle dań po kolei — niechże to Boże Narodzenie świadczy połączeniu dwóch gospodarek. Ależ i kutwy ci Jagliczowie — tyle lat dali córce harować.

Spojrzał na Pasikową. Zarzuciła kaszmirową chustę w kwiaty, nie ruszała się z miejsca dyrygując Elżunią i Urszulką. Właśnie Elżunia stawiała misę ze ślezykami z maku. Zbysio patrzył rozdziawiony, z żalem, nie wyliczył, przepchał się, a tu Urszulka niosła słodkie ciasto.

— No, to będziemy wróżyć — Pasikowa pocieszyła chłopca.

Zbysio sięgnął pod obrus, wyciągnął źdźbło bardzo długie, ale pokraczne.

— To takie będziesz miał życie, synu?

Ciągnęła Urszulka — to samo.

— Coś siano z podmokłej łąki — bagatelizował Sielicki.

— Romek — prosiła Elżunia — pociągnij dla mnie.

Sięgnął pod obrus — zgrzytnął śmiechem — pokazał kikutek zgrubiałą, rozczapierzony.

— Takie tam przesady — mitygowała Pasikowa — zapalcie choinkę.

Dzieci wreszcie spać poszły. Starsi mieli jechać na pasterkę. Mężczyznom czas się dłużył, robić nic nie wypadało, grali w zechcyka.

Nagle Brylant począł się szarpać w budzie.

Romek otworzył okiennicę, zamykaną z zewnątrz, pełnię przesłoniła bryła głowy. Głowa była kudłata, pod futrzaną czapą. W napuchłej twarzy stał uśmiech łaszący się:

— To ja, Goldman — posłyszeli schrypty głos.

Wpuścili. Twarz w strupach z odmrożenia, z zastygłą ropą. Zapraszali siadać, pokręcił głową; rozsunał kozuch: pokazał ranę rojącą się od wszy.

Romek wepchnął Goldmana do swojej stancyjki, darł z niego łachy, wyrzucał za próg, krzyczał, żeby Elżunia rzuciła je do parnika, wołał o balie.

Goldman, świecąc poranionymi nogami spod burki Sielickiego, siadł przy drzwiach, chybnął się, dali samogonu.

Uśmiechnął się pokornie:

— To z głodu.

Rzuciła się Pasikowa do komory, wyniosła w zamieszaniu wianek kielbasy, skórka wzdęta tłuszczem, przepachniona smakami, aż w nosie wierciło. Goldman wziął tylko chleb, żuł łakomie. Prawda, zapomnieli, że Żyd, nieśli udo potężne gęsi, położone na pajdzie smarowanej masłem. Ale Goldman z wysiłkiem podziękował. Nie rozumieli, że nie może jeść mięsa z masłem, odnieśli gęś. Jadł ser, jajka, patrzył na parujące ubranie, bał się, chciał iść. Na ostatnim miejscu wykryli, uciekać musiał, trzy dni w stogu siana, w leśnym oparzelisku, z córką, która w gorączce, nie jedli, odważył się prosić o żywność, wróci do stogu, ma pieniądze, zapłaci za zrobienie schronu, zapłaci za żywność, odwdzięczy się, nie będą narzekać.

— Pana pieniędzy, panie Goldman, nam nie trzeba — mówił Sielicki — w stodole schowamy, na odwilż idzie, nie będzie zimno pod kozuchem. Córkę przyprowadzimy.

Goldman bał się. Jutro święto, ludzie będą po domach chodzić, do lasu nikt w święto nie pójdzie. Byle nieco jeść dla Hanki. A po świętach on wynagrodzi, on zapłaci...

Roman wziął za pysk Brylanta, Sielicki patrzył, jak odchodzi. Księżyc stał w lisiej czapie na odwilż, śnieg sypał miękкими płatami.

w

J Kiedy wracali z pasterki, wyjaśniło się. Leżały czyściutki, nie zapisane śniegi. Z rana, gdzie się ruszy żywe stworzenie, zostawi po sobie ślad. Zajęcze — dwa na ukos z przodu, dwa jeden za drugim z tyłu; lisie równym sznurkiem; psie — rozkwitem pięciopazurowym; kocie — w dwa sznureczki; liczne ptasie szlaczki w jodełkę i punkciki wiewiórcze, tuszowane od czasu do czasu ogonem.

— W odligę nie pójdziesz koni kraść — zauważył Sielicki.

— Ale ot, na zające — ożywił się Romek — każdego śladem dojdzie.

Ale któż by się ze strzelbą pokazał pod ten niemiecki czas. Ludzie na pasterce pogadywali, że Ameryka przystąpiła do wojny, że Niemcom źle będzie, że poczną się kontyngenty nad siłę, wywozy do robót, a to i Ruskie na sam koniec wrócą. Jedna dziewczyna w Kaźmierce widziała łąy na cudownym obrazie Matki Bożej.

Sielicki długo obijał z butów narosły śnieg. Marudził z pójściem spać, palił papierosy. Nie chciało się z tej czystej nocy do dusznego mieszkania.

Natrafiał oczami na oleodruk z arką Noego. Korab z wywiniętymi, wypukłymi ścianami płynął wśród realistycznie skłębionych wód potopu, zalewały go fale, z okienek bezradnie sterczały trąby słoni, szyje żyraf i strusi.

— Widzisz, Bronislawo, ten obraz?

Znała go z maleńkości. Na odwrocie był wydrukowany plan arki i legenda wykazująca, gdzie lokowały się które zwierzęta.

— Mnie się widzi, że taka była ta nasza Wilia.

Pierwszy dzień świąt skrzył słońcem. Lasy od Kaźmierki po Jarynowkę otoczyła oblawa. Były w niej oddziały niemieckie, ukraińskie „kruki”, ochotnicy, chłopstwo.

Kulik rozochocony, podpity, łaskawy, mający przy sobie Wójcika jako tłumacza, wydawał ostatnie dyspozycje: Na trąbkę od każdego słupka kwadratowego ruszy po dwóch milicjantów z pałkami. Dochodzić śladami, spędzać Żydów na przesieki z leśniczówek, ze stogów, z wykrotów, ze smołami, z myśliwskich szałasów, budek strażniczych, karmisk dla zwierzyny. Wójcik, mały człowieczek z ostrym nosem i szmyrgającymi oczami, słucał Kulika, cały w przymilnych uśmiechach:

— Pan landwirtschaft mówi, że każdy, kto zabije Żyda, może z niego zdjąć ubranie i wziąć co w ubraniu.

— Jawohl — śmiał się Kulik do niemieckiego oficera — jak polowanie, to musi być polowanie „rychtyg”: psom rzuca się skoki.

— Pan landwirtschaft „aber” — Wójcik uważał za szyk wtrącać niemieckie wyrazy — żąda, żeby każdy swego Żyda zakopał. Będą jeździć wozy z łopatami.

W radosnym podnieceniu pociągnęli w las. Większość była pijana, ale nakazano zachowywać się cicho. Ze wsi położonych o wiele kilometrów szły w tymże czasie takie same zagony. Wyłamali się gajowi, ani ich wyszukać, ale kłusownicy Ukraińcy doskonale się w przerębach wyznawali.

Niebawem rozległa się trąbka, wkrótce potem trzy rozsypane strzały, i cisza.

Strzały na ogromnym obszarze trwały cały dzień. Po obiedzie Kulik przesiadł się w niziutkie, nie kute saneczki w dwa konie szydłem, to znaczy koń przed koń, i prześlizgiwał się przesiekami. Uczestnicy czekali, każdy przy swoich zabitych, ułożonych na wznak nogami do duktu. Za Kulikiem jechał wóz z łopatami.

— Wynik był wspaniały — sto sześćdziesiąt sześć sztuk.

Króla polowania, mającego na rozkładzie siedem sztuk, otrąbiono i dostał obiecaną nagrodę pieniężną.

Podobno tylko na południowym skrzydle przeskoczyła dziewczyna. Zmierch ciągnął, za późno było iść śladem. Speszony myśliwy, który chybił, przysięgał, że ranił, że Żydówka daleko nie pociągnie. Istotnie, co parę śladów widać było drobne plamki krwi. Okazało się, że partacz strzelał grubymi loftkami. Tłumaczył, że do wilków się strzela grubymi loftkami. Fachowcy mówili, że dzik, jeleń i człowiek potrzebują kuli.

Było już ciemno, kiedy wracali czując przyjemne zmęczenie po dniu spędzonym na powietrzu.

Goldman nie zjawił się już u Sielickiego.

Zniosło wojewodę, zniosło starostów. Ziemia została, zostali ludzie zasiedli na niej sprzed wieków. Mowa ich spło

ta się z ukraińską, że nie rozeznasz, obyczaj zrósł pospólny, że nie rozdzielisz.

Buldożer przejechał dom Szejtusów — odbudowali. Sielicki także odgospodarował się. Puścił pędy wyrodny los Pasikowej. Elżunia, straciwszy ojca, znalazła drogę.

Halka uładziła życie bez męża — parska śmiechem, strojąc stancję na dziewic wieczór. Bo jutro ślub Romana, tego jednego, który odgiąć się nie może.

Naszło na dziewic wieczór więcej kobiet jak na Andrzejkę. Swacia Szejtusowa stroi „rózge”, którą jutro swat Pod- horodecki będzie musiał wykupić. Rozsladłszy się pod ścianami piją słodką wiśniówkę, chrupią słodkie ciasta.

Kaziunia Podhorodecka między nimi jak królowa. Wiadomo — hrabskie wychowanie, cumańskie. Podchmielona już nieco Szejtusowa doszeptuje: „i hrabskie nasienie”.

Kaziunia pięknie gra na gitarze. Uproszona, pochyla swoją piękną głowę. Gładko szesany kruczy włos nad czołem anielskim, nad cerą brzoskwiniową. Gibka, wysoka Kaziunia jest królową między tymi dziewczynami, wielbiąc ją — wielbią piękno. Kaziunia śpiewa głębokim głosem:

Zegnam was, góry, zegnam was, lasy, I ciebie echo kochane, Coś śmiech dziecięcia i płacz dziewczyny Unosił w kraje nieznane.

— Ach, jakie to piękne... Kaziunia! Jeszcze Piękne goździki, cudne tulipany... i jeszcze Z tamtej strony jeziora...

Naśpiewały się. Odchodzą wkoło zagadki. Ale to zabawa dla Jadwini i Urszulki... Lepiej w cenzurowane. Jadwinia zbiera głosy. Pucłowata buźka natęży się uważnie, starając się zapamiętać, co kto mówi, potem staje przed osobą siedzącą na cenzurowanym i recytuje starannie:

— Byłam po szerokim świecie. Widziałam i słyszałam. Dużo mówiono. A jedne mówili, że jeżeli róża, to z kolcami, a drugie mówili, że jeżeli drzewo, to skrzypiące, a inne mówili, że kiedy kapusta, to nie dokiszona.

Śmiechy, chichy, głupia Jadwinia nic nie rozumiejąc starannie powtarza plotkowanie Szejtusowej. Na ciotkę Genię, flirciarę ze Złazna:

— A jeżeli Genia, to wężna.

Na Halcę, słomianą wdowę po stolarzu:

— A Jeżeli deska, to nikt Jej nie hebluje.

Na Kazlunę:

— A Jak jabłko, k> z hrabskiej jabłonki.

Pasikowa łagodzi, proponuje śpiewy.

Kaziunia intonuje:

Ty pójdziesz górą, ty pójdziesz górą, A ja doliną..,

Dziewczęta pcticchwyują popularny tekst piosenki. Idą piosenki jedna za druga — te z dawnych czasów i te z ostatniej wojny:

' Przyjdź, ucałuj jak za dawnych lat, Dam ci za to róży najpiękniejszy kwiat...

Pasikowa zatracą poczucie, gdzie jest. Jest młodą Bronką z pałacymi oczyma, siedzi na dworcu lwowskim przy stołach z nie heblowanych tarcic, artyleria ukraińska bije, stara się dworzec utrafić. Porucznik Czubański chochlą starkę nalewa, rozognione twarze śpiewają „dam ci za to róży najpiękniejszy kwiat"... Panie z Ligi Kobiet szlochają, porucznik się drze, że starka kwaśna, Jej Janek bierze ją w ramiona, ślubuje, że to na kochanie wieczne...

Pasikowej serce się ściska na ten ostatni list. Pisze, iż bogato w tej Kanadzie mieszka... a cóż ona, wyrobnicą Sielickich? Pisze, że będzie czekał... A jak doczeka?... Mało to takich, choćby jak ta Kaziunia, na świecie?...

A Kaziunia znowu wzięła gitarę, pochyliła swoją twarz Madonny i śpiewa:

Idź, listeczku, w drogę, Bo ja 166 nie mogę, Jak przyjdiesz do proga, Pochwal Pana Boga.

Jak przyjdiesz do proga... Pasikowa usiłuje sobie wyobrazić — gdzie ten próg? czy wysoki bardzo?...

Jak przyjdiesz blisko, Ukłoń się nisko. Jak wejdiesz do izby, Nie rób wielkiej cizby.

Już ona nie będzie wielkiej ciężby robiła... Byle zaprowadzić Urszulkę miłemu, byle patrzeć na te łuki czoła nad siwymi oczami.

We kwiecień, w samą pierwszą wiosnę, było to wesele. Ziemia aż parowała naporem rodzenia, rankami spod skrajów lasu szedł namiętny gulgot zatokowanych cietrzewi. Romek jeden się nie przebudził, nie. Prawda, dopadłszy Elżuni, dziko całował, ale kiedy dziewczyna usiłowała zagadać o przyszłym pozyciu, śmiał się zgrzytliwie, że strach zbierał. Ale już się wstrzymać, zawrócić nie mogła. Człowiek na tym świecie jest jak w łódeczce na bystrzynie z wiosłkiem niezdatnym. Słodko było czuć, że ta bystrzyna podeszła pod jej życie i niesie.

Wiele kłopotu miała swacha Szejtusowa. Jak wywozić młodą — ze szlochami, przyśpiewami, z posagiem na wozach, z kurami, świnią, krową posażną za wozem, z obsypywaniem ziarnem? Gdzie wywieźć, skoro mieszka w domu młodego? A kto pobłogosławi, skoro matka nie żyje, skoro ojciec w mogile pospólnej w Łucku leży? Czy może Malinowska, ciota-plota, niemal taka sama smarkata?

Rada w radę — zasiadł na ławie Mazurek z Pasikową i ciotką Genią na przyprzążkę. Jakoś to się nie kleiło, Romek klękać nie chciał, tyle że się pochylił do ręki Pasikowej, a Genię boćknął w policzek. Wspaniały swat Podho- rodecki — siwa czupryna, wąs czarny, husarz jakowyś, nie gospodarz — przewiązany przez Szejtusową białym ręcznikiem przez ramię, nie miał jak się wykupić przywożąc młodego, bo młody już był na miejscu; namawiany, aby przyjechać „na niby”, chmurnie odrzucił „te głupoty”.

Szejtusowej mimo wszystko chciało się prawdziwego wesela. Wyprowadzała młodych za próg jechać do kościoła i darła się samotnie:

Zasmuć się mamusine ściany, Jak wyprowadzą Elżunię od mamy, Rańsi, družbanci, rańsi, Bo nie będziemy na mszy.

A družbanci — pożał się Boże, chłopców nie było ni na lekarstwo. Więc Szejtusowa kokardkę swojemu kuternodze przypięła (młockarnia jej syna jeszcze za polskich cza sów pogruchotała), już z ostatecznej desperacji. Zbysio miał družbować, gdy na szczęście z lasów zjawił się Czesiek.

Dawniej jechaliby mimo ukraińskich gospodarek, wszędzie by im drogę grodzono, wykupywać się kazano. Śmiech by narastał i coraz liczniejszy korowód — wiadomo, z ma- leńkości wszystko razem rosło.

Teraz droga była pusta, zza opłotków ukraińskich krzyczały dzieci: „Jezus Chrystus — polska morda.” To nie było urągawisko z Chrystusa, tylko z polskich obrządków.

Siedmioletni Zbysio z mirtem w klapie poprzedzał pochód z Jagusią. Bardzo to foremna była para, niesłychanie solenna, wywołująca ciepłe uśmiechy kobiet. Aniotkę prowadził ojciec, ale napała się, żeby ją na ręce wziął „Wuja- da”. Tak nazywała wuja Adama Sielickiego. Sielicki wziął ją skwapliwie na ręce, mierząc triumfującym spojrzeniem Mazurka: szła między nimi nieustanna walka o względy młodej damy.

Wracali z kościoła przygaszeni, jakby chyłkiem. Co się stało z ich ziemią, że zmiękła, że przekradać się muszą, by rychlej do domu? Dziewczęta były zmierzchłe, pobiegły rano wróżyć z baziak, wróciły zmieszane, nie chciały mówić, jak wróżba wyszła.

Droga biegła koło Matwijczuków. Ksiądz zabronił ślubu w sobotę i niedzielę, więc na szczęście koło spelunki nie kręcili się ludzie. Matwijczuk ciągle grał przyjaciela, ale przed paru dniami, podpiwszy, ubolewał do Sielickiego: „Złe bude, kume. Nasza derżawa przykaże Lachiw rizaty, Boże spasy.”

Przed obejściem stał Hryc. Czapki nie zdjął. Panem Bogiem nie pozdrowił, wilkiem patrzył, pijany, może?

Impetyczna Szejtusowa zbliżając się na drugim wozie, wzięła się pod boki, zaśpiewała:

Stoi, patrzy nasz Hrycio pod chmielem, A Elżunia od ślubu z weselem. Zagrajcie mu, muzykanci, Niechaj z Elżunią potańczy.

Już jej wóz się równał z chmurnym mołojcem:

Ob tańcował trzy razy dokoła, Zwisła, zwisła już Elżuni głowa,

Oj, biada ci, Elzuniu, biada, Nie uprosi, nie zhołubi nikt gada.

W speluncie Matwiczuków zbierała się już tylko sama swoja kompania. Wprawdzie przestali zachodzić na kieliszek Polacy, ale stokrotnie wzrosła inna klientela: czarne „kruki”. Zagrożone wysyłką na roboty przyfrontowe, uciekały z ochotniczej policji z bronią w lasy. Teren był słabo przez Niemców obsadzony, tyle że trzymali linie kolejowe i Kulik robił wypadki kontyngentowe.

Był to styczeń 1943 roku i w speluncie kurzyło się od suszących się ubrań. Tego dnia było święto Jordanu i na pamiątkę chrztu Pana Jezusa mołojcy skakali w pełnym ubraniu do przerębla ku zachwytowi dziewczuch.

Matwiczyczna nie nadążyła stawiać półgarncówek grzanego samogonu z miodem. Na honorowym miejscu siedział did nie did, ślepy chyba, bo w niebieskich okularach, brodaty, jak się patrzy, ale niesiwy, w świetle samodziłowej, z lirą na rzemieniu przez ramię, ale nie była to lira, tylko raczej gitara z zakrętką, w której struny były w walcu półokrągłym, wyciętym, aby dać dostęp palcom.

Did śpiewał:

Taj sto jaw, sto ja w sotnyk Honta u stepu try nedili, Nadjichały Smilanczyki, taj win sia im zwiryw: „Hodi, hodi, sotnyku Honto, u stepu stojaty, Chody z namy, kozakamy, Umań hrabuwały.”

t- Ty lepiej, didu, im rozpowiedz, co mnie mówiłeś — mówi Hryć.

— Ce szło do nas, ditky, z toj storony, z Hałyczyny. Z Żydami Niemcy porządek zrobili, ale Lachy to nasza sprawa, ditky, oj, nasza. Jak Niemcy we Lwowie rozegnały nasze wjśko, policju ukraińsku zrobiły, baczyły my, że czas taki idzie. Na nasz rejon przyjechał oficer w Niemcach wycuczony! Fedor Poddubny i jego brat takóž szkolony. A na miejscu, w seli, sołtys był Nicypor Poddubny i jego brat. Ogłosili oni za każdego zabitego Lacha pół funta tytoniu i żadnej od Niemców kary, a temu od derżawy nagrodę obiecali, który wymyśli najlepszą mękę.

W nedilu w Poryčku Lachy zibrałysia, pięknie śpiewają- Mołeben odprawia uczony ksiądz, Szawłowski, z Łucka pro fesor. Ukraiński chłopiec w artylerii konnej służyłj skły- kaw chłopców, okrażyli kościół. Poczęły wtikaty Lachy, ale ich pięćdziesięciu trzech z księdzem Szawłowskim w kościele ubiły, po zbożach ganiali, wyciągali schowanych, razem sto siedemdziesiąt żywota łyszły.

— Ha, ha!... dużo tytoniu poszło. A nagrodę kto dostał?

— To nie w Poryčku, a w siole Belarka. Tam Filimon Karpiuk, Pimonów syn, sołtys przedwojenny, wykłuł Kajetanowi Kopijowi oczy, obciął nos i uszy, i przyrodzenie, nie dał ran opatrzeć, pół dnia Kopij męczył się.

— Maty preczystaja! — plasnęła w ręce Matwiczyczna — tak męczyć człowieka...

— Nasz pop w Harasimówce mówił, że rozgrzeszenia nie da, kto Lachiw ne bude rizaty.

— Co byś nie robił dla derżawy, nie ma grzechu — błysnął nie wybitym okiem Hryć.

Ale Adam Jachymeć z synami wymyślił lepszą sztukę. Złapali księdza Piotra Dąbrowskiego ze wsi Michałowce i Pawła Dawidowicza ze wsi Perełysianka, rozerżnęli im brzuchy, nasypali do brzuchów mąki i zawołali świnie, żeby im kiszki wyjadały. Tego sposobu nauczyli się inni. Tak samo dali skończyć doktorowi Żeganiowi. A w kolonii Wieże to rozebrali do goła Józefa Bobera i Choreżyczewską Paulinę, brzuchy delikatnie rozcięli, sznury za kiszki przewlekli, do jednej sosny przywiązali i tańcować kazali.

— Czujete... chtoś ide...

Istotnie ktoś na ganku obijał śnieg. Dziad zaczął śpiewać.

Pasły pastyri wiwci na hori I uwydiły Matir Bożiu na skali, Na tij skali stopku znaty, De stojała Boża Maty.

Wszedł Podhorodecki, powiódł zdumionym okiem po si- wo-czarnych mundurach, po pistoletach, twarzach nieznanomych i groźnych. Wiedział wszak, że policja ukraińska w większości w lasy uciekła, o rozpoczynających się rzeziach już słyszał, ale to za Derażnem gdzieś było. Matwiczuk zakrzętnął się, nalewał kieliszek, zapraszał. — Świnie przyprowadziłeś? Siadaj. Waluś, Hryćko, idź, wypuść knura, my tymczasem czarkę wypijem.

— Dobrze, braćku, już ja tej świni dogodzę. A może, daj Bih, my ją jeszcze pokarmimy, jak w Perefysiance agromy karmić uczyły. Buchnął śmiech.

W tę sobotę, trzydziestego stycznia 1943 roku, ciepło i przytulnie było w domu Sielickiego. Kogo porwał czarny los, to i porwał. Ale w listopadzie urodził się malutki syneček Elżuni, taki zabawny — jak matka pulchny i różowy, jak ojciec mający bujny czarny lok. Mały był taki komik, że nawet ponury Romek miękł patrząc na niego. Wieczorami zwykł siadywać przy niemowlaku trzymając różową piętęczkę w ręku. Jakby z tej piętęczki sączył się balsam.

Elżunia jako matka musiała się dobijać swego prawa do przewinięcia niemowlaka nie tylko u Pasikowej, ale i u Urszulki. Dziewczynka, aczkolwiek szło jej na piętnaście, poszła w matkę, rozkwitła wcześniej, zaokrągliła się. Pieszcząc Elżuniowego syneczka zaspokajała niewyżyte instynkty.

Ale najbardziej łapczywy do stowarzyszenia się z niemowlakiem był stary Sielicki. Jego niewyżyta tęsknota po małej Zuzi, którą prznosił na Aniutkę Mazurka, teraz znalazła sobie ujście przy małym. I teraz siedział przy jego koszyczku, zaśmiewał się, jak malec nastawiał jeszcze nie całkiem wyregulowane oczka, niczym czarne paciorki, i coś tłumaczył: „A gy... ghy”...

Drzwi skrzypnęły, Pasikowa wracała od Podhorodeckich, którym pomagała przygotować imieniny, bo przedwczoraj już było Walerego, patrona Podhorodeckiego, który przesunął imieniny na jutro, na niedzielę.

Walery powiedział, że te imieniny będą jak przed wojną, za nieboszczki.

Kaziunia podrosła na gospodynię w domu i ludziom trzeba się wywdzięczyć za wesela, co po nich jeździli.

— Piotr nie przyjedzie — zauważył Sielicki.

— Ale Antoni z rodziną przyjedzie z Derażnego, szwagier jego Słowikowski z Bender, a co sąsiadów nawali! Walery wieprza zabił, nagotowali my wszystkiego czego. Na... — tknęła im wianek kielbasy i makownik. — Od Matwijczuka wiadro samogonu sprowadził, od Mazurka miodu.

808

— Wiadomo — zakonkludował Sielicki — córka jak krew z mlekiem. Kawalerów zleci się jak na miód.

— Gdzie tu teraz brać tych kawalerów.

Nad ranem brnęła Pasikowa tunelem śnieżnym do udoju. Mróz stał iskrzący w cichej nocy. W suchym powietrzu od obejścia Podhorodeckiego dochodziło gwałtowne ujadanie psów. Zdziwiła się, że tak wcześniej zajeżdżają pierwsi goście familianci.

Kiedy po dojeniu okrążała z pełnym skopkiem oborę, czerwony obrzeżek zaczął się wznosić znad lasku, który oddzielał ich gospodarstwa. Wpadła do domu, budziła Adama i Romka:

— Ogień u Walerego!...

Ubrali się śpiesznie, wypadli, luna już stała na niebie. Szybko rzucili na sanie siekiery, łopaty, bosaki. Romek zaciął konia.

Droga do Podhorodeckich rozwidła się w lasku w stronę Matwijczuków. W pierwszym rozbrzasku zobaczyli sylwety sań przecinających im drogę. Z sań biegły pijane okrzyki i pohukiwania. Kiedy już niesamowity kulig wjechał na drogę do Matwijczuków, biegnącą niemal równoległe przez rzadkie sosenki, uderzył śpiew:

Wiźmem bahnety w ruki, Pidut' Lachy na krywawi muky, Ukraina-maty dast' nam pohulaty, W czystim poli Lachiw wyrizaty.

Kiedy śpiew zaciął, uwiązali konia do drzewa, nakryli kożuchem i skradać się poczeli ku brzegowi lasu.

— To tylko stajnia się pali — skonstatował Sielicki. Wkoło nie widać było ludzi. Ostrożnie wchodzili przez otwarte na oścież drzwi na ganek. Do świetlicy na lewo drzwi też były otwarte. Zobaczyli trupa Podhorodeckiego, z rozciętym brzuchem, do którego nasypano otręb. Cienkie jelito wywinięte z brzucha było przywiązane do klamki.

Odwrócili się na cichy jęk. Pod ścianą na stercie wywalonych pierzyn leżała naga Kaziunia. Dziewczyna umierała.

— Kazali mi grać Jeszcze Polska, jak ojca... A potem... — Obok leżała strzaskana gitara.

309

Jeszcze w końcu 1942 roku trzy ciężkie bombowce załadowały w Moskwie stu kilkudziesięciu partyzantów pod dowództwem pułkownika Miedwiediewa i pozrzucały ich na Wołyniu z dużym rozsiewem, tak że wszystkie trzy grupy zatraciły na razie kontakt ze sobą. Sam pułkownik Miedwiediew wylądował pod Rokitnem, przesunął się w dół pod Rudnię Borowską, gdzie partyzanci jego sklecieli w lasach „czumy” z łapek jodłowych, układając się w mrozy w gwiazdę, głowami do płonącego w środku ogniska.

Wkrótce Wołyn, już nasycony po lasach najprzód dezertkami, a potem zbiegłą policją ukraińską, poczuł działanie nowego czynnika.

Niemcy przeprowadzili kabel podziemny ciągnący się wzdłuż szosy Łuck—Równe—Kowel—Zwiahel do kwatery Hitlera położonej o dziesięć kilometrów od Winnicy, między wsiami Jakuszyńce i Strzyżówka. Prace przeprowadzono w ścisłej tajemnicy, nocą, rękami dwunastu tysięcy jeńców rosyjskich, których potem zabito. Partyzanci pułkownika Miedwiediewa systematycznie przerywali kabel w wielu miejscach, starannie maskując z powrotem darnią rozkopaną ziemię.

Partyzanci mieli wywiad dokładny we wszystkich warstwach ludności. Między innymi ich agentem był Polak Daugier, pracownik leśnictwa Klesów, i jego córka, buchal-terka w Wirach.

Niebawem ukazały się nowe formacje partyzanckie, złożone z regularnego żołnierza radzieckiego pod dowództwem majora Frołowa. Te formacje już podejmowały bardziej zwarte działania ofensywne. Szesnastego lutego mjr Frołow ruszył na Łuck, detaszując stu piętnastu ludzi na lasy cu-mańskie. Niemcy zastąpili tej grupie drogę pod Karaczumem, ale partyzanci się przebili i poszli na zachód. Na ich miejsce teren zasiał się w sposób wzmożony partyzantką dziką, aż znowu dwudziestego trzeciego lutego 1943 roku pojawiły się na północy Wołynia regularne oddziały dywizji sowieckiej generała Kowpaka, która odbyła po terenach zajętych przez Niemców legendarny marsz z Białorusi aż w Karpaty.

I znowu, po przepłynięciu dywizji, jak po odpływie morza, pojawiały się oddziały ukraińskie, melnykowcy z formacji pułkownika Melnyka (nie mieszać z bandytą Melnyk-Orłem) zwalczali banderowców. Banderowcy jak i melny-

kowcy zwalczali „Bulbę”. „Bulba”, olbrzym o tępej, okrutnej twarzy, o wydatnej dolnej wardze i brwiach ściągniętych nad wodnistymi oczami, kontynuował anarchiczne tradycje bat’ki Machny, tak żywo odradzające się na hajdamackiej ziemi. Toteż włóczył się po lasach, kto w Boga wierzy: dezertki z armii sowieckiej, dezertki z obozów jenieckich, bandyci z zamiłowania — przedwojenni kryminaliści, i bandyci z musu — czasu wojennego. Wszystko — w piórkach jakichś ad hoc wynalezionych ideologii. Znalazł się nawet oddział polski w stu ludzi, sformowany przez eks-ułana Antoniego Grabowskiego ze wsi Jamne pod Kiosowem, grasującego pod pseudonimem „Chrancuz”. Był to oryginał, nieodmiennie z parasolem i w kaloszach na bosą nogę. Ludności polskiej nie bronił i tracił rychło adherentów z popalonych osad polskich.

Marzec 1943 roku. Osadzony ponownie na nadleśnictwie Laskowski omknął starannie dom i zasiadł z żoną i teściową do kolacji Rozległo się dyskretne pukanie. Przez wziernik ujrzał żołnierzy w radzieckich płaszczach i hełmach. Uspokojony, otworzył. Podoficer zakomunikował, że mają sprawdzić, czy Laskowski nie przechowuje broni. Laskowski oddał im służbowy karabin. Wówczas otrzymał cios w głowę kolbą tegoż karabina. Wypchnęli go do sieni, zdzierali mu obrączkę, zegarek, ubranie pośpiesznie, milcząco. Ręce drżą bestiom żartym niecierpliwą chucią. Wygarnęli zapasy z komórki, wepchnęli w nią Laskowskiego i Hufnerową, przekreślili zamek. Rozległ się krzyk pani Małgorzaty, tupot nóg, wściekłe ujadanie pekińczyka, nagle urwane skowytami. Potem już tylko cisza, w której coś się działo. Przeraziłszy, wyrwany spod łapy zaciskającej usta krzyk: „Ge-niek!”...

Słyszeli potem tupot po domu Hs najwidoczniej ładowano w worki, co się da. Potem — stuknęły drzwi od wyjścia.

Pani Małgorzata, slaniając się na nogach, otworzyła drzwi od komory. W domu był nieład powywalanych szuflad i krwawa plama na podłodze — rozmiażdżony pekińczyk.

Hufnerowa zabrała córkę do swego pokoju, poila kroplami laurowymi. Laskowski pocałował żonę w rękę: — To jest tak, jak gdyby koń ciebie kopnął.

Kiedy został sam, wy dobył zatajoną broń. Postawił

skrzynkę naboju do sztucera, wziął napilnik i odpiłował czubki stalowych koszulek. Stal była twarda, napilnik ześlizgiwał się. Laskowski kaleczył sobie palce, ale pracował coraz zacieklej. Potem to samo zrobił z nabojami do pistoletu. Wreszcie do swej wielkokalibrowej dubeltówki dwunastki wprowadził dwie kule żeganowskie, duże kawały ołowiu na drewnianym czopie, resztę ich umieścił w myśliwskiej torbie. Piłując myślał, jak takie kule rozwalają klatki piersiowe, wysadzają mózg na wierzch, wyszarpują bebechy. Im więcej nim miotało, tym zawzięciej piłował, aż białym rankiem zastał go gajowy Śmietanka zapamiętałego nad stosem amunicji.

Śmietanka przyprowadził ze sobą chłopca ukraińskiego, u którego napastnicy, wracając tej nocy z leśniczówki, zabrali rower. Chłop mściwie naliczył poza przebranymi w rosyjskie uniformy jeszcze dziewięciu. Skarżył, że był między nimi Josyp z Polanówki i Hnat z Postojnej, i Dorot Stup-nyckij z Rudni, i Wasyl Kwitko ze Złazna.

Trzy tygodnie tropił Laskowski ze Śmietanką sprawców. Malinowski, mąż Elżuniowej cioty-ploty, kupił w Złaznem spodnie od Kwitki, zrobione z płaszczu Laskowskiego.

Wtedy Laskowski pojechał do Derażnego, zawiózłszy tam żonę i córkę pod Kulikową opiekę i żądając pomsty. Kulik, który otrzymał oddział trzydziestu żołnierzy, poszedł na to całą parą. Wszak Hufnerowa i pani Małgorzata były Niemkami, a Laskowski upatrzonym administratorem jego Wołyńskich nadań.

Patrole, rzekomo rozesłane po kontyngent, wyłapały w jednym dniu wszystkich uczestników napadu, z wyjątkiem Kwitki i Stupnyckiego. Potwornie pobici, zostali wrzuceni do piwnicy pałacowej w Derażnem — rezydencji Kulika. Laskowski, z karabinem między kolanami, całą noc siedział w fotelu czuwając, by nie uciekli. Nazajutrz, kiedy ich odstawiono do Kostopola dla wydobycia dalszych zeznań, jechał na ostatniej podwodzie z palcem na cynglu. Był przy ich egzekucji. Ale czuł się jak człowiek, który się opił, a przecież pragnienie go dręczy.

Lukę powstała po rozbiegnięciu się pomocniczej ukraińskiej policji Niemcy załatali włosowcami (sformowanymi z jeńców radzieckich). Kulik otrzymał ich kilkudziesięciu na dodatek do niemieckich żołnierzy. Znow należycie obsadzono gminy. Charków już padł, o zasiewy dbać nie ma co. Ścisnąć Wołyń, scedzić z niego cały życiodajny sok w żywności, w ludziach, zostawić Iwanowi puste pola, spalone wsie.

Kulik czyta przemówienie swego szefa, Ericha Kocha, na niemieckiej odprawie: „Jesteśmy narodem panów... przybyłem, by pomóc fuehrerowi... Jesteśmy narodem panów i musimy uświadomić sobie, że najprostszy niemiecki robotnik jest pod względem rasowym i biologicznym tysiąc razy więcej wart aniżeli tutejsza ludność... Kto się ociąga, dostanie mocno w pysk... Gdyby silnie chwytano za rękajeść, niejedno wypadłoby inaczej.”

— Jawohl — uderza Kulik pięścią w gazetę. On też zawsze tak mówił. — Wójcik!...

Człowieczek o szczurzym pysku wsuwa się bezszelestnie. Widać już czekał na wezwanie po wiadomościach, które przyszły z Jarynówki: wczoraj miał odejść kontyngent stu osiemdziesięciu ludzi na roboty do Niemiec, i wszystko się rozlazło. Wójcikowi to na rękę, bo zaufanymi ludźmi Kulika w Jarynówce byli Matwijczuk i Samotyja. Matwijczuk, inspirator i organizator noworocznego polowania na Żydów, po ucieczce Hrycia z „krukami” musiał się stuszować, ale nalewki Matwijczychy w ręku Samotyji zostały. Ze swoim błaznowaniem umiał się przypodobać jowialnemu Kulikowi. Wójcika wpływy przez córkę nałożnicę zawieszono były na nitce. Teraz jednak, kiedy „osa australijska” wylęgła się po komendanturach nadmiernie, Wójcika szanse jako Polaka mogły wzrosnąć. Pisarz gminny za carskich, potem sanacyjnych czasów, widział już siebie dowódcą jakiejś na zmianę polskiej policji pomocniczej. Własowcy nie wystarczą, a zresztą i wśród nich jest dużo Ukraińców. Rzezie ludności polskiej poczęły również dezorganizować kontyngenty. Kulik w swoim pałacu siedzi coraz bardziej odizolowany.

— Samochód — szczechnął Kulik — jedziesz ze mną do Jarynówki.

W Jarynówce już czekał przymilny Samotyja. Przeczynał, że tym razem nie wykpi się nalewkami ani błaznowaniem, ani drobnymi donosikami. Przywitał więc Kulika wyprężony („stramm”), meldując służbistym głosem papiery ze spisami przeznaczonymi do transportu.

Kulik wysiadł jak chmura gradowa. Przyszedł meldunek, że dr. isiejser. ej nocy partyzanci wykołeli pociąg ze zbożem, które natychmiast ro schwytała ludność.

Wójcik, ruszając szczerzymi szpikulcami nnpomadowa- nych wąsików, meldował, że ludzie stę stawili na punkt sbórny, ale nie podstawiono furmanek, które ich miały zawieźć na kolej. Rekwizycja furmanek to właśnie był obowiązek Samoty.

— Furmanki im były potrzebne do rozgrabienia pociągów — sapnął Kulik i kazał skuć Samotyję,

Po czym połączył się z Berezem, najbliższym punktem, gdzie w większej ilości stacjonowali Niemcy, i kazał przysłać wszystkie siły roiporządalne oraz na porekwirowane furmanki załadować czterdziestu ludzi z łopatami.

To było w poniedziałek dwunastego kwietnia 1943 roku, o godzinie ósmej rano, kiedy Kulik wydawał swe zarządzenie.

W tymże czasie Mazurek 1 Sielicki byli z Aniutką w polu. Tartak od kilku dni stał i postanowili wysprężynować spłacheć pod kartofle. Tak raz po raz wraca niemożliwe iycie.

Słońce łaskawie przygrzewało, dziecko szczebiotało razem z ptakami i obaj czuli, że im serce odlega.

Mazurek bronował, Sielicki siedział w rowie z Aniutką. Patrząc na bożą krówkę na ręku, wróżył dziewczynce, co im ciocia Pasikowa da na obiad:

— Kluski ze skwarkami, bliny ze śmietaną, kluski ze skwarkami...

Krówka poderwała się na kluski ze śmietaną. Dziecko zaśmiewało się:

— Wujada taki śmieś...

Nie umiała jeszcze powiedzieć „śmieszny”.

Na polnej drodze, idącej w dół ich pola, ukazał się Szej- tus. Wstrzymał konia:

— Adamie, w Jaryńówce Niemcy doły kopać kaza.

— Charków Ruskie wzięli, to im pilno pozycje budować — odpowiedział Sielicki.

Ale go naraz coś tknęło. Zostawił małą ojcu i wszedł na wzgórek spojrzeć na drogę z Jaryńówki. W leciuchnej, złocistej mgielce pogodnego dnia zobaczył r«ąd pojedynczych

Jk

furmanek, po sześciu Niemców na każdej. Przeszedł lasek, by spojrzeć na inną drogę, i zobaczył inne furmanki, z których jui wyskakiwali Niemcy z własowcami.

— Okrążają — pomyślał. Biegł do Mazurka ostrzec, zobaczył, że jui go biorą, zawrócił, ale 1 jemu drogę przecięli.

Kiedy, spędzani ku szosie, obejrzeni się, ujrzeli, jak z poszycia domu Mazurka wydobywają się płomienie.

Przed szkołą w Jaryńówce jui obie strony drogi zaległ tłum pospędzanych ludzi. Oddzielnie trzymano podwodni- ków z Berezna z łopatami. A więc, istotnie, będzie się kopać pozycje. Dwa ciężarówce z nakierowanymi cekaemami stały z dwu stron.

Ze szkoły wyniesiono trzy stoły. Trwoga padła na ludzi, kiedy wyprowadzono Samotyję w kajdanach. W rękach połączonych łańcuszkiem trzymał spisy. A więc wywózka... Tym bardziej że niektórym kazano zabrać rzeczy. To dlatego czekają te podwody. Tylko dlaczego podwodników ustawiono z łopatami?

Jui pędzono kolejkę na rejestry roztasowane na stole. Przy Mazurku była adnotacja: „syn Józef”, i skierowano go do grupy na prawo. Przy Sielickim było napisane: „nikogo w rodzinie”, i poszedł na lewo. Domyślał się, że Niemcy załatwiają dwie sprawy: tych, którzy mają wyręczycieli, wywożą do Niemiec, a tych samotnych zostawiają do kopania okopów. Widać Samotyja nie zapomniał mu spółki kontyngentowej, jak Mazurkowi nie darował zniewagi od Józka.

Teraz z grupy Mazurka poczęto wywoływać rodzinami i wraz z rzeczami kierować do szkoły.

Pierwszego wywołano Szejtusa z ioną i siedmiorgiem drobiazgu, najmniejsze na rękach.

Potem wywołano Nowa czka z ioną, w tydzień po połogu, i niemowlęciem na ręku.

Z grupy Mazurka przebiegł do dzieci w grupie Sielickiego dziewięcioletni Wojtuś Woliński. Matka pobiegła za nim, ciągnąc z powrotem, ale Niemiec, który przeoczył, że jest z tamtej grupy, jui jej kazał z synem zostać.

Nagie tłum zamarł: tui za szkołą rozległa się seria. Skupili się ku sobie. Zrozumieli. Woliński, błądy, podnosi ręce, krzyczy: „Stójcie tam!...” Mazurek usiłuje wypchnąć Aniutkę do Sielickiego Przysiada ku niej, z lekka popycha: „Idi do wujady...” Coraz to nowe rodziny są ppychane do szkoły. W grze

choć strzałów Sielicki wabi „tu pień, tu kłoda”, uśmiecha się, błaznuje.

Przeżalone dziecko kurczowo trzyma ojca za nogawkę, nie daje się wypchnąć w pustą przestrzeń.

Już wszystko jasne. Dwunastoletnia Bajorówna rzuca przez tę przestrzeń przyjaciółce lalkę i mówi zardzewiałym głosem:

— Na, już mnie niepotrzebna ona. — I już wraz z rodziną jest pchana do "szkoły.

Na piasku miota się Sielicki, gdacząc, mecząc, wabiąc. Aniułka jest śmiertelnie przerażona. Już się nie uda...

Już pusto...

— Marsz! — krzyczy Niemiec do Mazurka. Mazurek na próżno chce odczepić kurczowo zaciśnięte rączki.

— Marsz! marsz! — Niemiec podsadza dziecko kolbą jak nawóz szuflą.

W szkole przepchnięto Mazurka z Aniułką korytarzem do sali szkolnej, z której drugie wyjście wiodło na podwórzec za szkołą. W sali tej już zostawało tylko wąskie przejście wzdłuż wału ubrań i butów. Mazurek począł zdziewać ubranie. Gestapowiec zszarpnął z Aniułki sukienkę w kwiatki.

Mazurek skoczył sam ku wyjściu.

— Halt! ... — Schwytali go, wtłaczają Aniułkę w ramiona. Broni się. Skrępowali mu ręce paskami ze stosu spodni, przytroczyli mu Aniułkę do piersi.

Dziecko skulone, szybko oddycha.

— Marsz!...

Z placyka. Ścieżynką. Za drewnutnię.

— Schneller! — bo to już Mazurek ostatni.

Kłuty bagnietami, półbiegnie z przytroczonym dzieckiem, już okrąża drewnutnię, pierwsze, co widzi, to dwu Niemców ze szmajserami, palących papierosy, potem dół.

Stanął nad nim tyłem do strzelających, osłonić Aniułkę. Resztką ziemskiego spojrzenia rozeznał trupa Bajorówny na grudzie ciała.

Teraz ruszono kopaczy. Sielicki wbił szpadel w ziemię, ujrzał ciało Mazurka, które padło bokiem, dziecko nie dobite podniosło nań oczy.

— Wuj ad a...

Czuje pistolet na karku.

Zwłoka. Naciśnięcie zimnej stali...

Szpadel sam miotnął ziemię — prosto w twarz wołającego dziecka.

Niemcy moszczą się na podwoły. Siedzą wysoko na belach ubrań. Wkoło porozrzucane wybrakowane szmaty. Kulik krzyczy bałtycką ruszczyzną do rozkutego Samoty tak, aby wszyscy słyszeli:

— Żaden tu krzyż. Kto krzyż postawi, sam leżeć. Droga przeprowadzić tędy. Wójcik na wóz. Co się dzieje?

A Wójcik w krzakach wymiotuje.

Już słońce się kładzie. Rzucając długie cienie schodzi kolumna kopaczy. Przez piasek wycieka krew dwustu trzydziestu dwóch, usiłuje wyłobić ściek, krzepnie.

W szybko zapadającym zmierzchu kolumna kopaczy rozsiąka po drózkach polnych. Idą ku wieńcowi zgłiszcz, które szerokim kręgiem jarzą się dookoła Jarynowki.

Podhorecki zasiedział się do późna z landratem, który wreszcie udał się do treuhandera na spoczynek. W sztynnym, aż hieratycznym szlafroku, w złote haftowane kwiaty na czarnym tle, siedział w czerwonym fotelu z wysokim wezłowiem i usiłował czytać. Nie sypiał teraz do późna w noc. Gdyby mu kto powiedział, że jest miotany myślami, zdziwiłby się, uważając wszystko w swoim życiu za uregulowane i bezsporne. Twierdził, że człowiek doskonały odróżnia się od bipedów¹ tym, że poddając się nieubłaganemu sensowi stawań się, zaprzęga życie do swego rydwanu.

Dzięki takiej filozofii przeniosło hrabiego przez rafy tej "jakiejś Polski bez zbytecznego zaburzenia konkocji, a obecnie jakoś przenosiło przez tę całą okupację. Dostał wprawdzie treuhandera, który podkradał, ale na szkodę Reichu, a poza tym sympatyczny ów rolnik spod Mannheim był wyznawcą zasady „Leben und anderen leben lassen”. Land- rat, wiedeńczyk, wyszczał mu, co prawda, za wiele napo

leona, ale byli to ludzie dobrze wychowani i taktownie nie rozmawiali o polityce.

Naokoło jednak poczynano się robić nieprzyjemnie. Przede wszystkim u hrabiego przestali bywać sąsiedzi. Podhorecki na to wyniośle błyskał monoklem, bo wiedział, ile koniak wypity przez landrata kosztuje Rzeszę w ulgach dla Łącznej. Te szlagony to lis i winogrona.

Poza tym, po rozbiciu tego tam Hubala, zaczęły mnożyć się sabotaże. Paliły się sterty na polach kolaborantów, wylatywały mostki, które już przestały czekać na Sikorskiego. Wprawdzie po upadku Francji rząd emigracyjny nakazywał wstrzymanie akcji, ale przecie ten rząd w swoim czasie zabraniał Hubalowi i partyzantki. Jeśli więc ów Hu- bał był skoncentrowanym wrzodem, który pękł, dzięki Bogu, to teraz z Hubalczykami nie uporządkowane swędzenie rozpełzło się wszędzie.

Podhorecki bynajmniej tchórzem nie był. Równocześnie nie był kandydatem na bohatera. Limfa moralna w tym wymonoklowanym podagryku miała składnik nieskomplikowany: to się robi, a tego się nie robi. Podhorecki był niejako fizycznie niezdolny sprzeciwić się tym jasnym nakazom.

Maryśka, która przybyła z listem wprowadzającym od kogoś „z towarzystwa”, została poczęstowana herbatą. Podhorecki zwykł był mawiać swoim powolnym, nie spieszącym się głosem:

— A jak kto pije herbatę łyżeczką, to już wiem, z kim mam do czynienia.

Maryśka chciała być wykwinna, piła herbatę łyżeczką, i to wystarczyło, że przestano ją uważać za gościa i wyprawiono. Było poza dyskusją, że pewną kategorię ludzi się przyjmuje, a inną nie. Polską rządzą ludzie pijący herbatę łyżeczką i Podhorecki obraził się na Polskę na całych lat dwadzieścia.

Egoizm Podhoreckiego był tak sublimowany, tak totalny, tak harmonijny i stylowy, że aż przestał być wadą, stając się, po prostu, cechą. Wypływał z pokładów podświadomości, że muszą ludzie pracować, żeby on z Haukiem mógł smakować przeróżne. smaczki. To był ten naturalny układ świata, który po to stworzył korzenie, ażeby wyprodukować kwiaty.

„Kwiat”, rzecz prosta, miał też swoją misję, a misja swoje ciernie. Podhorecki z uczuciem zmęczenia opowiadał, jak po całej Europie szukał wanny marmurowej z jednej bryły, której kamieniołomy w Carrarze dlaczegoś tam nie umiały sporządzić, albo jakie ofiary poniósł zdobywając do swego zbioru monet wczesnogreckich pieniążek z Minotaurem.

Kiedyś, za lat studenckich, będąc z wycieczką wioślarską w Korneuburgu pod Wiedniem, chciał wyminąć tłum gapiący się na pożar, ale posłyszawszy płacz dziecka poszedł w ogień na swoich cybatych nogach. Kiedy matka całowała jego poparzone ręce, poprosił ze znużoną miną o dorożkę, przerywając co prędzej wulgaryzowanie się. Po prostu natknął się na sytuację, w której to właśnie się robi.

Podhorecki więc tchórzem nie był, ale od czasu zajścia z Sielickim to, co się poczynano dziać wkoło Łącznej, „nudziło go”. Był to u niego stan duchowego zagrożenia, równy u normalnych ludzi poczuciu bankructwa albo zawiedzionej miłości.

Za Pilicą, do której przylegał park, Niemcy przeciągali wąskotorówkę, przy czym raz po raz coś tam wyskakiwało, psuło się, paliło, zatapiało, tak że przeciągnięto gęstą sieć posterunków. Te sprawy działy się za gęstwą starodrzewu, ale teraz liście opadły, hrabia z okna sypialni na wysokim parterze widział przez przestrzał obnażonych konarów świeże tarcice jakiejś szopy, i widok ten go uwierał. Uwierali go jacyś ludzie w maciejówkach, których zbyt często poczynął spostrzegać. Zanotował sobie, że jego Józef, służący od lat trzydziestu, potomek czterech pokoleń lokajskich w służbie Podhoreckich, ma coś tam do gadania z tymi ty-pami. Coś podchodziło pod same sztachety parku.

Była już chwila, kiedy to coś, w mundurach, z granatami u pasa, dotarło aż do nietykalnej osoby Jaśnie Hrabiego i wzięło go „za orzydle”, po chłopsku, jak kiedy poczynają się bójki na jarmarku w cuchnącej kwaśno piwskim karczmie, i pchnęło go ręką Sielickiego o ścianę raz i dwa, i trzy, aż Podhoreckiemu monokl wyleciał z oka.

Ten zwłaszcza fakt upuszczenia monokla „nudził” go. Monokl, jak i spiczaste lakierki, które nosił na co dzień, niewygodne, wysokie, sztywne kołnierzyki, jak i ten pikowany nieprzytulny szlafrok, były zespołem ascetycznych utensyliów, odpowiadających, widać, jakimś potrzebom duchowym. Wraz z wytrąceniem monokla została sponiewie-

rana wana z jednego bloku i pieniędzy z Minotaurem i me było na to żadnej rady i żadnego rozsądnego wyjścia. Hrabia nakazanego owsa nie posłał i usiłował otoczyć się tym niezrównanym, nieprzeniknionym płaszczem obojętności, który tak doskonale odpierał wojewodów, napraszających się na polowanka, i którego nagle nie starczyło na tę mocną łapę Stefka. Podhorecki z niezadowoleniem konstatował, że wciąż widzi przed sobą twarz z silnymi szczękami troglodyty, i nie bez pewnej melancholii myślał, że dziadek jego takiego typka oddałby po prostu na dwadzieścia pięć lat w żołdacy i miałby spokój i że wnukowi coraz trudniej jest żyć równym, zrozumiałym życiem, w którym doskonale się wie, co się robi, a czego się nie robi.

Zza Pilicy, od strony tej szopy z tarcic, rozległ się wybuch i posypały się strzały karabinowa Hrabia z niezadowoleniem obrócił się w fotelu ku oknu i począł patrzeć w rozrastającą się lunę. Zza Pilicy szły jakieś gwizdki, słowa komendy, przytłumione podwójną szybą.

Nagle w tej szybie dojrzał twarz z silnymi szczękami, której nie mógł zapomnieć- Nakazem tego „co się robi” hrabia otworzył okno, człowiek skoczył do środka. Widać brnął przez Pilicę, bo ociekał wodą. Hrabia wepchnął Sielickiego do garderoby, odgarnął płaszcze kąpielowe, pod którymi widniało w obiciu wejście na schody do centralnego ogrzewania. Wrócił do okna, nie zamykał, bo już słyhać było goniących, usiadł w fotelu.

Sylwetki goniących, głucho tupiąc po zwilgłym gazonie, obiegiły pałac. W oknie ukazała się wygięta czapa z trupią głową:

— Herr GrafKędy on uciekł?

Hrabia, siedząc w purpurowym fotelu w hieratycznym szlafroku, poprawił z lekka monokl i powiedział swoim powolnym głosem, że nikogo nie zauważył.

Gestapowiec przesadził okno, caos pięścią w monokl przytłoczył Podhoreckiego do fotela.

— Widziałem, jak tu wskakiwał. Natychmiast masz mówić, ty zawszony hrabio.

Na oku, na którym roztrzaskał się monokl, za broczyła obficie krew. Podhorecki przyłożył chustkę do oka, nie wstawał, mflfgał Biegli przez bibliotekę przylegającą Óo sypialnego. W drzwiach ukazał się treuhinder, za nim tłusciutki landrat w pizamie.

— Aber Herr Graf, was irt doch geschehen?

— Heil Hitler!... — powiedział gestapowiec z surowym naciskiem.

— HeU Hitler!... — wrzasnęli prostując się. We drzwiach ukazał się podoficer;

— Herr Hauptsturmfuhrer, gonić czy szukać w pałacu?

— Kędy uciekał? — pytał kapitan. Podhorecki siedział nieruchomo z chusteczką przy twarzy.

Wodniste oczy gestapowca obeszyły postać w szlafroku:

— Musimy zaraz wiedzieć. Trzymaj! — krzyknął do pod- oficera.

Sprawnie przy krępowali rękami do fotela ręce i nogi Podhoreckiego. Gestapowiec kazał z szafy wyjąć but i z niego sznurowadło. Wyjął duży chromowany scyzoryk, otworzył najmniejsze ostrze:

— So — powiedział przecinając arterię — po krótkim czasie będzie kaput. Jedno słowo, a przewiążę, mam opaskę Esmarcha.

— Tymczasem z lekka zaciskam — mówił Niemiec, obwiązując przegub sznurowadłem. — Zostaniesz tu — zwrócił się do podoficera — przewiążesz mocno, jak tylko zechce mówić, dasz znać przez pana landrata. Pan — zwrócił się do treuhandera — zna dom, pójdzie za mną.

— Panie hrabio — powiedział landrat, gdy wybiegli — niech pan prędko mówi, widzieli, że bandyta tu wskoczył, znajdują go i tak. Niech pan mówi, ^ehrenwort**, że nie wyciągniemy konsekwencji z pańskiego uporu. Niech pen mówi — powtórzył z desperacją — szkoda życia — spojrział z trwogą na poszerzającą się na dywanie kałużę krwi

Podhorecki milczał. Trudno było rozeznaczyć wyraz twarzy pod narastającym skrzepem

Grubas podreptał do łazienki, wrócił z miską, którą podstawił pod ściekającą krew.

— Gdzie schował się ten ^Schweinhund"? — pochylił się, starając się mówić bardzo wyraźnie, podoficer.

— Pozostaje panu kOka minut.

Twarz Podhoreckiego była nieruchoma. Pół jej pokrywał skrzep. Druga połowa bladła odcinając poczerniony, przycięty wąs. Zaczęły się dreszcze.

— Zdycha — machnął ręką podoficer. Landrat wiedział.

że Podhorecki marznie, chciał biec do łazienki po gorącą wodę, zrozumiał, że to bezcelowe. W granicach dozwolonych chciałby ulżyć kumpłowi spod „Zur Goldenen Glocke”.

Rozległy się strzały, podoficer wyskoczył z pistoletem w rękę. Nie wybite oko Podhoreckiego patrzyło na wiedeńczyka ze skoncentrowaną uwagą. Landratowi przemknęło przez myśl, że może konający błaga spojrzeniem o zaciśnięcie opaski.

Ale patrzące oko poczęło zasnuwać się mgłą. Landrat dotknął drugiej ręki, w której nie doszukał się pulsu.

— Der Held — mruknął. To mruknięcie było dla przyszłości, kiedy się będzie opowiadać, jak jeden „Held”, który trwał przy obowiązku, ocenił drugiego „Helda”, który nie wydał. Będzie to pouczające, podniosłe, przykład do złotej skarbnicy podrastającej młodzieży.

Polski „Held” tymczasem już sztywniał. W ciężko haftowanym złotymi liliami szlafroku, z połową twarzy pod czerwoną maską arlekina, z drugą połową, z której sterczał uczerniony wąs, wyglądał za dziwacznie na to, żeby jaki Urzędów chciał go w przyszłości zaliczyć w poczet bohaterów narodowych.